

MISTRZYNI BRYTYJSKIEGO KRYMINALEU

ELLY
Griffiths

PS.

Dziękuję za

zbrodnie

Kto by pomyślał, że pisanie kryminałów grozi śmiercią...

ALBATROS

ELLY
Griffiths

PS.

Dzięki za
zbrodnie

Z angielskiego przełożyła
MAGDALENA SŁYSZ

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

Pełen literackich smaczków hołd dla klasycznej powieści detektywistycznej – i dla wszystkich, którzy się nią fascynują.

KSIĄŻKA NOMINOWANA DO NAGRODY CWA GOLD DAGGER 2021.

Śmierć starszej pani, która zapomniała wziąć leki, nie powinna budzić podejrzeń. I nie budzi. W każdym razie detektyw Harbinder Kaur nie znajduje nic niezwykłego w zgłoszeniu opiekunki zmarłej Peggy Smith... Dopóki nie dowiaduje się, że w bibliotece staruszki znajduje się kolekcja zadedykowanych jej kryminałów. I większość z nich zawiera tajemnicze podziękowania dla Peggy za pomoc w wymyśleniu intrygi.

Okazuje się, że zmarła kobieta była konsultantką do spraw zabójstw – miała nawet swoją wizytówkę. Na zlecenie poczytnych pisarzy opracowywała efektowne scenariusze śmierci i najwyraźniej o mordowaniu wiedziała więcej niż ktokolwiek inny.

Kiedy do mieszkania Peggy wdziera się uzbrojony, zamaskowany napastnik i kradnie niczym niewyróżniającą się starą książkę, jeden ze współpracujących z nią autorów zostaje znaleziony martwy, a śmiercią staruszki zaczynają się interesować jej znajomi – mający też własne sekrety – Harbinder już wie, że ostatni scenariusz zbrodni, do którego przyłożyła rękę Peggy, nie został jeszcze ukończony...

ELLY GRIFFITHS

Tak naprawdę nazywa się Domenica de Rosa i zanim stała się jedną z najbardziej znanych brytyjskich autorek kryminałów, pracowała jako bibliotekarka, dziennikarka i redaktorka prowadząca w wydawnictwie HarperCollins, gdzie zajmowała się literaturą dziecięcą. Pod prawdziwym nazwiskiem opublikowała cztery powieści z akcją osadzoną we Włoszech.

Sukces odniosła jednak dopiero jako Elly Griffiths, autorka bestsellerowego cyklu kryminałów z archeolożką doktor Ruth Galloway. Jest laureatką przyznawanej przez Stowarzyszenie Autorów Powieści Kryminalnych nagrody CWA Dagger in the Library, była też kilkakrotnie nominowana do nagrody głównej tego konkursu, CWA Gold Dagger.

Puste jest piekło, pierwsza część cyklu jej powieści z detektyw Harbinder Kaur, zdobyła cenioną amerykańską Edgar Allan Poe Award.

Elly ma dwójkę dorosłych dzieci i mieszka w pobliżu Brighton z mężem archeologiem.

ellygriffiths.co.uk

Tej autorki w Wydawnictwie Albatros

PUSTE JEST PIEKŁO

PS. DZIĘKI ZA ZBRODNIE

Tytuł oryginału:
THE POSTSCRIPT MURDERS

opyright © Elly Griffiths 2020

All rights reserved including the rights of reproduction in whole or in part
in any form

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Magdalena Słysz 2023

Redakcja: Anna Walenko

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka

Zdjęcia na okładce: © E.J Miles/Arcangel

ISBN 978-83-6775-848-2



Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)

S

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie,

kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych –
jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu EPUB oraz MOBI

Katarzyna Rek

woblink

woblink.com

Spis treści:

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Podziękowania](#)

Rebecca Carter

*Jowiszu i gwiazdy moje, dzięki wam! Ale jest, widzę, jeszcze
postscriptum.*

William Shakespeare, *Wieczór trzech króli*, przekład Leona Ulricha

*Czy nie odczuwa pan niemiłego ucisku w dołku, sir?
I przykrego pulsowania w skroniach? (...) Ja nazywam [tę
chorobę] gorączką detektywistyczną.*

Wilkie Collins, *Księżycowy kamień*, przekład Jerzego Łozińskiego

Prolog

Ci dwaj mężczyźni stoją tam już od osiemnastu minut. Peggy obserwuje ich, patrząc na stoper. Zaparkowali przy nadmorskim bulwarze, tuż przed kawiarnią Benedicta. Biały ford fiesta. Nie widzi rejestracji, co jest irytujące, ale przykłada do oczu lornetkę i wtedy dostrzega wgniecenie przy drzwiach. Jeśli samochód jest wypożyczony, firma to zauważy. Peggy notuje to spostrzeżenie w swojej *Księdze dochodzeniowej*, która – z muszlami i łodziami rybackimi w pastelowych kolorach na okładce – nosi przemyślnie mylący tytuł *Dziennik pani znad morza*.

Ci mężczyźni wydają jej się podejrzani z kilku powodów. Przede wszystkim w Shoreham-by-Sea sprawiają wrażenie obcych. Czasami, dla zabawy i żeby ćwiczyć dar obserwacji, Peggy zapisuje, kto przeszedł pod jej oknem.

Poniedziałek, 3 września 2018, godz. 10–11

7 emerytów: 2 pary, 3 singli

1 mężczyzna na rolkach, po trzydziestce (za stary)

4 singli z psami: 2 z border collie, 1 z mopsem, 1 z jakimś pudłowatym
(nb. ludzie zawsze zapamiętują psy)

kobieta, po trzydziestce, elegancko ubrana, rozmawia przez telefon

mężczyzna, po sześćdziesiątce, z czarnym workiem na śmieci,
prawdopodobnie bezdomny

4 rowerzystów

2 biegaczy: 1 w dobrej formie, 1 na skraju wyczerpania

1 monocyklista (prawdopodobnie z Brighton)

Ci dwaj za oknem nie pasują do tego schematu. Nie są na rowerach, nie biegają ani nie spacerują z psem. To nie emeryci. Obaj przed czterdziestką, krótko ostrzyżeni, mają na sobie džinsy i kurtki, jeden niebieską, drugi szarą. Jak młodzi na nie mówią? Bomberki? To jedna z mniej trafionych nazw, jakie słyszała. Mężczyźni wydają się podobni do siebie z powodu ubrania, ale Peggy nie sądzi, żeby byli spokrewnieni. Jeden ma znacznie ciemniejszą karnację i inną budowę ciała, jest raczej krępy niż żyłasty. Nie są też chyba parą. Nie dotykają się ani nie patrzą na siebie. Nie śmieją się ani nie kłócą – a jest to zachowanie, po którym najłatwiej rozpoznać parę. Tylko stoją, może na coś czekają. Od czasu do czasu ten w niebieskiej kurtce spogląda w stronę okna Peggy, ale ona jest schowana za zasłoną: umie wtapiać się w tło. Jak wszyscy starzy ludzie.

Początkowo myślała, że przyjechali do kawiarni Benedicta, która jest naprawdę warta polecenia, ale nie idą w kierunku Shack. Są jakby spięci – to wzbudziło jej czujność – i obaj stoją odwróceny plecami do morza. Kto przyjeżdża na plażę w Shoreham i nawet nie spojrzy na lśniące fale, które tego dnia wyglądają pięknie, z jachtami i mewami w charakterze dodatków? Ci dwaj mężczyźni patrzą na drogę i na Seaview Court, budynek z mieszkaniami dla emerytów, gdzie we wnęce okiennej właśnie kryje się Peggy. To nie ulega wątpliwości. Na coś czekają. Tylko na co?

Punkt jedenasta ten w niebieskiej kurtce wyjmuje z kieszeni telefon i z kimś rozmawia. Drugi, w szarej kurtce, zerka na zegarek, tak duży, że

można zobaczyć go przez lornetkę nawet z odległości stu metrów. Mężczyźni naradzają się chwilę, po czym wsiadają do samochodu. Ford fiesta wyjeżdża na drogę i Peggy wychyla się, żeby zobaczyć numer rejestracyjny.

GY coś tam. To jedynka czy siódemka? Musi pójść do okulisty po receptę na nowe okulary. Nagle samochód zatrzymuje się tuż pod jej oknem. Peggy z powrotem chowa się za zasłonę z luźno tkanej bawełny. Tak luźno, że całkiem dobrze wszystko przez nią widzi. Nie ma pewności, bo obraz jest trochę niewyraźny, ale wydaje jej się, że jeden z mężczyzn wychyla się przez okno samochodu i robi zdjęcie. Budynku. Potem fiesta odjeżdża.

Jedenasta siedem.

Rozdział 1

Natalka: pełne zdania

Od razu się orientuje, że coś jest nie tak. Trudno powiedzieć co – poczta leży na półokrągłym stoliku, ułożona w staranny stosik, w mieszkaniu panuje cisza, tak że słycać tylko krzyk mew atakujących kogoś na zewnątrz, secesyjny zegar tyka spokojnie w obudowie ze stali nierdzewnej. Mimo to, nie wiadomo skąd, Natalka wie. Jakby cząsteczki zmieniły konfigurację.

– Pani Smith?! – Woła ją także po imieniu, chociaż pani Smith nie należy do najbardziej bezpośrednich. – Peggy?!

Żadnej odpowiedzi. Natalka otwiera drzwi do salonu. Słyszy szum, jakby działało jakieś urządzenie elektryczne, wie jednak, że pani Smith o drugiej włącza radio na operę mydlaną *The Archers* i piętnaście minut później je wyłącza. Nie znosi *Afternoon Drama*. „Banda skupionych na sobie ludzi, którzy mówią tylko o swoim życiu. O nim albo o podróży w czasie”. Jest szósta. Pora wieczornych wizyt, żeby pomóc podopiecznym przygotować się do snu. To oczywiście strasznie wcześnie, ale Natalka musi jeszcze odwiedzić pięć innych osób, więc co ma zrobić?

Wchodzi do pokoju. Pani Smith siedzi w fotelu przy oknie wykuszowym. Lubi patrzeć na morze i nawet ma lornetkę, żeby

obserwować rzadkie ptaki czy – jak podejrzewa Natałka – szpiegować przepływające statki. Tego dnia jednak niczemu się nie przypatruje. Pani Smith nie żyje. Natałka wie to, jeszcze zanim sprawdza puls i zauważa na wpół otwarte usta i niewidzące oczy. Dotyka starszej pani. Chłodna, ale nie zimna. Natałka żegna się znakiem krzyża.

– Niech spoczywa w pokoju – mamrocze i wybiera numer Care4You.

Odbiera szefowa. Cud.

– Patricia Creeve.

– Pani Smith nie żyje. – Natałka przechodzi od razu do rzeczy.

– Jesteś pewna? – pyta równie konkretnie Patricia.

– Żadnego pulsu.

Pod wpływem stresu Natałka często zapomina o czasownikach, przyimkach i spójnikach, o mówieniu pełnymi zdaniami.

– Już jadę – mówi Patricia. – Panie, świeć nad jej duszą.

Dorzuca to dopiero po chwili, ale Natałka nie ma jej tego za złe. Zapowiada się długi wieczór.

Natałka siedzi na kanapie, czekając na Patricię. W normalnych okolicznościach nie pozwoliłaby sobie na to, żeby siedzieć w domu podopiecznego, chyba że ten wyraźnie chciałby pogawędzić. Peggy jednak nie należała do gadatliwych. Była zawsze uprzejma, ale wiedziała, że Natałka musi wykonać swoją pracę, a ma mało czasu. Dziwnie teraz tak tkwić beczynnie naprzeciwko niemej postaci w fotelu, ustawionym w ten sposób, żeby można było podziwiać morze. Natałka wstaje i podchodzi do okna. Widzi rozległy obszar błękitnej wody ze spienionymi falami i mewy krążące na jaśniejszym od niego niebie. To obrazek jak z pocztówki, jeśli nie patrzeć w lewo, na elektrownię i złowroźnie wyglądające trawlerzy

o rosyjskich nazwach. Nagle uświadamia sobie, że stoi plecami do zwłok. Jednocześnie doznaje bardzo dziwnego wrażenia, że ktoś ją obserwuje. Szybko się odwraca, ale Peggy nie zmieniła pozycji. Jasne, że nie, upomina samą siebie Natałka. Peggy umarła. Nie zacznie tańczyć mazurka. Piętro niżej drzwi się otwierają, a potem zamykają. Ktoś idzie ciężkim krokiem po schodach i w pokoju pojawia się Patricia. Natałka nie przekręciła klucza w zamku.

Wskazuje fotel pod oknem i Patricia podchodzi do niego. Ujmuje rękę Peggy z zawodowym spokojem, ale w oczach ma smutek.

– Odeszła – mówi.

„Odeszła”. To określenie, którego Natałka nigdy tak naprawdę nie rozumiała. Brzmi nierealne, ulotnie, jakby coś istniało tylko przez chwilę. Było i odeszło. A przecież śmierć jest wieczna.

– Czy wezwałaś pogotowie? – pyta Patricia.

– Nie – odpowiada Natałka. – To znaczy, od razu widziałam, że nie żyje. Jak myślisz, co to mogło być? Zawał?

– Pewnie tak. Ile miała lat?

– Dziewięćdziesiąt. Szczyciła się tym. Urządziliśmy jej małe przyjęcie urodzinowe w kawiarni Benedicta.

– Była w dobrej formie jak na swój wiek – zauważa Patricia.

– Obok fotela leżą pigułki – mówi Natałka. – Może zapomniała je zażyć.

– Niewykluczone, ale prawdopodobnie odeszła we śnie. To dobra śmierć – dodaje Patricia i łagodnie poklepuje Natalkę po ramieniu.

– Wiem.

– Zadzwońię do zakładu pogrzebowego. Przyślą samochód.

Ma numer w systemie szybkiego wybierania. No oczywiście. Podczas gdy Patricia rozmawia przez telefon, Natalka jeszcze raz podchodzi do zmarłej – do Peggy. Minęło zaledwie piętnaście minut, a ona już się zmieniła. To nie Peggy; można by pomyśleć, że fotel zajmuje niezwykle realistyczna figura starej kobiety. Jej skóra jest jakby z wosku, a złożone na kolanach dłonie wyglądają niczym uformowane przez rzeźbiarza. Kto często malował ręce złożone do modlitwy? Dürer? Patricia zamknęła Peggy oczy i Natalka czuje ulgę.

– Niech spoczywa w pokoju – mówi ponownie.

– Powinnaś iść do domu, Natalko – odzywa się Patricia. – To musiał być dla ciebie okropny szok. Jutro rano też weź sobie wolne.

Co za gest ze strony szefowej. W Care4You wciąż brakuje opiekunów i od Natalki oczekuje się, że będzie brała dodatkowe zmiany. Myśl, że nie musi jutro wcześniej wstać, jest wręcz upajająca.

– Zawiadomiłaś rodzinę? – pyta. – Chyba miała syna.

– Zaraz sprawdzę – mówi Patricia i bierze z półokrągłego stolika kartę Peggy.

Wszyscy klienci mają takie karty: opiekunowie notują w nich datę, czas i przebieg każdej wizyty. *Toaleta, posiłek podany, wszystko w porządku.*

– O, mam – mówi Patricia. – Najbliższy krewny: syn, Nigel Smith. Jest numer telefonu komórkowego.

Dzwoni, a Natalka znów odwraca się do Peggy. Wygląda pogodnie – tak powie szefowa Nigelowi. Odeszła w spokoju. Na podłokietniku fotela leży otwarta książka. *Morderstwo w wieżowcu* Dexa Challonera. Na stoliku spoczywa lornetka. Są tam też długopis, rozwiązana krzyżówka i pudełko na leki, takie z dniami tygodnia. I coś jeszcze: kartonik, ledwie wystający spod krzyżówki. Natalka go wyciąga. To wizytówka, służbowa, z czarnym ozdobnym krojem pisma:

Pani M. Smith. Konsultantka do spraw zabójstw.

Rozdział 2

Harbinder: Panda Pop

Detektyw sierżant Harbinder Kaur pracuje do późna. Nie ma nic przeciwko temu. Jeśli wróciłaby do domu, matka znów zaczęłaby ją przekonywać do aplikacji randkowych („To najnowszy trend. Jest nawet specjalna grupa What’s Up dla sikhów”), a ojciec rozprawiałby o polityce. A tu przynajmniej jest spokój. Nie ma Neila – detektywa sierżanta Neila Winstona, jej partnera – który zmiatałby wyimaginowane okruchy ze swojego biurka i wykonywał te irytujące ćwiczenia na biceps, jakby każda sekunda spędzona poza siłownią była czasem straconym. I nie ma Donny, jej szefowej, detektyw inspektor Donny Brice, która przyszłaby z zakupami na cały tydzień i narzekała na ceny pringlesów. Biuro wydziału zabójstw, gdy jest puste, wydaje się uporządkowane i łatwe do prowadzenia. Harbinder kończy sporządzać dokumentację i w duchu przyznaje sobie złotą gwiazdę. „Najlepsza sikhijka detektyw lesbijka w West Sussex” – i cóż, jedyna. Ale co tam, złota gwiazda to złota gwiazda. Co może jeszcze zrobić? Umyć kubki po kawie? Podlać więdnącą zielistkę? Zadzwoić do Clare i poznać najnowsze plotki ze świata heteryków? Wejść na Twittera i poczuć obrzydzenie do świata? Zagrać w *Panda Pop*? To ostatnie wydaje

się najlepszym sposobem na wykorzystanie czasu. Już wyjmując smartfona i ma kliknąć w ikonę gry, gdy słyszy głos z interkomu.

– Na dole jest jakaś pani do ciebie. Mówi, że chce coś zgłosić.

– Naprawdę? – To może być nawet ciekawe. – Już schodzę.

Kobieta, która czeka w recepcji, wśród starych numerów „Police Monthly”, budzi zaskoczenie Harbinder. Przede wszystkim jest młoda. Ma blond włosy związane w koński ogon. I kiedy się odzywa, nie ulega wątpliwości, że angielski nie jest jej ojczystym językiem. Mówi płynnie, ale ma lekki, intrygujący akcent. Nieczęsto się zdarza, żeby młode cudzoziemki przychodziły na policję w Shoreham-by-Sea.

– Nazywam się Natalka Kolisnyk – zaczyna kobieta. – Nie wiem, czy dobrze zrobiłam, że przyszłam.

– Proszę do mojego gabinetu – odpowiada Harbinder. – Porozmawiamy.

Prowadzi Natalkę do pokoju Donny. Żałuje, że powiedziała o nim „mój”, gdy widzi, jaki panuje tu bałagan. Do tego jeszcze Donna powiesiła na ścianie jeden z tych pretensjonalnych kalendarzy z niemowlętami w doniczkach. Natalka siada na krześle dla gości i informuje Harbinder, że ma dwadzieścia siedem lat i pracuje jako opiekunka w firmie Care4You w Shoreham.

– Na umowie śmieciowej – dodaje, krzywiąc się. – Żadnych dodatkowych świadczeń, zwrotów kosztów podróży.

Harbinder kiwa głową. W Shoreham jest dużo starszych osób, wiele z nich potrzebuje opieki domowej. Nic dziwnego, że ludzie, którzy ją świadczą, dostają małe wynagrodzenie i nie mają żadnych przywilejów. Natalka jednak nie sprawia wrażenia kogoś żyjącego na granicy ubóstwa. Jest ubrana całkiem zwyczajnie, w dżinsy i białą koszulkę, ale ma drogie sneakersy marki Allbirds. Harbinder zawsze zwraca uwagę na buty.

– Miałam jedną podopieczną w Seaview Court – mówi dalej Natałka, rozglądając się po pokoju z nieukrywanym zainteresowaniem.

Harbinder ma nadzieję, że dziewczyna nie zauważy dzieci w doniczkach. Zna Seaview Court, z mieszkaniami dla starszych osób, nad samym morzem, z widokiem na plażę.

– Nazywała się Peggy Smith – ciągnie Natałka. – Zmarła dwa dni temu. To bardzo smutne, ale nie było wielkim zaskoczeniem. Miała dziewięćdziesiąt lat. Mogła umrzeć w każdej chwili. Ale dziś pomagałam uprzątnąć jej rzeczy. Jutro przyjeżdża syn Peggy i chce, żeby wszystko zostało spakowane do pudeł. Zamierza szybko sprzedać mieszkanie. Taki typ człowieka.

Harbinder znowu kiwa głową. Wie, o jaki typ chodzi.

– Ten syn, Nigel, poprosił mnie, żebym zaczęła od książek. Pani Smith miała ich dużo, bardzo dużo. Wszystkie o zbrodniach.

– Kryminały?

– Tak. No wie pani, mężczyzna zabija kobietę. Albo kobieta zabija mężczyznę. Czasami tak się zdarza. Chociaż niezbyt często. – Natałka uśmiecha się, odsłaniając piękne zęby, białe i równe. – I na końcu detektyw demaskuje sprawcę.

– Mhm, w normalnym życiu też tak to wygląda – kwituje z przekąsem Harbinder. – Zawsze.

– No więc wkładałam te książki do pudeł, ale mnie to znudziło i zaczęłam je podczytywać. I wtedy coś zauważyłam.

– Co takiego? – pyta Harbinder.

Natałka najwyraźniej nie ma zamiaru się streszczać, ale Harbinder jest dzisiaj wyrozumiały.

– Wszystkie zostały napisane dla niej. Dla pani Smith.

– Chyba napisane przez nią?

– Nie. – Dziewczyna pstryka palcami, usiłując przypomnieć sobie słowo. – Dla niej. Dla pani Smith, bez której...

– Czyli są jej dedykowane?

– Właśnie! Dedykowane. Wszystkie te kryminały są jej dedykowane. Czy to nie dziwne?

– Chyba tak. Są autorstwa różnych ludzi?

– Tak, wielu różnych ludzi. Ale głównie Dexa Challonera. Jest znany. Wygooglowałam go.

Harbinder słyszała o Dexie Challonerze. To mieszkający w okolicy autor i jego książki można znaleźć w każdej księgarni hrabstwa. Ich głównym bohaterem jest Tod France, prywatny detektyw, niepodobny do żadnego z tych, których Harbinder dotąd spotkała.

– I wszystkie są dedykowane pani Smith?

– Niektóre. A w innych zostaje wymieniona na końcu, rozumie pani.

– W podziękowaniach?

– Tak. Są tam zwykle wyrazy wdzięczności dla mamy i taty. Dla wydawcy. I dla pani Smith.

– Ciekawe dlaczego.

– Wiem dlaczego – oznajmia Natalka triumfująco. – Pani Smith jest konsultantką do spraw zabójstw. Znalazłam u niej to. Leżało na stoliku obok fotela. Fotela, w którym zmarła – dodaje z niepotrzebną lubością.

Kładzie przed Harbinder biały kartonik. I rzeczywiście widnieje na nim gotykiem: *Pani M. Smith. Konsultantka do spraw zabójstw.*

– Konsultantka do spraw zabójstw? Co to znaczy? – pyta Harbinder.

– Nie wiem – mówi Natalka. – Ale wydaje się to podejrzane, nie sądzi pani? Kobieta umiera i okazuje się, że była konsultantką do spraw zabójstw.

– Zanim uznamy to za podejrzone, musimy się dowiedzieć, co tak naprawdę znaczy – stwierdza Harbinder. – I dlaczego przed nazwiskiem znajduje się inicjał M. Mówiła pani, że zmarła miała na imię Peggy.

– Peggy to czasami zdrobnienie od Margaret – wyjaśnia Natalka. – Angielskie imiona bywają naprawdę dziwne.

– Wiem, jestem Angielką – rzuca Harbinder, żeby dziewczyna nie sądziła po kolorze skóry, że jest inaczej.

– A ja Ukrainką – rewanżuje się Natalka. – My też mamy dziwne imiona.

Harbinder myśli o Ukrainie i przed oczami stają jej niepokojące obrazy: Czarnobyl, Krym, katastrofa samolotowa. Zastanawia się, czy Natalka nie jest zwiastunem równie złych wiadomości.

– Na co zmarła Peggy Smith? – pyta.

– Na zawał. Tak twierdzi lekarz. To ja ją znalazłam. Siedziała w fotelu przy oknie.

– Czyli żadnych podejrzanych okoliczności?

– Wtedy tak mi się wydawało. Mojej szefowej też. Ale teraz nie jestem taka pewna. Skąd wiadomo, co jest podejrzone, a co nie?

– To dobre pytanie – przyznaje Harbinder.

Myśli o tej rozmowie, jadąc do domu. Na pierwszy rzut oka śmierć dziewięćdziesięcioletniej kobiety w domowym zaciszu nie wydaje się szczególnie podejrzana. Ale może tajemnicza Natalka – tajemniczo atrakcyjna Natalka – ma rację. Może powinni wniknąć głębiej. To rzeczywiście dziwne, że o tej starszej pani wspomina się w tylu książkach. A określenie „konsultantka do spraw zabójstw” brzmi jakoś złowrogo. Harbinder wydaje polecenie swojemu telefonowi, żeby połączył ją z Clare.

Jest w takim wieku, że rajcują ją te wszystkie wynalazki niewymagające użycia rąk. Dla jej siostrzeńców i siostrzenic to już nic szczególnego.

– Cześć, Harbinder. – W samochodzie rozlega się głos Clare, pewny, lekko zniecierpliwiony. – Co tam?

– Czy kiedykolwiek ktoś zadedykował ci książkę?

– Co takiego?

– Dużo czytasz. Prowadzisz zajęcia z kreatywnego pisania. Czy ktoś kiedyś wspomniał o tobie w książce? „Dla Clare, bez której to dzieło powstałoby dwa razy szybciej”?

Clare się śmieje.

– Nie, nikt nigdy nie zadedykował mi książki.

– Nawet Henry? – Chodzi o faceta Clare, wykładowcę z Cambridge.

– Może wymienił mnie w podziękowaniach na końcu nowej powieści.

– Czy wydałoby ci się dziwne, gdyby komuś, całkiem zwykłej osobie, zadedykowano wiele książek i wielokrotnie oficjalnie dziękowano?

– Jeśli nie byłaby redaktorem, to tak.

– Czym zajmuje się redaktor?

– Chcesz coś opublikować? Redaktor czyta złożoną w wydawnictwie książkę, poprawia błędy, czuwa nad prawidłowym zapisem nazwisk, nad zgodnością realiów z czasem akcji i tak dalej. Później sprawdza to wszystko korektor. Tyle że teraz coraz częściej się z niego rezygnuje.

Czy Peggy Smith była korektorką? To chyba możliwe. Wydaje się, że to praca dla osoby emerytowanej. Ale przecież na wizytówce nie było napisane „korektorka”. Tylko „konsultantka do spraw zabójstw”.

– Dlaczego to wszystko cię interesuje? – pyta Clare. – Przyjedziesz? Zrobiłam makaron. Zostało całe mnóstwo.

– Brzmi kusząco – mówi Harbinder – ale powinnam już wracać do domu. Do zobaczenia wkrótce. Pozdrów ode mnie Georgie i Herberta.

Dochodzi dziesiąta, kiedy Harbinder parkuje samochód w podziemnym garażu niedaleko domu rodziców. Wciąż myśli o nim, że to ich dom, mimo że też tam mieszka. Czasami mówi sobie z właściwą dozą zgorznienia: „Harbinder Kaur miała trzydzieści sześć lat, była niezamężna i wciąż mieszkała z rodzicami”. Gdyby przeczytała to w książce, straciłaby całą sympatię do bohaterki. No ale nie czyta tego rodzaju książek. I z wyjątkiem krótkiego okresu, kiedy wynajmowała mieszkanie z innymi słuchaczami szkoły policyjnej, mieszka nad sklepem od urodzenia. Pod pewnymi względami jej to odpowiada. Tak naprawdę lubi towarzystwo rodziców, poza tym fajnie mieć kogoś, kto dla ciebie gotuje i w ogóle troszczy się o ciebie. Są oczywiście także minusy. Jej rodzice na przykład nie wiedzą, że jest lesbijką.

Ma nadzieję, że w domu będzie spokój. Sklep jest zamykany o dziewiątej trzydzieści, matka pewnie zostawiła dla niej coś pysznego w piekarniku i teraz przysypia przed telewizorem. Ojciec wścieka się po obejrzeniu wieczornych wiadomości, a Starsky, ich tępawy owczarek niemiecki, chce wyjść na ostatni tego dnia spacer. Jednak idąc po schodach na górę, Harbinder słyszy głosy mówiące po pendzabsku. O nie, rodzice musieli zaprosić przyjaciół. Jak taka gościnna para ludzi mogła spłodzić córkę, która woli *Panda Pop* od towarzystwa innych ludzi?

– Już idzie – mówi jej matka, Bibi, jakby pojawienie się Harbinder było ostatnim numerem w programie rewiowym. – Wreszcie przyszła nasza Harbinder.

Dwie kobiety siedzące przy stole patrzą tak, jakby spodziewały się bardziej atrakcyjnego gościa specjalnego. Harbinder przypomina je sobie mgliście; widywała obie podczas swoich nieczęstych wizyt w gurdwarze.

– Jak się masz, Harbinder? – zagaduje jedna z nich. Amrit? Amarit? –
Wciąż w policji?

Nie, ma ochotę odpowiedzieć, noszę te kajdanki, bo się założyłam.

– Tak – odpowiada po angielsku. – Wciąż w policji.

– Harbinder jest detektywem sierżantem w wydziale dochodzeniowym – włącza się jej ojciec, Deepak. – Bardzo ciężko pracuje.

Stoi w progu ze Starskym i wygląda tak, jakby pragnął znowu stać się panem swojej kuchni.

– Masz chłopaka? – pyta druga z kobiet.

No naprawdę, co jest z tymi starszymi ludźmi? Dlaczego czują się uprawnieni, żeby zadawać takie pytania?

– Czekam na tego jedyne – cedzi Harbinder przez zaciśnięte zęby.

– A ile masz już lat? – pyta wścibsko Amrit. – Trzydzieści osiem? Trzydzieści dziewięć?

– Czterdzieści sześć – rzuca Harbinder, dodając sobie dziesięć. – Dobrze wyglądam jak na swój wiek, prawda?

– Jest dopiero po trzydziestce – pospiesznie wyjaśnia Bibi. – Jesteś głodna, Harbi? Zostawiłam ci coś dobrego.

Harbinder najchętniej pobiegłaby na górę i od razu położyła się do łóżka, ale rzeczywiście jest głodna, a matka przyrządziła curry z kurczaka. Siada więc przy stole.

– Odwieźć was do domu? – proponuje Deepak sąsiadkom, które patrzą na Harbinder, jakby oczekiwały od niej, że pokaże jakąś magiczną sztuczkę.

Kobiety wstają, chociaż dość niechętnie. Nagle Harbinder uświadamia sobie, że starsze panie mogą jej się na coś przydać.

– Czy któraś z was zna Seaview Court? – pyta.

– O tak – odpowiada Amrit. – To ten budynek nad samym morzem. Mieszkał tam Baljeet Singh, dopóki nie umarł.

– I inna starsza pani, która dożyła setki – dodaje jej przyjaciółka. – Dostała od królowej telegram z gratulacjami.

Wszystkie te stare kobiety uwielbiają królową. Uważają, że jest bardzo indyjska.

– Są tam mieszkania dla starszych osób, prawda? – dopytuje się Harbinder.

– Tak, ale nie ma ochrony. Tylko tak mówią, żeby lokatorzy więcej płacili.

– Więc budynek nie jest strzeżony?

– O nie – włącza się druga kobieta. – Niby mają domofon, ale ludzie przez cały czas swobodnie wchodzi i wychodzą. Opiekunki, no wiecie. Każdy może się tam dostać. Nigdy bym nie pozwoliła, żeby moja matka mieszkała w takim miejscu.

Jej matka? To ile ta kobieta musi mieć lat?

– Dlaczego to cię interesuje? – pyta Deepak, biorąc kluczyki do samochodu.

– Bez szczególnego powodu – odpowiada mu córka.

Wraca do swojego curry, a sąsiadki na szczęście rozumieją aluzję i wychodzą. Harbinder nie wie, po co ojciec je odwozi. Mogłyby polecieć do domu na miotłach.

Rozdział 3

Benedict: uważne cappuccino

Benedict Cole uśmiecha się, usiłując jak najuważniej spenić mleko. Naprawdę jestem szczęściarzem, mówi sobie. Mam własną kafejkę nad samym morzem, codziennie poznaję nowych ludzi, z okien widzę bezkres wody i nieba. I to przyjemność przygotowywać napoje, które smakują innym. Piecze też brownie i kruche ciastka. Z całą pewnością jest uprzywilejowany.

– Będiesz, koleś, robił to cappuccino przez cały dzień?

Benedict nie przestaje się uśmiechać, choć czasami trudno jest kochać ludzi, zwłaszcza tych, którym daleko jeszcze do siedemdziesiątkipiątki, a chodzą w pasiastych koszulach z postawionym kołnierzykiem i w kaszkietach. Ten gość może nawet być w jego wieku – on sam ma trzydzieści dwa lata – i mimo że używa słowa „koleś”, mówi z irytująco poprawnym akcentem.

– Już kończę – odpowiada Benedict.

– Bo nie mam do stracenia całego dnia – kwituje Pasiasta Koszula, chociaż trudno zgadnąć, co może mieć takiego pilnego do roboty w Shoreham w środowe przedpołudnie.

Poza tym koszule w paski widuje się tu rzadko, Shoreham jest mniej snobistyczne niż Brighton i przeważa tutaj klasa pracująca. Może Pasiasta Koszula jest pośrednikiem w handlu nieruchomościami i sprzedaje apartamenty nad morzem ludziom, którzy jeszcze nie zarejestrowali tego faktu.

Benedict stawia cappuccino na ladzie. To dzieło sztuki przygotowane zgodnie z zasadami treningu uważności: kawa z mlekiem, ale mocna, z pianką, na której widać delikatny zarys liścia.

– Czy do tego brownie? – pyta.

– Nie, dzięki. – Pasiasta Koszula macha kartą płatniczą. – Zbliżeniowo?

Benedict wolałby włożyć kartę do czytnika i myśli sobie, że całe jego życie jest ostatnio wybitnie „niezbliżeniowe” albo – jeśli chce nadać swojej melancholii bardziej wzniosły ton – że to słowo dobrze charakteryzuje społeczeństwo w ogóle. W klasztorze nie zachęcano do kontaktów fizycznych, z oczywistych powodów, ale nawet w okresach milczenia komunikowano się ze sobą częściej niż – jak wynika z obserwacji Benedicta – zdarza się to ludziom w świecie zewnętrznym. No i była msza, chleb i wino, ciało i krew. Katolicyzm jest bardzo korporacyjny, jeśli się zastanowić, co Benedict robi zbyt często.

– O czym tak dumasz?

Benedict natychmiast się rozpromienia, bo oto jeden z jego ulubionych klientów, ktoś jak najbardziej „zbliżeniowy”, z kim można naprawdę porozmawiać. Edwin już jakiś czas temu skończył siedemdziesiąt pięć lat, ale za nic nie włożyłby kaszkietu. Latem nosi panamę, zimą trilby, a czasami – kiedy robi się naprawdę zimno – czapkę uszanke.

– Edwin! – wykrzykuje Benedict. – Miło, że przyszedłeś. Wczoraj mi Ciebie brakowało.

Nie chce, żeby klienci czuli się winni, jeśli nie wstąpią do kawiarni, ale naprawdę zauważa, kiedy któryś ze stałych bywalców się nie pojawi. Martwi się, czy nie stało się coś złego.

– Niestety... – Edwin zdejmuje kapelusz, dziś fedorę, którą nosi wiosną i jesienią. – Mam niedobre wiadomości.

– O nie.

Benedict widzi, że Edwin rzeczywiście wygląda na przybitego, ma przekrwione oczy i drżą mu ręce. Czyżby stracił członka rodziny? Czy w ogóle ktoś taki mu jeszcze pozostał?

– Chodzi o Peggy – wyjaśnia starszy pan. – Nie żyje.

O tej porze ruch zawsze ustaje. Ponieważ nie widać nowych klientów, Benedict i Edwin siadają przy stole piknikowym przed Coffee Shack. Nad morzem też prawie nikogo nie ma, ciągnąca się kilometrami kamienista plaża jest tylko usiana kępami wodorostów. To wrzesień i dzieci właśnie wróciły do szkoły, a szkoda, bo prawdziwie letnia pogoda i morze, błękitnozielone, z małymi falami, aż zachęcają, żeby popływać.

Benedict namawia Edwina do zjedzenia brownie, bo „jest dobre na szok”, i przez chwilę siedzą w milczeniu. Jego ono nie krępuje – znowu ten klasztor – ale chętnie by usłyszał, co takiego się stało.

– Jak umarła?

– To się stało nagle. Serce, mówią. Widziałem się wczoraj z Natałką. Porządkuje jej książki.

– Starsza pani je uwielbiała. Droga Peggy.

– Tak. Będzie mi brakowało naszych rozmów o literaturze. Będzie mi brakowało wszystkiego, co miało z nią związek. Tylko dzięki niej dało się żyć w tym budynku – mówi Edwin.

On także mieszka w Seaview Court. Jest to miłe miejsce, z pięknym widokiem na morze, zgodnie z nazwą, ale Edwin, który przeprowadził się tu z Brighton, z eleganckiego szeregowca w stylu regency, nie znosi go. Peggy jednak je lubiła. „Gdzie miałyby się taki widok? – mawiała. – Ani w Hamptons, ani w Amalfi, ani nawet nad Bajkałem”. Często wymieniała naprawdę dziwne zakątki. Skąd je znała? Już za późno, żeby ją o to zapytać.

– Kiedy pogrzeb? – pyta Benedict.

Pójdzie, oczywiście. Ostatnio był na kilku pogrzebach. Zwykle odbywają się w piątki, w jego kościele parafialnym, i chodzi na nie, jeśli ma obawy, że będzie za mało żałobników. Jak mówi przyjaciel Benedicta, Francis, teraz ojciec Francis, istnieje groźba, że stanie się to jego hobby.

– Natałka nie wie. Nie wydaje mi się, żeby Peggy była wierząca. Mam nadzieję, że nie będzie tej okropnej kremacji. – Edwin jest katolikiem, to także łączy go z Benedictem.

– Czy miała jakąś rodzinę?

– Jednego syna, Nigela. Nie byli sobie szczególnie bliscy. Peggy kiedyś w rozmowie ze mną nazwała go kułakiem. Musiałem sprawdzić, co to znaczy. To z rosyjskiego. Oznacza majątnego chłopca, wroga klasowego, trzymającego z właścicielami ziemskimi. Cała Peggy.

Benedict wie, co to śmierć. „Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem”, mówi Pan. Benedict zna ceremoniał pogrzebowy jeszcze z czasów seminaryjnych, ale także ze swoich obecnych wypraw na pogrzeby. Sądzi jednak, że Edwin, w wieku osiemdziesięciu lat, wie o śmierci więcej niż on. Kostucha, jeśli nie czeka tuż za rogiem, to niewątpliwie czyha gdzieś nieopodal.

– Byłeś dobrym przyjacielem Peggy – mówi Benedict.

– Dziękuję ci. – W głosie Edwina brzmi wzruszenie. – Mam taką nadzieję. Ona z pewnością była moją dobrą przyjaciółką. W naszym wieku nie zawiera się nowych przyjaźni.

– Z tym jest trudno w każdym wieku – zauważa Benedict.

Benedict wychował się w Arundel, malowniczym miasteczku targowym nad rzeką Arun, z zamkiem i katedrą. Jako najmłodszy z trojga dzieci chodził do prywatnej szkoły katolickiej, gdzie był znany jako „brat Hugo”. W wieku osiemnastu lat oświadczył – i była to jedyna pamiętna rzecz, jaką kiedykolwiek zrobił – że chce zostać księdzem. Jego rodzice, żarliwi katolicy, jak niektóre dawne angielskie rodziny odmawiające udziału w nabożeństwach anglikańskich, nie spodziewali się, że jedna z ich latorośli posunie się tak daleko. Uznali to wręcz za krępujące i przesadne – jak zrobiliby to rodzice kochającej gimnastykę dziewczynki, która chciałaby zatrudnić się w cyrku. „Myślałam, że księżmi zostają tylko Irlandczycy”, rzuciła kiedyś jego matka. Ale prawda jest taka, że już nawet oni nie zostają księżmi. Szkoła katolicka, do której uczęszczał Benedict, kiedyś wypuszczała rocznie dwóch czy trzech kandydatów na księdza, a on był pierwszym od prawie dziesięciu lat. Nawet jego nauczyciele byli tym zażenowani. A jeszcze żeby zostać zakonikiem! Gdyby chociaż był ciężko pracującym proboszczem, który żyje wśród wiernych i chodzi po domach, by udzielać komunii obłożnie chorym. „Co będziesz robił przez cały dzień? – pytała matka. – Siedział w zamknięciu i śpiewał psalmy?”

Benedict jednak pokochał śpiewanie psalmów i pokochał sam klasztor. Gdy mówi ludziom, że kiedyś był zakonikiem – choć ten temat niezbyt często pojawia się w rozmowach – zakładają, że porzucił to, bo stracił wiarę, wie o tym. Ale w rzeczywistości jego wiara jest równie silna jak dawniej, wręcz przerażająca. Odszedł z zakonu, ponieważ przestał być

zakochany w Bogu i zdał sobie sprawę, że pragnie zwykłego życia, jak wszyscy śmiertelnicy. A nawet chciał się ożenić. To zabawne, w seminarium tyle się mówiło o grzechach ciała, o poświęceniu, jakim jest rezygnacja z małżeństwa i dzieci; odnosiło się tam wrażenie, że w zewnętrznym świecie te radości są łatwo dostępne. Benedict nie sądził, że po dwóch latach od opuszczenia Świętego Bedy będzie mieszkał sam, w kawalerce, nie mając dziewczyny ani nawet widoków na nią. „Poszukaj w internecie”, radzi mu siostra, ale to przecież ma wyglądać inaczej. Powinno się poznać kogoś podczas spaceru nad morzem albo w bibliotece, gdy zwraca się książki. W Shack pojawi się pewnego razu wspaniała kobieta, może trochę dziwna, lekko potargana, i pogawędzą miło o waniliowej latte, a wkrótce potem będą chodzić razem na ambitne filmy i w deszczu biegać ze śmiechem po plaży. Benedict nie chce zrezygnować ze swoich marzeń o Dzwonnej Dziewczynie, mimo że nigdy nie widział w Shoreham nikogo nawet trochę do niej podobnego. Jediną młodą kobietą, jaką zna, jest Natalka.

Natalka przychodzi w południe, zawsze w niebieskim fartuchu, któremu potrafi nadać niemal elegancki wygląd. Benedict dobrze ją zna, widują się prawie codziennie i wręcz mógłby ją nazwać przyjaciółką, gdyby więcej o niej wiedział. Pochodzi z Ukrainy, studiowała w Bournemouth i pracuje jako opiekunka starszych ludzi. Benedict wyobraża sobie, jak mówi to matce, która często go pyta, czy „kogoś poznał”. Na słowo „opiekunka” przewróciłaby oczami; chciałyby, żeby poznał prawniczkę, księgową albo nauczycielkę z podstawówki, bo te zawody uważa za odpowiednie dla kobiety. Benedict nie widzi nic złego w pracy opiekunki – w klasztorze przecież dużo mówiło się o aktach miłosierdzia – wydaje mu się jednak dziwne, że Natalka wybrała takie zajęcie. Wiele kobiet decyduje się na nie, bo czas pracy jest ruchomy, a one mają małe dzieci albo starszych

rodziców, którymi się zajmują, ale z tego, co wie, Natalki nie ograniczają żadne rodzinne obowiązki. „Z taką urodą – powiedział kiedyś Edwin – mogłaby być aktorką albo modelką”. Benedict pomyślał, że to strasznie seksistowska uwaga, ale w duchu przyznał starszemu panu rację.

– Kawy? – pyta ją teraz.

– Poproszę cappuccino. Na podwójnym espresso.

– Pamiętam.

Benedict z jeszcze większą uważnością robi dla niej kawę i pod wpływem impulsu dekoruje ją serduszkami.

Natalka upija łyk, nie zauważając wzorku na piance.

– Słyszałeś o Peggy? – zagaduje.

– Tak. Dziś rano powiedział mi Edwin. Jest bardzo przygnębiony.

– Biedny. Chyba była jego jedyną przyjaciółką. Będziemy musieli się o niego zatroszczyć.

Nie ma innych klientów, więc Benedict dosiada się do Natalki przy stole piknikowym.

– Zatroszczymy się – zapewnia. – Zaproponuję mu, żeby wybrał się ze mną do kościoła.

– Spokojnie – mityguje go Natalka. – Nie przesadzaj.

Nawet gdy przekomarza się z Benedictem, jej angielski jest bardzo dobry.

– Wiesz, że to ja ją znalazłam?

– Nie wiedziałem. To musiało być okropne przeżycie.

– Tak. Byłam w szoku. – Natalka przerywa na chwilę, po czym mówi dalej: – Początkowo myślałam, że to smutne, ale... no wiesz, normalne. Peggy miała dusznicę i brała na nią leki. Leżały obok fotela, w którym zmarła. Później jednak doszłam do wniosku, że coś jest nie tak.

– Nie tak?

– Właśnie. Widziałem Peggy tamtego ranka i miała się dobrze. Mimo swojego wieku pływała i chodziła na spacer. Nigdy nie korzystała z windy w budynku.

– Ale miała już dziewięćdziesiątkę.

– Sądzisz, że nie można zamordować dziewięćdziesięciolatki?

– Zamordować? – Benedict wypowiada to słowo zbyt głośno, aż mewy na dachu Shack śmieją się z niego.

– Nie mam pewności. Ale kiedy porządkowałam jej książki, znalazłam to. – Podsuwa mu wizytówkę.

– *Pani M. Smith. Konsultantka do spraw zabójstw* – czyta Benedict. – Konsultantka do spraw zabójstw? Co to znaczy?

– Wczoraj wieczorem poszłam na policję – kontynuuje Natałka, jakby to był dla niej chleb powszedni. – Rozmawiałam z bardzo sympatyczną panią detektyw. Przyznała, że to wygląda podejrzanie.

– Naprawdę?

– Mówiła niewiele, ale widziałam, że się ze mną zgadza. Poprosiłam, żeby przyszła na pogrzeb Peggy, może się czegoś dowie. W końcu głównym podejrzanym musi być syn.

– Syn? Nigel? Ten „kułak”?

– Właśnie on. To prymityw. Znam ten typ. Chciał, żebym odłożyła wszystkie książki Peggy. Już wiem dlaczego.

– Dlaczego? – pyta Benedict.

Czy to jakiś sen? – myśli. Chociaż nigdy nie śni mu się nic równie ciekawego.

– Peggy miała dużo kryminałów.

– Wiem.

To właśnie ich łączyło. Przesiadali przy stole piknikowym w godzinach mniejszego ruchu, rozmawiali o Agacie Christie, Ruth Rendell i ulubionej autorce Peggy, niewydawanej już pisarce Sheili Atkins ze złotej ery powieści detektywistycznych.

– Ona nie tylko je czytała. – W głosie Natalki słychać lekceważenie. – Jej nazwisko pojawia się w tych książkach. W... jak to się mówi? Podziękowaniach. Dla Peggy, z wyrazami wdzięczności. W jednej nawet autor napisał: *Dzięki za zbrodnie*.

– Dzięki za zbrodnie?

– A teraz sama została zamordowana.

Benedict przejechał się kiedyś kolejką górską w Thorpe Park. Kiedy tylko zapiął pas bezpieczeństwa, zrozumiał, że ta przejażdżka to zły pomysł. Ale było już za późno – wagonik pomknął w dół, niepowstrzymanie i przerażająco. Teraz ma podobne uczucie.

– Tego nie wiemy... – zaczyna.

– Ale jest w tym coś podejrzanego – oświadcza Natalka i wstaje. – I musimy to zbadać. Byliśmy jej przyjaciółmi. Do kogo jeszcze możemy się zwrócić?

– Do policji?

– Już rozmawiałam z policją – tłumaczy Natalka cierpliwie. – Musimy wziąć sprawy w swoje ręce. Rozejrzymy się na pogrzebie.

– Po co?

– Bo morderca zawsze przychodzi na pogrzeb. Ojej, Benny, naprawdę tego nie wiesz?

Rozdział 4

Edwin: Preview Court

Edwin powoli wraca do Seaview Court. W myślach czasami nazywa ten budynek „Preview Court”, ale byłoby niepokojące, gdyby kiedykolwiek powiedział tak na głos. Nie chce, by ludzie sądzili, że nie pamięta nazwy domu, w którym mieszka. Problem w tym, że ponieważ obecnie jego życie toczy się głównie w jego myślach, czasami Edwin nie ma pewności, co jest rzeczywiste, a co nie. To jak z upadającym drzewem w lesie. Czy słowo zostaje wypowiedziane, jeśli nikt go nie słyszy? I dlaczego Preview, na litość boską? Czy to nieświadome nawiązanie do starego skeczu Morecambe’a i Wise’a o dyrygencie André Previnie, którego nazwisko Eric Morecambe komicznie przekręcał? Czy też nieodparta świadomość, że to miejsce jest w gruncie rzeczy przedsiönkiem śmierci[1]?

Andrew Preview. Odpowiednie nuty, tylko w niewłaściwej kolejności. Edwin pracował kiedyś w BBC, w czasach, gdy obowiązywały muszki i niespieszne lunchy. Zaczynał jako researcher w teleturnieju, którego zasad nigdy do końca nie opanował, potem był prezenterem w Radio 3, gdzie dawał wyraz miłości do muzyki klasycznej. Skończył przy produkcji programów religijnych i paru nie najgorszych filmów dokumentalnych. To były cudowne czasy. Miał wielu przyjaciół, nawet jakiś dyskretny romans,

jeden czy dwa. W czasach jego młodości homoseksualizm wciąż był karalny, ale BBC stanowiło bezpieczną enklawę, no, niemal bezpieczną; zdarzyło się kilka przykrych incydentów późną nocą w Shepherd's Bush, Edwin jednak wiódł sielskie życie. Myśli teraz o swoich kochankach: Jeremym, Nickym i François. Nicky i François w latach osiemdziesiątych zmarli na AIDS, a Jeremy, nie do wiary, był obecnie żonatym mężczyzną, ojcem i dziadkiem. Stracili ze sobą kontakt wiele lat temu. Czasami Edwin czuje się jak niedobitek. Po odejściu Peggy został jedynym wrażliwym człowiekiem w Preview Court.

Idzie po schodach do swojego mieszkania na drugim piętrze. Niekorzystanie z windy było dla niego i Peggy punktem honoru. Oczywiście ona miała już dziewięćdziesiątkę, była od niego dziesięć lat starsza, a po osiemdziesiątce każdy rok się liczy. Chociaż to zabawne. Edwin zawsze się spodziewał, że to on umrze pierwszy. Kobiety żyją dłużej, każdy to wie, a Peggy była taka twarda. Zawał, jak powiedziała Natałka, ale przecież Peggy nie miała żadnych objawów choroby serca, żadnej niezdrowej bladości, krótkiego oddechu. Stąd to chodzenie po schodach, stąd codzienne spacerowanie nad morzem. Jeszcze do niedawna pływała. Zrezygnowała z tego ze względu na Surfers Against Sewage[2], nie ze strachu przed wzburzonym morzem.

Edwin skręca w korytarz prowadzący do jego mieszkania, pod numerem dwadzieścia trzy, i do mieszkania Peggy, pod numerem dwadzieścia jeden, które znajduje się naprzeciwko. Jego jest trochę większe, ale jej ma widok na morze. Edwin ze zdziwieniem zauważa, że drzwi u Peggy są otwarte, i słyszy dochodzące ze środka głosy. Czy powinien tam zajrzeć i sprawdzić, co się dzieje? Nie chce, żeby wzięto go za wścibskiego sąsiada. Starego wścibskiego sąsiada, co gorsza. Kiedy się

waha, z mieszkania wychodzą mężczyzna i kobieta. W mężczyźnie Edwin rozpoznaje syna Peggy, Nigela. A ta kobieta to pewnie jego żona.

Nigel też go rozpoznaje, ale najwyraźniej nie może sobie przypomnieć jego imienia. To potężny facet, o rumianej twarzy, wyglądający na choleryka. Trudno uwierzyć, że Peggy była jego matką, schludna i zadbana, w tej swojej marynarskiej kurtce i kolorowych beretach.

– Pan Edwin, prawda? – odzywa się kobieta. – Przyjaciel Peggy.

Mogłaby mieć kogoś lepszego niż Nigel, smukła i elegancka, w białej koszuli, dżinsach i mokasynach.

Edwin mimo woli sztywno potwierdza, że tak, rzeczywiście, przyjaźnił się z Peggy.

– Jestem Sally – mówi ona – synowa Peggy. Wiem, jak bardzo pana lubiła.

Nagle, ku swojemu przerażeniu, Edwin czuje, że do oczu napływają mu łzy. Wyjmuje chusteczkę, mamrocząc coś o katarze siennym.

– Pogrzeb odbędzie się w przyszłą środę – informuje Sally. – W krematorium. Mam nadzieję, że pan przyjdzie.

– Postaram się – odpowiada Edwin, chociaż w kalendarzu z krajobrazami Włoch nie ma zapisanych żadnych przyszłotygodniowych ani też zresztą późniejszych wydarzeń.

– Opróżnimy mieszkanie – włącza się Nigel, pobrzękując kluczami. – Poprosiłem opiekunkę mamy, tę młodą Rosjankę, żeby spakowała wszystko do pudeł, ale jest dopiero w połowie.

– Natalkę? – upewnia się Edwin. – Z tego, co wiem, jest Ukrainką. – To mało sensowna uwaga, ale na więcej go nie stać.

– Chcę od razu wystawić mieszkanie na sprzedaż – ciągnie Nigel, ignorując jego słowa. – Takie lokale, dla osób wymagających opieki, są poszukiwane na rynku.

– I z takim pięknym widokiem – dodaje Sally.

– Tak. Peggy uwielbiała patrzeć na morze – mówi Edwin.

– Wiem. – Sally wykonuje gest, jakby poklepywała go po ramieniu. – Zostawiłam w środku coś dla pana. Jestem pewna, że byłoby panu miło mieć jakąś pamiątkę po Peggy.

– To bardzo uprzejme z pani strony.

– Pozbywam się wszystkich książek – oznajmia Nigel. – Dlaczego ona czytała te kryminały? Przecież była inteligentną kobietą.

– Czy inteligentne osoby nie czytają kryminałów? – pyta ze zdziwieniem Edwin.

Sporządza w głowie listę zagadek kryminalnych, poczynając od *Makbeta*, przez Dickensa, Dostojewskiego i Charlotte Brontë, a kończąc na Wilkiem Collinsie. Szczególnie lubi *Księżycowy kamień* tego ostatniego.

Nigel nie odpowiada na pytanie. Mówi tylko:

– Do zobaczenia w przyszłym tygodniu. Później planujemy stypę.

– Do widzenia panu. – Sally wykonuje podobny gest jak poprzednio.

Edwin odprowadza ich wzrokiem i myśli: kretyn, prostak, kułak. A potem zaczyna się zastanawiać: dlaczego Nigel tak bardzo chce się pozbyć tych książek?

[1] *Preview* (ang.) – podgląd, pierwsze spojrzenie na coś.

[2] *Surfers Against Sewage* – organizacja ekologiczna zajmująca się ochroną środowiska morskiego.

Rozdział 5

Harbinder: zwierzęta leśne

– Konsultantka do spraw zabójstw? A co to w ogóle znaczy? – pyta Neil.

Harbinder liczy do pięciu. Ma nowe podejście do Neila: wyobraża go sobie jako leśne zwierzę, przebiegłe, trochę głupawe, lecz strasznie kochane.

– Nie wiem – odpowiada – ale chciałabym się dowiedzieć.

– Po co? – Myju, myju, czyści sobie wąsy.

– Umiera kobieta, która, jak się okazuje, była konsultantką do spraw zabójstw. Czy nie ciekawi cię to chociaż trochę?

– Policja nie płaci nam, żebyśmy odczuwali ciekawość. – Ogląda orzeszek, macha ogonkiem.

– W ogóle nie za dużo nam płaci.

Harbinder i Neil prowadzą inwigilację, co znaczy, że siedzą w samochodzie na stacji benzynowej i działają sobie na nerwy. Ta robota nie należy do zakresu obowiązków wydziału zabójstw, ale elektrownia Shoreham jest potencjalnym celem terrorystów, więc do jej obserwacji potrzeba funkcjonariuszy w cywilnych ciuchach. Tego dnia są na parkingu i mają przed sobą ogrodzenie z metalowej siatki, a za nim ceglane

zabudowania. Z drugiej strony rozciąga się malowniczy widok na zatokę, ale żadne z nich nie jest w odpowiednim nastroju, żeby podziwiać piękno przyrody. Harbinder ma wielką ochotę na chipsy, jednak Neil nie toleruje jedzenia w samochodzie.

– Tak czy owak, wybieram się na pogrzeb Peggy Smith – podejmuje Harbinder, z nudów przewijając strony internetowe w telefonie.

– Naprawdę uważasz, że śmierć tej kobiety nie była naturalna?

– To mało prawdopodobne, wiem. Jej lekarz nie ma wątpliwości. Jego zdaniem przyczyną był zawał.

– Czyli nie ma nic, co by uzasadniało sekcję zwłok?

– Nie. I najwyraźniej syn chce jak najszybciej ją pochować... czy raczej skremować. Ale jej opiekunka była na tyle zaniepokojona, że przyszła na policję.

– Myśli, że starszą panią zamordowano?

– Myśli, że w jej śmierci jest coś dziwnego. Pani Smith podobno mówiła, że ktoś ją obserwuje. Opiekunka... Natalka... brała to za objaw manii prześladowczej, może nawet początków alzheimera, ale potem znalazła panią Smith martwą w fotelu, z lekarstwami pod ręką.

– Dlaczego sądzisz, że ktoś ją zabił? Była bogata?

– Nie wydaje mi się. Pieniądze, które miała, szły pewnie na opłacenie mieszkania i opieki. Dobrze by było jednak sprawdzić stan jej rachunków bankowych. Przekonać się, czy nie dokonywano z nich jakichś nietypowych transakcji. Miała syna, ale wygląda na to, że jest dobrze sytuowany. Czyli tu nie znajdziemy motywu.

– Więc po co idziesz na ten pogrzeb?

– Sama nie wiem. Żeby się zorientować. Zobaczyć, czy ktoś nie będzie się dziwnie zachowywał.

– Czy Donna o tym wie?

– Tak – kłamie Harbinder, klikając w ikonę *Panda Pop*.

– Nic jej nie powiem – rzuca Neil.

Czasami nie jest taki głupi, jak można by sądzić.

Harbinder nie wie, czy pogrzeb pani Smith jest wyjątkowo ponury, czy też wszystkie chrześcijańskie pogrzeby są takie. Nigdy nie była na żadnym, chociaż zaliczyła kilka ślubów i wesel. Właściwie uczestniczyła tylko w jednej ceremonii pogrzebowej, co jak na osobę trzydziestosześcioletnią jest całkiem niezłym wynikiem. Był to antam sanskar, ze wszystkimi obrzędami i modłami w gurdwarze na zakończenie. Dla sikhów śmierć to początek nowego życia, dlatego żałoba jest powściągliwa i pełna godności – bez patetycznych mów, płaczu, bicia się w piersi – ale niewątpliwie uroczystość miała w sobie coś podniosłego. Harbinder przypomina sobie kwiaty, chryzantemy i otwartą trumnę. Nie podeszła do niej zbyt blisko. Czyj to był pogrzeb? Jakiejś „cioci” albo „wujka”, niebędącego jednak krewnym. Ojciec powiedział jej, że w Indiach ciało zostałoby spalone na stosie na wolnym powietrzu, ale w Anglii, dzięki Bogu, musieli zadowolić się kremacją i najstarszy członek rodziny tylko nacisnął guzik, żeby zaciągnąć zasłony.

Ta uroczystość także odbywa się w krematorium, ze ścianami wyłożonymi boazerią w stonowanych kolorach, beżowym i lila, i neutralnymi pod względem symboliki religijnej witrażami w oknach. Żałobnicy są milczący, nie jak sikhowie podczas takiej ceremonii, i Harbinder nie może się zorientować, który z mężczyzn w ciemnych garniturach to syn pani Smith. Z przodu siedzi jeden z nich, elegancko ubrany. Czy to może być on? Nie, zbyt wyrafinowany. Zauważa innego, rumianego, w trochę za dużym garniturze – to pewnie ten. Tak, celebrantka – kobieta ksiądz? – pyta go o coś, przechylając głowę, z troską

na twarzy. Towarzyszka tego mężczyzny, w czarnej sukience i perłach, tańsza wersja Audrey Hepburn, musi być jego żoną. Harbinder bez trudu wyławia z grona zebranych Natalkę: jasne włosy ma spięte na czubku głowy, jest w obcisłych czarnych spodniach i białej bluzce. Siedzi w ławce z innymi kobietami, pewnie wszystkie to opiekunki. Poza tym jeszcze kilka osób zajmuje miejsca osobno, jakby każda potrzebowała oddzielnej ławki. Jest jednak dwóch dziwnych mężczyzn, młodszy w okularach i starszy w różowej muszce, która wygląda jakby wyzywająco. Okularnik odwraca się, toczy wzrokiem po sali i uśmiecha się do Harbinder, napotyka jej spojrzenie. Ona nigdy nie uśmiechnęłaby się do kogoś nieznanego. Może jest zbyt podejrzliwa. Oto co robi z człowiekiem dziesięć lat służby w policji.

Na szczęście ceremonia jest krótka. Pracownicy zakładu pogrzebowego wnoszą trumnę z polerowanego drewna sosnowego, na niej leży wieniec z czerwonych róż. Celebrantka, która przedstawiła się jako „wielebna Jenny Piper”, ogłasza, że zebrani pożegnają się z Peggy. Potem jest czytanie, syn beznamiętnym głosem oznajmia, że „z nich zaś największa jest miłość”, i wreszcie Jenny mówi kilka słów o zmarłej. Harbinder słucha tego z zainteresowaniem. Dowiaduje się, że Peggy urodziła się w Cromer, na wybrzeżu Norfolk. Uczyła się w szkole z internatem i podczas wojny była ewakuowana z pozostałymi dziećmi do Dorset. Później, po zdaniu odpowiedniego egzaminu, dostała się do służby cywilnej i zamieszkała w Londynie, gdzie poznała męża, Petera Smitha, który służył w marynarce. „Cieszyła się szczęściem rodzinnym”, ciągnie Jenny, czytając z kartki, a Harbinder wnioskuje, że Peggy zrezygnowała z pracy. Para doczekała się jednego syna, Nigela, i mieszkała w Londynie aż do śmierci Petera w 1992 roku. Wtedy Peggy przeniosła się na południe, najpierw do Brighton, a potem do Shoreham. Uwielbiała morze i jeszcze do niedawna chętnie

pływała. Codziennie rozwiązywała krzyżówki z „Timesa” i wręcz pochłaniała książki. „Źle znosiła głupców” – tu obowiązkowe śmiechy – ale miała kilkoro dobrych przyjaciół, do których w ostatnich latach zaliczał się jej sąsiad, Edwin. W tym momencie Okularnik klepie Różową Muszkę po ramieniu. Jenny dziękuje także Patricii Creeve i wszystkim innym z agencji, którzy tak dobrze opiekowali się zmarłą. Harbinder sądzi, że Natałka powinna zostać wymieniona z imienia, ale widocznie to Patricia jest szefową. Wreszcie Jenny intonuje *Ojciec nasz*, zwraca się do Boga, po czym ogłasza, że rodzina zaprasza wszystkich do mieszkania Peggy w kompleksie Seaview Court, by „wznieść za nią toast”. Na koniec wielebna wciska guzik, liliowe kotary zasłaniają trumnę i w sali rozlega się muzyka klasyczna. Harbinder nie zna się na operze, ale z programu uroczystości wynika, że aria nosi tytuł *E lucevan le stelle*, i z całą pewnością przydaje uroczystości dostojeństwa i tragizmu.

Kiedy muzyka cichnie, Harbinder, tak jak wszyscy, wstaje i idzie do wyjścia. Obok niej pojawia się Natałka.

– Dzień dobry – mówi. – Miło, że pani przyszała.

– Chciałam przyjść – odpowiada Harbinder.

– Musimy porozmawiać w cztery oczy – rzuca Natałka. – Mam nowe wiadomości.

Może to przez akcent, ale wszystko, co wychodzi z ust tej dziewczyny, brzmi jak tekst z filmu szpiegowskiego.

Z krematorium do Seaview Court jedzie się krótko, ale znalezienie miejsca do zaparkowania to osobna kwestia. Okoliczne ulice noszą takie nazwy jak Waterside, Riverside i Ropetackle i mogą przy nich parkować tylko mieszkańcy. Wreszcie Harbinder znajduje miejsce na wyboistym poboczu drogi, pod drzewami, i idzie do Seaview Court. Mieszkania prezentują się całkiem ładnie i wyglądają nowocześnie, z przeszklonymi

balkonami od strony morza, w otoczeniu ogrodów, jakby zaprojektowanych przez architekta zieleni, nękanych jednak przez wiatry morskie, które przygięły wszystkie krzewy. Harbinder dzwoni przez domofon, ale nikt się nie odzywa. Chyba się nie spóźniła? Czy wszyscy już się rozeszli? W chwili, gdy ma zrezygnować, drzwi się otwierają i ktoś wychodzi. To ten elegancko ubrany mężczyzna z kaplicy przy krematorium. Z bliska jego garnitur sprawia wrażenie jeszcze droższego, do tego ma czarne, wypolerowane na błysk buty.

– Wchodzi pani? – pyta.

– Tak. Nie miałam gdzie zaparkować.

– Koszmar – potwierdza mężczyzna – ale w Brighton jest jeszcze gorzej.

Wygląda na to, że to zamyka temat. Mężczyzna przytrzymuje jej drzwi, po czym odwraca się, by odejść. Ona mu dziękuje i rusza po schodach.

Drzwi do mieszkania Peggy są otwarte. Dochodzą z niego odgłosy mogące świadczyć o tym, że w środku odbywa się większe przyjęcie, lecz stając na progu salonu, Harbinder widzi, że jest tam tylko jakieś osiem osób. Po prostu mieszkanie nie należy do największych. Ale jest przyjemne. Dom rodziców Harbinder traci na tym, że żadne z nich nigdy niczego nie wyrzuca, dlatego – z wyjątkiem jej pokoju – pełno w nim stolików i stoliczków, witryn z porcelaną i zdjęć zapomnianych indyjskich krewnych. Peggy najwyraźniej lubiła porządek i nie była sentymentalna: parkiet na podłodze, kilka fotografii w ramkach i mnóstwo półek. Teraz opróżnionych.

Harbinder zauważa, że syn trzyma się z boku; stoi, splatając ręce za plecami, przy oknie wykuszowym, samotny jeleń. Jego żona jest bardziej towarzyska, gawędzi z wielebną Jenny i dwiema kobietami, które

wyglądają na opiekunki. Natałka przyłączyła się do Okularnika i Różowej Muszki. Harbinder już ma do nich podejść, kiedy dostrzega ją synowa.

– Witamy! – Szybkie kroki w jej stronę. – Jak miło, że pani przyszła. Jestem Sally, żona Nigela.

– Nazywam się Harbinder Kaur. Byłam znajomą Peggy – odpowiada.

Zdaje sobie sprawę, że nie wygląda na kogoś takiego – znajoma dziewięćdziesięcioletniej białej kobiety? Z przyzwyczajenia odnotowała, że była jedyną na pogrzebie osobą innej rasy niż biała. Przygotowała sobie historyjkę, że jej matka mieszka w Seaview Court, ale łatwo byłoby stwierdzić, że to nieprawda, chyba że uśmierciłaby biedną kochaną staruszkę, co wydaje się niepotrzebnym okrucieństwem.

Sally jednak o nic jej nie pyta.

– Peggy miała wielu znajomych – mówi, przechylając głowę na bok.

Ma to znaczyć, jeśli Harbinder dobrze rozumie, „nawet ciemnoskórych”.

– Była przemiła – rzuca.

– Prawda? – Sally prawie już kładzie dłoń na jej ramieniu, ale w ostatniej chwili ją cofa. – Proszę poznać Patricję i Marię. Patricia prowadzi agencję Care4You, a Maria była jedną z opiekunek Peggy. Jenny zna pani z pogrzebu.

Harbinder nie ma wrażenia, że ją zna; zastanawia się także, jak powinna się do niej zwracać – czy tylko po imieniu – bo wydaje się trochę sztywna. Patricia to wysoka, szczupła kobieta, wygląda, jakby lepiej się czuła w dresie niż w czarnej sukience. Maria natomiast jest niska i ładna. Sądząc po akcencie, pochodzi Europy Wschodniej – może jest Ukrainką jak Natałka. Harbinder czuje, że ta patrzy na nie z drugiej strony pokoju.

– Był Dex Challoner – mówi Sally. – Wiecie, ten pisarz. To miło, że przyjechał.

– Czytałam wszystkie jego książki – odzywa się Jenny. – Nie ma to jak dobry kryminał.

– Czy to był ten w eleganckim garniturze? – pyta Harbinder. – Spotkałam go, jak wychodził z budynku.

– Tak – potwierdza Sally. – Uroczy człowiek.

– Jego matka mieszkała kiedyś w Seaview Court – dodaje Patricia. – Była jedną z naszych podopiecznych.

– Zajmowałam się nią – wtrąca Maria. – Miała charakterek.

Harbinder odnotowuje z pewnym zainteresowaniem, że Dex Challoner użył tego samego pretekstu, którym ona zamierzała się posłużyć: że mieszkała tu jego matka. Tylko że w jego przypadku to była prawda.

– Mogę zaproponować coś do picia, pani Harbinder? – pyta Sally. – Herbaty? Kawy?

Harbinder zauważa, że na stoliku z boku stoją otwarte butelki wina – i Jenny trzyma pełny kieliszek – Sally jednak najwyraźniej uznała, że kultura Harbinder zakazuje jej pić alkohol. Ale przynajmniej zapamiętała jej imię.

– Nie, dziękuję – odpowiada. – Chciałam tylko złożyć wyrazy współczucia.

– Będzie nam brakowało Peggy – mówi Patricia. – Była jedyna w swoim rodzaju.

– Zawsze pytała mnie o rodzinę – odzywa się Maria. – Dużo wiedziała o Polsce. W przeciwieństwie do większości Brytyjczyków – dodaje oschle.

– Tak – przyznaje Sally. – Nigel studiował historię współczesną w Cambridge, ale ja mam przerażająco skąpą wiedzę.

Clare, przyjaciółka Harbinder, mawia, że ludzie, którzy studiowali w Cambridge, wspominają o tym podczas pierwszych dziesięciu minut

rozmowy. Sally właśnie potwierdziła tę teorię, chociaż w imieniu kogoś innego.

– Czy Peggy skończyła studia? – pyta Harbinder. – Nigdy o tym nie mówiła. – To akurat prawda, bo nie miała okazji z nią rozmawiać.

– Nie – odpowiada Sally. – Urodziła się w dwudziestym dziewiątym roku, a wtedy niewiele kobiet szło na studia. Ale była bardzo inteligentna. Dużo czytała. – Wskazuje na puste półki.

– A gdzie są książki? – pyta Patricia.

W tym momencie pojawia się Nigel z butelką w ręce.

– Komu dolać?

Harbinder już ma poprosić o kieliszek czerwonego wina, kiedy ktoś za jej plecami mówi jej do ucha:

– Pora się zbierać.

Harbinder odwraca się i widzi, że Natałka, Okularnik i Różowa Muszka patrzą na nią wyczekująco.

– Spotkanie na szczycie – wyjaśnia Natałka. – W Coffee Shack. Za pięć minut.

Udaje jej się wyrwać dopiero po dziesięciu minutach, ale gdy powiedziała już Sally i Nigelowi wszystko, co wypadło, idzie na plażę. Natałka mówiła o Shack – i Harbinder nie ma wątpliwości, o które miejsce chodzi. Drewniana chata przy drodze biegnącej wzdłuż wybrzeża, na samej plaży. Stoi naprzeciwko Seaview Court i Peggy Smith musiała mieć ją na linii wzroku, gdy patrzyła w dół przez okno.

Okazuje się, że Shack należy do Okularnika, Benedicta. Różowa Muszka, tak jak Harbinder się domyślała, to przyjaciel Peggy, Edwin. Siedzą przy stole piknikowym, piją świetną kawę i patrzą, jak mewy

przelatują nisko nad falami. Jest piąta po południu, morze spokojne, tylko kilku spacerowiczów z psami korzysta z ostatnich promieni słońca.

– Harbinder jest detektywem – mówi Natałka. – Pomoże nam znaleźć mordercę Peggy.

– Nie ma dowodów, że ją zamordowano – zauważa Harbinder. – To tylko przypuszczenie. – Czuje, że należy zwracać Natalce uwagę na takie drobne szczegóły.

– Nie ma dowodów? – powtarza ze zdziwieniem Natałka.

Siedzi na stole i pali papierosa, bez przekonania starając się wydmuchiwać dym tak, żeby im nie przeszkadzał. Benedict przepaszającym gestem rozkłada ręce, ale Harbinder musi przyznać, że dziewczyna wygląda z papierosem całkiem cool, jak dziewczyny w liceum palące za salą gimnastyczną, tyle lat temu w Talgarth.

– Powiedz jej, Edwin – rzuca Natałka.

– Sally zaproponowała mi, żebym wziął coś sobie na pamiątkę – zaczyna Edwin. Ma przyjemny głos, myśli Harbinder, kulturalny, ale pozbawiony wyższości. – Uprzejmie wybrała kilka rzeczy, jakieś ozdoby, zdjęcie Peggy na molu w Brighton. Ale pomyślałem, że wezmę jedną z książek. Zawsze rozmawialiśmy o książkach... Peggy i ja. Poza tym byłem trochę zirytowany, że Nigel spakował je wszystkie, jakby były do wyrzucenia. Więc zajrzałem do jednego z tych pudeł i trafiłem na to.

Edwin ma ze sobą coś będącego skrzyżowaniem skórzanej teczki z męską torbą. Wyjmuje z wnętrza książkę w twardej oprawie. Na okładce widnieje ziarniste zdjęcie wieżowca ze złożonym złotymi literami nazwiskiem Dexa Challonera na burzowym niebie. Tytuł, już mniejszą czcionką, znajduje się niżej: *Morderstwo w wieżowcu. Tajemnica Toda France'a*.

– Nie zaliczam się do wielbicieli Challonera – zaznacza Edwin. – Ale Peggy lubiła jego powieści. To ostatnia z nich, egzemplarz sygnałny.

– Właśnie ją Peggy czytała, kiedy umarła – dodaje Natałka. – Książka leżała obok niej na stoliku.

– Tak, mówiłaś mi – rzuca Edwin. – Między innymi dlatego właśnie ją wybrałem. Pomyślałem, że w jakiś sposób zbliży mnie do Peggy. W każdym razie, gdy ją otworzyłem, wypadło z niej to.

Pokazuje zwykłą kartkę pocztową z wiadomością: *Dopadniemy cię.*

Rozdział 6

Natalka: PS. Dla PS

Fajnie tak siedzieć razem i popijać kawę, myśli Natalka, ale trzeba zacząć działać. Miała nadzieję, że ta pani detektyw, Harbinder, coś postanowi, a tymczasem wydaje się równie ostrożna jak Benedict. „To tylko przypuszczenie”. Natalka jednak czuje do niej sympatię. Ta kobieta sprawia wrażenie czujnej i zdystansowanej, jakby zastanawiała się, zanim coś powie – Natalka podziwia to u innych, choć jej samej trudno to przychodzi.

– Skąd pani jest? – zapytała ją pierwszego wieczoru, gdy siedziały w tamtym nieuporządkowanym gabinecie z dziwnym kalendarzem z dziećmi.

– Z Sussex – odparła Harbinder.

Ale chwilę później, rozluźniając się trochę, powiedziała, że jej rodzice urodzili się w Indiach.

– Jestem imigrantką w drugim pokoleniu – wyjaśniła – czyli kimś, kto podobno chce się za wszelką cenę zasymilować.

– I pani rzeczywiście tego chce? – spytała Natalka. – Za wszelką cenę?
Harbinder wzruszyła ramionami.

– Chyba nie. Ale mam dość słuchania, że powinnam wrócić do siebie, choć przecież mieszkam w Shoreham.

Natalka przyjechała do Anglii w 2013 roku, żeby studiować ekonomię na uniwersytecie w Bournemouth. Kiedy wkuwała statystykę i poznawała zwyczaje seksualne Brytyjczyków (to drugie znacznie trudniej zrozumieć), w jej kraju wybuchła wojna o Donbas. Brat Natalki, Dmytro, wstąpił do ukraińskiego wojska, żeby walczyć z tak zwanymi separatystami. Mimo oficjalnego zawieszenia broni w 2014 roku walki trwały, tak że co trzy dni ginął jakiś ukraiński żołnierz. Natalka nie miała od Dmytra żadnych wiadomości od 2015 roku, od tamtego esemesa, w którym składał jej życzenia urodzinowe. Oficjalna wersja głosi, że zaginął w akcji. Natalce udało się dotrzeć do kilku jego kolegów i wszyscy uważają, że Dmytro nie żyje. Matka nie chce się z tym pogodzić i przez cały czas próbuje poruszyć niebo i ziemię, żeby odnaleźć syna.

Ojciec odszedł od nich, gdy Natalka miała dwanaście lat, i z tego, co jej wiadomo, prawdopodobnie również nie żyje. Jest rozdarta, miota się między żałobą po bracie a upartym przekonaniem, że jednak on gdzieś tam jest. Tęskni za matką, ale za nic nie wróciłaby do pogrążonego w wojnie kraju. Po studiach rozwiązała problem wizy, wychodząc za mąż za innego studenta, z którym się szybko rozwiodła. Teraz za dnia pracuje jako opiekunka starszych ludzi, a wieczorami kupuje i sprzedaje bitcoiny. Większość zarabianych przez nią pieniędzy idzie na fundusz, który nazwała w chwili przewrotnego poczucia humoru „Ojczyzna”.

Nie szuka matki zastępczej, mówi ludziom, ponieważ ma prawdziwą, tam w domu. Ojciec to zupełnie inna historia. Ale lubi niektórych starszych panów spośród swoich podopiecznych, ich hart ducha i powściągliwość. „Słabo trzymam się na nogach”, mówią, kiedy potrzebują chodzika, żeby przejść przez pokój. „Pikawa trochę odmawia mi posłuszeństwa” – gdy

wchodząc po schodach, prawie dostają zawału. W porównaniu z nimi ludzie z pokolenia Natałki wydają się słabi i skupieni na sobie. Te wszystkie zdjęcia lunchów na Instagramie, te selfie cykane pod dziwnym kątem, z uniesionymi brwiami i zaciśniętymi ustami, te fotki z hashtagiem #kogotoobchodzi. Natałka nauczyła się trzymać w cieniu, dlatego nie ma profilu na Facebooku ani na Twitterze. Starsi ludzie to rozumieją. Pani Smith powiedziała jej kiedyś, że nigdy nie podaje nieznajomym swojego prawdziwego nazwiska.

– Czy naprawdę nazywa się pani Peggy Smith? – zapytała ją wtedy Natałka.

– A kto przybrałby takie nazwisko? – rzuciła Peggy.

Co trudno było uznać za odpowiedź.

Teraz jednak Natałka chce coś zrobić, nie tylko siedzieć, patrzeć na morze i snuć teorie na temat tej kartki w książce. Czeką, aż Harbinder wstanie i wróci do pracy, a Edwin powlecze się do siebie, żeby smucić się w samotności. Potem zaczyna urabiać Benedicta. Z natury przestrzega on porządku, ale też uwielbia teorie spiskowe i zawsze chętnie wierzy, że są jacyś „oni”, którzy zamierzają go dopaść. Bierze się to stąd, że jest katolikiem. I byłym zakonnikiem. Natałka nie wierzyła własnym uszom, gdy usłyszała o jego przeszłości. Z jednej strony, to wiele wyjaśniło, choćby jego sposób ubierania się, ale z drugiej – wręcz nie mieści się w głowie, że ktoś jeszcze decyduje się na coś takiego: zamknąć się w klasztorze i modlić do niewidzialnej istoty. Sama pochodzi z prawosławnej rodziny, ale kiedy wsiadła w samolot lecący na Heathrow, zostawiła to wszystko za sobą.

– No, Benny. Coś tu jest nie tak. Nie mówią nam wszystkiego.

– Kto? – pyta Benedict z niepokojem. – Kto nie mówi nam wszystkiego?

– Na przykład Nigel Smith. Dlaczego tak mu zależy, żeby pozbyć się książek Peggy? Czy wiedział, że w jednej z nich jest ta pocztówka? *Dopadniemy cię*. Chyba nie powiesz, że nie ma w tym nic podejrzanego.

– Peggy nigdy nie wspominała mi o tej groźbie – mówi Benedict.

– Coś tu jest nie tak – powtarza Natałka. – Skąd obecność Dexa Challonera na pogrzebie? Przyjechał, żeby nam się przyjrzeć? I dlatego tak szybko wyszedł?

– Może chciał tylko wyrazić uszanowanie dla zmarłej?

– Może. A jeśli wiedział o tej kartce? Niewykluczone, że sam ją wysłał. Musimy wrócić do mieszkania Peggy i przejrzeć jej rzeczy, zanim Nigel je posprzedaje.

– Jak się tam dostaniemy? – pyta Benedict.

Wygląda na to, że dał się przekonać. Przestał rozważać stronę etyczną i skupił uwagę na praktycznej.

– Mam klucz – odpowiada Natałka.

Pomija informację, że zanim oddała go Patricii, dorobiła drugi.

– Czekamy, aż się ściemni? – pyta dalej Benedict.

– Nie. To mogłoby wzbudzić podejrzenia. Już prawie szósta. Jeśli pójdziemy teraz, będziemy mogli uchodzić za opiekunów, którzy odwiedzają pacjentów przed nocą. W Seaview Court są ich tabuny.

– Dobra. – Benedict wstaje.

Jest całkiem przystojny, wysoki i szczupły, ma ładne ciemne włosy i oczy, które w pewnym oświetleniu wydają się zielone. Tylko zwykle sprawia wrażenie, jakby przepraszał, że żyje: chodzi z pochyloną głową i opuszczonymi ramionami. No i okropnie się ubiera. Natałka będzie musiała któregoś dnia zabrać go na zakupy.

Bez trudu dostają się do budynku. Korytarze z zieloną wykładziną są puste. Miejsce to przypomina Natalce film, który kiedyś widziała. O liniowcu oceanicznym, będącym przedsionkiem piekła, pełnym potępionych dusz, które bez końca grały w bingo i jadły trzydaniowe posiłki z darmowym kieliszkiem wina. Przesuwa wzrokiem po ciągnących się przed nią drzwiach – wszystkie pomalowane są na obowiązkowy zielony kolor, jakimś cudem pasujący do wykładziny – i wyobraża sobie, że za nimi istnieją inne światy: skuta lodem planeta, kraina cieni, świat złożony wyłącznie z regałów bibliotecznych. To pewnie dlatego, że w młodości, kiedy człowiek jest podatny na wpływy, czytała *Siostrzeńca czarodzieja*.

Pokonują schody z podgumowanymi antypoślizgowymi dywanikami i wchodzi do mieszkania Peggy. Ktoś, prawdopodobnie Sally, starannie posprzątał po stypie. Nie został ani jeden plastikowy kubek, ani jeden okruszek. Fotel Peggy stoi przy oknie wykuszowym, zwrócony ku morzu. Na stoliku nie ma jednak lornetki. Zdjęto nawet obrazki ze ścian. Wszystko zostało zapakowane do pudeł z napisem *Do oddania* albo *Do zatrzymania*. Otwierają kilka z nich na chybił trafił. Natalka rozcina taśmę nożem znalezionym w pudle *Sprzęt kuchenny*, Benedict starannie ją odkleja. Wyraźnie widać, że Nigel postanowił zatrzymać większość wydań w twardej oprawie, a pozostałe oddać. Wiele książek do zatrzymania jest autorstwa Dexa Challonera: okładki przedstawiają miejską scenerię, rozmytą i tajemniczą, z literą „x” w imieniu Dex wymierzoną w niebo niczym celownik broni palnej.

– Te starsze są inne – zauważa Benedict. – Występują na nich ludzie.

Ma rację. Na okładkach wcześniejszych wydań można zobaczyć przystojnego twardego faceta, czasami z blondynką u boku. Jednak przed dziesięcioma laty, dziesięć książek temu, wydawcy najwyraźniej

postanowili zastąpić ludzi budynkami. Przez ten czas nazwisko Dexa stało się większe i zyskało charakterystyczne „x”. Natalka otwiera *Morderstwo w dokach*, z obrazem portu podczas śnieżycy. *Dla Peggy* – czyta dedykację – *bez której...*

– Bez której co? – pyta.

– Bez której ta książka by nie powstała – dopowiada Benedict. – Tak się zwykle pisze.

Natalka otwiera kolejne książki i nawet jeśli niektóre są dedykowane komuś innemu, to Peggy jest zawsze wymieniana w podziękowaniach. *Dziękuję Peggy Smith za bezcenną pomoc. Jak zwykle wyrazy wdzięczności dla Peggy za rady i zachętę. Szczególne podziękowania dla Peggy, ona wie za co.*

– Ta jest niezła. – Benedict właśnie przegląda *Zabójczy targ*; na okładce widnieje zdjęcie targowiska Smithfield z hakami rzeźnickimi. Czyta głośno: – *Dla Peggy. Dzięki za zbrodnie.*

– *Dzięki za zbrodnie* – powtarza Natalka. – Tę dedykację widziałam wcześniej. Tak mówi się po angielsku? Bo brzmi to jak szyfr na oznaczenie czegoś innego.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odpowiada Benedict. – Są jeszcze jakieś książki?

– Tak. W trakcie porządków widziałam także powieści innych autorów. Sprawdź wśród tych do oddania.

W pudłach z książkami do oddania znajdują się sfatygowane wydania w miękkich oprawkach, przeważnie kryminały, z których prawie wszystkie zawierają dedykacje albo podziękowania dla Peggy. *Wielkie dzięki za pomoc, Peggy. Szczególne podziękowania dla Peggy Smith. PS. Dla PS.* Ta ostatnia powieść nosi tytuł *Dlaczego mnie nie zabrałeś?* Choć to także kryminał, różni się od książek Dexa Challonera. Nawet nazwisko autora,

J.D. Monroe, jest zapisane bardziej fantazyjnym, „kobiecy” krojem pisma, a okładka przedstawia toskański dom; tytuł znika w basenie z błękitną wodą. Natałka przerzuca zawartość pudła i trafia na trzy inne powieści J.D. Monroe. *Dlaczego nie ja?*, *To byłeś ty?* i *Ty mnie do tego pchnąłeś*.

– Dużo pytańników – mruczy.

Z tekstu na okładce dowiaduje się, że „J.D.” Monroe jest kobietą: *Julie krąży między Toskanią a Brighton*. Jak miło, myśli. We wszystkich trzech książkach widzi to samo *PS* w podziękowaniach.

– Tu jest jedna dedykacja po łacinie – odzywa się Benedict. – *Dla Peggy Smith, sine quibus...*

– Co to znaczy? – pyta Natałka.

– Bez której.

– Kto jest autorem?

– Lance Foster. Książka ma tytuł *Laokoon* i w „Timesie” napisali, że to literacki majstersztyk.

– Niezły kit.

Ku jej zdziwieniu Benedict się śmieje.

– Faktycznie – przyznaje.

– Co to wszystko oznacza? *Bez której. Dzięki za zbrodnie*. Nazwała się konsultantką do spraw zabójstw. Myślisz, że podpowiadała tym autorom, jak mordować?

– Ale skąd Peggy miałyby to wiedzieć? Była emerytowaną urzędniczką służby cywilnej.

– Żyła w czasach wojny – przypomina Natałka. – Mogła być szpiegiem.

– Urodziła się w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku. Podczas wojny była jeszcze dzieckiem.

– Sądziś, że dziecko nie może być szpiegiem?

– Tak sądzę – odpowiada Benedict, ale w jego głosie nie ma przekonania.

– W moim kraju toczy się wojna – mówi Natalka. – Pierwsze, czego się dowiadujesz, to że nie możesz ufać nikomu. Ani miłej staruszce z mieszkania na górze, ani swojej dawnej niani, ani dzieciom. Takie osoby widzą wszystko. Świetnie nadają się na szpiegów.

– To musi być straszne – rzuca Benedict.

– Tak – przyznaje Natalka.

Nie chce o tym mówić. Skupia uwagę na kolejnym pudle z książkami do oddania. Te też różnią się od powieści Challonera. Są przeważnie w miękkich oprawkach – ale mniejszego formatu niż te, które Natalka widuje w supermarkecie. Jedne mają proste, zielono-białe okładki, inne – bardziej krzykliwe, z ilustracjami zakrwawionych noży i jeszcze dymiących pistoletów.

– To klasyczne powieści detektywistyczne – zauważa Benedict. – Peggy uwielbiała tych autorów. Ja też ich lubię. Margery Allingham, Ngaio Marsh, Dorothy L. Sayers, Agatha Christie. Sheila Atkins.

– Co za Sheila Atkins?

– Autorka kryminałów ze złotej ery. Bardzo popularna w okresie międzywojennym. Dziś mało kto ją jeszcze czyta, a wielka szkoda. Spójrz na tę.

Benedict pokazuje książkę z kobietą w skąpej sukience na okładce: w jednej ręce trzyma świecę, a w drugiej zakrwawiony nóż. Powieść jest zatytułowana *Daj mi sztylety*[3].

– Wiele tytułów Atkins zaczerpnęła z Shakespeare’a – wyjaśnia Benedict. – Ten na przykład brzmi *Książę ciemności to prawdziwy szlachcic*. To chyba zdanie z *Króla Leara*[4], pada, gdy...

– Dzięki, Benny – przerywa mu Natalka, obawiając się, że będzie chciał opowiedzieć jej fabułę całej sztuki. – Słyszałam o Shakespearze. Uczymy się o nim w Ukrainie.

– Przepraszam. Zamierzałem tylko powiedzieć, że nie należy sądzić tych książek po okładkach. Są bardzo wyrafinowane. To niemal thrillery psychologiczne.

– Szkoda czasu – kwituje Natalka. – Powinniśmy przeszukać papiery. Może znajdziemy inne listy z pogrózkami.

Benedict sprawia wrażenie urażonego.

– Mówiłaś, że przejrzymy książki.

– A teraz mówię, że poszperamy w papierach.

Natalka otwiera biurko Peggy. Są tam jakieś listy. Żałuje, że nie ma czasu, by je przeczytać. Czy mają je zabrać? To byłoby nie w porządku. Ale w jednej z szuflad znajduje duży srebrny guzik i chowa go do kieszeni. Na szczęście.

– W tych książkach nic szczególnego nie ma – oświadcza Benedict, który po kolei przegląda, a potem odkłada powieści Challonera.

– Musimy... – zaczyna Natalka i nagle przerywa.

– Co?

– Słyszysz? Ktoś idzie.

Ale kroki cichną. Zapada cisza. Nie wiedzieć dlaczego, to jeszcze bardziej niepokojące.

– Niczego nie słyszę.

– Ciii...

W zamku obraca się klucz. Oboje odruchowo przechodzą na środek pokoju.

Drzwi się otwierają. I do mieszkania wchodzi zamaskowany człowiek, który mierzy do nich z pistoletu.

[3] Fragment *Makbeta* w przekładzie Leona Ulricha.

[4] Fragment *Króla Leara* w przekładzie Leona Ulricha.

Rozdział 7

Benedict: błyszczące buty

W pierwszej chwili Benedict nie dostrzega maski ani pistoletu. Zwraca uwagę na co innego, na rzeczy nieistotne. Skórzaną kurtkę, ciemne dżinsy, błyszczące buty. Dopiero później dociera do niego, że są z Natalką w niebezpieczeństwie. Chciałby ją zasłonić, ale nie może ruszyć się z miejsca. Czy to ma być koniec? Czy powinien wyrazić żal za grzechy? „O mój Boże, bardzo żałuję, że grzeszyłem przeciwko Tobie...”

Natalka, tuż obok niego, wydaje dźwięk przypominający pomruk. Nie dotykają się, ale Benedict czuje, że cała się napięła, gotowa do walki. Można by pomyśleć, że wytworzyło się wokół niej pole siłowe. Benedict wyciąga ku niej rękę, sam nie wie, czy po to, żeby ją wspomóc, czy powstrzymać, ale wtedy napastnik chwyta coś z podłogi i ucieka, zostawiając otwarte drzwi.

– Biegnijmy za nim! – rzuca Natalka.

– Oszalałaś? Musimy wezwać policję. – Benedict już wyjmuje telefon.

– Zadzwońię do Kaur. Tak będzie szybciej.

Gdy ona relacjonuje, co się stało – „z bronią... w mieszkaniu Peggy... przed chwilą...” – Benedict podchodzi do okna. Ma nadzieję, że zobaczy uciekającego mężczyznę, ale salon wychodzi na plażę i widać z niego

jedynie nieskazitelnie błękitne morze. Na horyzoncie gładko sunie łódź z czerwonymi żaglami. Czerwonymi w świetle zachodzącego słońca. Wygląda jak nie z tego świata.

– Już jedzie – oznajmia Natalka. – Mówi, żeby niczego nie dotykać. Co on zabrał?

– Kto? – pyta Benedict, wciąż patrząc na morze.

– Benny! Facet z pistoletem! Co wziął z podłogi?

Benedict usiłuje się pozbierać. Zwykle sprawia mu przyjemność, kiedy Natalka mówi do niego „Benny”, ale teraz w jej głosie brzmi zniecierpliwienie, i trudno jej się dziwić. Do tej pory myślał, że pod wpływem zagrożenia ma się lepszy refleks, a tymczasem on czuje się, jakby był pod wodą.

– Książkę – odpowiada, starając się wypłynąć na powierzchnię. – Jedną z tych starszych. Chyba Sheili Atkins.

– Którą?

Benedict ogarnia wzrokiem leżące na podłodze książki. Były tu dwa z trzech kryminałów Atkins, z wyblakłymi, choć wciąż krzykliwymi okładkami. Widzi *Daj mi sztylety* i *Książkę ciemności to prawdziwy szlachcic*. Na podłodze dostrzega coś jeszcze. To zakładka, musiała wypaść z zabranej przez tamtego książki. Jest na niej wizerunek świętego – święty obrazek, jak powiedziałyby babcia Benedicta. Święty Patryk, cały w zieleni.

– Którą książkę? – Natalka podnosi głos.

– Chyba *Poszcząc, podziękuj Bogu*^[5]. Nigdzie jej nie widzę. – Benedict jest zadowolony, że dokonał tego małego odkrycia. – Na okładce była obejmująca się para. To cytat z...

– Nieważne skąd – przerywa mu Natalka.

Pewnie ma rację.

– A jaką książkę wziął Edwin? Tę, w której była pocztówka?

– *Morderstwo w wieżowcu* – mówi Benedict. – Egzemplarz sygnałny. Jeszcze nie do dystrybucji.

– *Dopadniemy cię* – powtarza Natalka. – Tak to brzmiało. Czy myślisz, że ta kartka od początku tam była?

Benedict otwiera usta, żeby odpowiedzieć, i zaraz je zamyka. Z daleka dochodzi odgłos syreny. Znajomy, ale złowróżbny sygnał. Wydaje się niewiarygodne, że samochód na sygnale jedzie do nich. Jednak kilka minut później rozlegają się kroki na schodach i pojawia się detektyw sierżant Kaur w towarzystwie ostrzyżonego na jeża, muskularnego mężczyzny. Policjantka zatrzymuje się na progu.

– Nic wam się nie stało? – pyta.

– Jasne, że nie – odpowiada Natalka.

– To detektyw sierżant Winston. Zostanie tu do przyjazdu techników kryminalistyki. Chodźmy. Wyjdźcie z pokoju, nie dotykając ścian ani drzwi.

To miejsce przestępstwa, dopowiada w myśli Benedict. Widywał takie sceny w programach telewizyjnych. Musi powściągnąć ekscytację. To poważna sprawa, mówi sobie. Nie może jednak zaprzeczyć, że od czasu, gdy brat Giles zapomniał tekst doksologii podczas jutrzni, w jego życiu nie zdarzyło się nic ciekawszego.

Za plecami Harbinder otwierają się drzwi i pojawia się w nich głowa Edwina.

– Co się dzieje? – Ma drżący głos i sprawia wrażenie, jakby się postarzał.

– Możemy skorzystać z pańskiego mieszkania? – pyta detektyw sierżant Kaur. – Neil, poczekaj tutaj.

Neil Winston chyba nawykł do wypełniania rozkazów, bo kiwa głową i zajmuje stanowisko przy drzwiach. Kaur wchodzi z Natalką i Benedictem

do mieszkania Edwina. Benedict zna starszego pana od dwóch lat, ale ich znajomość, chociaż serdeczna, ogranicza się do tego, że piją razem kawę i wymieniają uwagi o pogodzie. Kiedy przyłączyła się do nich Peggy, tematyka ich rozmów się rozszerzyła, często siadali razem przy stole piknikowym, a raz poszli we trójkę na lunch, rybę z frytkami, do The Cod Father. Ale Benedict nigdy nie był u Edwina w domu i teraz, mimo szczególnych okoliczności, z zainteresowaniem rozgląda się po mieszkaniu. Jest urządzone z gustowną powściągliwością: kremowe kanapy, parkiet na podłodze, wschodnie dywaniki, białe regały na książki. Są także półki na płyty CD, a winyli jest tyle, że ich właściciel miałby czego słuchać przez całe lata. Nie ma natomiast żadnych zdjęć ani osobistych pamiątek. Wydaje się tu ciemniej niż u Peggy, częściowo dlatego, że zasłony są do połowy zaciągnięte. Oczywiście mieszkania po tej stronie budynku nie mają widoku na morze.

Natalka i Benedict siadają obok siebie na jednej z kanap. Detektyw sierżant Kaur zajmuje miejsce w fotelu. Edwin od razu idzie do kuchni, żeby zaparzyć herbaty – dobrej „na szok” – a Benedict, ku swojemu zaskoczeniu, odczuwa przelotną, acz silną ochotę na brandy.

– A więc – zaczyna Kaur – co się wydarzyło?

Natalka opowiada o wszystkim po kolei: o krokach na schodach, o zamaskowanym mężczyźnie, o broni. Detektyw Kaur słucha uważnie i od czasu do czasu zapisuje coś w notatniku – niczym przed epoką cyfrową, jak miło. Jest rzeczowa i kompetentna, choć Benedict podejrzewa, że potrafi być równie przerażająca jak Natalka, kiedy się postara. Przygląda się profilowi policjantki: ciemne włosy związane w kucyk, piękny prosty nos, duże brązowe oczy z długimi rzęsami, usta o stanowczym wyrazie i z tego, co widzi Benedict, żadnego makijażu.

– Tak było, Benny? – Natalka dźga go w bok, i to całkiem mocno.

– Co? A, tak.

– On jest w szoku – komentuje Nataalka, rzucając mu spojrzenie z ukosa.

– Czy możecie opisać tego mężczyznę? – pyta detektyw Kaur.

– Miał maskę.

– Był wysoki – odzywa się Benedict. – Miał czarną skórzaną kurtkę, bluzę, czarne dżinsy, być może levisy, i czarne błyszczące buty.

Nataalka patrzy na niego szeroko otwartymi oczami, a Harbinder powtarza za nim:

– Czarne błyszczące buty.

– Zwróciłem na nie uwagę – dodaje Benedict, niemal ze skruchą.

– Ja zawsze zwracam uwagę na buty – oznajmia Kaur. Robi notatkę. – Czy coś mówił? – pyta dalej.

– Nie – odpowiada Nataalka. – Tylko wycelował do nas z pistoletu, wziął z podłogi książkę i wyszedł.

– Co to była za książka?

– Sądzymy, że *Poszcząc, podziękuj Bogu* Sheili Atkins – znowu włącza się Benedict.

– Po co miałyby ją zabrać?

– Nie wiemy – stwierdza Nataalka. – Dlatego przyszliśmy do mieszkania Peggy – wyjaśnia nieco oskarżycielskim tonem. – Szukaliśmy tropów.

– I znaleźliście coś? – pyta detektyw Kaur.

Benedict podziwia jej opanowanie, to, że niczego po sobie nie zdradza. Jemu pod wpływem stresu albo emocji drży głos, a ona cały czas mówi spokojnie, obojętnym tonem. Ma lekki akcent, który jego matka nazwałaby londyńskim.

– Mnóstwo książek – rzuca Nataalka – i wszystkie dedykowane Peggy.

– Nie wszystkie – prostuje Benedict. – Wiele z nich to stare, klasyczne pozycje. Niektóre od dawna niewznawiane, jak kryminały Atkins. Ale także dużo współczesnych i to w nich pada nazwisko Peggy. We wszystkich powieściach Dexa Challonera i jeszcze innej pisarki, J.D. Monroe.

Wchodzi Edwin z tacą i Benedict z przyjemnością wypija łyk herbaty, mimo że została posłodzona. Z podziwem ogląda porcelanowe filiżanki, białe z zielonkawym brzeżkiem. On też w kawiarni używa filiżanek, żadnych kubków, mimo że koszt zmywania jest dwukrotnie wyższy.

– Nie do wiary – komentuje Edwin, który najwyraźniej się przysłuchiwał. – Uzbrojony napastnik w Preview Court.

– Seaview – poprawia go Natałka.

– Tak właśnie powiedziałem.

– To sprawa dla dochodzeniówki – zauważa Kaur – z powodu broni. Dowiemy się, czy w mieszkaniu zostały jakieś ślady. Czy ten człowiek był w rękawiczkach?

– Tak – potwierdza Benedict. – Czarnych skórzanych.

– Perwersja – wtrąca Natałka.

Edwin parska śmiechem i próbuje to zamaskować, pokaszując.

– Ogłosiliśmy alert – informuje Kaur – ale trudno będzie faceta znaleźć, bo nie mamy zamiarów na jego samochód. Na parkingu i w holu są jednak kamery przemysłowe, przejrzę nagrania z monitoringu.

– Myśli pani, że on tu wróci? – pyta Edwin.

Wydaje się zaniepokojony i jednocześnie podekscytowany, Benedict przypuszcza, że czuje to samo. Obaj powinni częściej wychodzić z domu.

– Nie sądzę – odpowiada Kaur. – Ale przez następną dobę będzie tu ktoś z policji. Nie martwcie się.

– Ja się nie martwię – rzuca Edwin, bawiąc się guzikiem.

Jest już w stroju wieczornym, zamiast marynarki ma na sobie rozpinany sweter, a na nogach skórzane kapcie.

– A powinieneś – mówi Natalka. – Oni chcą nas dopaść.

– Kto? – pyta Edwin. – Kto chce nas dopaść?

– Ci, którzy zabili Peggy.

– Chwileczkę – włącza się Kaur. – Nie wiemy, czy Peggy została zamordowana. Z aktu zgonu wynika, że umarła na atak serca.

– To jak wytłumaczyć pojawienie się tego faceta z bronią? – Natalka nie zamierza ustąpić.

Kaur rzuca jej zniecierpliwione spojrzenie. Już ma odpowiedzieć, gdy rozlega się pukanie do drzwi. Edwin podnosi rękę do piersi, a Benedict czuje przyspieszone bicie serca. Harbinder idzie otworzyć.

– Co się dzieje? – pyta jakaś kobieta. – Przyszedł alert od służb porządkowych.

– Alison – zwraca się do niej Edwin – nigdy nie zgadniesz, co się stało.

To musi być Alison Slopes, administratorka Seaview Court. Nie mieszka w budynku, ale ma biuro na parterze i jest zawiadamiana w razie potrzeby. Benedict poznał ją na pogrzebie Peggy. To ładna kobieta po pięćdziesiątce; ma na sobie jeszcze czarny garnitur, ale włożyła już różowe buty do biegania.

– Zgłoszono rzekome wtargnięcie mężczyzny z bronią – odpowiada detektyw Kaur.

– Jak to: rzekome? – wtrąca Natalka. – Widziałam go. Benny go widział. Celował do nas z pistoletu.

– Z pistoletu? – Alison siada ciężko na kremowej kanapie Edwina.

– Byliśmy w mieszkaniu Peggy – mówi Natalka – gdy nagle wpadł mężczyzna i wziął nas na cel. A potem uciekł z książką.

– Z książką? – powtarza Alison.

– Jakąś starą, o której nikt nie słyszał – wyjaśnia Natalka.

– Czyli nie Dexa Challonera? – dopytuje się Alison. – Uwielbiam jego kryminały z Todem France'em. Gdy wychodzi nowy, zawsze kupuję sobie wydanie w twardej oprawie. Wiecie, że Dex był na pogrzebie?

– Wiemy. – Detektyw Kaur jest najwyraźniej zniecierpliwiona tą rozmową kółka czytelniczego. – I traktujemy to zgłoszenie – spogląda na Natalkę – bardzo poważnie. Ale nie ma powodu do strachu. Właśnie mówiłam panu Edwinowi, że bierzemy budynek pod obserwację na następne dwadzieścia cztery godziny.

– Czyli myśli pani, że on wróci? – Alison wyraża tę samą obawę co wcześniej Edwin.

– Nie ma podstaw, żeby tak myśleć – odpowiada Kaur.

Ale Benedict zauważa, że sprawia wrażenie zaniepokojonej.

Benedict upiera się, że odprowadzi Natalkę do domu, chociaż ona twierdzi, że nie ma takiej potrzeby. Wynajmuje pokój w pobliżu kościoła. Narzeka, że rodzina, u której mieszka, stale zaprasza ją na posiłki, ale zdaniem Benedicta to całkiem miłe, bo on w swojej kawalerce od piątej po południu, kiedy zamyka Coffee Shack, do siódmej rano następnego dnia czasami nie ma nawet okazji usłyszeć ludzkiego głosu – jeśli nie liczyć Radio 4.

Żegna się z Natalką na ganku zastawionym rowerami i innymi rzeczami, bez których rodzina nie może się obejść. Wymieniają uścisk, co jest dla nich nietypowe, i jego ciepło towarzyszy Benedictowi, gdy idzie główną ulicą i dalej w stronę rzeki. Jego kawalerka mieści się na ostatnim piętrze dużego wiktoriańskiego budynku. Pokój jest ładny, duży i przestronny, z widokiem na estuarium. Benedict może zobaczyć z okna maszty łodzi, koryto wartko płynącej rzeki i jej mulisty brzeg. Nocami

słyszcy syrenę mgłową i widzi snop światła latarni morskiej za oknem. Lubi to światło, traktuje je jak towarzystwo. Niektórzy mieszkańcy budynku skarżą się na nie i montują żaluzje, on jednak nawet nie zaciąga zasłon – co prawdopodobnie jest powodem, że codziennie rano budzi się tak wcześnie.

Pierwszy raz w życiu Benedict mieszka sam. Zaraz po szkole poszedł do seminarium w Wonersh. Uwielbiał to miejsce, było dla niego uniwersytetem, ale potem wysłano go do Rzymu. To przywilej, mówili wszyscy, świadectwo, że Kościół przeznaczył go do wyższych celów. Chociaż Benedictowi miasto bardzo się podobało, praca, którą tam wykonywał, była ciężka i z trudem mógł się porozumieć, bo zupełnie nie znał włoskiego. W szkole miał piątkę z łaciny, co trochę pomagało. To w Rzymie nabrał pewności, że chce zostać zakonikiem, chociaż jego zwierzchnicy mu to odradzali. Chcieli, żeby robił karierę w strukturach Kościoła. To jak mafia, mówił jego przyjaciel Francis. Jednak godziny spędzane samotnie w rzymskich świątyniach, przy dźwięku odległych dzwonów i własnego oddechu, wzbudziły w nim tęsknotę za życiem kontemplacyjnym. Do Świętego Bedy wstąpił jako postulanci i po dziewięciu miesiącach rozpoczął nowicjat. Wciąż ma w pamięci uroczystość, która zapoczątkowała ten etap w jego życiu. Wszedł do kapituły w zwykłym, codziennym ubraniu – bardzo znoszonym po latach w seminarium – i na stole na kozłach znalazł habit: tunikę, pas, szkaplerz i kaptur. Miał wyrazić zgodę na życie klasztorne, kładąc ręce na tym stroju i wkładając go. Pamięta, jaki wydał mu się pociągający, jaki efektowny w porównaniu z codziennymi ciuchami. Decyzja była łatwa.

Sześć lat później, po roku od złożenia ślubów, Benedict ponownie zmienił zdanie. Tym razem decyzja nie przyszła mu łatwo. Wcześniej był taki pewny, że teraz wątpił we własne wątpliwości. Ale wspierał go mistrz nowicjatu, który pozostał jego spowiednikiem. To nie Benedict się pomylił,

przekonywał brat Damian, tylko po prostu Bóg miał wobec niego inne zamiary. Lata przygotowań do kapłaństwa i życia zakonnego nie są stracone, są częścią planu. W przerażającym zewnętrznym świecie Benedict trzymał się tego przez trudny okres po opuszczeniu zakonu, z jego bezpieczną rutyną, na którą składało się śpiewanie psalmów (osiem razy dziennie, poczynając od wschodu słońca), praca fizyczna i modlitwa.

Rodzice, wcześniej zszokowani jego powołaniem, przeżyli kolejny szok, gdy dowiedzieli się, że chce się go wyrzec. Ale pomogli synowi kupić Coffee Shack, a dochody z kawiarni pozwoliły mu wynająć mieszkanie z widokiem na port. W ostatnich miesiącach u Świętego Bedy myślał, że będzie sam, budziła w nim strach i jednocześnie go fascynowała. Echo własnego głosu w pustym pomieszczeniu, możliwość chodzenia w piżamie przez cały dzień, oglądania telewizji, jedzenia płatków kukurydzianych w łóżku. W rzeczywistości jednak Benedict budzi się codziennie o piątej trzydzięci, a o szóstej jest już umyty i ubrany. Pozostaje jeszcze dużo czasu do zabicia, mimo że od szóstej rano do piątej po południu przebywa w Shack. Początkowo zachwycał się telewizją i był bardzo podekscytowany, gdy odkrył całe kanały z filmami kryminalnymi. Oglądał powtórki seriali *Sprawy inspektora Morse'a*, *Vera* i *Morderstwa w Midsomer*. Stał się fotelem ekspertem w dziedzinie kryminalistyki, niewykrywalnych trucizn i dedukcji. Kiedy poznał u siebie w kawiarni Peggy, w sposób naturalny zaczęli rozmawiać o kryminałach i o tym, kto zabija kogo i dlaczego. Edwin nie podzielał ich upodobania do krwawych morderstw, ale ponieważ pracował kiedyś w religijnej stacji radiowej, Benedict mógł z nim prowadzić ciekawe rozmowy o chorałach i polifonii. To były szczęśliwe czasy, myśli teraz, siedzieli w słońcu i gawędzili o pannie Marple i śpiewie gregoriańskim. W duchu prawdziwej modlitewnej uważności żałuje, że wtedy tego nie doceniał.

Czy może wykorzystać teraz swoje detektywistyczne umiejętności, wprawdzie nabyte z drugiej ręki, ale zawsze? Po powrocie do domu Benedict bierze kartkę i notuje wszystko, co pamięta ze spotkania z uzbrojonym mężczyzną. Detektyw sierżant Kaur z podziwem przyjęła to, że zwrócił uwagę na buty, przypomina sobie. A co z zapachami? Benedict jest dumny ze swoich zdolności olfaktorycznych. Potrafił po zapachu rozpoznać każde ziele z klasztornej ogrodu i rozróżnia ziarna kawy. Czy ten człowiek czymś pachniał? Benedict zamyka oczy i odtwarza tamtą scenę. Natalka pyta: „Słyszysz?”, drzwi się otwierają, w progu staje napastnik, a Benedict nie może się ruszyć, zasłonić Natalki i dokonać bohaterskiego czynu. Czy czuł wtedy jakąś woń? Przychodzi mu na myśl tylko Natalka, która używa cytrusowych perfum Chanel o nazwie Chance. W pokoju unosił się też zapach książek, świeża jak lodygi żonkili woń tych nowych i stęchła starych, klasycznych. Dlaczego facet wziął akurat tę książkę? *Poszcząc, podziękuj Bogu*. To cytat z *Jak wam się podoba*, właśnie miał to powiedzieć Natalce. „Poszcząc, na kolanach podziękuj Bogu za uczciwą miłość”. Nie brzmi to zbyt feministycznie. Dlaczego powieść sprzed lat, od dawna już niewydawana, była tak ważna dla faceta w błyszczących butach, że przyszedł po nią z pistoletem? Czy strzeliłby do nich, gdyby stawiali opór? Benedict podejrzewa, że tak.

Siedzi przy biurku, aż na zewnątrz zapada zmrok – i widzi odbijające się w wodzie światło latarni portowych. Czy powinien zrobić sobie coś do jedzenia? Ma w pokoju kuchenkę gazową, mikrofalówkę i minilodówkę, ale nie czuje się głodny. Może tak działa widok wycelowanej w ciebie broni. Postanawia pójść na dół i zobaczyć, czy nie przyszła do niego jakaś poczta. Nie dostaje jej wiele, od czasu do czasu pocztówka od matki albo list od Francisa, napisany starannie ręką jezuity. Ale nie zaszkodzi sprawdzić. Zbiega w skarpetkach i przegląda chwiejny stos niechcianej

korespondencji: reklamy jedzenia na wynos, stare ulotki polityczne, anonsy scjentologów werbujących nowych wyznawców. Wtedy zauważyła coś na podłodze, obok maty. To ulotka przedstawiająca książkę z drapaczem chmur na okładce.

Spotkanie z Dexem Challonerem
w Chichester Waterstones
z okazji wydania jego nowej powieści
Morderstwo w wieżowcu.

Piątek, 21 września, godz. 19.30.

Zapraszamy wszystkich.

Wstęp 3 funty, w cenie kieliszek wina.

[5] Fragment *Jak wam się podoba* w przekładzie Leona Ulricha.

Rozdział 8

Harbinder: morderstwo w tytule

Kiedy technicy kryminalistyki kończą robotę w mieszkaniu Peggy, Harbinder z Neilem wkraczają do pustego pokoju, w którym zaledwie kilka godzin wcześniej gawędziła z wielebną Jenny i spółką. Słońce już zaszło i niebo jest prawie granatowe. Harbinder zapala światło i ogarnia wzrokiem książki na podłodze. Część z nich znajduje się w pudłach, a część leży w stosach. Najwyraźniej Natałka i Benedict byli w trakcie ich sortowania.

– Jezu – mówi Neil. – Po co komuś tyle tego?

– Lubiła czytać – wyjaśnia Harbinder. – Szczególnie kryminały. Chyba była detektywem amatorem.

Biurko – zamykane od góry – jest otwarte i widać jakieś listy oraz inne papiery. Dlaczego Nigel ich nie zabrał?

– Czy technicy coś znaleźli? – pyta Harbinder.

– Szukali odcisków palców.

– Ten człowiek był w rękawiczkach.

– Och, może kichnął albo co. I zostawił swoje DNA. – Neil nie za bardzo zna się na metodach kryminalistycznych. Wolałby żyć w czasach, w których rozgrywała się akcja staroświeckich kryminałów i detektywi

zadeptywali ślady w miejscach przestępstw, bili podejrzanych, a w przerwach popijali piwo. – Co się w ogóle dzieje? – Neil węszy, poruszając przy tym wibrykami. – Kim są ci ludzie, których tu zastaliśmy?

– To Natalka, jedna z opiekunek Peggy – odpowiada Harbinder – i jej znajomy, Benedict. Jest właścicielem Coffee Shack tuż obok, nad morzem.

– Wiem. Mają dobrą kawę.

– To Natalka wszczęła alarm w sprawie śmierci Peggy – ciągnie Harbinder. – Znalazła te wizytówki.

– Natalka – powtarza Neil. – Co to za imię?

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć...

– Pochodzi z Ukrainy. Jej prawdopodobnie nasze imiona wydają się dziwne.

– Na pewno nie Neil. Mnóstwo ludzi takie nosi.

– Tylko byli piłkarze – odparowuje Harbinder. – Natalka uznała, że w śmierci Peggy jest coś podejrzanego, i to ostatnie wydarzenie potwierdzałoby, że ma rację. Facet z pistoletem z pewnością budzi podejrzenia.

– Jeśli rzeczywiście był ktoś taki. Mamy tylko ich zeznanie, opiekunki i gościa od kawy.

Harbinder zdaje sobie sprawę, że to słuszna uwaga, ale mimo wszystko im wierzy. Chyba przez te buty, dochodzi do wniosku. Benedict zwrócił uwagę na buty. I podał dość dokładny rysopis napastnika.

– Kamery powinny coś zarejestrować – mówi. – Na parkingu jest monitoring.

– Dlaczego ten mężczyzna mierzył do nich z broni? A potem uciekł? – Neil sprawia wrażenie zawiedzionego, jak wiewiórka, której zabrano orzech.

– Zdaje się, że wziął książkę. – Harbinder zagląda do notesu. – *Poszcząc, podziękuj Bogu Sheili Atkins.*

– Wziął książkę? Po co?

– Wiem tyle samo co ty. W innej z książek Peggy sąsiad z naprzeciwka, Edwin Fitzgerald, znalazł pocztówkę. Z tekstem: *Dopadniemy cię.*

– Sądzisz, że to wszystko ma związek z rzekomą działalnością starszej pani jako konsultantki do spraw zabójstw? Że jednak została zamordowana?

– Nie mam pojęcia. Ale coś tu jest nie tak. Na jej pogrzebie był Dex Challoner, autor tych powieści... – Harbinder wskazuje stos książek z „morderstwem” w tytule. – Chyba powinniśmy się z nim spotkać.

– Dex Challoner jest znany – zauważa Neil. – Kelly czytała jeden z jego kryminałów w swoim klubie książki.

– Powiem mu to. Na pewno będzie zachwycony.

Neil z zadowoleniem kiwa głową, biorąc jej odpowiedź za dobrą monetę. Czasami jest zbyt łatwą ofiarą.

Harbinder podchodzi do biurka. W przegródkach leżą długopisy, ołówki, spinacze, zszywacz, arkusz znaczków pocztowych. Peggy musiała być dobrze zorganizowaną osobą. Harbinder w rękawiczkach wyjmuje listy, żeby je obejrzeć. Wygląda na to, że są zaadresowane jednym charakterem pisma, w oficjalnym stylu, do pani Peggy Smith. Wkłada wszystkie do foliowej torebki, żeby przeczytać je później. Podobnie robi z pocztówką, która wypada spośród nich. Przedstawia wymizerowanego mężczyznę ze smutnym uśmiechem na twarzy. Obok widnieje tekst: *Ktoś, kto głosuje na skorumpowanych polityków, oszustów, złodziei i zdrajców, nigdy nie jest ofiarą, lecz staje się współnikiem.* Harbinder ją odwraca. *Dla Peggy, serdeczności i podziękowania jak zwykle. M.* To także wędruje do torebki na dowody.

Zadrukowane kartki, rozłożone na blacie, to chyba tekst jakiejś książki: są dialogi, cudzysłowy, takie słowa jak *nagle* i *złowieszczy*.

– Posłuchaj – mówi do Neila i poważnym głosem zaczyna czytać:

– *Ach, pan France. Czekalem na pana.*

Tod się odwraca, wszystkie wyostrzone zmysły działają na pełnych obrotach. Postać kryje się w ciemności, ale on zna ten głos. Aż za dobrze. Tylko jak Siergiej znalazł go tutaj, na ostatnim piętrze Gherkina w Londynie? Jednak nie ma wątpliwości, że to on. Wszędzie rozpoznałby to seplenienie.

– *Siergiej Baranow.*

– *Myślałeś, że nie żyję. Jak miło. Pogłoski o mojej śmierci były... Jak to się mówi? Przedwczesne.*

– *„Pogłoski o mojej śmierci są mocno przesadzone”. Mark Twain.*

– *Cały Tod France. Taki czytany. Taki angielski.*

Tod nie przestaje posuwać się naprzód, zmieniając układ cząsteczek, jak uczył go sensei, wtedy przed laty, wysoko w Himalajach. Jest już tak blisko Baranowa, że czuje jego zapach. Wódka, papierosy i tania woda kolońska. Dostrzega też broń. Z limitowanej edycji [uzupełnić później], co wskazuje, że to nie żarty. A z tego, co pamięta, Baranow jest strzelcem wyborowym.

– *Stój!*

Tamten podnosi pistolet. France widzi jego lodowato zielone oczy oraz szramę na lewej powiece i policzku, będącą pamiątką po ich ostatnim spotkaniu.

– *Ani kroku dalej, panie France.*

– *MI5 wie, że tu jestem. – Tod podejmuje ryzyko i blefuje.*

– *Nie, nie wie. Zadbalem o to. Zająłem się też pańską pomocnicą, przedsiębiorczą panną Thomas.*

O Boże. Tylko nie Tilly. Nie pozwól, żeby skrzywdził Tilly.

– *Zna pan jakiś powód, dla którego nie miałbym pana w tej chwili zabić, panie France?*

– Czytaj dalej – prosi Neil. – Świetne.

– Więcej nie ma – odpowiada Harbinder. – Ale na dole jest odręczna notatka.

Podaje mu kartkę formatu A4.

Peggy, kochana, proszę, pomóż! Nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dla którego Baranow nie miałby załatwić Toda i zakończyć sprawy. Tod powinien mieć jakiegoś asa w rękawie, ale nie mogę wymyślić, co to mogłoby być. Trucizna o opóźnionym działaniu? Czy ten pomysł już wykorzystaliśmy? Może to w ogóle nie Baranow? Może nie Tod? Tylko bliźnięta? Czy to już byłoby zbyt oklepane? W przyszłym tygodniu muszę dać Milesowi pierwszą wersję.

– To pewnie od Dexa Challonera – mówi Harbinder – bo bohaterem książki jest Tod France. Wygląda na to, że Peggy pomagała mu w wymyślaniu fabuły.

– On na pewno nie potrzebuje pomocy – sprzeciwia się Neil. – To sławny pisarz.

– Zapytaj go o to – rzuca Harbinder.

Neil ma taką minę, jakby chciał się pokłócić, ale na szczęście dzwoni telefon Harbinder. To Olivia, z komisariatu. Harbinder słucha nowin, po czym odwraca się do Neila.

– Mamy tego faceta z bronią – informuje. – Kamery zarejestrowały go na parkingu. Pistolet i całą resztę. Jedźmy pogadać z Donną.

Neil spogląda na zegarek. Jest ósma. Harbinder wie, że jej partner nie lubi siedzieć do późna w pracy, gdy ma do obejrzenia film na Netflixie.

Rozdział 9

Natalka: kupno i sprzedaż

– Czy to ty, Natalko?! – woła z kuchni właścicielka domu, Debbie Harper.

– Tak – odpowiada z rezerwą Natalka, stawiając stopę na pierwszym stopniu schodów.

– Zjesz kolację? Nagotowałam tego tyle...

Cała Debbie. Ma męża i troje dzieci, ale zawsze kończy się tak, że gotuje jak dla całej armii. Powinna żyć w kraju, w którym jedzenie jest racjonowane, myśli Natalka. Albo gdzieś, gdzie człowiek nie wie, skąd jutro zdobędzie chleb. Potem jednak ogarnia ją poczucie winy. Dobrze mieszkać u kogoś takiego jak Debbie. A poza tym jest naprawdę głodna.

Przyłącza się do rodziny przy dużym kuchennym stole. Oprócz Debbie, która nakłada lasagne, jest jej mąż Richard, nauczyciel, oraz dzieci, Lucy, Andrew i Sophie, w wieku od ośmiu do piętnastu lat. Panuje gwar, co działa na Natalkę pokrzepiająco. Przypomina jej się własny dom, z dawnych czasów, jeszcze zanim ojciec odszedł i zostali we troje, dwójka smutnych nastolatków i ich wykończona matka.

– Jak było na pogrzebie? – zagaduje Debbie. – Myślałam o tobie dziś po południu.

Jasne. To dlatego tak chciała, żeby Natałka z nimi zjadła. Wiedziała, że tego dnia miał odbyć się pogrzeb Peggy. Natałka niewiele już z niego pamięta. Tyle się od tego czasu zdarzyło. Ale przecież nie powie: „Było w porządku, chociaż potem jakiś facet chciał mnie zabić”. Więc zamiast tego rzuca:

– Było okej. Nie najgorzej w takich okolicznościach. Celebrantka okazała się miła.

– Jenny – dopowiada Debbie, która wszystkich zna. – Jest dobra. Często odwiedza w szpitalu potrzebujących.

– Czy u was w Kościele są kobiety księży? – pyta Richard, który zawsze stara się dowiedzieć czegoś o Ukrainie.

– Chyba nie – odpowiada Natałka. Jest pewna, że jeśli w jej kraju coś się zmieniło, odkąd wyjechała, to nie to, nie ma mowy. – Ale nasi duchowni mogą się żenić.

– Aha, Natałko – odzywa się Debbie – przypomniałam sobie. Ktoś cię szukał.

Natałka nieruchomieje z kęsem lasagne na widelcu w połowie drogi do ust.

– Dwaj mężczyźni – ciągnie Debbie. – Przyszli wczoraj. Pomyślałam, że to Ukraińcy.

– Powiedzieli, czego chcą? – pyta Natałka.

– Nie. Chcieli zrobić ci niespodziankę. Sprawiali wrażenie miłych chłopców.

To żadne zaskoczenie, Debbie wszyscy wydają się mili. Ale jeśli Natałkę nie myli przecucie co do tych tajemniczych gości, słowo „mili” nie jest dla nich właściwym określeniem.

W swoim pokoju Natalka włącza komputer. To jej ulubiona pora dnia. Po tych wszystkich godzinach dźwigania, mycia, gawędzenia i przygotowywania posiłków w kuchniach, w których wolałaby niczego nie dotykać, chętnie siada w swoim czystym pokoiku i oddaje się zarabianiu pieniędzy. Natalka szybko dostrzegła potencjał bitcoina, kryptowaluty, którą obrót nie wymagał pośrednictwa banku. Kiedyś bitcoiny się „wydobywało” i sprzedawało, tworząc tak zwany łańcuch bloków. Największy ich rynek nazywał się – całkiem stosownie – Magic. Liczby i algorytmy zawsze były mocną stroną Natalki. Kiedyś studiowała matematykę czystą. Teraz jednak, żeby zarobić na bitcoinie, trzeba mieć wiele komputerów, które dokonywałyby obliczeń. Natalka wciąż prowadzi jakieś transakcje, żeby nie wyjść z wprawy, choć ostatnio głównie zagląda na swój rachunek bankowy, „Ojczyzna”, na którym obecnie znajduje się prawie pięćset tysięcy dolarów. Problem polega na tym, że każde imperium finansowe bierze od czegoś początek, a Natalki wzięło go od kradzieży.

Rozlega się dzwonek do drzwi na dole. Natalka wstaje i nasłuchuje. Dochodzą do niej głosy nastolatek i śmiech Debbie. Potem Richard mówi: „Pod warunkiem że odrobiłaś już lekcje”. Dzięki Bogu. Do Lucy przysła koleżanka. Dzieci Harperów są równie towarzyskie jak ich rodzice. W domu zawsze jest pełno młodzieży, przychodzą z treningu piłkarskiego, w ubłoconych butach, rzucają w holu futerały ze skrzypcami i worki gimnastyczne albo grają na komputerach i jedzą czipsy. Natalce to nie przeszkadza, dopóki zostawiają ją w spokoju, ale popołudniowe wydarzenia sprawiły, że stała się nerwowa. Kiedyś była bardziej społecznym typem. Lubiana w szkole, tworzyła trio ze swoimi najlepszymi przyjaciółkami, również blondynkami, Daszą i Anastazją. Łamały serca rówieśnikom, bezpieczne w poczuciu, że ich przyjaźń jest na pierwszym miejscu. „Trójkąt

to najmocniejsza figura”, mawiała jej matematyczka. Natałka nie wie, co teraz porabiają Dasza i Anastazja.

Nawet na uniwersytecie w Bournemouth miała duży krąg znajomych, niektórzy z nich byli jej chłopakami. Ale obecnie nie ma ochoty się socjalizować. Od czasu do czasu jedzie do Londynu spotkać się z kolegami i koleżankami z uczelni, jednak przeważnie siedzi w swoim pokoju i liczy pieniądze. Jej najlepszym kumplem w Shoreham jest chyba Benedict – dość przygnębiające, jeśli się nad tym zastanowić.

Natałka idzie do okna i widzi, że Lucy i jej koleżanka wychodzą, ze śmiechem popychając się nawzajem. Z Daszą i Anastazją też chodziły tak blisko siebie, że trącały się kośćmi biodrowymi, przypomina sobie. Powraca do niej nawet zapach wrześnieego wieczoru w Doniecku, woń trawy, palonego drewna i oparów benzyny. Odprowadza wzrokiem obie nastolatki, aż przechodzą przez ulicę obok kościoła i znikają jej z oczu. Już ma się odwrócić, kiedy zauważa biały samochód zaparkowany naprzeciwko, tam gdzie zwykle stoi stary kamper.

Natałka nie widzi zbyt dobrze, ale wydaje jej się, że w samochodzie siedzą dwaj mężczyźni. Wczoraj też pytało o nią dwóch facetów. Czy to ci sami ludzie? Zaczaili się i czekają na nią, ci mili chłopcy, którzy chcieli sprawić jej niespodziankę? Oczywiście wcale nie musi tak być. Może to para rodziców, którzy przyjechali odebrać dzieci po zbiórce skautów, albo kochankowie, korzystający z kilku minut razem, zanim wrócą do swoich domów. Jednak coś w tym samochodzie – to, że ma wyłączony silnik, że jego pasażerowie kryją się w cieniu – wzbudza jej niepokój. Przypomina jej się mężczyzna z pistoletem, poruszające się w modlitwie usta Benedicta, chwila, kiedy pomyślała, że może już nigdy nie zobaczyć brata. Wraca do komputera i zmusza się, żeby siedzieć tam dziesięć minut, ze wzrokiem utkwionym w ekran.

Kiedy znowu podchodzi do okna, białego samochodu już nie ma.

Rozdział 10

Harbinder: Millionaires' Row

Na nagraniu z kamer przemysłowych widać go dobrze: czarna skórzana kurtka, czarna wełniana czapka, maska zasłaniająca twarz aż po oczy. I pistolet, trzymany niedbale w lewej ręce, a następnie, przed odjazdem, rzucony na tylne siedzenie samochodu.

– Leworęczny – zauważa Donna.

– Lewy, czyli nielegalny – komentuje Neil. – No wiecie, w mowie potocznej. Niezgodny z prawem, fałszywy.

– W mowie bardzo potocznej – zaznacza Harbinder. – To interesujące, jak dobrze mają się przesady u ludzi niewykształconych. – Sama jest leworęczna i Neil dobrze o tym wie.

– Dowiedzieliście się czegoś o samochodzie? – pyta Donna.

– Tak – mówi Harbinder. – Został skradziony z High Street w Shoreham dziś po południu, około piątej trzydzieści. Właścicielka nie pamięta, czy nie zostawiła w nim kluczyków, kiedy wyskoczyła coś kupić w Tesco Metro.

– Idiotka – parska Neil.

Harbinder nie dałaby głowy, czy jej samej nie zdarzyło się to kilka razy.

– Trafila mu się okazja – relacjonuje dalej. – Skorzystał z niej i ukradł samochód. Co może wskazywać, że działał pod wpływem chwili.

– A co z pistoletem? – pyta Donna. – Zwykle można je wytropić.

– Pytałam specjalistów od broni. Ale obraz jest zbyt niewyraźny, żeby dało się zidentyfikować ten pistolet. Ich zdaniem to w ogóle może być replika.

– Jeśli rzeczywiście jest to replika – wtrąca Neil – to gość nie zamierzał nikogo zabić, tylko chciał przestraszyć.

– Ale po co? – Donna zawsze wpada w rozdrażnienie, kiedy przestępcy nie zachowują się tak, jak ona tego od nich oczekuje. – Po co brać broń, nawet jeżeli to tylko rekwizyt, żeby ukraść książkę?

– I dlaczego akurat tę książkę? – dodaje Harbinder. – Benedict Cole twierdzi, że to był stary kryminał: *Poszcząc, podziękuj Bogu* autorstwa Sheili Atkins.

– Nigdy o nim nie słyszałam – rzuca Donna.

Neil zagląda do swojego smartfona.

– Amazon informuje, że ta pozycja jest niedostępna. I zdaje się, że to całkiem dobra powieść.

– A pocztówka? – pyta Donna. – Ta, która była w książce. Czy to też książka tej autorki?

– Nie – odpowiada Harbinder. – To kryminał Dexa Challonera pod tytułem *Morderstwo w wieżowcu*.

Pocztówka, w torebce na dowody, leży przed nimi na stole. Nie ulega wątpliwości, że tekst nie jest odręczny, choć na taki wygląda, tylko został wydrukowany. *Dopadniemy cię*.

– I znalazł ją jeden z sąsiadów Peggy? – upewnia się Donna, patrząc ze zmarszczonym czołem na biały kartonik.

– Tak, Edwin Fitzgerald. Mieszka naprzeciwko Peggy, po drugiej stronie korytarza.

– I na pocztówce nie ma adresu?

– Nie, musiała być w kopercie. Chyba powinniśmy porozmawiać z Dexam – mówi Harbinder. – Jeśli ma z tym coś wspólnego, lepiej zobaczmy się z nim, zanim wymyśli jakąś historyjkę.

Wymyślanie historyjek, stwierdza jednak w duchu, nie jest raczej jego mocną stroną, biorąc pod uwagę to, co łączyło go z Peggy.

– Chyba nie sądzisz, że Challoner jest w to zamieszany – obrusza się Neil.

Harbinder czeka, żeby dodał: „To sławny pisarz”, ale Neil napotyka jej wzrok i milknie.

– Wiecie, gdzie on mieszka? – pyta Donna.

– Może mieszkać tylko pod jednym adresem – odpowiada Harbinder.

Shoreham to chyba ostatnie miejsce, w którym człowiek spodziewałby się znaleźć Millionaires' Row, a jednak taka ulica tu istnieje. Harbinder dobrze ją zna. Jest prawie ekspertem, jeśli chodzi o luksusowe posiadłości. Uwielbia je oglądać, im droższe, tym lepiej. Zastanawia się, czy powodem nie jest to, że gdzieś w głębi duszy boi się wyprowadzić od rodziców i dlatego ogląda mieszkania, na które jej nie stać. Ale pomyśli o tym kiedy indziej.

Jest przekonana, że tu właśnie mieszka Dex Challoner. Zajrzała na jego konto na Twitterze i wśród wpisów o charakterze niemal jawnie autopromocyjnym („Ciekawe, co Tod sądziłby o nowych mieszkaniach w Docklands #morderstwowieżowcu, #dexchallonerpisarz”) znalazła zdjęcie artystycznego nieładu na biurku (#pisarzprzypracy). Lokalizacja:

Shoreham. To musi być Millionaires' Row. Na stronie internetowej widziała, jak wygląda wnętrze posiadłości. Białe pokoje z drzwiami francuskimi wychodzącymi na stale zmieniające się morze, tarasy tak duże, że można na nich urządzać przyjęcia, wyspy śniadaniowe, sofy w kształcie litery L, współczesne dzieła sztuki, antyczne lustra, szwedzkie oświetlenie, zadaszone parkingi. Kiedy jednak zostawia samochód przy nadmorskiej drodze, nic z tego nie widać. Z tyłu domy są jednolite i odstraszały: wysokie mury z kratami w oknach, bramy z interkomami, najeżone elektroniką. Z tej strony nie da się zobaczyć morza, ale Harbinder słyszy w ciemności jego szum.

Nie wie, który z tych domów należy do Challonera. Jest niemal gotowa wciskać guziki każdego interkomu po kolei i krzyknąć: „Policja!”, ale szybko zauważa, że nie będzie takiej potrzeby. Przed trzecim domem stoi przemyślnie oświetlony maszt, na którym powiewa flaga z symbolem celownika – Harbinder widziała go na okładkach wielu bestsellerowych powieści. Kto mieszka w tak pilnie strzeżonym miejscu i wywiesza flagę ze swoim logo? Wkrótce się tego dowie.

Z interkomu dobiega męski głos i brama się otwiera, zanim Harbinder zdąży wypowiedzieć magiczne słowo „policja”. Przechodzi przez nią i podwójne drzwi też otwierają się automatycznie. Wreszcie wkracza do holu ozdobionego (tak!) podświetlonymi współczesnymi obrazami. Po prawej stronie znajdują się schody z chromu i szkła, a dalej za nimi widać wielkie okna, w których odbija się ciemne morze.

U stóp schodów stoi mężczyzna ze szklanką w dłoni. Harbinder od razu rozpoznaje w nim autora *Morderstwa w wieżowcu*.

– Pan Challoner? Jestem detektyw sierżant Harbinder Kaur z policji w West Sussex. Chciałabym zadać panu kilka pytań w związku ze śmiercią Peggy Smith.

Dex Challoner odstawia szklanę i przegarnia palcami włosy.

– Czy gdzieś już pani nie widziałem? Na pogrzebie Peggy?

– Zgadza się – potwierdza Harbinder. – Możemy porozmawiać?

Challoner prowadzi ją korytarzem do salonu z widokiem na morze. Oczywiście stoją tam wielkie białe sofy i szklane stoliki. Trzy ściany bez okien są zastawione książkami. Harbinder nie sądzi, żeby rodzina spędzała tu dużo czasu. Przede wszystkim nie ma telewizora. Wie z Wikipedii, że Challoner jest żonaty z aktorką Mią Hastings i ma z nią dwoje dzieci w wieku szkolnym, Finna i Maisie.

– W tygodniu żona i dzieci mieszkają w Londynie – odpowiada Dex na jej pytanie. – Potrzebuję samotności, żeby pisać.

Harbinder może sobie wyobrazić, że pisanie wymaga ciszy i spokoju. Jednak większość pisarzy ma pewnie do pracy biurko z komputerem w sypialni, a nie dom nad morzem, z pięcioma sypialniami (koszt w przybliżeniu: trzy miliony czterysta tysięcy funtów). Nie wiedziała, że twórczość literacka pozwala żyć na tak wysokim poziomie. Przypomina sobie swoją przyjaciółkę, Clare, która uczy kreatywnego pisania. Nic dziwnego, że tylu ludzi chętnie płaci za możliwość uczęszczania na jej kurs.

Siadają na białej kanapie i Dex proponuje herbatę, kawę albo „coś mocniejszego”. Przynajmniej nie bierze jej z góry za niepijącą alkoholu. Harbinder prosi o herbatę, ziołową, jeśli to możliwe. Zgodnie z tym, co piszą w policyjnych podręcznikach, dobrze jest skorzystać z propozycji poczęstunku, bo dzięki temu osoba, z którą się rozmawia, ma poczucie przewagi. Dex przynosi jej herbatę miętową w kubku z Todem France'em. Sobie także czegoś dołał, prawdopodobnie whisky.

Harbinder pyta go, skąd zna Peggy. Dex wydaje się zdziwiony, ale całkiem swobodnie odpowiada, że przyjaźniła się z jego matką, która także mieszkała w Seaview Court.

– Mama nie miała najłatwiejszego charakteru, ale z Peggy od razu znalazły wspólny język.

Mówi z dziwnym akcentem, trochę angielskim klasy wyższej, a trochę może australijskim. Ma na sobie dżinsy, czarny sweter i mokasyny, które pewnie służą mu za kapcie. Gdyby nie te buty, można by uznać, że jest ubrany jak tamten facet z bronią, co pewnie świadczy o jego niewinności. Z pewnością każdy szanujący się przestępca przynajmniej by się przebrał?

– Mama pochodziła z Polski – ciągnie Dex. – Dlatego źle znosiła głupców.

Takie samo zdanie padło na pogrzebie Peggy, przypomina sobie Harbinder. Nie bardzo rozumie, co wspólnego z polskim pochodzeniem ma to, że ktoś źle znosi głupców. Skoro tak, może i ona sama ma w żyłach trochę polskiej krwi, zmieszanej z indyjską, aż za bardzo tolerancyjną.

– Co chce pan przez to powiedzieć? – pyta.

– Bywała bardzo drażliwa – wyjaśnia Dex. – Wciąż wydawało jej się, że ludzie są dla niej niegrzeczni, okradają ją i tak dalej. Dlatego chodzenie z nią na zakupy było ciężką próbą. – Uśmiecha się.

– I poznał pan Peggy przez matkę?

– Tak. Któregoś dnia wpadłem odwiedzić moją staruszkę i na kanapie siedziała Peggy. Obie popijały sherry i rozmawiały o szpiegach, płatnych zabójcach i makabrycznych morderstwach.

To ciekawe. Mimo wszystko Harbinder zaczyna odczuwać sympatię do Dexa. W tym, jak powiedział „moja staruszka”, brzmiało autentyczne przywiązanie i w przeciwieństwie do wielu dorosłych dzieci przynajmniej odwiedzał starą matkę.

– Czy Peggy interesowała się zbrodniami? – pyta dalej.

Ku jej zaskoczeniu Dex się śmieje.

– Czy się interesowała? Pasjonowała się nimi. Czytała wszystkie ukazujące się kryminały i uwielbiała historie o prawdziwych przestępstwach, nawet podcasty o tej tematyce. Obie z mamą oglądały *Morderstwa w Midsomer* i jeszcze przed pierwszą przerwą na reklamy Peggy trafnie odgadywała, kto jest sprawcą.

Jej matka także ogląda *Morderstwa w Midsomer*, ale ze względu na „śliczne stare domy”, jakby nie zwracała uwagi na to, że w większości z nich znajdują się zwłoki.

– Zauważyłam, że w wielu powieściach dziękuje jej pan – podejmuje Harbinder. – W jednej napisał pan: *Dzięki za zbrodnie*.

Dex znowu się śmieje.

– Peggy była niezastąpiona, jeśli chodzi o wymyślanie drastycznych sposobów uśmiercania ludzi. Potrafiła też wymyślić intrygę. Podsunęła mi pomysły na kilka fabuł. Zaczęło się to od żartu, a potem stało się naszą tradycją. Zawsze wysyłałem jej swój nowy kryminał przed złożeniem go w wydawnictwie, a potem wymieniałem ją w podziękowaniach.

– Czyli pomagała panu?

Dex lekko się jeży.

– Nie nazywałbym tego pomocą. Miewała dobre pomysły. Nie zawsze z nich korzystałem. Chodziło bardziej o to, żeby dostarczyć jej rozrywki.

Harbinder przypomina sobie liścik: *Peggy, kochana, proszę, pomóż!* To nie wygląda na próbę rozerwania starszej pani. Dex raczej oczekiwał od niej, że pomoże mu wybrnąć ze ślepych zaułków, w które zabrnął. *Pomóż mi, kochana. W przyszłym tygodniu muszę dać Milesowi pierwszą wersję.* Miles to wydawca Dexa; Harbinder zauważyła, że jego również wymieniał w podziękowaniach. Podobnie jak agenta literackiego albo agentkę, kogoś, kto figuruje jako Jelli Walker-Thompson. Czy to prawdziwe nazwisko?

Harbinder stwierdza, że woli tamtego Dexa – znękanego, bezradnego, proszącego o pomoc – niż tego układowego, którego ma przed sobą.

– Panie Challoner – zwraca się do niego – dziś, kiedy opiekunka Peggy pakowała do pudeł jej książki, jakiś mężczyzna wdarł się do mieszkania i zagroził tej dziewczynie bronią. Czy domyśla się pan, co mogło być tego powodem?

Dex patrzy na nią szeroko otwartymi oczami.

– Zagroził bronią? O czym pani mówi?

– Do mieszkania Peggy wpadł ktoś, kto zagroził jej opiekunce bronią – powtarza Harbinder. Wie, że czasami ludzie muszą usłyszeć coś takiego dwa razy. – Potem uciekł, zabierając ze sobą książkę pod tytułem *Poszcząc, podziękuj Bogu*.

– *Poszcząc, podziękuj Bogu*?

– Tak, zna ją pan?

– Nie, nigdy o niej nie słyszałem.

– Została napisana przez Sheilę Atkins. Ukazała się w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku.

– A, rozumiem. Nie czytam zbyt wielu kryminałów ze złotej ery. – Dex jednym haustem dopija whisky.

Trzyma szklankę w prawej ręce, zauważa Harbinder.

– Więc nie domyśla się pan, dlaczego ta książka była dla kogoś taka ważna?

– Nie. – Dex odstawia szklankę na stolik. – Ale jak mówiłem, Peggy czytała wszelkiego rodzaju kryminały. Była od nich wręcz uzależniona.

– Gdzie był pan dziś o szóstej wieczorem?

Podskakuje jak uderzony.

– Chyba nie chce pani powiedzieć... nie podejrzewa pani, że...

– Chcę tylko wykluczyć pana ze śledztwa – wyjaśnia Harbinder.

Dex bierze głęboki oddech i jakby się uspokaja.

– Wróciłem z pogrzebu, przebrałem się i pojechałem na siłownię. Staram się ćwiczyć w poniedziałki, środy i piątki.

– O której był pan na miejscu?

– Około piątej. Wszedłem stamtąd o wpół do siódmej. Jest na to dowód. Trzeba się zarejestrować i wyrejestrować. Może pani sama sprawdzić.

Harbinder zdecydowanie ma taki zamiar.

– A o której wrócił pan do domu?

– Mniej więcej o siódmej. Zrobiłem sobie kolację. Kurczaka i do tego sałatę. Potem usiadłem do pracy. Często piszę wieczorami.

Siłownia, kurczak i sałata. Dex Challoner niewątpliwie dba o formę. Trzeba przyznać, że jest wysportowany i nie wygląda na swój wiek, czyli sześćdziesiąt lat, jak podaje Wikipedia.

– Czy domyśla się pan, kim mógł być ten uzbrojony mężczyzna?

– Nie. Wprawdzie piszę o takich rzeczach... ale nie znam podobnych ludzi...

Sprawia wrażenie autentycznie wytrąconego z równowagi. Harbinder chce zapytać go jeszcze, skąd bierze materiał do książek, ale wibruje jej telefon, sygnalizując nadejście esemesa. Zamierza przeczytać go później, jednak potem przychodzi jej do głowy, że może to wiadomość od Donny.

Ale esemes jest od ojca. Harbinder to dziwi, bo on nie wysyła ich prawie nigdy. Tylko zostawia na poczcie głosowej sarkastyczne wiadomości w rodzaju: „To twój biedny stary siwy ojciec. Zapomniałaś o mnie?”.

Wiadomość jest krótka i rzeczowa.

Mama miała w domu wypadek. Możesz przyjechać?

Harbinder przekracza dozwoloną prędkość i jest na miejscu przed ratownikami medycznymi. Mieszkanie ma oddzielne wejście, obok drzwi do sklepu. Bibi leży u stóp schodów.

– Potknęłam się o Starsky’ego – tłumaczy, próbując się uśmiechnąć.

– Przeklęty pies.

– To nie była jego wina. – Jak zwykle broni owczarka niemieckiego, często nazywanego w rodzinie psem obronnym, co jednak jest tylko myśleniem życzeniowym. – Leżał przy schodach, pilnował domu.

Harbinder nie ma wątpliwości, że zwierzę spało głęboko w najbardziej nieodpowiednim miejscu.

– Chyba złamała nogę – mówi Deepak.

Stoi z tyłu, jakby zagubiony, co jest dla niego nietypowe. Ma przy boku Starsky’ego, który również wydaje się przestraszony.

– Też tak myślę – odpowiada Harbinder.

Noga matki jest zgięta pod dziwnym kątem – na sam widok Harbinder robi się trochę niedobrze. Siada na pierwszym schodku i obejmuje Bibi, której ciało pod cienkim sari wydaje się chłodne.

– Gdzie Kush? – pyta.

Jej najstarszy brat, Khushwant, przeważnie pracuje w sklepie na ostatniej zmianie – pewnie dlatego, że wygląda groźniej niż potencjalni złoczyńcy, którzy chcieliby pieniędzy z kasy.

– To dzień, w którym chodzi na kick-boxing – odpowiada Deepak. – Nie odbiera telefonu.

– Nie powinien zostawiać was samych – parska Harbinder.

– Jeszcze sobie radzę. – Deepak prostuje plecy.

Jednak ojciec jest już po sześćdziesiątce i chociaż przy swoim wysokim wzroście w kurcie i turbanie prezentuje się godnie, nie stawilby czoła nastoletnim rasistom z kanistrem benzyny.

– Możesz przynieść koc dla mamy? – pyta Harbinder, ale zanim jeszcze Deepak dociera do połowy schodów, szybę z bąbelkowego szkła w drzwiach wejściowych rozjaśniają błyski niebieskiego światła.

Harbinder – mając nadzieję, że robi to profesjonalnie – udziela ratownikom medycznym potrzebnych informacji. Są szybcy i mili: „Jak tam, kochana?”, Bibi zaś odpowiada kokieteryjnym tonem: „Czy nie jestem szczęściarą, że na pomoc przyszli mi tacy przystojniacy?”. Kiedy jednak dźwigają ją na nosze, krzyczy z bólu. Harbinder widzi, że ojciec w poczuciu bezsilności zaciska pięści.

– Możesz zabrać się karetką razem z mamą – mówi do niego. – Ja pojedę za wami swoim samochodem.

Rozdział 11

Edwin: gin z tonikiem

Edwin, ku własnemu zdziwieniu, nie może się doczekać spotkania z Dexem Challonerem w Chichester Waterstones. To pewnie dlatego, że mało gdzie bywa, mówi sobie. W dawnych czasach, gdy pracował w BBC, wieczorami zawsze było co robić: przyjęcia, drinki w pubie, dyskretne kolacje w ustronnych włoskich restauracjach. W latach sześćdziesiątych odbywały się tak zwane happeningi: grupa ludzi zbierała się w takich miejscach jak dawne kina czy opuszczone baseny, zażywała narkotyki i słuchała muzyki granej na sitarach. Edwin nigdy nie przepadał za narkotykami, ale lubił to złudne poczucie wspólnoty, braku barier. Sam jednak ani razu nie poczuł się na tyle swobodnie, żeby pocałować publicznie któregoś kochanka. Teraz jest inaczej. Edwin czasami widuje pary mężczyzn, którzy spacerują nad morzem, trzymając się za ręce, i to zawsze budzi w nim radość, ale także smutek, bo on za młodu nie mógł się czymś takim cieszyć. Ma jednak świadomość, że homofobia wciąż istnieje. Spotyka się z nią wszędzie, dostrzega ją w takich słowach jak „zniewieściały”, „nachalny”, w dwuznacznych uwagach, aluzjach czy ocenach. To się szybko nie skończy.

Edwin nie przypuszcza, żeby w programie spotkania w Waterstones było LSD i muzyka sitarowa, ale ubiera się starannie i zamiast noszonej codziennie muszki zawiązuje jedwabny krawat. Wkłada porządny zimowy płaszcz, bo wrześniowe wieczory nagle stały się chłodniejsze. Do tego trilby – i czuje się elegancki. Dopiero kiedy mija drzwi z numerem dwadzieścia jeden, przypomina sobie: Peggy nie żyje i próbują znaleźć jej mordercę.

Natalka zaproponowała, że po nich przyjedzie. Benedict nie ma samochodu, a od czasu, kiedy Edwin siedział za kółkiem, minęły lata. Nie jest zdziwiony, gdy dziewczyna zajeżdża czerwonym sportowym volkswagenem golfem. Ten wóz do niej pasuje, stwierdza, choć dziwi się, że stać ją na taki z pensji opiekunki starszych ludzi. Zgarniają Benedicta spod stacji benzynowej i ruszają dalej w bardzo wesołej atmosferze. Z radia płynie muzyka pop i chociaż Edwin nie rozpoznaje piosenki ani nie rozumie tekstu, mimowolnie ulega jej rytmowi. Jadę z przyjaciółmi – na tę myśl robi mu się ciepło i nie jest to zasługa okropnego podgrzewanego fotela samochodowego.

– Czy przyjdzie detektyw Kaur? – pyta Benedict, jak dziecko pochylając się do przodu z tylnego siedzenia.

– Postara się – odpowiada Natalka. – Jej mama przewróciła się w poniedziałek wieczorem i złamała nogę, więc Kaur próbuje połączyć pracę z opieką nad nią.

Edwin z zainteresowaniem odnotowuje, że Natalka wydaje się dobrze poinformowana o tym, co robi Kaur, oraz że budząca strach policjantka najwyraźniej mieszka z rodzicami i zajmuje się nimi.

– Poradziłam Harbinder, żeby zatrudniła do niej opiekunkę, choćby na kilka tygodni – ciągnie Natalka. – Sama nie da sobie ze wszystkim rady. Ma dwóch starszych braci, ale chyba nie ma z nich wielkiego pożytku.

– Zawsze tak jest – komentuje Benedict, chociaż kiedyś powiedział Edwinowi, że jego rodzeństwo, starszy brat i siostra, są „o zgrozo, ludźmi sukcesu”.

Miejsce spotkania rozczarowuje Edwina. Księgarnia jest wprawdzie urocza, a przestrzeń na piętrze zaskakująco duża i nawet z pięknym żyrandolem, spodziewałby się jednak, że tak poczytny pisarz wystąpi raczej w Dome albo w Southbank Centre. A tu cóż, raptem salka nad księgarnią. Natałka i Benedict wyraźnie obniżają średnią wieku zebranych. Edwin od razu czuje się młodszy i wdaje się w rozmowę z emerytowanym lekarzem rodzinnym.

Pojawieniu się Dexa Challonera nie towarzyszy wielka pompa. Zwyczajnie wchodzi na „scenę”, czyli niski podest, i nalewa sobie wody do szklanki. Gospodyni przedstawia go krótko i informuje wszystkich, gdzie znajdują się wyjścia awaryjne. Potem Dex wstaje i przez czterdzieści minut mówi o swojej książce. Idzie mu gładko. Edwin jest przekonany, że facet wygłaszał ten tekst już wiele razy, mimo że rzuca na poczekaniu kilka dowcipów i żeby spotęgować efekt spontaniczności, udaje, że szuka odpowiedniego słowa. Edwin miał do czynienia z różnymi artystami, którzy nie umieli mówić o swojej twórczości, więc jest pod wrażeniem tego pisarza. Pada kilka banałów – „Zły tekst zawsze można poprawić, a pustej kartki nie” – ale historia samotnego dzieciństwa, spędzonego wśród książek, jest dobrze opowiedziana, a do tego Dex ładnie wyraża się o innych autorach i dowcipnie komentuje swoje pierwsze pisarskie próby. „*Morderstwo na polu do krykieta* nigdy nie wyjdzie drukiem”. Kiedy pada jakieś pytanie, odpowiada z humorem i elokwencją, i nie przewraca oczami zapytany, skąd bierze pomysły. Edwin na koniec głośno go oklaskuje.

Gospodyni spotkania zaprasza czytelników po autograf pisarza – mogą ustawiać się w kolejce. Edwin staje na samym końcu ze swoim

egzemplarem sygnałnym *Morderstwa w wieżowcu*. Rozgląda się po sali i widzi, że przysłała detektyw Kaur i że Natalce udało się skądś wytrzasnąć kieliszek wina. Oby tylko pamiętała, że prowadzi.

Patrząc, jak pisarz radzi sobie z kolejką, Edwin znowu mimowolnie odczuwa podziw. Dex gawędzi z czytelnikami, uśmiecha się do nich i pozuje z nimi do zdjęć – zawsze tak, żeby książka zmieściła się w kadrze, zauważa Edwin. Docierają do niego fragmenty rozmów: „Naprawdę bardzo mi miło”, „Świetny pomysł na książkę, ale to pan powinien ją napisać, nie ja”, „Przykro mi, może ta bardziej się pani spodoba”. Wreszcie do stolika podchodzi on.

– Wspaniale zobaczyć jeszcze jednego mężczyznę – mówi Dex z profesjonalnym uśmiechem. Faktycznie większość przybyłych to kobiety. – Dzięki za wsparcie.

Na widok książki dziwi się, bierze ją i ogląda.

– To egzemplarz sygnałny – rzuca w końcu.

– Należał do mojej przyjaciółki, Peggy.

– Przyjaźnił się pan z Peggy? – Teraz Dex patrzy na niego z uwagą. Ma bardzo ciemne oczy, błyszczące jak u ptaka.

– Tak. Nazywam się Edwin Fitzgerald. Mieszkaliśmy drzwi w drzwi. – Woli nie wymawiać ponownie imienia Peggy, z obawy, że zadrzy mu głos.

– Chyba widziałem pana na pogrzebie – zauważa Dex. – Czy to od Peggy dostał pan tę książkę?

– W pewnym sensie – odpowiada Edwin. – Nigel, jej syn, pozwolił mi wziąć sobie coś na pamiątkę po niej, no i wybrałem to. Wiem, że była pana wielbicielką.

– To miło – kwituje Dex, nie odrywając błyszczących oczu od twarzy Edwina.

– Kiedy ją otworzyłem, wypadło z niej to.

Edwin wyciąga pocztówkę. *Dopadniemy cię.*

Dex obraca ją w dłoniach.

– Co to znaczy?

– Miałem nadzieję, że dowiem się tego od pana.

Gospodyni spotkania zaczyna się niecierpliwić.

– Zamykamy o dziewiątej – mówi.

Dex oddaje mu pocztówkę i pisze coś na stronie tytułowej książki.

Edwin odbiera ją i wraca do pozostałych.

– Co takiego ci napisał? – pyta Benedict.

Edwin pokazuje książkę.

Edwinowi. Wszystko wyjdzie na jaw. Dex.

– Co to ma znaczyć?

– Chcę z nim porozmawiać. – Detektyw Kaur podchodzi do stolika, przy którym Dex pozuje do ostatniego zdjęcia, z dwiema wyraźnie podekscytowanymi paniami.

Edwin patrzy, jak policjantka zbliża się do pisarza i rozmawia z nim cicho. Wraca do nich po paru minutach.

– Jesteśmy z nim umówieni na drinka – oznajmia.

W drodze do pubu mijają katedrę, piękną w świetle reflektorów. Edwin przypomina sobie, jak w latach osiemdziesiątych filmowali w niej mszę. Produkcja programów religijnych nie była czymś szczególnie pasjonującym, ale przeżyli kilka podniosłych chwil, zwłaszcza kiedy wyłączono kamery. Przyjemnie znaleźć się tu znowu z przyjaciółmi i kiedy Dex pyta, czego się napiją, Edwin prosi o gin z tonikiem, chociaż od prawie dziesięciu lat nie miał w ustach alkoholu. Detektyw Kaur zamawia sok

pomarańczowy, a Natałka colę, co Edwin odnotowuje z ulgą. Benedict i Dex biorą wyglądające po męsku kufle piwa.

Pub jest przytulny i staroświecki. Zajmują stolik przy oknie i przez chwilę gawędzą o książkach i spotkaniu autorskim. Edwinowi pochlebia, gdy Dex wykazuje zainteresowanie jego dawną pracą w BBC.

– Wciąż liczę, że nakręcą serial o Todzie – dodaje. – Raz czy dwa było już blisko, ale projekt za każdym razem upadał na ostatniej prostej.

– Tak to jest w telewizji – mówi Edwin, chociaż nie zna się na produkcji filmów fabularnych; od ginu z tonikiem trochę łzawią mu oczy.

Detektyw Kaur wyraźnie chce przejść do rzeczy. Nie jest zbyt ciepłą osobą, myśli Edwin. Trudno wyobrazić ją sobie odprężoną na kanapie i oglądającą jakiś stary film. Wciąż wydaje się gotowa do działania.

– Miał nam pan opowiedzieć o Peggy – przypomina.

Dex z namysłem pociąga łyk piwa.

– Mówiłem już chyba, że Peggy była dobrą przyjaciółką mojej matki. Mama potrafiła być trudna. Mało kogo darzyła sympatią. Moje relacje z nią też bywały napięte. Wysłała mnie do szkoły z internatem, kiedy miałem zaledwie osiem lat.

– Ze mną było podobnie – wtrąca Edwin. – Mówią, że to kształtuje charakter, ale zależy, o jaki charakter chodzi.

– Właśnie. – Dex uśmiecha się do niego tak serdecznie, że Edwin czuje, jak się czerwieni. – Przez lata miałem do niej o to żal – podejmuje Dex. – Po studiach wyjechałem do Australii i tam zamieszkałem. Prawie nie kontaktowałem się z rodzicami. Ale gdy wróciłem, matka i ja zbliżyliśmy się do siebie. Ojciec już nie żył, a ja się ożeniłem, trochę złagodniałem. Zacząłem lepiej ją rozumieć. Sama miała traumatyczne dzieciństwo. – Rozgląda się, jakby sprawdzał, czy ktoś ich nie podsłuchuje, ale pub jest prawie pusty, tylko jeden klient siedzi przy barze. – Jako nastolatka

przeżyła wojnę. W Polsce oczywiście były to szczególnie trudne lata. Wiedziałem, że działała w ruchu oporu, ale myślałem, że była tylko łączniczką czy kimś takim. A potem, kilka lat temu, powiedziała mi, że wykonywała wyroki.

– O mój Boże – wyrywa się Benedictowi.

– Super – komentuje Natałka.

– Mówiła, że nazywali ją nastoletnią zabójczynią. Umiała likwidować ludzi na różne sposoby. Ona i Peggy stale o tym rozmawiały. Była jeszcze jedna starsza pani, ale nie pamiętam jej nazwiska. Te ich opowieści!

Edwin czuje się lekko urażony, że Peggy nigdy mu o tym nie wspomniała. Nie miał okazji poznać matki Dexa, Weroniki. Zmarła tuż przed tym, jak zamieszkał w Seaview Court. Ale Peggy mogła mu coś o niej powiedzieć. Nastoletnia zabójczyni. Nie do wiary, że nawet się na ten temat nie zająknęła.

– Mama była dziwna pod wieloma względami – ciągnie Dex. – Opowiadała mi o tym całkiem beznamiętnie. Nie była dumna z tego, co robiła, ale też nie wyrażała skruchy. Tak było i już. Jednak kilka tygodni przed śmiercią wyznała mi, że się boi.

Pograżony we wspomnieniach, wpatruje się w swoje piwo. W końcu detektyw Kaur go ponagla.

– Że się boi?

– Wydawało jej się, że ktoś ją śledzi. Skarżyła się, że jest okradana, że z jej konta bankowego znikają pieniądze. Nigdy wcześniej nie mówiła takich rzeczy. Zaczęła mieć wrażenie, że ludzie przyglądają się jej i ją oszukują. Przypisywałem to jej dzieciństwu. Ale teraz się zastanawiam...

– Zastanawia się pan, czy to nie była prawda? – dopowiada Edwin.

– Kiedy umarła, nie wątpiłem, że była to śmierć z przyczyn naturalnych. W końcu mama miała dziewięćdziesiąt pięć lat. A teraz Peggy

umiera, a pan znajduje w jej książce tę pocztówkę. I ta niewiarygodna historia o uzbrojonym facecie.

– Wiarygodna – prostuje Natałka. – Mogliśmy zginąć.

– Zacząłem o tym myśleć. Może to zabrzmie dziwnie, ale czy mama nie została zamordowana? Czy Peggy nie została zamordowana?

– Według mnie tak – rzuca Natałka.

Dex spogląda na detektyw Kaur, widocznie oczekując od niej zaprzeczenia. Ona jednak pyta:

– Czy pańska matka mówiła komuś o swoich problemach?

Problemach. Bardzo eufemistycznie brzmiące słowo. Tak zawsze Alison kończy cotygodniowy biuletyn: *Dajcie znać, jeśli będziecie mieli jakieś problemy*. Weronika jednak nie miała błahych problemów. Wygląda na to, że się bała.

– Nie – odpowiada Dex. – Nie miała zaufania do władz.

– Peggy tak samo – włącza się Edwin. – Nazywała policjantów kozakami. To powodowało spore poruszenie na naszych sąsiedzkich spotkaniach. – Urywa, bo przypomina sobie o obecności Kaur.

– Proszę się nie przejmować. Gorzej mnie już nazywano – uspokaja go Harbinder. – Czy Peggy wspominała, że coś budzi jej lęk?

Edwin wyteżę pamięć.

– Nie ujmowała tego w taki sposób. Ale całkiem niedawno faktycznie napomknęła, że chyba obserwuje ją dwóch mężczyzn w samochodzie.

Natałka wykonuje nagły ruch, przewracając szklankę z colą. To do niej niepodobne. Zwykle jest opanowana. Edwin ma nadzieję, że to nie wpływ alkoholu, który wypła wcześniej.

– Dwóch mężczyzn w samochodzie? – powtarza, podczas gdy Benedict idzie po ścierkę. – Kiedy Peggy ich zauważyła? Jak wyglądali? W jakim

byli wieku? Jakim jeździli samochodem?

– Nie pamiętam – odpowiada Edwin. – Ale znając Peggy, na pewno to zanotowała. Zapisywała wszystko w swojej *Księdze dochodzeniowej*.

– Przejrzeliśmy jej papiery – mówi detektyw Kaur. – Niczego takiego nie znaleźliśmy. Natomiast trafiliśmy na pański liścik do Peggy – zwraca się do Dexa. – Z prośbą o pomoc w sprawie jakichś rosyjskich szpiegów.

Edwin ma wrażenie, że Dex jest trochę wytracony z równowagi.

– Pewnie był to jakiś żart – odpowiada. – Peggy miała niesamowite poczucie humoru.

To także Edwin pamięta. Lubiała żartować. Czytała „Private Eye”[6] i słuchała w radiu *The Now Show*[7]. Szczególnie bawił ją humor w stylu *Cała naprzód*[8]. „Hańba, hańba! Wszyscy się na mnie uwzięli”[9].

Nagle zdaje sobie sprawę, że Benedict coś do niego mówi.

– Jeszcze jednego drinka, Edwin?

To miły wieczór. Edwinowi odbiera rozum i zamawia drugi gin z tonikiem, ale kiedy proponuje, że postawi trzecią kolejkę, Dex oznajmia, że musi już iść. Ma kierowcę, który odwiezie go do Shoreham, co wyraźnie imponuje Benedictowi.

– Przecież ty też masz kierowcę – zwraca mu uwagę Natałka. – Mnie!

W drodze powrotnej Edwin rozmyśla o zaśnieżonych lasach, bombach ukrytych w chlebakach, zrujnowanych domach i kościołach, o „nastoletniej zabójczyni”, o Peggy w jej różowym berecie, z błyszczącymi oczami. Wyobraża sobie, jak ona i Weronika siedzą przy oknie w Preview Court i rozmawiają o zbrodniach. W jego wyobraźni ich twarze stają się mroczne i bardziej złowrogie.

Chyba zasypia, bo nagle dociera do niego, że samochód się zatrzymał.

– Jesteś w domu, Edwin – mówi Natałka.

Ale Preview Court nigdy tak naprawdę nie będzie jego domem. Zwłaszcza teraz, gdy nie ma Peggy.

– Dziękuję za podwiezienie, Natałko.

Stając na chodniku, unosi kapelusz, ale ona już wycofuje samochód z podjazdu. Benedict macha do Edwina z fotela dla pasażera.

Edwin ma nadzieję, że drzemka pomogła mu trochę otrzeźwieć, ale musi trzy razy wstukiwać kod na klawiaturze domofonu, zanim udaje mu się dostać do budynku. Powoli idzie po schodach i ma podobny problem z wetknięciem klucza do zamka w drzwiach. Po wejściu do mieszkania nalewa sobie szklankę wody, chociaż wie, że przez to będzie musiał w nocy chodzić do toalety. Pijąc wodę, wygląda przez okno. Nie ma widoku na morze, mimo że pośrednicy, którzy pokazywali im nieruchomość, twierdzili, że jest: „boczny”. Okno w kuchni wychodzi na parking, oświetlony o tej porze lampami o żółtym jak siarka świetle. Gdy Edwin tak patrzy, po murku wolno przechodzi czarny kot. Miał kiedyś piękną kotkę syjamską o imieniu Barbra. Chciałby znowu mieć kota, ale gdzie by go wypuszczał? Może powinien wziąć małego psa, na przykład terierka albo pudła. Byłby to dobry powód, żeby wyjść z domu, przespacerować się promenadą. Peggy kiedyś przez godzinę naliczyła trzydzieści pięć osób spacerujących z psami. Jak wspomniał, notowała wszystko: nazwiska, daty, godziny. Kochana Peggy. Wciąż trudno mu uwierzyć, że odeszła.

Edwin przygląda się, jak kot kończy obchód, zeskakuje z murku i znika w ciemnościach nocy. Nie, psy są zbyt zależne od człowieka. Co takiego powiedział mu kiedyś Nicky? „Ludzie to albo koty, albo psy. Ja jestem psem, ochoczym i kochającym. Ty to stuprocentowy kot, Edwin”. Ale Nicky już nie żyje. Jeszcze jeden, którego należy dopisać do listy.

Edwin powoli się myje, szczotkuje zęby i wkłada piżamę. Kiedy wreszcie kładzie się spać, łóżko trochę wiruje, co jest niepokojące, ale w sumie całkiem przyjemne. Zasypia głęboko i budzi go głos spikera Radio 4, informujący, że w nocy zmarł nagle pisarz Dex Challoner.

[6] „Private Eye” – brytyjski opiniotwórczy dwutygodnik satyryczny.

[7] *The Now Show* – satyryczny radiowy program informacyjny.

[8] *Cała naprzód (Do dzieła)* – seria komedii angielskich, emitowanych w latach 1958–1978.

[9] Kwestia Juliusza Cezara w *Kleopatro, do dzieła*, uważana za najzabawniejszy tekst w historii filmu.

Rozdział 12

Benedict: motyw i okazja

Dowiaduje się o tym, dopiero kiedy w Coffee Shack o dziewiątej pojawia się Edwin. W sobotnie poranki w kawiarni zawsze panuje ruch, a do tego Benedict ma lekkiego kaca. Czy można go dostać po dwóch kuflach piwa i małym kieliszku białego wina? Jego starszy brat, rugbysta, pewnie by go wyśmiał, ale minęło wiele lat, odkąd Benedict napił się tyle, żeby nie móc usiąść za kierownicą. Wczoraj wieczorem towarzyszyła temu przyjemna atmosfera męskiego kumpelstwa.

– A ty, Benedict, czego się napijesz? – zapytał go Dex. – Piwa?

– Tak, poproszę – odpowiedział, a kiedy przyszła jego kolej, by pójść po drinki, nie mógł się zdobyć na to, żeby zamówić małe.

Teraz trochę boli go głowa i cappuccino, które robi dla klientów, nie spełniają zasad uważności, jak by sobie tego życzył.

Od razu zauważa, że Edwin też jest trochę nieswój. Przede wszystkim nie ogolił się i jego siwy zarost jest dla Benedicta dużym zaskoczeniem. Ma na sobie sweter zamiast koszuli z muszką i krzywo zapiętą marynarkę.

– Co tam? – pyta Benedict, nakładając pokrywkę na kubek z latte na wynos.

„Lubię bardzo gorącą”, zaznaczyła stanowczo klientka.

Edwin czeka, aż kobieta odbierze swoją gorącą kawę. Potem się nachyla. Ma zaczerwienione oczy. Oby tylko nie był chory, myśli Benedict.

– Dex Challoner nie żyje.

– Co takiego?

– Właśnie usłyszałem w wiadomościach. „Znaleziono go martwego w jego domu nad morzem”.

– Jezus, Maria i Józefie święty... – To modlitwa, upomina samego siebie, nie wykrzyknik.

– No właśnie. – Edwin teraz, gdy już podzielił się tą szokującą nowiną, wydaje się spokojniejszy.

– Czy mówili, jak to się stało?

– Nie, ale przecież wczoraj, kiedy się rozstawaliśmy, był w doskonałym zdrowiu.

– Dzwoniłeś do Natalki? I do detektyw Kaur?

– Nie. Przyszedłem najpierw do ciebie.

Benedict mimo woli czuje się pochlebiony. Dzwoni do Natalki, a gdy ta nie odbiera, zostawia jej wiadomość na poczcie głosowej. Potem robi Edwinowi flat white z dodatkową porcją cukru. Ostatnio zdarza się to coraz częściej. Ile czasu minęło, odkąd Edwin poczęstował go słodką kawą w wytwornej filiżance?

Starszy pan, siedząc przy stole piknikowym, upija łyk kawy. Benedict stawia przed nim brownie i kiedy wreszcie ruch w kawiarni ustaje, dzwoni do detektyw Kaur.

„Nie mogę w tej chwili odebrać”, słyszy znajomy głos, już nie taki zasadniczy. Wystukuje drugi numer z wizytówki, ale telefon odbiera mężczyzna.

– Detektyw sierżant Neil Winston.

To musi być jej pomocnik. Ten, któremu poleciła czekać u Peggy na techników kryminalistyki.

– Czy jest detektyw sierżant Kaur?

– W tej chwili jej nie ma. A kto dzwoni?

– Benedict Cole. Znajomy Peggy Smith.

Następuje pauza.

– Przekażę jej, żeby do pana zatelefonowała.

– Czy detektyw sierżant Kaur zajmuje się śmiercią pana Dexa Challonera? – pyta Benedict.

– Niestety, nie mogę udzielić tej informacji – odpowiada Neil. – Skontaktujemy się z panem.

Gdy tylko połączenie zostaje przerwane, dzwoni Natałka.

– Za godzinę spotkanie na szczycie – zarządza. – Jak tylko skończę poranne wizyty. Wygląda na to, że mamy do czynienia z seryjnym zabójcą. – W jej głosie brzmi niemal ekscytacja.

Natałka zjawia się w Coffee Shack o dziesiątej i wnosi wręcz namacalną energię i zapach. Ma na sobie bluzę dresową i legginsy, wygląda, jakby wracała z treningu w ekskluzywnej siłowni, a nie z pracy, w której pomaga starszym ludziom umyć się i ubrać.

– Ale się dzieje – mówi do Benedicta. – Musimy zacząć działać, zanim on znowu zabije.

– W jaki sposób działać? – pyta Benedict, robiąc dla niej jak zwykle cappuccino na podwójnym espresso.

Zauważa, że pod jej wpływem, jakby przez nią zahipnotyzowany, zaczął myśleć, że tworzą grupę zwalczającą przestępczość. Dekoruje piankę serduszkami.

– Trzeba się zastanowić. – Natałka upija łyk kawy, znowu nie zwracając uwagi na dekorację. – Gdzie Edwin?

– Poszedł do domu, żeby się ogolić. Powiedziałem, że przyjdziemy do niego. Mogę na godzinę zamknąć kawiarnię.

Przechodzą przez przybrzeżną drogę, niosąc kawy i paczkę trochę pokruszonych brownie. Benedict zostawia Harbinder wiadomość, gdzie będą, wątpi jednak, czy policjantka znajdzie czas, żeby się z nimi skontaktować. Wyobraża ją sobie na miejscu przestępstwa: obrys zwłok na podłodze, ludzie w białych kombinezonach, czarno-żółto taśma, okrzyki: „Znaleźliśmy ślad buta / narzędzie zbrodni / DNA!”. Ale jak dotąd działania prawdziwej policji są trochę rozczarowujące, nie tak jak tej, którą ogląda się w telewizji.

Edwin otwiera drzwi, już bardziej podobny do siebie. Ogolił się, jest w koszuli, muszce, rozpinanym swetrze i kapciach, spodnie ma wyprasowane. Siadają z kawą i brownie przy okrągłym stole pod oknem. Można poczuć się jak na zebraniu biznesowym – Edwin przygotował kartki i długopisy – łatwo zapomnieć, że umarł człowiek.

– Do widzenia, Dex! – zawołał wczoraj wieczorem Benedict i stojąc na krawężniku, pomachał do Challonera, kiedy ten wsiadał do swojego samochodu z kierowcą. – Powodzenia z książką!

– Pa, Ben! – odpowiedział Dex, po przyjacielsku skracając jego imię. – Do zobaczenia.

Ale już nikt się z nim nie zobaczy.

– Przeanalizujmy to logicznie – proponuje Natałka.

Rysuje linie na kartce. Ma pochyłe zamaszyste pismo, które wygląda obco, myśli Benedict.

10 września, poniedziałek - śmierć Peggy.

17 września, poniedziałek - pogrzeb. Incydent z uzbrojonym mężczyzną.

21 września, piątek - spotkanie autorskie w Chichester.

22 września, sobota - Dex Challoner zostaje znaleziony martwy.

– Mógł umrzeć z przyczyn naturalnych – zauważa Benedict, ale tylko dla porządku.

Jakie to ekscytujące, zobaczyć ostatnie wydarzenia tak spisane. *Incydent z uzbrojonym mężczyzną*. Już zapomniał, jaki był wtedy przerażony.

– Czy rzeczywiście? – odzywa się Natałka. – Jakiś człowiek kradnie książkę, grożąc bronią, a tydzień później Dex Challoner zostaje znaleziony martwy. Naprawdę sądzisz, że to zbieg okoliczności?

– „Lecz o dniu owym i godzinie nikt nie wie – cytuje Benedict, wiedząc, że może tym zirytować Natałkę – nawet aniołowie niebiescy, tylko sam Ojciec”.

– Ewangelia według świętego Mateusza, rozdział dwudziesty czwarty[10] – wtrąca Edwin.

– Wiem o Bogu więcej niż ty – odcina się Natałka, rzucając jedną z tych swoich ripost, na które nie ma odpowiedzi. – Pytanie brzmi: czy tym napastnikiem mógł być Dex? Budowa ciała się zgadza.

– I błyszczące buty – dodaje Benedict. – Wczoraj zwróciłem na nie uwagę.

– Ale po co miałyby kraść książkę? – pyta z namysłem Edwin. – Nic z tego nie rozumiem. – Z rozdrażnieniem odgryza kęs brownie.

– Odpowiedź może zawierać ta książka – podsuwa Benedict. – Kupiłem wczoraj *Morderstwo w wieżowcu*. Postaram się też zdobyć *Poszcząc, podziękuj Bogu* Sheili Atkins.

– Czytanie nic nie da. Musimy działać – oświadcza Natałka. – A inni autorzy, ci, którzy dedykowali Peggy swoje książki? Oni również mogą być

w niebezpieczeństwie.

– Zakładasz, że w tym wszystkim centralną postacią jest Peggy – znowu odzywa się Edwin. – A co z matką Dexa? Wykonywała wyroki. Nastoletnia zabójczyni. A jeśli ona i Dex padli ofiarami zemsty?

– W takim razie dlaczego zginęła Peggy? – mówi Natalka. – Po co ktoś miałby włamywać się do jej mieszkania i kraść książkę?

– Może zrobił to jej syn, Nigel? – sugeruje Edwin. – Wygląda na to, że bardzo mu zależy, żeby szybko spakować książki i je wywieźć. A na pogrzebie powiedział mi, że służył w wojsku. Co może oznaczać, że ma broń.

Benedict nie sądzi, żeby dawni żołnierze mogli posiadać broń. Ale przecież zawsze unikał wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z armią, nawet skautingu. Jego brat, Hugo, wręcz przeciwnie, należał w gimnazjum do CCF[11]. Potem poszedł na uniwersytet, skończył ekonomię i zaczął zarabiać w City kupę forsy. Nawet jego siostra, Emily, jest bardziej męska od Benedicta. Grała w hokeja, w reprezentacji hrabstwa, a teraz uczy wychowania fizycznego w prywatnej szkole.

– Jesteś z nami, Benny? – Natalka przywołuje go do rzeczywistości.

– Musimy się zastanowić, kto zyskał na śmierci Dexa – mówi Benedict. – Oraz na śmierci Peggy. Kto miał motyw i okazję.

Natalka i Edwin wyraźnie są pełni podziwu, co Benedict odnotowuje z satysfakcją. Nie zdradza im, że tę metodologię zaczerpnął od Jessiki Fletcher z *Napisała: Morderstwo*.

– Kto odziedziczy majątek Dexa? – podejmuje Natalka. – Założę się, że był bogaty.

– Na pisaniu niekoniecznie dobrze się zarabia. – Benedict myśli o Francisie, który jest autorem kilku dzieł na temat Ducha Świętego.

Natalka zagląda do smartfona. Przewija strony oboma kciukami jak nastolatka.

– Był żonaty – informuje. – Jego żona ma na imię Mia. Jest aktorką. Gra w telewizyjnym serialu medycznym.

– *Szpital Paradise* – podsuwa Edwin, zdradzając się z tym, że w ciągu dnia siedzi przed telewizorem. – Doktor Diaz.

– Czyli pewnie ma własne pieniądze – kwituje Benedict. – A Peggy? Kto skorzysta na jej śmierci?

– Nigel – odpowiadają jednocześnie Natalka i Edwin.

– I on kradłby książkę? – rzuca sceptycznie Benedict. – I tak wszystkie należą teraz do niego.

– Mógł być szpiegiem – zauważa Edwin. – W Cambridge studiował języki obce. To zawsze wskazuje na kogoś takiego.

– W Ukrainie szpiegami bywają duchowni – rzuca Natalka. – Czyli tacy jak ty, Benny.

– Tylko że ja już nie jestem duchownym. – Benedict czuje się urażony, mimo że powiedziała do niego „Benny”. – Sprzedaję kawę.

– To świetna przykrywka – odparowuje Natalka.

Benedict już ma odpowiedzieć, gdy rozlega się zdecydowane pukanie do drzwi. Wszyscy troje spoglądają po sobie.

– Kto tam?! – pyta głośno Edwin.

– Detektyw sierżant Kaur.

Wszyscy zrywają się, żeby otworzyć drzwi. Natalka jest najszybsza.

Harbinder Kaur ma na sobie czarną marynarkę, przypominającą strój służbowy, i bardziej niż zwykle wygląda na policjantkę. Edwin idzie do kuchni, żeby zaparzyć jej kawę, a Benedict podsuwa brownie.

– Dziękuję. – Detektyw Kaur częstuje się ciastkiem. – Umieram z głodu. Nie zdążyłam zjeść śniadania.

– Co się stało? – pyta Natałka. – Czy to morderstwo?

Kaur się waha, jakby nie była pewna, ile może im wyjawić.

– Tak, to z całą pewnością morderstwo – przyznaje w końcu. – Strzał w głowę.

Stojący w progu kuchni Edwin wydaje cichy okrzyk. Benedict już chce się przeżegnać, ale opuszcza ręce, widząc, że Natałka i Kaur patrzą na niego.

– Kiedy to się wydarzyło? – pyta Natałka.

– Sprzątaczką znalazła go dziś rano, gdy przyszła do pracy – wyjaśnia Kaur. – Wygląda na to, że został zastrzelony, kiedy wczoraj wieczorem wrócił do domu, bo nadal był w tym samym ubraniu. Wydaje się, że niczego nie ukradziono, ale zwrócę szczególną uwagę na książki.

Edwin przynosi kawiarę i jakieś wykwintne ciastka. Detektyw Kaur wypija kawę, nie czekając, aż wystygnie.

– Dziękuję, Edwinie. Przedstawiciele mediów koszmarne utrudniają nam robotę, już się tam od nich roi. Ktoś dał im cynk.

– Ja dowiedziałem się o tym z *Today* – mówi Edwin.

– Tak, to morderstwo, które musiało zainteresować Radio Four – zauważa Kaur. – Autor kryminałów zastrzelony.

– Jakież tropy? – podpytuje Benedict.

Nie do wiary, że zadaje pytanie rodem z *Napisala: Morderstwo*. Nie może opanować podniecenia.

– Nic nie mogę zdradzić – odpowiada detektyw Kaur. – W ogóle nie powinnam wam nic mówić. Jeśli informacja, że zginął od strzału w głowę, się rozniesie, będę musiała zabić was wszystkich.

Wygląda, jakby była do tego zdolna.

– Przyjechałam, żeby cię ostrzec, Edwinie – ciągnie już innym tonem. – Budynek strzegą nasi ludzie w cywilnych ubraniach i tamten człowiek z bronią na pewno nie wróci, ale warto, żebyś zachował szczególną ostrożność. Nie wpuszczaj nikogo, kto nie wylegitymuje się dowodem tożsamości. Natalka i Benedict, wy także. Poprosiłam lokalne posterunki, żeby miały oko na wasze miejsca zamieszkania.

– Wczoraj pytali o mnie dwaj mężczyźni – odzywa się Natalka.

Benedict i Edwin patrzą na nią. Jest bardzo poważna, obraca srebrny pierścionek, który zawsze nosi na małym palcu. Wydaje się wręcz przestraszona.

Detektyw Kaur chyba to wyczuwa.

– Jak to pytali o ciebie? – pyta łagodnie.

– Debbie, u której mieszkam, powiedziała, że przyszli i chcieli się ze mną zobaczyć – tłumaczy Natalka. – Myślała, że to Ukraińcy. Mówili, że chcą mi zrobić niespodziankę.

– I nie domyślasz się, kim mogli być?

– Nie. – Natalka wciąż obraca pierścionek na palcu.

Nie mówi prawdy – Benedict nagle nabiera co do tego pewności.

– Peggy twierdziła, że obserwują ją dwaj mężczyźni – zauważyła Edwin. – Siedzący w samochodzie pod oknami jej mieszkania, przed kafejką Benedicta.

– Mnie też o tym wspominała – potwierdza Benedict – ale lubiła... zbyt dramatyzować.

– A teraz nie żyje – podsumowuje Natalka. – To wystarczająco dramatyczne, nie sądzisz?

– Nie wiemy, czy Peggy zamordowano – prostuje znowu Kaur. – Chociaż muszę przyznać, że sprawa z tym uzbrojonym mężczyzną, który wtargnął do jej mieszkania, jest podejrzana. Zwłaszcza w kontekście śmierci Dexa.

Na to milkną wszyscy. Benedict myśli o jej słowach: „Strzał w głowę”. Usiłuje sobie wyobrazić, jak to mogło być; na pewno inaczej niż w scenariuszu z Cluedo: „w bibliotece, rewolwerem”.

– Rozmawialiście z żoną Dexa? – pyta Natałka, chyba myśląc o tym samym co on. – Zwykle mordercą jest partner albo partnerka, prawda? Gdzie ona była wczoraj w nocy?

– Twierdzi, że w swoim londyńskim mieszkaniu – odpowiada Kaur.

– To straszne – zauważa Benedict. – Mieli dzieci?

– Dwoje, dziesięć i czternaście lat.

– W tym wieku stracić jedno z rodziców... – mówi Benedict i wzdycha.

– Ja nie widziałam ojca od dwunastego roku życia – włącza się Natałka. – Żadna strata. – Odrzuca włosy na plecy i zwraca się do detektyw Kaur: – I co teraz zrobisz, Harbinder?

Benedict nie może uwierzyć, że Natałka mówi do policjantki po imieniu, choć przecież wczoraj wieczorem ona sama zaproponowała to im wszystkim.

– Wracam do komisariatu, na odprawę – odpowiada Kaur, tłumiąc ziewnięcie. – Potem będę sprawdzać, sprawdzać i jeszcze raz sprawdzać. A później pojedę do domu, żeby zobaczyć, jak czuje się moja mama, i nakłonić braci do większej pomocy.

– A jak ona się ma? – pyta Benedict.

– Nie najgorzej. Bardzo podobało jej się w szpitalu. Można by pomyśleć, że spędziła dzień w spa. Jak wróciła do domu, od razu upiekła

ciastka dla wszystkich pielęgniarek i ładnie zapakowała. Doprowadza mnie do szału.

[10] Wszystkie cytaty biblijne według Biblii Tysiąclecia.

[11] Combined Cadet Force (CCF) – organizacja młodzieżowa, działająca w Wielkiej Brytanii pod egidą Ministerstwa Obrony.

Rozdział 13

Harbinder: ta druga połowa życia

Harbinder tak naprawdę jedzie przesłuchać żonę Dexa Challonera. Nie wie, dlaczego nie powiedziała o tym nowym znajomym. Pewnie dlatego, że to sprawa policji, a oni są osobami postronnymi, i po części dlatego, że wykazują nią zbyt duże zainteresowanie, zwłaszcza Natałka. Są w to zamieszani z powodu człowieka z bronią, ale lepiej, żeby wszystkiego nie wiedzieli.

Neil czeka już na nią pod domem Dexa w Millionaires' Row. Harbinder zastanawia się, czy flaga z celownikiem zostanie opuszczona do połowy masztu.

- Żona właśnie przyjechała – informuje Neil. – Podwiózł ją ktoś z Met.
- Czy wie, że chcemy z nią porozmawiać?
- Nie mam pojęcia. Chyba powinna się tego spodziewać, prawda?

Mia Hastings jednak najwyraźniej nie spodziewa się wizyty ludzi z wydziału policji West Sussex, szumnie nazywanego dochodzeniowym. Wydaje się zaskoczona, kiedy Harbinder i Neil wchodzą do pokoju z widokiem na morze, pełnego regałów z książkami. Kobieta, która siedzi obok niej, także patrzy na nich jak na intruzów. Przedstawia się jako Helen

Marks, funkcjonariuszka do spraw kontaktu z rodzinami ofiar z Policji Metropolitalnej.

– Świetnie, że pani tu jest, Helen – mówi Harbinder, chociaż wolałaby mieć do czynienia z jej lokalnym odpowiednikiem. – Może pani zostać przy naszej rozmowie z Mią?

„Rozmowa” zawsze brzmi lepiej niż „przesłuchanie”.

– Tak – odpowiada Helen tonem, w którym wyraźnie słycać groźbę.

Harbinder dobrze zna Mię Hastings, ponieważ gra ona w ulubionym serialu medycznym jej matki. Wręcz trudno pamiętać, że to nie doktor Diaz, która ostatnio wyszła z uzależnienia od narkotyków i była prześladowana przez byłego pacjenta o morderczych skłonnościach. Jeszcze tego brakowało, żeby zabito pani męża, chciałaby powiedzieć Harbinder. A Mia to po prostu czterdziestoparoletnia aktorka, szczupła kobieta z krótkimi ciemnymi włosami i dużymi oczami z grubo wytuszowanymi rzęsami. Ma na sobie nieco za duży sweter i lekko drży.

– Nie jest pani zimno? – zagaduje Harbinder. – Dostyc tu chłodno.

Dzień jest pogodny, ale pokój nie ogrzał się od słońca. Helen Marks jest w żakiecie.

– Dex w ciągu dnia nigdy nie włączał ogrzewania – mówi Mia. – Miał dobre krążenie. – Do oczu napływają jej łzy.

– Przykro mi. – Harbinder siada obok niej. – Czuje się pani na tyle dobrze, żeby odpowiedzieć na kilka pytań?

Mia patrzy na nią i jej oczy w bladej twarzy wydają się jeszcze większe.

– Czy Dex został zamordowany? Nie mieści mi się to w głowie.

– Jeszcze nie wiemy, co zaszło – odpowiada Harbinder. – Dlatego pierwsze godziny są takie ważne. Musimy poskładać wszystko w całość.

– To jak układanka – dodaje Neil; drap, drap, machnięcie ogonkiem.

– Czy mogę go zobaczyć? To znaczy Dexa? – Mia kieruje to pytanie do Helen.

– Zawieziemy tam panią – obiecuje Harbinder. – Zaraz po tej rozmowie.

Sprzątaczką, Reyna, wprawdzie zidentyfikowała ciało, ale potrzebna jest jeszcze identyfikacja dokonana przez najbliższą osobę. Harbinder ma nadzieję, że w kostnicy popracowali trochę nad Dexem.

– Kiedy ostatnio kontaktowała się pani z mężem? – pyta.

– Wczoraj o wpół do dziesiątej wieczorem – odpowiada Mia. – Dostałam od niego esemesa, że spotkanie poszło dobrze i że idzie się napić ze znajomymi.

Neil spogląda oskarżycielsko na Harbinder, ona jednak nie uważa, że to właściwa pora, by ujawnić się jako jedna z osób, z którymi Dex poszedł na drinka.

– Później już nie? – dopytuje.

Koroner ustalił, że Dex nie żył od pięciu do siedmiu godzin. Reyna odkryła jego ciało o siódmej, zaraz po przyjściu. Harbinder była świadkiem, jak Dex odjeżdżał z Chichester o jedenastej poprzedniego wieczoru; musiał być w domu pół godziny później. To znaczy, że zginął między dwunastą a drugą w nocy. Przymuszczałnie stało się to bliżej dwunastej, bo nie zdążył się przebrać i szklanka stojąca na stoliku, z podwójną whisky, była prawie pełna.

– Nie – odpowiada Mia. – Dex wie, że kiedy jestem sama, wcześniej kładę się spać. Zwykle w piątek przyjeżdża do domu, ale miał to spotkanie autorskie, więc... – Urywa i ociera oczy.

Helen poklepuje ją po ramieniu.

– O której godzinie poszła pani wczoraj spać? – pyta Harbinder.

– Około dziesiątej. Dzieci położyły się mniej więcej o tej samej porze. W piątki i soboty pozwalam im posiedzieć trochę dłużej. Obejrzałam film

na iPadzie, a potem poszłam do łóżka. O jedenastej chyba już spałam.

Nie byłoby niewykonalne, żeby Mia przyjechała do Shoreham, kiedy dzieci już spały, zastrzeliła męża i wróciła, myśli Harbinder. To możliwe, ale bardzo mało prawdopodobne.

– Gdzie teraz są dzieci? – pyta.

– Z moją matką. Nie mogłam zabrać ich ze sobą. To byłby dla nich za duży wstrząs.

– Jakie Dex sprawiał wrażenie, gdy rozmawiała z nim pani wieczorem?

– Był w dobrej formie. Liczył, że *Morderstwo w wieżowcu* utrzyma się na pierwszym miejscu listy bestsellerów przez drugi tydzień. Dowiemy się tego we wtorek, a jego już z nami nie będzie. – Znowu zbiera jej się na płacz.

– Mia. – Harbinder pochyła się i pyta najłagodniej, jak potrafi: – Czy Dex wspominał kiedykolwiek o pewnej kobiecie, Peggy Smith?

Niemal spodziewa się zaprzeczenia, więc jest zaskoczona reakcją Mii.

– Tej starszej pani z budynku nad morzem? Tak, spotkałam ją raz czy dwa, kiedy odwiedzaliśmy Weronikę.

– Peggy pomagała mu w pisaniu książek, prawda?

Mia najeża się lekko.

– Nie nazwałabym tego pomocą. Dex mawiał, że dobrze jej idzie wymyślanie sposobów zabijania. – Patrzy na Harbinder. – Peggy niedawno umarła, prawda? Chyba nie sądzi pani, że... Czy to ma jakiś związek z jego śmiercią?

– Tak jak mówiłam, na razie próbujemy złożyć wszystko w całość – odpowiada Harbinder. – Ale ostatnio nastąpiło kilka dziwnych zdarzeń. Ktoś wdarł się do mieszkania Peggy i ukradł książkę pod tytułem *Poszcząc, podziękuj Bogu*. To stary kryminał. Słyszała pani o nim?

– Nie. Ale właściwie nie czytuję kryminałów. Z wyjątkiem tych Dexa, oczywiście.

– Znaleźliśmy także dziwną pocztówkę w jednej z książek napisanych przez pani męża. Czy Dex nie dostał listu z groźbami od jakiegoś czytelnika? Czegoś, co wykraczałoby poza normę?

– Żeby pani wiedziała, jacy wariaci do nas pisują – odzywa się Neil.

Uśmiecha się do Mii, lecz ona odpowiada tylko skrzywieniem drżących ust. Czasami bywa przydatny, niech sobie stroszy te swoje wąsiki.

– Dex otrzymywał dużo maili od fanów – zaczyna Mia – ale odpisywała na nie jego asystentka, która prowadzi także konto facebookowe Toda France’a.

– Kto jest tą asystentką? – pyta Harbinder.

– Cathy Johnson – mówi Mia, ale nie podaje danych kontaktowych.

Harbinder sama je później zdobędzie.

– A Twitter? – ciągnie. – Czytaliśmy tweety Dexa.

– Przeważnie pisała je Cathy. Choć od czasu do czasu sam coś zamieszczał.

Harbinder przypomina sobie zdjęcie biurka w nieładzie – #pisarzprzypracy. Jeśli wstawił je Dex, to czy zdawał sobie sprawę, że zdradza swój adres zamieszkania?

– Czy wydawca Dexa już wie? – Nie chce dodawać: „o morderstwie”.

– Zawiadomiłam Jelli – odpowiada Mia. – Agentkę literacką. Była wstrząśnięta. Poinformuje wydawcę.

– Jelli?

Harbinder pamięta to imię, ale chyba nie jest prawdziwe?

– Zdrobnienie od Angelica – wyjaśnia Mia.

Harbinder notuje informację. Będzie musiała porozmawiać z tymi ekscentrycznymi ludźmi.

– Czy to już wszystko? – pyta Helen. – Pani Hartings chciałyby zobaczyć ciało męża.

Mia zaczyna szlochać, zginając się wpół, jakby z bólu. Helen, chociaż to jej wina, spogląda oskarżycielsko na Harbinder, a ta mówi:

– Oczywiście. Zawieziemy panią Hartings. Poproszę naszego funkcjonariusza od kontaktu z rodzinami ofiar, żeby czekał tam na nas.

– A więc żona jest niewinna? – pyta Donna.

Odprawę mają dopiero o piątej. O czwartej zamówiła pizzę i na stole wciąż leżą zatłuszczone pudełka. Neil chętnie by się do nich zabrał, to widać.

– Tak sędzę – odpowiada Harbinder. – Teoretycznie mogła to zrobić, ale jakoś mi się nie wydaje.

– To oczywiste, że nie ma z tym nic wspólnego – odzywa się Neil. – Była w rozsypce.

Zawsze jest skłonny uwierzyć ładnej buzi, ale rzeczywiście Mia Hastings wydawała się wstrząśnięta śmiercią męża. W kostnicy wręcz rzuciła się na jego ciało; coś takiego Harbinder widywała tylko na filmach. Maggie, funkcjonariuszce od kontaktów z rodzinami ofiar, udało się wyprowadzić ją na zewnątrz dopiero po dziesięciu minutach.

– Widziałas go wczoraj wieczorem – podejmuje Donna. – Jakie sprawiał wrażenie?

– Nie zauważyłam nic szczególnego – odpowiada Harbinder. – Wystąpił na spotkaniu autorskim, podpisał kilka książek, a potem poszedł z nami na drinka.

– Niektórym to się powodzi – komentuje Neil, jakby sam nigdy nie był w pubie.

– Czy wśród publiczności na spotkaniu był ktoś, kto wyglądał podejrzanie? – pyta dalej Donna.

Harbinder się spóźniła i pamięta, że widziała same siwe głowy.

– Absolutnie nie.

Donna znajduje okruch pizzy i żuje go w zamyśleniu.

– Wczoraj wieczorem Dex opowiadał o matce – dodaje Harbinder. – Miała na imię Weronika i najwyraźniej była szpiegiem podczas wojny. Nazywano ją nastoletnią zabójczynią. Myślę, że to może być jakiś trop. Matka Dexa znała Peggy Smith.

– To trochę naciągane – mówi Donna – ale porozumiem się z wywiadem. Powinni mieć jakieś informacje.

Harbinder jednak wątpi, żeby z tego mrocznego okresu w historii pozostały jakieś dane wywiadowcze. Przypominają jej się opowieści dziadków o podziale Indii; o rodzinach, które już nigdy się nie połączyły, o niewyjaśnionych zbrodniach, o miejscach, które po prostu zniknęły z mapy. To było w 1947 roku, zaraz po wojnie. Czy żyje jeszcze ktoś, kto miałby wspomnienia związane z działalnością polskiego ruchu oporu? Czy Weronika nie należała do ostatnich bojowników o wolność?

– Jakież informacje od techników kryminalistyki? – Donna na szczęście wraca do teraźniejszości.

– Strzelono mu w głowę – odpowiada Neil. – Tylko raz, więc mogła to być robota zawodowca. Nie znaleziono broni, ale rana wskazuje, że był to pistolet półautomatyczny. Brak śladów włamania.

– Czyli Dex musiał znać zabójcę – kwituje Donna.

– Chyba że ten wcisnął mu jakąś przekonującą gadkę – zauważa Harbinder. – Domy są dobrze strzeżone.

– Monitoring?

– Mnóstwo kamer. Choć większość z nich nie działa, łącznie z tą przed drzwiami do domu Dexa. Sprawdzamy to jeszcze. Może kamery u sąsiadów coś zarejestrowały. Tych ludzi na razie nie ma, wyjechali na urlop.

– Dex został zastrzelony, kiedy siedział na kanapie – ciągnie Neil – i kula utkwiała w zagłóWKu. To, że nie wstał, świadczy o tym, że nie czuł się zagrożony.

– Może zabójca kazał mu usiąść – mówi Donna. – To brzmi prawie jak akt zemsty.

Harbinder również brała to pod uwagę, ale nie jest pewna, czy pod wpływem opowieści o młodej zabójczyni nie poniosła jej wyobraźnia.

– Dex miał obok siebie telefon – zaznacza. – To by wskazywało, że właśnie do kogoś dzwonił albo wysyłał esemesa.

– Albo grał w *Panda Pop* – rzuca Neil.

Harbinder go ignoruje.

– Kontaktowałam się z siecią komórkową, ale miał iPhone'a, a Apple często odmawia podania hasła.

– Może żona je zna – podsuwa Donna. – To zwykle data urodzin dziecka czy coś takiego. Co robicie jutro?

Harbinder zerka na sporządzoną przez siebie listę nazwisk.

– Mamy spotkać się z wydawcą i osobą zajmującą się promocją książek Dexa. I z jego agentką literacką.

– Sądzisz, że dowiemy się od nich czegoś, co może nam się przydać?

– Nie wiem. Ale w tej sprawie wciąż pojawiają się książki. To one łączą Peggy i Dexa – mówi Harbinder. – No i to, że Peggy przyjaźniła się z jego matką.

– A powieść, którą zabrał człowiek z pistoletem? O tym dziwnym tytule?

– *Poszcząc, podziękuj Bogu*. Dex powiedział, że jej nie czytał.

– A ty?

– Ja też nie. Nie mam za dużo czasu na czytanie... z mamą i całą resztą.

– A inni autorzy? – pyta Donna. – Ci, którzy wymieniali Peggy w swoich książkach. Skontaktowaliście się z nimi?

– Mam to na liście spraw do załatwienia – odpowiada Harbinder.

Siedząc znów przy biurku, patrzy na listę. Według Natalki i Benedicta Peggy Smith wymieniało w swoich książkach jeszcze troje pisarzy: J.D. Monroe, Lance Foster i Eliza Bennington. Zaczyna od pierwszego alfabetycznie nazwiska i kontaktuje się z wydawcą Bennington. Dowiaduje się, że jest ono pseudonimem. Autor to mężczyzna, nazywa się Sage McGannon i w tej chwili przebywa w „ośrodku dla pisarzy na południu Francji”. Fajna praca, dobrze mieć taką, myśli Harbinder. Następnie próbuje znaleźć Lance’a Fostera, ale jego wydawca, Cassowary, najwyraźniej już nie istnieje. Więcej szczęścia ma z J.D. Monroe, która na swojej stronie internetowej zamieszcza adres mailowy. Harbinder pisze do niej, podając numer swojej komórki, i dziesięć minut później odbiera telefon.

– Detektyw sierżant Kaur? Mówi Julie Monroe.

Głos jest ochrypły i młodszy, niż się spodziewała.

– O, dzień dobry. Dziękuję, że pani dzwoni. Prowadzimy śledztwo w sprawie śmierci Dexa Challonera.

– O mój Boże – mówi Julie Monroe. – To straszne. Niewiarygodne.

– Znała go pani?

– Trochę. Widywałam go na festiwalach literackich i innych takich wydarzeniach. Był zawsze bardzo sympatyczny, bardzo życzliwy. Nie mogę uwierzyć, że... odszedł.

„Odszedł”, można i tak to nazwać.

– Pani Monroe – zaczyna Harbinder. – Rozumiem, że znała pani również Peggy Smith.

– Peggy? – Monroe sprawia wrażenie zdziwionej. – Tak, znałam ją. Dlaczego pani pyta?

– Dziękuję jej pani w swoich książkach: *PS. Dla PS.*

– Zgadza się. Udzielała mi rad. Tak sobie żartowałyśmy.

– Wie pani, że Peggy nie żyje?

– Tak. Byłam na jej pogrzebie. Ale musiałam szybko wracać.

– Wśród jej rzeczy znaleźliśmy list. Właściwie pocztówkę. Napisano na niej: *Dopadniemy cię.* Zastanawiałam się, czy nie otrzymała pani czegoś podobnego.

Następuje dłuższa chwila ciszy.

– Chyba tak – odpowiada wreszcie J.D. Monroe.

– Chyba?

– Cóż, otrzymuję bardzo różne przesyłki. Książki do zrecenzowania, ulotki reklamowe o nowościach wydawniczych. Wydaje mi się, że dostałam pocztówkę z takim tekstem.

– Czy może jej pani poszukać? Jutro przyślę po nią jednego z naszych ludzi.

– Tylko że jutro wyjeżdżam do Aberdeen na festiwal literacki.

Harbinder nie ma pojęcia, jak wygląda taki festiwal, i nie zamierza o to pytać. Umawia się z Monroe na odbiór pocztówki i kończy rozmowę. Jest sfrustrowana. Od strzału w głowę zginął człowiek, a wszystkie tropy są

nikłe, ledwo uchwytnie – dosłownie cienkie jak papier. Za chwilę będzie musiała jechać do domu i pewnie ugotować kolację, posprzątać i pomóc matce położyć się spać. Co takiego mówiła Natałka o zatrudnieniu opiekunki do pomocy? Przewija kontakty w telefonie, aż dociera do N. Dziewczyna sama przesłała jej numer wraz z niepokojąco zmysłowym selfie.

– Słucham? – Znowu ten akcent.

– Tu Kaur. Dzwonię w sprawie opiekunki. Dla mamy. Wspominałaś, że znasz kogoś, kogo mogłabym wynająć prywatnie.

– Tak – odpowiada Natałka. – Ma na imię Maria. Jest warta polecenia. Tylko ani słowa w Care4You. Patricia nie lubi, jak jej pracownicy dorabiają sobie na boku, ale inaczej trudno związać koniec z końcem.

Związać koniec z końcem. Natałka naprawdę dobrze mówi po angielsku. Ciekawe, kiedy wyjechała z Ukrainy, zastanawia się Harbinder. I kiedy właściwie zaczęła się wojna z Rosją? Kolejny mroczny, straszny konflikt.

– Dziękuję ci – mówi.

– Jak idzie śledztwo? – pyta Natałka. – Czy już wiecie, kto zabił Dexa?

– Nie mogę powiedzieć. Jesteśmy na bardzo wczesnym etapie.

Spodziewa się, że dziewczyna będzie drążyć temat, ale ona po krótkiej chwili milczenia mówi:

– Pamiętasz, jak mówiłam ci o tych dwóch mężczyznach, którzy o mnie pytali...

– Tak, pamiętam.

– Nie wspomniałam, że chyba czekali na mnie, obserwując dom, w którym mieszkam. Wczoraj wieczorem wrócili. Białe ford fiesta. Zanotowałam rejestrację.

Czasami używa amerykańskiego słownictwa, zauważa Harbinder. Powiedziała „rejestracja” zamiast „numer rejestracyjny”.

– Sprawdzę to – obiecuje Harbinder. – Domyślasz się, dlaczego ci dwaj mogą cię obserwować?

Ku jej zaskoczeniu Natalka potwierdza.

– Tak. Ale powiem ci, jak się spotkamy. Może być jutro wieczorem?

I Harbinder umawia się z Natalką w pubie niedaleko mieszkania swoich rodziców.

Rozdział 14

Natalka: herbata i ciasteczka

Natalka czeka na parkingu. Czuje się, jakby stała na czatach, może przed wymianą zakładników albo przekazaniem trefnej przesyłki. To pewnie przez te myśli o dwóch tajemniczych mężczyznach w fordzie fiesta. Powracają do niej też jednak wspomnienia tajnych spotkań w Ukrainie, haseł i telefonów jednorazowego użytku, tego mdlącego uczucia: podniecenia czy strachu. Ale przecież to wszystko ma już za sobą. Dziś wieczorem wyzna detektyw sierżant Kaur całą prawdę. Albo prawie całą. Musi tylko jeszcze pomóc Harriet Hartington przygotować się do snu. Harriet jest obłożnie chora, więc żeby położyć ją do łóżka, potrzeba dwóch osób i wyciągu. Dlatego Natalka czeka na koleżankę. Zastanawia się, kogo przyślą z Care4You. Widząc zbliżający się samochód Marii, odczuwa ulgę. Maria jest bardzo sprawna i można na niej polegać. Nie należy do najsympatyczniejszych opiekunek, ale inne są z kolei zbyt sympatyczne, wciąż gadają o dzieciach, zwierzakach i nieodpowiedzialnych mężach. Maria nie jest zbyt rozmowna. Z tego, co Natalce wiadomo, ma męża i dwoje dzieci, jednak nie opowiada o nich niepytana. Jest profesjonalistką. Zdaniem Natalki świetnie się nada dla matki Harbinder.

Mówi Marii o potencjalnej ofercie pracy, gdy idą po schodach do Harriet. Harringtonowie mieszkają w Harbour Mansions. Budynek szczycił się widokiem na morze, dopóki nie zbudowano Seaview Court. Teraz widać z niego tył drugiego budynku. To nie miejsce dla pary starszych ludzi, którzy mają problemy z poruszaniem się, ale ani Harriet, ani jej mąż Douglas nie skarżą się na to, zresztą na nic się nie skarżą. Douglas zawsze czeka na nie z herbatą i kitkatami. To drobny, kruchy pan, który nie może sam podnieść żony. Boleje nad tym i współczuje młodym dziewczętom jak Natalka i Maria, że muszą wykonywać tak ciężką pracę. Maria z kolei boi się o poziom cukru w jego krwi. Wygląda na to, że Douglas ma niewyczerpane zapasy batonów czekoladowych w puszcze upamiętniającej ślub Diany i Karola. Natalka chętnie się nimi częstuje.

– Jak się masz, Harriet? – pyta, wchodząc do salonu, w którym dominuje szpitalne łóżko.

W pokoju, jak u wszystkich podopiecznych, unosi się zapach odświeżacza powietrza, moczu i jedzenia ugotowanego wcześniej, żeby potem można je było tylko podgrzać.

– Nie mogę narzekać – odpowiada Harriet. I naprawdę tak myśli. – Opowiedz lepiej, jak minął ci dzień.

Nie opuszcza mieszkania od pięciu lat i zawsze jest spragniona nowin. Natalka chętnie opowiedziałaby jej o Dexie Challonerze, prawdziwym morderstwie, młodych zabójczyniach i tajemniczych tropach kryjących się w książkach. Obawia się jednak, że zbyt duża ekscytacja mogłaby starszą panią zabić.

– Wczoraj wieczorem poszłam na drinka ze znajomymi – mówi tylko.

– Z Benedictem? – pyta Harriet.

Natalka musiała kiedyś o nim wspomnieć i teraz oboje, Harriet i Douglas, stale ją o niego zagadują. „Taka ładna dziewczyna jak ty

powinna mieć chłopaka”, powtarza Harriet.

– Tak, on też tam był. I kilka innych osób. W Chichester.

– Byłam kiedyś w Chichester – oznajmia Harriet. – Jedliśmy rybę z frytkami.

Natalka i Maria podnoszą starszą panią za pomocą wyciągu i myją. Potem podkładają jej basen – Douglas wtedy na chwilę wychodzi – zmieniają pościel i kładą ją w wygodniejszej pozycji. Mają na to wszystko godzinę, czyli niezbyt wiele czasu, ale tyle przeznaczyły na te czynności miejscowe władze. Zostaje jeszcze kilka minut, żeby pogawędzić. Patricia surowo tego zabrania, lecz widać, że dla Douglasa to ulubiona pora dnia. Znowu przynosi batoniki, po czym wszyscy troje siadają wokół łóżka Harriet i rozmawiają o *Coronation Street*, chociaż ani Natalka, ani Maria nie oglądają tej opery mydlanej. Natalka nie ma telewizora i wymawia się, kiedy gospodarze zapraszają ją na telewizję do ich salonu. Maria, z trójką dzieci, nie ma czasu na takie luksusy.

– Michelle będzie miała złamane serce – komentuje Natalka, gdy Harriet opowiada jej o najnowszym skandalu w Weatherfield.

Nie widziała ani jednego odcinka serialu, ale zna wszystkich bohaterów.

– Nie, jest twarda. – Harriet odgryza połowę batonika.

Pora się zbierać. Wpisują do książki: *Mycie, toaleta, ścielenie łóżka. Lekarstwa podane. Wszystko w porządku*, i schodzą po schodach. Przy drzwiach na dole zatrzymują się, żeby zajrzeć do telefonów. Obie mają jeszcze kilka wieczornych wizyt.

– Zadzwońisz do Harbinder? – pyta Natalka.

– Tak – odpowiada Maria. – Potrzebuję pieniędzy.

Wszystkim opiekunkom na nich zależy. Dostają minimalne wynagrodzenie i nawet jeśli pracują po godzinach, zarobki nie wystarczają na utrzymanie pięcioosobowej rodziny.

– To miła kobieta – dodaje Natalka. – Jej rodzina na pewno też jest sympatyczna.

– Ja po prostu potrzebuję pieniędzy – powtarza Maria.

Jeszcze przez chwilę spogląda w telefon.

– Słyszałaś, że Dex Challoner nie żyje? – pyta.

– Tak. Dowiedziałam się z Twittera.

– Opiekowałam się kiedyś jego matką, Weroniką. Wiedziałaś o tym?

– Tak? – Natalka od razu robi się czujna.

– Była specyficzna, ale dogadywałyśmy się. Rozmawialiśmy po polsku. A Peggy kiedyś powiedziała w związku z nią coś dziwnego.

– Co?

– To było zaraz po tym, jak Weronika zmarła. Mówiłam, jakie to smutne, a wtedy Peggy rzuciła, że jej zdaniem ta śmierć jest podejrzana. Nic więcej nie mogłam z niej wyciągnąć. Zastrzegła się, że to tylko jej domysły i nie powie nic więcej, dopóki nie będzie miała dowodu. Kiedy znowu ją o to spytałam, odparła, że odpowiedź jest w książce.

– Jakiej książki? – Głos Natalki brzmi tak natarczywie, że Maria cofa się o krok.

– Jednej z tych starych. Nie pamiętam tytułu, ale wydaje mi się, że na okładce była przytulona para.

– *Poszcząc, podziękuj Bogu?*

– Tak. Z tego, co widziałam, miała niewiele wspólnego z Bogiem.

Natalka musi jeszcze odwiedzić czworo podopiecznych. Położywszy ostatniego do łóżka, zajeżdża pod dom Harperów, rozglądając się za białą fiestą, i idzie do pubu. To prawdziwy pub, w którym dominuje telewizor,

nastawiony na rozgrywki snookera. Harbinder już jest, popija czerwone wino i czyta książkę. Na widok Natalki ją odkłada.

– Jeszcze coś do picia? – pyta Natalka.

– Dziękuję, to mi wystarczy.

Natalka też zamawia czerwone wino i siada obok Harbinder na trochę lepkiej ławie. Policjantka ma ładne oczy, zauważa, nieco podkrążone, jakby nie dosypiała.

– Jak się czuje twoja mama? – zagaduje.

– Ona nigdy się nie skarży – odpowiada Harbinder – ale wydaje mi się, że czasami bardzo cierpi. Co znaczy, że nie może zajmować się tym wszystkim, czym zajmowała się dawniej, i część roboty spada na mnie. Przynajmniej nie muszę wyprowadzać tego cholernego psa. To obowiązek ojca.

– A twoi bracia? Nie pomagają?

– Nie, to egoistyczne dranie. – Harbinder pociąga łyk wina. – Może jestem niesprawiedliwa. Obaj są żonaci i mają własne rodziny. Kush pracuje w sklepie, a Abhey jest elektrykiem i ma co robić. Ale jeden i drugi uważają, że zajęcia domowe... gotowanie, sprzątanie i cała reszta... należą do nas, do mamy albo do mnie. A ja nie jestem w nich dobra. Jestem dobra w pracy detektywa.

– Właśnie rozmawiałam z Marią – oznajmia Natalka. – Mówi, że ci pomoże. Ja także nie jestem najlepsza w pracach domowych. Brat zawsze gotował lepiej ode mnie.

– Nie wiedziałam, że masz brata.

– Nie żyje. – Natalka nie chce wdawać się w wyjaśnienia.

– Przykro mi.

– W porządku. Było, minęło.

– Świetnie mówisz po angielsku – zauważa Harbinder. – Nauczyłaś się w szkole?

– Tak. Wszyscy musieliśmy uczyć się angielskiego, a potem tutaj studiowałam. W Bournemouth.

– Bournemouth – powtarza Harbinder. – Byłam tam kiedyś. Piaszczyste plaże.

– Piękne miejsce. To były przyjemne trzy lata. Miałam fajnych kolegów. Tak fajnych, że wyszłam za jednego z nich. – Śmieje się, widząc zaskoczenie na twarzy Harbinder.

– Jesteś mężatką? – pyta ona wyższym niż zwykle tonem.

Brzmi nie jak chłodna pani detektyw, ale raczej jak nastolatka, jak dawne przyjaciółki Natalki: Dasza i Anastazja.

– Wyjście za mąż było jedynym sposobem, żeby uzyskać brytyjski paszport – wyjaśnia Natalka. – A ty byłaś kiedykolwiek zamężna?

Harbinder znowu się śmieje.

– Nie. Jestem lesbijką.

– Ale możesz wziąć ślub, prawda? Tu, w Anglii.

– Najpierw musiałabym znaleźć kogoś odpowiedniego, a to nie takie łatwe.

– Przecież są różne biura matrymonialne, no nie? Grupy internetowe. Apki. – Natalkę aż swędzą ręce, żeby wyjąć smartfona; zawsze lubiła kojarzyć ludzi w pary.

– Nie przejmuj się mną. Zdaje się, że chciałaś mi coś powiedzieć.

– Tak. Ale żeby to zrobić, muszę się jeszcze napić. Najpierw opowiem ci o czymś, co właśnie usłyszałam od Marii. To dziwne. Peggy podobno wspomniała, że śmierć Weroniki wydaje jej się podejrzana. No wiesz, matki

Dexa. I nie chciała powiedzieć nic więcej, rzuciła tylko, że odpowiedź jest w książce. Tej, którą zabrał facet z bronią.

– *Poszcząc, podziękuj Bogu?*

– Tak. Znasz kogoś, kto ją czytał?

– Nie. Benedict twierdzi, że nie jest już wznawiana.

– Lubisz kryminały?

– Czasami czytam. Ale wolę horrory. – Harbinder wskazuje broszurowe wydanie książki z wielkim szczurem o zakrwawionych zębach na okładce. – Zwłaszcza kiedy jestem zestresowana.

– Benny powiedział, że spróbuje ją zdobyć – podejmuje Natałka. – On stale czyta. To dlatego, że był zakonnikiem. Nic do roboty, tylko czytanie i modlitwa.

– Benedict był zakonnikiem?

– Tak. Nie wiedziałaś? Odszedł z zakonu parę lat temu, przeniósł się do Shoreham i kupił Coffee Shack. Jego rodzice są chyba dość zamożni.

– Potrafię wyobrazić go sobie w klasztorze – mówi Harbinder. – Sprawia wrażenie, jakby był nie z tego świata.

– Ale dużo wie o zbrodniach. To dlatego, że czyta te wszystkie powieści detektywistyczne i ogląda stare filmy kryminalne, które puszczają w telewizji. – Natałka dopija swoje wino. – Jeszcze po jednym kieliszku? – pyta.

– Nie powinnam. – Harbinder, jakby po krótkiej walce ze sobą, rzuca: – Och, niech będzie. Mały kieliszek czerwonego wina. Dzięki.

Natałka idzie do baru i zamawia dwa duże kieliszki. Kiedy wraca do stolika, Harbinder spogląda na nią wyczekująco.

– Co takiego chciałaś mi powiedzieć? Coś o mężczyznach, którzy cię obserwują? Tych w samochodzie?

- Namierzyliście rejestrację?
- Zleciłam to ekipie wywiadowczej.

Natalka jest świadoma, że czekając na dalszy ciąg, Harbinder jej się przygląda. Czuje, że policjantce nie da się tak łatwo zamydląć oczu. Detektyw Kaur może i mieszka z rodzicami, ma jednak w sobie pewną stanowczość, która budzi respekt. W końcu na co dzień styka się z zabójstwami, a w wolnym czasie czyta dla relaksu o zabójczych szczurach.

– U siebie, w Ukrainie – zaczyna wreszcie – zanim przyjechałam do Anglii, studiowałam matematykę na uczelni w Kijowie. Byłam dobra w algorytmach i kodowaniu, a potrzebowałam pieniędzy. Więc wdałam się w coś...

Przerywa, niepewna, ile powinna wyjawic.

– W co się wdałaś? – ponagla ją Harbinder.

– Chodzi o kryptowalutę. Jak bitcoin. Weszłam w spółkę z dwoma kolegami. To nie było nielegalne i początkowo naprawdę dobrze zarabialiśmy. Ale potem zaczęła się wojna i chciałam wyjechać. No więc wzięłam forszę i uciekłam do Anglii.

– Wzięłaś pieniądze?

– Tylko małą część. Jedną dziesiątą. Tyle, ile było potrzeba, żeby dostać się tu na studia. Miałam kody do autoryzacji i tokeny API. – Natalka widzi, że Harbinder nie rozumie. – To hakerstwo. Chyba mogłabyś mnie za to zamknąć.

– Pewnie tak, ale nie sądzę, żeby moja szefowa chciała się angażować w sprawę przekrętów z kryptowalutą w innym kraju. Opowiedz mi o tych kolegach. Czy to oni cię obserwują?

– Nie. Ale brali w tym udział jeszcze inni. Źli ludzie. Jak z mafii. Tak to jest podczas wojny. Źli ludzie mają okazję zbijać forszę. No i niektórzy

z nich wdali się w handel kryptowalutą. Myślę, że dotarli za mną do Anglii.

Harbinder wydaje się trochę zaskoczona, ale przynajmniej nie bagatelizuje jej słów.

– Dlaczego mieliby tak długo z tym czekać? – pyta. – Jesteś w Anglii już od jakiegoś czasu. Skończyłaś studia. Wyszłaś za męża. – Mówi takim tonem, jakby naprawdę trudno jej było w to uwierzyć.

– Nie wiem. Ale Peggy mówiła, że widziała pod swoim domem dwóch czających się mężczyzn. A później ja zauważyłam podobnych facetów w mojej okolicy. To nie może być przypadek.

– Czy sądzisz, że oni mają coś wspólnego z jej śmiercią? Ze śmiercią Dexa?

– Nie mam pojęcia, ale to, jak zginął Dex... Mówiłaś, że strzelono mu w głowę. To wygląda na robotę zawodowca.

– Jakieś nazwiska?

– Nie – odpowiada Natałka. – Nie zna się nazwisk takich ludzi.

To prawda. Ludzie, którzy zainwestowali w ich spółkę, posługiwali się tylko śmiesznymi przydomkami, wcale jednak nie byli przez to mniej groźni. A zresztą nawet gdyby znała ich prawdziwą tożsamość, czy zdradziłaby ją detektyw Kaur? Wydaje się życzliwa, ale przecież ma zwierzchnika, który zacząłby zadawać niezręczne pytania. A skoro mowa o pytaniach, Natałka sama chętnie dowiedziałaby się kilku rzeczy.

– Kto według was zabił Dexa? – pyta. – Macie jakieś tropy?

– Wiesz, że nie mogę ci tego powiedzieć.

– To ja przyszedłam do was w sprawie Peggy. To dzięki mnie macie informacje.

Harbinder się śmieje.

– Mówisz tak, jakbym była ci coś winna. – Przerywa, patrząc spod opuszczonych powiek na swoje wino. – Ale jedno chyba mogę ci zdradzić. Porozumiałam się z Julie Monroe, J.D. Monroe. Między Ona też wymieniała Peggy w podziękowaniach.

– Pamiętam. *PS. Dla PS.*

– Właśnie. Julie też dostała niepodpisaną pocztówkę. Ze słowami: *Dopadniemy cię.*

– A niech to – rzuca Natałka. – Czyli może być następną ofiarą.

– Oby nie. Ale muszę z nią porozmawiać. Problem w tym, że jutro wyjeżdża na festiwal literacki do Aberdeen.

– Wybierasz się do Aberdeen, żeby ją przesłuchać? – pyta Natałka.

– Chętnie bym to zrobiła. Byłam w Szkocji w zeszłym roku i bardzo mi się tam podobało. Ale mam tu, na miejscu, dużo pracy.

– A Aberdeen jest daleko – dopowiada Natałka.

Zastanawia się, czy nie za daleko dla białego forda fiesty.

Rozdział 15

Benedict: dwie świece

– Nie możemy jechać do Aberdeen – oświadcza Benedict.

– Dlaczego nie? – pyta Natałka.

– Przecież nie będziemy rozbijać się po całym kraju, żeby rozmawiać z podejrzanymi. Poza tym to strasznie daleko.

– Byłoby zabawnie – zauważa Edwin.

Benedict i Natałka wymieniają spojrzenia. Żadnemu z nich nie przyszło do głowy, że Edwin także miałby jechać. Starszy pan jest z nimi tylko dlatego, że rano ni stąd, ni zowąd postanowił wybrać się na mszę i zapalić świecę w intencji Peggy. Benedict spotkał się z nim pod Seaview Court i poszli razem. Po mszy, ku ich zaskoczeniu, przed kościołem czekała na nich Natałka.

Benedict chodzi do tego kościoła, odkąd zamieszkał w Shoreham, czyli od dwóch lat. To także lubi w katolicyzmie. Jest na mszy co niedzielę i chociaż leciwy irlandzki ksiądz zawsze się do niego uśmiecha i go pozdrawia, nikt nie próbuje go wciągnąć w życie parafii. Jego przyjaciel, Richard, ksiądz, który był kiedyś protestanckim pastorem, mawia, że w Kościele anglikańskim, zanim zdążysz powiedzieć „amen”, już układasz kwiaty i udzielasz się w szkółce niedzielnej. Benedict wie, że gdyby

poszedł po mszy na kawę w sali parafialnej, wszyscy byliby dla niego mili i ktoś próbowałby mu sprzedać bilet na kiermasz dobroczynny, ale tutejsi parafianie jakby wyczuwają, że chce, by zostawiono go w spokoju. To śmieszne, że Benedict, który zazwyczaj nad własne towarzystwo przedkłada cudze, na mszy zawsze wolał być sam. Nawet jako nastolatek wymykał się w sobotnie wieczory na nabożeństwo, tak jak jego rówieśnicy wyrywali się do baru albo klubu nocnego. Kiedy matka to odkryła, zagroziła, że zaprowadzi go do psychiatry.

Pójście do kościoła z Edwinem to było jednak coś zupełnie innego. Przede wszystkim Edwin zmęczył się drogą i zanim weszli do środka, przez pięć minut odpoczywał na ławce. Podeszło do nich kilka życzliwych osób, by spytać, czy dobrze się czują, i zaoferować pomocne ramię. Potem, już w kościele, Edwin chciał usiąść z przodu, żeby lepiej słyszeć. Benedict zwykle zajmował miejsce z tyłu, przy wyjściu, obok kropielnicy. Tam, z przodu, byli bardziej widoczni. Siedzące przed nimi dwie zakonnice odwróciły się i pozdrowiły ich. Za nimi usadowiła się jakaś rodzina i Benedict stale podnosił upuszczane przez dzieci zabawki i książeczki do nabożeństwa. Gdy rozległ się dzwonek liturgiczny, był już z rodzicami i ich potomstwem na etapie wymiany uśmiechów. Edwin i siostra Lucrezia również świetnie się dogadywali.

Po mszy obaj zapalili świece w intencji Peggy. Benedict wrzucił funta do puszki z napisem *Na ofiarę* i próbował zmówić modlitwę. „Wieczne odpoczywanie racz jej dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj jej świeci...” Wciąż jednak miał przed oczami Peggy; przypomniawszy mu się ta jej nieustająca pogoda ducha, podwójne espresso z oddzielnym gorącym mlekiem, różowy beret, to, jak wymawiała jego imię po włosku, z akcentem na pierwszą sylabę. Co by powiedziała, gdyby ich teraz zobaczyła? Pewnie:

„Religia to opium dla mas”. Ale byłoby jej przyjemnie, że o niej myślą. Siedzący obok Edwin miał zamknięte oczy, tylko poruszał ustami.

Benedict pomodlił się też za Dexa. Pamiętał, jak pewnym siebie głosem, basso profundo, rzucił: „Pa, Ben. Do zobaczenia!”. *Lecz o dniu owym i godzinie nikt nie wie, nawet aniołowie niebiescy, tylko sam Ojciec.* To dobrze, że Dex niczego się nie spodziewał; po miłym wieczorze w pubie wrócił do domu, przekonany, że czekają go spokojna noc i kolejny poranek. Chociaż gdyby się spodziewał, może by żył. Czy Pismo nie mówi także, że należy „się strzec” i „być gotowym”?

– Idziemy? – zapytał Edwin.

W przedsionku kościoła podszedł do nich ojciec Brendan, chcąc się z nimi przywitać.

– Czy to twój ojciec? – zapytał i zwrócił się do Edwina, ściskając mu rękę.

– Nie, tylko przyjaciel – odparł Benedict.

– Pewnie, przyjaźń jest bardzo cenna.

W tym momencie Benedict dostrzegł Natalkę, która siedziała na murku z e-papierosem w dłoni. Usiłuje rzucić palenie.

Wrócili we trójkę; w pewnym momencie przystanęli, żeby popatrzeć na morze i żeby Edwin mógł złapać oddech. Było piękne przedpołudnie i na promenadzie panował duży ruch: rodzice z wózkami, dzieci na rolkach, starsze pary opatulone przed jesiennym chłodem, rozmaite psy z rozmaitymi właścicielami. Benedict chciałby mieć psa, ale tam, gdzie mieszka, nie wolno ich trzymać. Edwin przyglądał się temu wszystkiemu z łagodnym i jednocześnie smutnym uśmiechem. To właśnie wtedy Natalka zaproponowała, żeby pojechali do Aberdeen.

– A co z pracą? – pyta Benedict.

– Ja jestem na umowie śmieciowej – mówi Natałka. – Mogę wziąć wolne, kiedy chcę.

– A ja?

– Ty możesz zamknąć Shack.

– Nigdy go nie zamykam.

– A dziś? Jest zamknięty, prawda?

Benedict nie wie, co na to odpowiedzieć. Ma świadomość, że już prawie nikt nie uważa niedzieli za dzień odpoczynku.

– To długa podróż – zauważa Edwin. – Ale moglibyśmy zatrzymać się na nocleg w Northumberland. Uwielbiam tereny przygraniczne.

– Mnie to nie przeszkadza – rzuca Natałka. – Lubię prowadzić.

– Czy powiedziałaś Harbinder, że zamierzasz spotkać się z Julie Monroe? – pyta Benedict.

Niepokoi go, że Edwin już planuje podróż.

– Rozmawialiśmy o tym – odpowiada wymijająco Natałka. – Sama chciała jechać, ale ma za dużo roboty ze sprawą Dexa Challonera.

– Mówiłaś jej, czego dowiedziałaś się od Marii o jego matce?

– Tak. Uznała, że to ważna informacja. Zgodziłyśmy się, że powinieneś przeczytać tę książkę i zobaczyć, co takiego w niej jest.

– Wielkie dzięki.

Benedict już sobie wyobraża, jak dwie kobiety śmieją się z niego, byłego zakonnika, który teraz pochłania książki. Ku swojemu zdziwieniu przez chwilę ma ochotę zaskoczyć je obie jakimś zuchwałym czynem. Kłopot tylko w tym, że sam nie wie, co by to mogło być...

– Musiałabyś robić regularne przerwy, Natałko. – Edwin wciąż myśli o podróży. – Zatrzymywalibyśmy się na stacjach benzynowych. Ostatnio można tam dostać nawet całkiem dobrą kawę.

– Zmieniłobyśmy się za kółkiem – mówi Benedict, chociaż od lat nie prowadził samochodu.

Ale to jego sposób godzenia się z nieuniknionym.

Benedict ma nadzieję, że zjedzą razem lunch, ale Edwin, pobudzony morskim powietrzem, wraca do Seaview Court, żeby wytyczyć trasę do Aberdeen – jest dumny ze swojej umiejętności surfowania po internecie, chociaż nazywa go interwebem. Natalka idzie z Benedictem do głównej ulicy i tam się z nim żegna, bo umówiła się z jakimiś „znajomymi”. Benedict udaje się więc do swojej kafejki i próbuje uważnie zjeść risotto z grzybami. Mimo że każdy kęs przeżuwa po dwadzieścia sekund, to kiedy kończy, jest dopiero wpół do drugiej. Rusza więc powoli do mieszkania, spoglądając po drodze na sklepy. W przeciwieństwie do Shack większość z nich jest otwarta. Wstępuje do jednego z licznych sklepów charytatywnych – może znajdzie *Poszcząc, podziękuj Bogu*. Z irytacją stwierdza, że książki są ustawione według koloru okładek, artystycznie. O ich miejscu na regale powinny decydować format, nazwisko autora albo gatunek literacki, a nie czerwona sukienka kobiety na okładce. Przygląda im się bliżej. Jedna z czerwonych książek ma czarne litery na grzbiecie i Benedict dostrzega słowo *Bogu* – chyba jest wyczulony na słownictwo związane z religią. *Poszcząc, podziękuj Bogu* Sheili Atkins.

Kiedy wraca do siebie, parzy kawę, siada przy biurku pod oknem i otwiera notes. Zamierza przeczytać tę książkę metodycznie, tak jak zrobiłaby to Peggy. Widzi jednak w wyobraźni ojca, mówiącego: „Nie tak mężczyzna powinien spędzać niedzielę”. Ojciec nigdy nie pochwałał czytania dla przyjemności – według niego książki służą temu, żeby przygotować się do egzaminu, i tyle. Starszy brat Benedicta zawsze świetnie radził sobie na egzaminach – lepiej od niego – ale później nie

pokazywał się z książką w ręce. Co teraz porabia Hugo? Pewnie gra w rugby, a potem idzie do domu na pieczeń wołową z wszystkimi dodatkami. „Celia zawsze podaje w niedzielę porządny lunch”, powiedziała kiedyś z aprobatą matka i Benedict nie przypuszcza, by to, że jego bratowa cztery miesiące temu urodziła dziecko, odbiło się na jej statusie domowej bogini.

Poszcząc, podziękuj Bogu to dziwna książka. Jej bohaterką jest kobieta o imieniu Adrienne, która podejmuje pracę towarzyszką przykutej do wózka inwalidzkiego arystokratki na południu Francji. Piękne opisy Riwiery wywołują u Benedicta tęsknotę za wakacjami, jakich nigdy nie miał. Arystokratka, lady Fitzroy – ani razu nie pada jej imię – postanawia wydać Adrienne za mąż za swojego rozwiązłego bratanka, Giles’a. Adrienne, choć niechętnie, godzi się za niego wyjść, ale niedługo po ślubie znajduje ciało zamordowanego męża i staje się główną podejrzaną. Benedict szybko czyta dalej i wkrótce dochodzi do finału. Lady Fitzroy i Adrienne zaplanowały to wszystko wspólnie, żeby dziewczyna odziedziczyła majątek Giles’a, a starsza pani uwolniła się od znienawidzonego krewnego – choć nie wiadomo właściwie, dlaczego tak go nienawidziła. Morderstwa dokonała lady Fitzroy, bo tak naprawdę może chodzić – o czym wie tylko Adrienne. Na koniec ta emigruje do Ameryki, a lady Fitzroy udaje się na plażę, gdzie zamierza albo popływać, albo się utopić.

Jest już ciemno, gdy Benedict kończy czytać, i snop światła latarni morskiej powoli omiata zatokę. Spogląda na swoje notatki i widzi, że napisał tylko *Francja*? Musi chodzić o coś więcej. Co jest w tej książce takiego ważnego, że ktoś ją ukradł, i to grożąc bronią? Jaki trop dotyczący śmierci Weroniki chciała w ten sposób podsunąć Peggy? Benedict stara się uporządkować myśli, podejść do sprawy logicznie. Na jednym poziomie powieść opowiada o trudnościach, jakie napotykała samotna kobieta

w latach trzydziestych dwudziestego wieku. Stąd prawdopodobnie wziął się tytuł, przypuszcza Benedict. W *Jak wam się podoba* Rozalinda – w męskim przebraniu – mówi pasterce Febe, że powinna być wdzięczna, że Sylwiusz ją kocha: *Poszcząc, na kolanach podziękuj Bogu za uczciwą miłość*. Giles nie oferuje uczciwej miłości, jednak Adrienne ma być dozgonnie wdzięczna za to, że może go poślubić. Dzięki małżeństwu i wkrótce potem wdowieństwu zyskuje pozycję, której pragnie. Lady Fitzroy również jest bogatą wdową, lecz jako samotna starsza kobieta jednocześnie tkwi w pułapce, symbolizowanej, jak domyśla się Benedict, przez fotel inwalidzki. Obie kobiety, mordując mężczyznę, zdobywają wolność. Na innym poziomie to powieść kryminalna z zupełnie nowym, niebudzącym zaufania narratorem. Sheila Atkins łamie kilka zasad gatunku, choćby przez to, że narrator ukrywa przed czytelnikiem różne rzeczy. Jako zagadka – kto to zrobił? – powieść jest porażką. Jako thriller psychologiczny staje się nieco ciekawsza.

To naprawdę niezwykła książka, myśli Benedict, a co jeszcze bardziej zadziwia, została wydana w 1938 roku. Jakie ma być jej przesłanie? Czy Peggy to lady Fitzroy? A Dex to Giles? Ale kim w takim razie będzie Adrienne? Benedict otwiera laptopa i wpisuje do wyszukiwarki: Sheila Atkins. Sheila May Atkins, urodzona 7 kwietnia 1912 roku, zmarła 10 października 2012. Wielki nieba, dożyła stu lat. W Wikipedii jest o niej niewiele informacji. Przyszła na świat w Guildford, w hrabstwie Surrey, i jest autorką dziesięciu kryminałów. Niżej podano tytuły:

Daj mi sztylety, 1935

Dziecko tylko straszy, 1936

Czart malowany, 1937

Poszcząc, podziękuj Bogu, 1938

A gdzie teraz blask się twój podział?, 1950
Księżę ciemności to prawdziwy szlachcic, 1952
Hekacie składa guślarka ofiary, 1955
Tron skąpany w blaskach, 1960
Oceanu dziwną siłą, 1970
W sen jest owinięty, 1970[12]

Nie wznawia się już tych książek, ale w Wikipedii zamieszczono okładki kilku z nich – są krzykliwe i zdaniem Benedicta nie oddają treści. Okładka *Poszcząc, podziękuj Bogu* ukazuje blondynkę w czerwonej wieczorowej sukni (Adrienne jest brunetką), obejmującą eleganta z wąsikiem ubranego w smoking. Z tego, co Benedict pamięta, w powieści nie ma mowy o żadnym takim uścisku. Oświadczyły Giles’a zostają przypieczętowane „chłodnym pocałunkiem w policzek”. Czy wskazywany przez Peggy trop kryje się w tytułach, w pierwszych zdaniach albo pierwszych literach powieści? Benedict gryzmoli przez kilka minut, ale nic sensownego mu nie wychodzi, z wyjątkiem: *Daj mi dziecko czarta malowanego*. Peggy lubiła krzyżówki, anagramy, łamigłówki. Tę zagadkę rozwiązałyby bez trudu, ale oczywiście gdyby tu była, mogłaby od razu udzielić mu odpowiedzi.

– Och, Peggy – mówi głośno – dlaczego musiałś być taka inteligentna?

Atkins zaczęła pisać wcześniej: pierwszy kryminał wydała, gdy miała dwadzieścia trzy lata. Potem były kolejne, jeden na rok; w czasie wojny nastąpiła przerwa. Trzy książki w latach pięćdziesiątych, jedna w sześćdziesiątych, dwie w siedemdziesiątych. I na tym koniec. Żyła jeszcze przeszło trzydzieści lat, ale już niczego nowego nie napisała – albo nie opublikowała. Czy w dwóch ostatnich tytułach kryje się jakaś sugestia? Czy oznaczają jakąś zmianę? Oba pochodzą z *Burzy*, ostatniej sztuki

Shakespeare'a, ten drugi z monologu Prospera, który często uważa się za pożegnanie dramaturga ze sceną.

*Święto się skończyło.
Aktorzy moi, jak ci powiedziałem,
Były to duchy; na moje rozkazy
Na wiatr się lekki wszystkie rozplynęły.
Jak bezpodstawna widzeń tych budowa,
Jasne pałace i wieże w chmur wieńcu,
Święte kościoły, wielka ziemi kula,
Tak wszystko kiedyś na nic się rozplynie,
Jednego pyłku na ślad nie zostawi,
Jak moich duchów powietrzne zjawisko.
Sen i my z jednych złożeni pierwiastków;
Żywot nasz krótki w sen jest owinięty[13].*

To naprawdę piękne, myśli Benedict. Może powinien był studiować literaturę angielską, jak radzili mu nauczyciele, zamiast iść do seminarium. Miał wystarczająco dobre stopnie, dostałby się na uniwersytet. Czy jeszcze jest taka możliwość? Ale nie pora teraz myśleć o liryzmie Shakespeare'a, trzeba złapać mordercę. Nie da się zaprzeczyć: czuje podniecenie na myśl, że on, były brat Benedict, prowadzi taką rozmowę ze sobą.

Czy Peggy znała Sheilę Atkins? Niewykluczone, chociaż Sheila była od niej co najmniej dwadzieścia pięć lat starsza. Czy poznały się, gdy Peggy pracowała w służbie cywilnej? Nie wiadomo jednak, czym oprócz pisarstwa zajmowała się Sheila. Nie ma też żadnych informacji o mężu ani dzieciach. Co oczywiście nie znaczy, że ich nie miała.

Benedict wpisuje do wyszukiwarki: *Peggy Smith*. Po odrzuceniu *Peggy Sue wyszła za mąż* i kilku wideoklipów Peggy Lee zostaje tylko kilka kobiet o tym imieniu, przeważnie już w słuźnym wieku. Jego Peggy jednak wśród nich nie ma. Rzadki z niej ptak, nie zostawiła po sobie ładu śladu w mediach społecznościowych. Jest tylko jedno zdjęcie: niewyraźna fotografia przedstawiająca grupę starszych pań przy stole. *Bożonarodzeniowy lunch w Seaview Court, 2008*, głośni podpis na stronie facebookowej budynku. Od 2009 roku nic się na niej nie dzieje, nie ma więcej zdjęć. Benedict przygląda się Peggy w różowym papierowym kapeluszu. Obok niej siedzi siwowłosa kobieta, która najwyraźniej nie ma upodobania do świątecznych akcesoriów. Czy to Weronika? Benedict potrafi wyobrazić ją sobie jako działaczkę ruchu oporu.

Wstukuje w Google'a: *Weronika Challoner* i pojawia się to samo zdjęcie. Nie ma żadnych informacji – oprócz tego, że kiedyś wystąpiła na zebraniu Women's Institute w Lancing z odczytem o życiu w Polsce w czasach wojny. Benedict przypuszcza, że nie wspomniała o swojej działalności jako egzekutorki, chociaż gdy przypomina sobie, co o Women's Institute mówiła jego matka, nie jest już taki pewny. Czy Weronika i Peggy znały Sheilę Atkins? Dlaczego Peggy mówiła, że ktoś ucieszyłby się na wieść o śmierci Weroniki? Czy trop kryje się w tych dziwnych, niewznawianych już książkach?

Benedict poddaje się i zaczyna szukać tanich hoteli w Aberdeen.

[12] Tytuły ze sztuk Shakespeare'a: *Daj mi sztylety*, *Dziecko tylko straszy*, *Czart malowany* i *Hekacie składa guślarka ofiary* – z *Makbeta* w przekładzie Leona Ulricha; *Poszczęć, podziękuj Bogu* – z *Jak wam się podoba* w przekładzie Leona Ulricha; *A gdzie teraz blask się twój podział?* i *Księżę ciemności to prawdziwy szlachcic* – z *Króla Leara* w

przekładzie Leona Ulricha; *Tron skąpany w blaskach* – z *Antoniusza i Kleopatry* w przekładzie Władysława Tarnawskiego; *Oceanu dziwną siłą* i *W sen jest owinięty* – z *Burzy* w przekładzie Leona Ulricha.

[13] Fragment *Burzy* w przekładzie Leona Ulricha.

Rozdział 16

Harbinder: KDP

– Nie tego się spodziewałem – rzuca Neil.

– A czego? – pyta Harbinder. – Grubych złożonych tomiszczy? Deklamujących poezję ludzi w togach?

– Nie – odpowiada Neil z urazą. – Myślałem tylko, że w wydawnictwie będzie bardziej... hm, książkowo. Trochę jak w bibliotece.

– A kiedy ostatni raz byłeś w bibliotece? Dziś są one raczej centrum informacji.

Ale Harbinder chyba wie, co Neil ma na myśli. Seventh Seal było małym wydawnictwem, które zostało kupione przez znacznie większy konglomerat, i obecnie funkcjonuje jako dział wydawniczy tej firmy. Jego siedziba jest bezosobowa, jak biuro korporacji. Czekają w recepcji, wśród kanap i witryn, w których za szkłem, niczym niebezpieczne gady, stoją książki. Neil jest zdenerwowany, podrzuca nogą i bawi się komórką. Żeby od niego uciec, Harbinder idzie obejrzeć książki. *Nowości wydawnicze*, głosi napis. Jest wśród nich *Morderstwo w wieżowcu*. Czy teraz je stąd zabiorą? – zastanawia się. Może przewiążą czarną wstążką jak w kościołach. Wtedy zauważa sąsiednią pozycję.

– Neil!

– Co tam? – Podchodzi do niej, bardziej jak niedźwiedź niż inne leśne zwierzę.

Harbinder pokazuje mu książkę, ustawioną okładką do przodu. *To był ty* J.D. Monroe. Takie samo ozdobne liternictwo, taka sama ilustracja przedstawiająca toskański krajobraz.

– J.D. Monroe – mówi. – Julie Monroe. Ona też dostała pocztówkę z pogrózkami.

– Przepraszam – odzywa się kobiecy głos. – Jestem Tamsin, asystentka Milesa. Będą państwo łaskawi pójść za mną.

Przechodzą przez bramkę, która wydawałaby się bardziej stosowna na lotnisku, a potem jadą w górę szybką przeszkloną windą. Następnie Tamsin, używając zawieszanej na szyi karty, wpuszcza ich do open space’u, z mnóstwem ludzi wpatrzonych w ekrany komputerów. To jakby większa wersja Wydziału Zabójstw Policji West Sussex. Tamsin prowadzi ich do przeszklonej sali konferencyjnej, gdzie czeka na nich mężczyzna w okularach.

Miles wstaje i wita się z nimi uściskiem dłoni, a Tamsin proponuje coś do picia. Harbinder i Neil proszą o kawę, a Miles o herbatę ziołową. Harbinder zauważa, że Neil jest zbyt onieśmielony, by poprosić o dwie porcje cukru.

Miles Taylor to jeden z tych mężczyzn o urodzie wiecznych chłopców; ma opadające na czoło blond włosy, ale jest już pewnie po trzydziestce. Mówi z akcentem charakterystycznym dla klasy wyższej, tak że Harbinder mimo woli zaciska zęby, jednak on wydaje się naprawdę przejęty.

– Co za straszna sprawa. Jesteśmy wszyscy wstrząśnięci – zaczyna.

Harbinder myśli o tych ludziach, cicho przebiegających palcami po klawiaturach. To miejsce nie sprawia wrażenia dotkniętego tragedią, ale

cóż, życie toczy się dalej. Trzeba nadal czytać, poprawiać błędy – czy co tam się robi w wydawnictwach.

– Dziękujemy, że zgodził się pan z nami spotkać – mówi. – Musi pan przeżywać trudne chwile. Dobrze znał pan Dexa?

– W pewnym sensie. – Miles odgarnia włosy. – Przez długi czas nie byłem jego wydawcą. Ale zawsze należałem do jego wielbicieli. Między innymi dlatego zatrudniłem się w Seventh Seal. Żeby z nim pracować.

– Wcześniej kto go wydawał?

– Betty Champion. To legenda w świecie wydawniczym, wielka osobowość. Była z Dexem od początku. Pisał wtedy książki, które nie należały do żadnego cyklu. To Betty wpadła na pomysł, żeby stworzył serię powieści z Todem France'em, a co było potem, wszyscy wiemy. Ona i Dex bardzo się przyjaźnili.

– Czy można z nią porozmawiać?

– Niestety, zmarła kilka lat temu. Przeżyliśmy wszyscy prawdziwy szok. Byłem jej asystentem, więc dostałem awans i pracowałem z Dexem przy jego trzech ostatnich powieściach.

– Dobrze się pan z nim dogadywał?

– Tak, doskonale. Łatwo się z nim pracowało. Zawsze dotrzymywał terminów i chyba lubił proces wydawniczy. W przeciwieństwie do innych pisarzy. – Uśmiecha się.

Harbinder jednak nie bardzo rozumie, co znaczy „proces wydawniczy”. Sama nie wie, czy podoba jej się to określenie.

– Kiedy ostatni raz widział się pan z Dexem? – pyta Neil.

– Przyjechał tu w zeszłym tygodniu, żeby uczcić sukces *Morderstwa w wieżowcu*, które trafiło na pierwsze miejsce listy bestsellerów. Odniosłem wrażenie, że był w dobrej formie.

– Czy Dex kiedykolwiek wspomniał w rozmowie z panem o Peggy Smith?

– Tej starszej pani, która pomagała mu przy pisaniu książek?

– Tak. Poznał ją pan?

– Spotkaliśmy się tylko raz. Dex chciał nas sobie przedstawić i zabrał mnie do niej. Wypiliśmy kawę w jakimś miłym miejscu nad morzem. Duża indywidualność.

– I więcej jej pan nie widział?

– Nie, ale pisywaliśmy do siebie. Wysyłałem jej kartki pocztowe i egzemplarze sygnałne książek, które według mnie mogły jej się spodobać.

– Czy to kartka od pana? – Harbinder pokazuje mu fotografię pocztówki, którą znalazła na biurku Peggy.

– Tak. Peggy bardzo podziwiała George’a Orwella.

– Z tyłu jest napisane: *Dla Peggy, jak zawsze z wyrazami sympatii i wdzięczności. M.*

– Cóż, miałem wobec niej zobowiązania. – Czy Harbinder ponosi wyobrażenia, czy rzeczywiście słyszy w jego głosie obronny ton? – Była dla Dexa wielkim wsparciem.

– A czy Peggy pisywała do pana?

Wszystkie listy z biurka Peggy są podpisane „Joan”. Charakter pisma jest drobny i niemal nie do odczytania. Harbinder przesłała je grafologowi.

– Czasami – odpowiada Miles. – Polecała mi kryminały, których inaczej mógłbym nie przeczytać. Głównie klasykę, powieści ze złotej ery.

Złota era. Coś jej to mówi. Słyszy głos Dexa: „Nie czytam zbyt wielu kryminałów ze złotej ery”.

– Czy Peggy polecała panu książki Sheili Atkins? – pyta Harbinder.

Miles jest wyraźnie zdziwiony. Znowu odgarnia włosy.

– Tak. Skąd pani wie? W jednym z ostatnich listów rzeczywiście wspomniała o Sheili Atkins.

– Czy chodziło o powieść *Poszcząc, podziękuj Bogu*?

– Tak. – Włosy sterczą mu na głowie jak grzebień. – Chyba tak.

– To był list czy mail?

– List. Była pod tym względem staroświecka.

Harbinder, przypominając sobie porządek na biurku Peggy, chętnie w to wierzy.

– Ma pan go jeszcze? – pyta.

– Nie, obawiam się, że nie. Wszystko poddaję recyklingowi.

– A pamięta pan, co w nim było?

– To co zwykle, pytania o zdrowie i tak dalej. A potem pytała, czy czytałem tę książkę, *Poszcząc, podziękuj Bogu*.

– I co, czytał pan?

– Nie. Niestety, nie. Ludzie spodziewają się, że wydawca przeczytał wszystko, a ja pod pewnymi względami jestem straszliwym ignorantem. Peggy była o wiele lepiej ode mnie obeznana z literaturą.

Miles mówi o sobie, że jest „straszliwym ignorantem”, tak jak ci, którzy nie mają problemów z samooceną. Harbinder jeszcze nie chce mu wyjawić, jakie znaczenie ma ta książka. Daje sygnał Neilowi, a on kiwa głową i zmienia temat.

– Peggy przyjaźniła się z matką Dexa – mówi. – Czy ją też pan znał?

– Nie – odpowiada Miles. – Zmarła, zanim zacząłem tu pracować. Szkoda.

– Najwyraźniej Peggy pomagała Dexowi wymyślać morderstwa – ciągnie Neil. – Wiedział pan o tym?

Miles się uśmiecha.

– Rzeczywiście, wspomniał kiedyś, że trudno wymyślić nowy sposób zabijania ludzi.

Harbinder przypomina sobie o tamtym odręcznym liściku. „Kochana, proszę, pomóż! W przyszłym tygodniu muszę dać Milesowi pierwszą wersję”. Czy Dex ukrywał przed wydawcą, w jak dużym zakresie Peggy mu pomagała?

– Peggy niedawno zmarła – podejmuje Harbinder. – Możliwe, że jej śmierć ma związek ze śmiercią Dexa.

Z twarzy Milesa znika uśmiech.

– O mój Boże. – Gdy podnosi do ust filiżankę z herbatą ziołową, drży mu ręka.

Harbinder naciska dalej:

– Czy Dex dostawał listy z pogrózkami? Maile od czytelników, które wydawały się dziwne?

– O tym więcej może wiedzieć jego asystentka. Ale z tego, co mi wiadomo, cieszył się wielką popularnością. W świecie czytelnicznym zapanuje wielki smutek.

Miles mówi „świat czytelniczny”, jakby to było realne miejsce. Czy naprawdę istnieje krąg ludzi, którzy tak kochają książki, że pisują do autorów i uważają ich za przyjaciół? Harbinder przypomina sobie piątkowe spotkanie w Chichester, wyraz twarzy osób stojących w kolejce po autograf Dexa. Im na pewno będzie dziś smutno.

– Wydaje pan także książki J.D. Monroe? – pyta.

– Julie? – Miles się rozjaśnia. – Tak, jest wspaniała. Jej pierwsza powieść, *Ty mnie do tego pchnąłeś*, odniosła wielki sukces.

– A inne? Już nie cieszyły się takim powodzeniem?

Miles jest wyraźnie skrupowany.

– Czasami, kiedy debiut literacki jest hitem, autorowi trudno powtórzyć to osiągnięcie.

– Zdaje się, że J.D. Monroe również znała Peggy Smith – mówi Harbinder. – Dziękuje jej na końcu swojej książki: *PS. Dla PS.*

– Naprawdę? Pewnie Dex poznał je ze sobą.

– Czy wie pan, jak Peggy pomogła J.D. Monroe?

– Sądzę, że podobnie. Wymyślając sposób zabójstwa. – Miles się śmieje, ale zaraz dodaje ze skruchą: – Julie jest urocza. Mogę sobie wyobrazić, że niełatwo jej mordować swoich bohaterów.

– A Lance Foster? – wtrąca Neil. – Też należy do pańskich autorów?

Miles wydaje się zaskoczony. Odchyła się z fotelem do tyłu.

– Lance? Kiedyś wydawali go w Cassowary, ale kupiło ich Seventh Seal. A potem z kolei Seventh Seal zostało kupione. Tak to bywa w tym biznesie, większa ryba połyka mniejszą, żeby ostatecznie skończyć w brzuchu wieloryba.

Miles uśmiecha się na znak, że to był żart, jednak Harbinder zastanawia się, jakie on zajmuje miejsce w tym łańcuchu pokarmowym. Jest małą czy dużą rybą?

– A zatem czy pracował pan kiedyś z Lance'em Fosterem? – pyta.

– Nie – odpowiada Miles. – Oficjalnie jest jednym z moich autorów, ale nie mieliśmy okazji współpracować. Napisał tylko jedną książkę.

Harbinder zagląda do notatek.

– *Laokoon.*

– Tak. To bardzo literackie dzieło, nie dla każdego, ale miało pozytywne recenzje i znalazło się na długiej liście kandydatów do Bookera. – Z głośnym stuknięciem Miles przywraca fotel do poprzedniej pozycji. – Czy Lance również znał Peggy?

– Składa jej podziękowania w książce. Po łacinie.

– To w jego stylu.

Harbinder wyczuwa, że Lance, w przeciwieństwie do Julie, nie jest taki uroczy.

– Dziękujemy panu – mówi. – Czy możemy teraz porozmawiać z osobą, która zajmuje się promocją książek Dexa?

Pippa Sinclair-Lewis jest zaskoczeniem. Sądząc z nazwiska, Harbinder spodziewała się zobaczyć dwudziestokilkuletnią piękność z długimi włosami i rachunkiem powierniczym do dyspozycji. Tymczasem to kobieta po sześćdziesiątce, siwa, krótko ostrzyżona, w praktycznych butach. Siada naprzeciwko nich i poważnie patrzy na nich zza okularów w złotych oprawkach, niekryjących jednak jej zaczerwienionych oczu.

– Pracowałam z Dexem przez piętnaście lat – mówi – więc jestem wstrząśnięta.

– Przykro nam – odpowiada Harbinder. – Pewnie to dla pani bardzo trudne.

– Mówi się, że został zamordowany. Czy to prawda? – pyta Pippa.

– Są pewne podejrzenia okoliczności – przyznaje Harbinder. – Ale nic więcej nie możemy zdradzić.

Kula w głowę, myśli. Tropy kryjące się w książkach. Zwłaszcza jednej, autorstwa samego Dexa.

Pyta o spotkanie literackie w Chichester i Pippa wyjaśnia, że odbyło się w ramach trasy promującej nową książkę.

– Nie jest to szczególnie popularne miejsce, ale ponieważ znajduje się niedaleko domu Dexa, chciał tam wystąpić. Jest bardzo dobrym mówcą. To znaczy był... Boże, wciąż nie mogę w to uwierzyć.

– Byłam na tym spotkaniu – informuje Harbinder. – Rzeczywiście świetnie mu poszło. Bardzo ciekawie mówił.

– Naprawdę była tam pani? – Zdziwienie Pippy jest dość nieuprzejme. – Po co?

– Mieszkam w pobliżu – wyjaśnia Harbinder. – I lubię kryminały.

Hm, lubi horrory, ale co za różnica.

– Czytała pani którąś z książek Dexa? – pyta Pippa.

– Nie, ale chętnie przeczytam.

– Prześlę pani pierwszą z nich – mówi Pippa, co wydaje się bardzo wielkoduszne z jej strony, dopóki nie psuje wrażenia, dodając: – Właśnie zrobiliśmy wznowienie z nową okładką i jesteśmy zavaleni egzemplarzami promocyjnymi.

– Rozmawiałam z Dexem kilka dni temu – podejmuje Harbinder. – Prowadzimy śledztwo w sprawie innej podejrzanej śmierci... osoby, którą Dex dobrze znał. Czy mówi pani coś nazwisko Peggy Smith?

Spodziewa się, że Pippa ze zniecierpliwieniem pokręci głową, a tymczasem na ustach kobiety pojawia się uśmiech, który całkowicie odmienia jej twarz.

– To ta konsultantka do spraw zabójstw? Tak, oczywiście. Nawet miałam okazję ją poznać. Pojechałam do Shoreham, żeby spotkać się z Dexem, i zabraliśmy ją i Weronikę na lunch. Ależ opowiadały historie!

– Konsultantka do spraw zabójstw? Czy tak przedstawiał ją Dex?

– Mhm. Tak sobie żartowali. Dex nawet zamówił dla niej wizytówki. Świetnie umiała wymyślać różne makabryczne sposoby uśmiercania postaci.

– Czy wie pani, dlaczego tak dobrze jej to szło?

– Dex wspomniał coś o tym, że była kiedyś płatną zabójczynią, ale uznałam, że to żart. Weronika także miała barwną przeszłość. Jako nastolatka działała w polskim ruchu oporu. Zdaje się, że była świadkiem jakichś okropności.

– Dex mi powiedział, że jego matkę nazywano nastoletnią zabójczynią. Pippa patrzy na Harbinder dziwnym wzrokiem.

– Kiedy to było?

– Po spotkaniu literackim w Chichester. Poszliśmy na drinka.

– Nic mi o tym nie mówił. Zawsze kontaktuję się z nim po takich wydarzeniach, jeśli nie mogę być na nich obecna.

– Może uznał, że to nic ważnego – podsuwa uspokajająco Neil.

A było ważne, myśli Harbinder. Kilka godzin po tej rozmowie w pubie Dex zginął.

– Co teraz będzie? – pyta Kaur z autentycznym zainteresowaniem. – Pracuje pani z wieloma innymi autorami?

– Owszem – potwierdza Pippa. – Ale Dex był najpopularniejszym z nich, a zresztą pora, żebym przeszła na emeryturę. Jestem niedzisiejsza. W branży pojawia się tylu nowych ludzi, speców od marketingu i reklamy, nastawionych na aktywność w mediach społecznościowych i tym podobnych. Właśnie przyjęli tu nową osobę, niejaką Dakotę, która ma szalone pomysły na mailing i chwytne reklamy. Już nie wystarczy opowiedzieć ludziom o książce.

A więc z odejściem Dexa kariera Pippy Sinclair-Lewis się kończy, myśli Harbinder. Ciekawe, co ta śmierć oznacza dla jego agentki literackiej.

Biuro Jelli Walker-Thompson znajduje się w Covent Garden. Neil mówi, że to tylko kilka przystanków metrem, jednak Harbinder proponuje, żeby się

przeszli.

– Pewnie zabije nas stężenie tlenku węgla – rzuca Neil, ale dość chętnie się zgadza.

I to całkiem przyjemny spacer, nad Tamizą, przez Strand i dalej, w kierunku Covent Garden. Rzeka lśni, przed kawiarniami i restauracjami stoją jeszcze stoliki. Jest jednak więcej bezdomnych, niż Harbinder zapamiętała. To problem, który występuje nawet w Shoreham. Harbinder zawsze stara się kierować takich ludzi do hosteli, ale wie, dlaczego nie mogą z nich skorzystać; przede wszystkim musieliby mieć jakiś dokument tożsamości, choć jest jeszcze wiele innych powodów. To nie w porządku przechodzić obok materaców i tekturowych pudeł, które są dla takich osób domem. Neil jakby nie zwracał na to uwagi. Pewnie zastanawia się, ile robi kroków, co codziennie skrupulatnie sprawdza.

Agencja literacka nazywa się Walker i Hutchance. Mieści się nad biurem notarialnym i wchodzi się do niej dyskretnymi drzwiami w bocznej uliczce. W środku jest wystarczająco dużo książek, żeby zadowolić Neila i jego sentyment do biblioteki; stoją na każdym stole, piętrzą się w stosach na schodach. Służą nawet za stolik do kawy w biurze Jelli Walker-Thompson.

– To moja kupka KDP – mówi agentka.

– KDP? – powtarza ze zdziwieniem Neil.

– Książek do przeczytania. Jeśli zginę w tragicznych okolicznościach, to przywalona ich morderczym stosem. Przepraszam, to było niesmaczne. Czasami pod wpływem złych informacji tracę nad sobą kontrolę.

Agencja stanowi miłą niespodziankę, podobnie jak sama Jelli Walker-Thompson. Przede wszystkim jest czarna, a Harbinder zdążyła już zauważyć, że w branży wydawniczej ludzie o innym kolorze skóry niż biały należą do zdecydowanej mniejszości. Jelli jest w dodatku dość młoda jak na

osobę, której nazwisko, wypisane złotymi literami, widnieje nad siedzibą firmy w Covent Garden. Mówi, że jej droga do świata wydawniczego nie była konwencjonalna.

– Dorastałam w południowym Londynie. Rzuciłam szkołę w wieku szesnastu lat. Pracowałam jako sprzedawczyni i opiekunka społeczna. Nawet przez jakiś czas służyłam w wojsku. Do Cambridge poszłam jako dojrzała osoba. Przyjęli mnie, żeby poprawić statystykę zróżnicowania studentów.

– Jak długo była pani agentką Dexa Challonera? – pyta Harbinder.

– Pięć lat. Przez wiele lat reprezentował go Ernest May, ale Dex postanowił to zmienić.

Harbinder zastanawia się, czy to znaczy, że Jelli zwabiła go jakoś do siebie. Ale jak?

– Jak pracowało się pani z Dexem? – pyta Neil.

– Był miłym człowiekiem. – Jelli mówi to tak, jakby mieli zaprzeczyć. – I wymarzonym klientem.

– Kiedy widziała się pani z nim ostatni raz? – przejmuje pałeczkę Harbinder.

– W zeszłym tygodniu. W Seventh Seal urządzili na jego cześć małe przyjęcie. Wyglądał na zadowolonego.

– Nie wspominał, że coś go niepokoi? – ciągnie Neil. – Jakieś dziwne maile czy inne wiadomości?

– Nie. Był w dobrym nastroju. *Morderstwo w wieżowcu* dostało się na szczyt listy bestsellerów i planował nowy projekt.

– Kolejną książkę z tej serii?

– Nie, tę już napisał. *Morderstwo w parku*. Tym razem myślał o czymś poza serią.

Harbinder pyta o Peggy Smith.

– A, tak, to ta starsza pani z budynku nad morzem – natychmiast odpowiada Jelli. – Dex ją lubił. Przyjaźniła się z jego matką. Bardzo się troszczył o swoją mamę.

– Czy przedstawiał Peggy jako konsultantkę do spraw zabójstw? – kontynuuje Harbinder.

Nie jest przygotowana na efekt, jaki jej pytanie wywiera na rozmówczyni. Jelli od jakiegoś czasu bawi się gumkami recepturkami nawiniętymi na rolkę i teraz nagle je upuszcza, tak że powoli staczają się z biurka na wyłożoną parkietem podłogę.

– Co pani powiedziała?

– Czy Dex nazwał kiedyś Peggy konsultantką do spraw zabójstw? – powtarza Harbinder, patrząc z ukosa na Neila.

– Nie – mówi Jelli. Potem z pewnym wysiłkiem opanowuje się i dodaje: – Tylko że... taki tytuł miała nosić jego następna książka, ten sekretny projekt. *Konsultantka do spraw zabójstw*.

– Dex pisał książkę zatytułowaną *Konsultantka do spraw zabójstw*? O czym?

– Nie czytałam jej, ale zdaje się, że bohaterka to starsza pani, która rozwiązuje zagadki kryminalne. To nie była „łagodna” książka.

– „Łagodna”?

– Tak czasami nazywa się kryminały, w których nie ma krwawych, okrutnych zbrodni. Takie staroświeckie.

– Jak powieści Sheili Atkins?

Jelli rzuca jej spojrzenie, które także można określić jako staroświeckie.

– Tak. Powieści kryminalne ze złotej ery czasami uchodzą za „łagodne”. Ja ich za takie nie uważam. Niektóre z nich są piekielnie mroczne. Taka

bywa nawet Agatha Christie.

Piekielnie mroczne. To określenie, zwłaszcza w tych okolicznościach, wydaje się Harbinder szczególnie niefortunne.

Ona i Neil nie rozmawiają o tej sprawie w pociągu, bo ze wszystkich stron otaczają ich zmęczeni pasażerowie. Neil ustępuje miejsca siwowłosej pani, która sprawia wrażenie jeszcze bardziej wysportowanej niż on. Harbinder nie wstaje, chociaż obawia się, że zobaczy kogoś, kto naprawdę chciałby usiąść, ciężarną kobietę, może nawet taką z irytującym znaczkim: *Dziecko w drodze*. Dwoje ludzi naprzeciwko czyta „Standard” z nagłówkiem na pierwszej stronie: *Autor bestsellerów nie żyje*.

Gdy pociąg mknie przez południowy Londyn, Harbinder myśli o Dexie i jego nowym przedsięwzięciu literackim. Czy ktoś go zabił, żeby nie dopuścić do napisania *Konsultantki*? Czy ten człowiek zamordował Peggy, a może i Weronikę? Wyjmuje telefon i sprawdza, czy nie ma jakichś nowych wiadomości. A może by tak zagrać szybko w *Panda Pop*? Zerka na Neila, ale założył słuchawki i wszystko wskazuje na to, że jest w innym świecie. Nie darowałyby sobie, gdyby przyłapał ją na strzelaniu do bąbelków. Upewnia się, że dźwięk jest wyłączony, i wtedy dostaje wiadomość:

W drodze do Aberdeen! Będziemy informować cię na bieżąco. Nx

Rozdział 17

Edwin: Miners' Arms

Edwin parzy kawę w termosie i robi kanapki na podróż. Wprawdzie po drodze mają zatrzymywać się na stacjach benzynowych, ale nigdy nie wiadomo, kiedy człowiek będzie potrzebował trochę kofeiny i czegoś pożywnego. Kupił także paczkę ciasteczek. Czeka na dole, przy wyjściu, żeby Natałka nie musiała dzwonić domofonem. Jest bardzo wcześnie, jeszcze ciemno, ale powietrze ma w sobie świeżość zwiastującą poranek, kiedy miasto się budzi. Edwin czuje woń morza i słyszy szum fal obmywających kamienistą plażę. Drży z chłodu, chociaż ma na sobie zimowy płaszcz i szalik w kratę na cześć Szkocji. Kiedy pracował w BBC, spędził w Edynburgu niejedno przyjemne lato.

Bramę omiatają światła reflektorów samochodowych. Przyjechała Natałka. Wysiada z volkswagena, żeby pomóc Edwinowi włożyć do bagażnika walizkę, zgrabną, na kółkach, z czasów, gdy często latał samolotami.

– Podróżujesz z małym bagażem – zauważa. – Lubię to u mężczyzny.

Ma zwyczaj nadawać swoim słowom podtekst, co robi wrażenie, nawet jeśli ktoś jest gejem i ma osiemdziesiątkę na karku. Edwin śmieje się swobodnie.

– Mam usiąść z tyłu? – pyta. – Benedict powinien zająć miejsce z przodu. Ma dłuższe nogi.

– Nie, siadaj obok mnie – odpowiada Natałka. – Zamienicie się, gdy zrobimy sobie postój. Kto pierwszy, ten lepszy. – Znowu ten podtekst.

Benedict czeka przy elektrowni, ze skórzanym kuferkiem i z dużą paczką misiów Haribo.

– Ja wziąłem ciastka – oznajmia Edwin w ramach przywitania.

– Świetnie – rzuca Benedict. – Już nie mogę się doczekać. Co powiecie na gry słowne?

– Boże, daj mi siłę – komentuje Natałka.

Grają w „kim jestem?” aż do M25. Nie idzie im za dobrze. Benedict wybiera mało znane postacie, przeważnie związane z religią – świętą Teresę z Lisieux, Thomasa Cranmera, ojca Pio – Edwin te już raczej zapomniane, jak Marlene Dietrich, James Mason, Jacqueline du Pré, a Natałka zbyt współczesne: Duę Lipę, Stormzy’ego, Jameelę Jamil. Zatrzymują się przed Oksfordem na późne śniadanie albo wczesny lunch. Natałka wychodzi przed kawiarnię, żeby zapalić elektronicznego papierosa, a Edwin i Benedict kończą posiłek. Benedict je wrapa irytująco wolno. Edwin niespiesznie delektuje się kanapką, ale i tak zjada ją pięć minut przed Benedictem. Może tak ich uczyli w klasztorze: jeść powoli. Żeby nie skupiać się na tym przeżuwaniu Benedicta, Edwin zagaduje:

– Zastanawiałeś się, co będziemy robić, kiedy już dotrzemy do Aberdeen?

W Aberdeen zarezerwowali pokoje w Travelodge, a na dzisiejszą noc Edwin znalazł bardziej malowniczy, sądząc z opisu, pensjonat w Górach Pennińskich; wprawdzie należy trochę nadłożyć drogi, ale chyba warto, myśli. Benedict miał zebrać informacje o festiwalu literackim i teraz kładzie na stole wydruk materiałów promocyjnych z internetu. Edwin jest

zadowolony, że nie musi oglądać ich na ekranie smartfona. Sam wydrukował mapę z wytyczoną trasą podróży, chociaż Natalka używa nawigacji z iPhone'a. Edwin się denerwuje, gdy nie widzi, gdzie jest i dokąd jedzie.

Benedict przełyka ostatni kęs wrapa i popija dużą ilością wody.

– J.D. Monroe ma wystąpić jutro o czwartej – mówi. – Temat panelu z jej udziałem brzmi: *Bardziej zabójcze od mężczyzn?* Chyba chodzi o to, czy autorki powieści kryminalnych przejawiają większe okrucieństwo niż autorzy. Oprócz niej uczestniczą w nim jeszcze dwie pisarki. Susan Blake, która pisze kryminały o komisarzu Mike'u Malonie, i Becki Finch, autorka powieści dla młodzieży o wampirze mordercy, Trevorze.

– Wielkie nieba! – Edwin jest trochę tym wszystkim przytłoczony. – Odrobiłeś pracę domową.

Benedictowi ta pochwała wyraźnie sprawia przyjemność. Chyba nie ma okazji słyszeć ich zbyt wielu, domyśla się Edwin.

– Kupiłem dla nas trojga wejściówki na cały weekend, więc możemy uczestniczyć we wszystkich wydarzeniach – ciągnie Benedict. – I przejrzałem listę pisarzy zaproszonych na festiwal. Jest jeszcze paru innych, którzy dziękują Peggy w swoich książkach. Choćby Lance Foster. Napisał powieść pod tytułem *Laokoon*. W środę przed południem występuje w panelu *Czy Hamlet to opowieść kryminalna?*

– Wiadomo, że nie – mówi Edwin. – Skoro to dramat.

– Chyba chcą udowodnić, że tematem wielu klasycznych dzieł literackich jest zbrodnia.

– Oczywiście *Pułapka na myszy* wywodzi się z *Hamleta* – zauważa Edwin, przypominając sobie amatorską inscenizację tej sztuki w Richmond, z dość interesującym panem Paravicinim.

Po wyjściu z kawiarni widzą, że Natalka chodzi między zaparkowanymi samochodami.

– Poznalibyście forda fiestę? – pyta ich.

– Ja niestety nie – odpowiada Edwin. – Dla mnie wszystkie samochody wyglądają tak samo.

To nie do końca prawda. Kiedy mieszkał w Brighton, jeździł fiatem 500 i teraz uśmiecha się na wspomnienie jego rezolutnie wyglądającej maski.

– A ja tak – oznajmia ku ich zdziwieniu Benedict. – Ojciec kazał nam zgadywać marki samochodów.

– W takim razie wypatruj forda fiesty – mówi Natalka. – To może być następna zabawa w czasie jazdy.

– Dlaczego? – pyta Edwin. – Czy to taki samochód widziała Peggy z okna?

– Tak. – Natalka wyjmuje kluczyki do swojego golfa. – Wsiadajcie, ruszamy w drogę.

Teraz Edwin siedzi z tyłu i od czasu do czasu przysypia. W jednej chwili gawędzi o Dexie Challonerze i zastanawia się, czy nie został on zabity przez byłą kochankę, a w następnej płynie barką po Sekwanie z François i ukazuje mu się matka przebrana za Marię Antoninę...

Budzi się, gdy Natalka informuje, że jutro będą przejeżdżać obok Gretna Green^[14].

– Pobierzemy się, Benny? Edwin może robić za świadka.

Benedict się śmieje, ale Edwin zauważa, że w jego głosie słychać smutny ton. Czyżby podkochiwał się w Natalce? Jest dla niego zbyt żywiołowa, ale przecież zdarzały się już dziwniejsze historie.

Zatrzymują się na jednej z zaskakująco malowniczych stacji Tebay; jest tam staw z kaczkami i sklep z produktami rolnymi. Edwina niespodziewanie nachodzi ochota na herbatę i ciasto. To oznaka starości, myśli. Czasami zapomina o swoim wieku. Widzi w lustrze pomarszczonego starszego faceta i zastanawia się, czy to nie jakiś podstarzały włamywacz. Jego dłonie, z wydatnymi żyłami i plamami wątrobowymi, budzą w nim odrazę. Myślał, że przynajmniej głos ma taki sam jak dawniej, ale kiedyś usłyszał w aptece zrzędlawy skrzek, proszący o gaviscon w tabletkach. Czy to naprawdę był głos Edwina Fitzgeralda, nazwany kiedyś w „Radio Times” melodyjnym? Weź się w garść, nakazuje sobie. Jesteś w trasie z dwójką młodych przyjaciół. Przenocujesz w pensjonacie i znajdziesz się w Szkocji, jednym z twoich ulubionych miejsc na ziemi. Co więcej, tropisz niebezpiecznego zabójcę. Jesteś detektywem walczącym ze złem. Od razu siada prosto.

Benedict przynosi mu herbatę i naprawdę apetycznie wyglądającą babeczkę. Edwin dzieli ją na trzy kawałki. Natalka pochłania swój na raz. Benedict znowu je irytująco wolno. Edwin stara się na niego nie patrzeć. To nawet zabawne tak się na kogoś denerwować, szczególnie na przyjaciela. Dawno nie przebywał tyle czasu z innymi ludźmi. I z wyjątkiem tych dwóch lat z Nickym nigdy nie mieszkał z drugą osobą. Najwyższa pora, żeby przestać być takim drażliwym, mówi sobie, strzepując okruszki z kolan. Mimo wszystko jest zadowolony, gdy Benedict wreszcie kończy jeść.

Następna część podróży jest jeszcze bardziej ekscytująca. Opuszczają autostradę i przejeżdżają przez wioski z szarego kamienia, gdzie dzieci już kończą na ten dzień naukę w szkole i osoby pomagające im przechodzić przez ulicę, w żółtych kamizelkach, władczym gestem podnoszą ręce, żeby zatrzymać ruch. Dziwnie widzieć ludzi, którzy prowadzą zwykłe życie,

i coś w tych dzieciach, kurczowo trzymających torby z książkami i projekty z kartonu, sprawia, że Edwinowi łzy napływają do oczu. Sam chodził do prywatnej podstawówki dla chłopców. Była to niewątpliwie bardzo elitarna i snobistyczna placówka, ale w żadnej innej szkole nie czuł się lepiej. Siedzi teraz z przodu, między innymi dlatego, że zna drogę do pensjonatu.

– To w pobliżu Rookhope – tłumaczy Natalce, starając się sprawiać wrażenie, że wie, o czym mówi.

– Jest taki wiersz Audena o Rookhope – odzywa się Benedict z tylnego siedzenia.

Niedługo przypomni sobie cały tekst utworu, Edwin nie ma co do tego wątpliwości.

Zostawiają za sobą domy oraz opuszczone fabryki i jadą przez naprawdę piękne tereny: fioletowe wrzosowiska, skalne wychodnie, które przypominają wyciągnięte ku niebu dłonie, nieoczekiwane wodospady, murki z suchego kamienia. Wspinają się coraz wyżej. Edwinowi pyka w uszach i ledwie słyszy Natalkę, która śpiewa do wtóru płynącej z radia rzewnej ballady. Im dzikszy krajobraz, tym dziewczyna staje się radośniejsza.

Mijają kamienne łuki, które wyrastają z ziemi, jakby były pozostałościami podziemnego miasta.

– To kominy Rookhope – wyjaśnia Benedict. – Miały odprowadzać trujące gazy z hut ołowiu, położonych wysoko na wrzosowiskach.

– Trujące gazy – powtarza Edwin.

Kamienne łuki nagle wydają mu się bardziej groźne niż malownicze. Myśli o podziemnych kryjówkach, o Smaugu strzegącym swojego skarbu, o wędrowcach, którzy bezpowrotnie znikają na odludnych wrzosowiskach.

„Od celu podróży dzieli cię tysiąc sześćset metrów”, melodyjnie informuje przytwierdzony do przedniej szyby smartfon Natalki.

– Tu nie ma żadnych zabudowań – zauważa Natałka. – Powtórz, Edwin, jak nazywa się to miejsce?

– Miners' Arms – odpowiada.

Sam już traci wiarę, że pensjonat w ogóle istnieje. Wybrał go częściowo właśnie ze względu na nazwę. Wyobraził sobie potężne ramiona, stwardniałe ręce trzymające widły albo kufel piwa. Zawsze zwracał uwagę na przedramiona.

– „W Rookhope... – intonuje nagle Benedict głosem, którym zwykle recytuje wiersze. – W Rookhope po raz pierwszy poczułem swoje ja i nie ja, Śmierć i Strach... Tam wypadły mi z rąk kamyki, gdym słuchał i ciemność się poruszyła...”

– Bardzo pogodne, Benny – prycha Natałka.

„I ciemność się poruszyła” – te słowa dźwięczą Edwinowi w uszach, potęgując wrażenie zawrotu głowy. Myśli o znajdujących się pod ziemią czeluściach. O starych tunelach kopalnianych. O niespenetrowanych przez człowieka pieczarach. O śmierci i strachu.

– Chyba jesteśmy na miejscu – mówi Natałka.

To musi być tutaj. Trzy domki w szeregu, za nimi wrzosowiska, dalej wzgórze. Gdy podjeżdżają bliżej, Edwin dostrzega na przydrożnej tablicy zachęcające powitanie: *Miners' Arms, pub, pensjonat ze śniadaniem, darmowe wi-fi.*

– Przytulnie – rzuca Natałka.

Naciskają dzwonek przy wejściu i drzwi otwiera kobieta o płomiennorudych włosach, w pomarańczowej sukience i czarnych butach za kostkę. Efekt w ciemnym holu jest taki, że Edwin cofa się kilka kroków.

– Edwin Fitzgerald? – odzywa się w końcu, z pytającą intonacją, jak to teraz robią młodzi. – Zarezerwowałem nocleg przez internet.

– O, dzień dobry. – Zjawa wyciąga do niego rękę. – Jestem Jess. Prowadzę ten pensjonat. Witamy w Górach Pennińskich.

– Bardzo tu ładnie. – Edwin wchodzi do pomieszczenia, które wygląda jak staroświecki salonik. – Ale musi się pani czuć tu odizolowana.

– Nie przeszkadza mi to – odpowiada Jess. – Pochodzę z Leeds. Lubię ciszę i spokój.

Na stole stoi laptop i Jess wprawnie przewija palcem stronę na ekranie. Na paznokciach ma pomarańczowy lakier.

– Tak, zgadza się. Dwa pokoje na nazwisko Fitzgerald. Dwuosobowy i jednoosobowy.

Edwin czuje, że oblewa się rumieńcem, co nie zdarzyło mu się chyba od czasu, gdy był nastolatkiem.

– Nie, zarezerwowałem trzy pokoje.

– Przykro mi – mówi Jess. – Nasza strona jest myląca. Dwuosobowy pokój wygląda jak dwa oddzielne. Problem w tym, że dzisiaj jest komplet gości. Mieliśmy tylko cztery wolne pokoje, a dwa zajęli już turyści z plecakami.

Edwin odwraca się do Natalki i Benedicta.

– Przepraszam. – Ta komplikacja w chwili, kiedy już sądził, że dotarli do celu, nagle zamienia się w istną katastrofę.

– A skąd są ci turyści? – pyta Natalka.

Jess patrzy na nią ze zdziwieniem.

– Nie pytałam. Zwykle przyjeżdżają do nas Holendrzy albo Niemcy.

Natalka zaczyna chodzić po pokoju. Zniknęła wesoła dziewczyna, która w samochodzie śpiewała balladę. Teraz wydaje się niemal

rozgorączkowana.

– Ja biorę jedynekę – rzuca. – Ty i Benny prześpicie się w dwójce.

Edwin nie może się zorientować, czy Benedict przyjmuje to z ulgą, czy z rozczarowaniem.

– Co się dzieje z Natalką? – zagaduje Edwin Benedicta, gdy zostają sami w pokoju.

Na szczęście jest on duży i wygodny i ma dwa łóżka nakryte patchworkowymi kapami. Edwin pozwala Benedictowi zająć łóżko przy oknie, przypominając sobie wybieranie łóżek w internacie. Drugi raz tego dnia myśli o szkole. Może przez tę podróż, jadąc na północ, cofnął się w czasie. I gdy dotrą do Szkocji, znowu będzie chłopcem w wieku szkolnym, pryszczatym, z wystającymi górnymi zębami, trzymającym futerał z klarnetem.

Benedict stawia na łóżku swoją skórzaną torbę.

– Niczego nie zauważyłem – odpowiada.

– Wydaje mi się podenerwowana – wyjaśnia Edwin. – Ta sprawa z fordem fiestą. I praktycznie warknęła na naszą miłą gospodynię, pytając o tych turystów.

– Pewnie jest zmęczona po podróży, i tyle – kwituje Benedict.

Edwin nie ciągnie tematu. Przynajmniej nie będą musieli jeść jego sfatygowanych już kanapek z szynką, bo w pubie na wieczór otwierają kuchnię. Kusi go, żeby położyć się na łóżku i trochę odpocząć, ale wie, że jeśli to zrobi, natychmiast zaśnie. Benedict włącza telewizor i skacze po kanałach.

– *O. Napisała: Morderstwo* – mówi z zadowoleniem w głosie.

Edwin sadowi się w fotelu, żeby pooglądać.

Kiedy się budzi, na zewnątrz jest już ciemno i ktoś puka do drzwi.

– Edwin! Benedict! – Głos Natalki jest podniesiony i brzmi w nim zniecierpliwienie. – Pobudka! Chcę iść na kolację.

– Już! – woła Benedict. – Daj nam pięć minut. – Wstaje z łóżka.

Być może on także przysnął, myśli Edwin, idąc do łazienki, żeby przemyć twarz zimną wodą. Patrzy na swoje odbicie w lustrze. Jest trochę wymizerowany, ale wygląda całkiem nieźle jak na kogoś, kto ma za sobą cały dzień w podróży. Wraca do pokoju, zdejmuje tweedową marynarkę i wkłada rozpinany sweter. Benedict nerwowo przygląda kręcone włosy i strzepuje wyimaginowane pyłki ze swetra.

– Dobrze się prezentuję? – pyta.

– Świetnie, drogi chłopcze.

Kiedy jednak Edwin otwiera drzwi, jest zaskoczony widokiem, który mu się ukazuje. Natalka przebrała się w obcisłe dżinsy i podkreślający figurę różowy sweterek. Blond włosy ma rozpuszczone, a jej niebieskie oczy, podkreślone tuszem do rzęs, błyszczą. Edwinowi wydaje się, że słyszy, jak Benedictowi zapiera dech. Nawet on sam nie pozostaje obojętny. Zawsze lubił towarzystwo atrakcyjnych kobiet.

– Ślicznie wyglądasz, moja droga.

Schodzą gęsiego po schodach, Natalka pierwsza, a za nią panowie. Malutki bar wydaje się pełny, ale zaraz się okazuje, że są tam tylko cztery osoby. To pewnie ci turyści, najwyraźniej Holendrzy. Edwin spogląda na Natalkę i widzi, że dziewczyna wyraźnie się rozluźnia, opuszcza ramiona. Benedict też na nią patrzy.

Jess podaje im karty dań i informuje, że szefem kuchni jest jej mąż, Jay. Edwin pyta, jak długo prowadzą Miners' Arms.

– Od dwóch lat – odpowiada Jess, otwierając butelkę czerwonego wina, które zamówili. – To miejsce było w ruinie, kiedy tu przyjechaliśmy. Domki

zamieszkiwali kiedyś górnicy. Był ich cały szereg, ale je zburzono, pozostały tylko te. Wciąż można zobaczyć przydomowe ogródki, z kapryfolium i jabłonią. A reszta zniknęła. Gdy czasami o tym myślę, robi mi się smutno.

Edwin wyobraża to sobie. Domki, po których zostały tylko ogródki, z kwitnącymi kwiatami. Wzdryga się, mimo że w sali jest ciepło. Ale to przyjemny wieczór. Stek i cynaderki w cieście, które zamówił, są pyszne i pije więcej wina niż zazwyczaj. Natałka też bierze stek, a Benedict risotto. Później popijają brandy przy kominku. Jest tu o wiele chłodniej niż w Sussex.

Rozmowa jakoś schodzi na temat małżeństwa. Edwin wyznaje, że nie wziąłby ślubu z Nickim, nawet gdyby wtedy prawo na to pozwalało.

– Dlaczego nie? – pyta Benedict. – Ja chciałbym się ożenić.

Mówi to niemal wojowniczo. Edwin uświadamia sobie, że wszyscy są trochę pijani.

– Nie wyobrażam sobie, że mógłbym być w taki sposób uwiązany do kogoś – tłumaczy. – Czuję się jak w pułapce.

– Ja miałam już męża – oznajmia Natałka. – To nic takiego.

Obaj patrzą na nią szeroko otwartymi oczami.

– Miałaś męża? – pyta Benedict. – Kiedy?

– Wzięłam ślub po studiach – wyjaśnia Natałka. – Dzięki temu mogłam zostać w Anglii. On chyba miał na imię Daniel.

– Chyba? – Benedict sprawia wrażenie, jakby był bliski płaczu.

– Niech ci będzie. Miał na imię Daniel. Dan. Był całkiem miły.

– Wyszłabyś ponownie za męża? – odzywa się Edwin. – Gdybyś spotkała tego jedyne. – Stara się ironicznym gestem ująć ostatnie słowa w cudzysłów.

– Albo tę jedyną – podsuwa Natalka.

– Czyżbyś była lesbijką? – pyta Edwin.

Nie może uwierzyć, że rozmawia o tym tak po prostu, bezpośrednio. To musi być zasługa brandy. Od lat nie pił wysokoprocentowych alkoholi.

– Bywam – odpowiada Natalka. – Jeszcze jedną brandy?

– Bywasz? – powtarza Benedict. – Co to znaczy?

– To, że sypiałam z mężczyznami i z kobietami – tłumaczy Natalka spokojnie. – A ty nie?

– Nie.

Ciekawe, czy wciąż jest prawiczkim, zastanawia się Edwin. Czy trzeba nim być, żeby zostać zakonnikiem?

– Ja spałem tylko z mężczyznami – wyznaje. – O tym, że jestem gejem, wiedziałem mniej więcej od dziesiątego roku życia. – Znowu wraca myślami do szkoły i widzi Crosslanda Majora pod prysznicem.

– Chciałabym cofnąć się do czasu, kiedy miałam dziesięć lat – mówi Natalka. – Zanim zaczęła się wojna, zanim ojciec odszedł i gdy brat jeszcze żył. Uwielbiałam szkołę. Byłam najlepsza z matematyki w całej dzielnicy. Miałam włosy do pasa i wszyscy chłopcy chcieli się ze mną umówić.

– Ja nie lubiłem szkoły – włącza się Benedict, ale na pewno ma przed oczami obraz, który właśnie przedstawiła Natalka, myśli Edwin. – Zawsze czułem się gorszy od brata i siostry. Oboje są o wiele zdolniejsi ode mnie.

– Jesteś bardzo inteligentny – wtrąca Natalka.

Benedict się rumieni. A może to tylko blask ognia płonącego na kominku.

– Lubię czytać, interesuję się książkami, ale kiepsko mi szło na egzaminach i... no wiecie... nie byłem za dobry w tym wszystkim, co liczy

się w okresie szkolnym. Hugo grał w rugby, Emily w hokeja. Co roku wystawialiśmy opery Gilberta i Sullivana, a oni grali główne role.

Edwin nie może się powstrzymać.

– To operetki, nie opery.

– Masz ładny głos – komplementuje Benedicta Natałka. – Słyszałam, jak śpiewałeś w Shack.

Teraz Benedict już wyraźnie się rumieni.

– Zastanawiam się, czy właśnie nie dlatego zostałem zakonnikiem – odpowiada. – Żeby śpiewać.

– To już wydaje mi się przesadą, drogi chłopcze – komentuje Edwin.

[14] Miejscowość w Szkocji, tuż przy granicy z Anglią, słynąca z tradycji organizowania ślubów i przyjęć weselnych.

Rozdział 18

Benedict: edukacja, zbawienie i potępienie

Benedict budzi się wcześnie, zachodząc w głowę, dlaczego przez pokój przejeżdża pociąg. Potem uświadamia sobie, że dwa metry obok Edwin głośno chrapie. Zamyka oczy i usiłuje ponownie zasnąć. Myśli o Natalce w różowym sweterku, o Jess opowiadającej o domkach górników. „Wciąż można zobaczyć przydomowe ogródki, z kapryfolium i jabłoniemi. A reszta zniknęła”. Chrapanie staje się głośniejsze, później – co jeszcze bardziej go wkurza – cichnie i rozlega się znowu. Benedict postanawia wstać.

Bierze krótki prysznic, mając nadzieję, że szum wody nie obudzi współlokatora. Szybko się ubiera i schodzi na parter. Jest siódma. Jess krząta się w jadalni, nakrywa stoły do śniadania. Benedict macha do niej na powitanie i wychodzi na zewnątrz.

Jest piękny ranek, trawa lśni po nocnym deszczu. Za domem rozciąga się wrzosowisko, na którym migają cienie rzucane przez płynące po niebie chmury. Gdzieś wysoko śpiewa ptak i nawet powietrze pachnie inaczej, jest ostrzejsze i bardziej aromatyczne. Benedict rusza drogą, wypatrując śladów po zburzonych domkach. Na zakręcie widzi murek z suchego kamienia, najwyraźniej otaczający dawny sad z jabłoniemi i krzewy dzikich róż. Na murku siedzi Natalka.

– Wcześniej wstałaś – mówi do niej.

– Nie mogłam spać.

Trzyma w dłoni jabłko – i ten jej obraz jasnowłosej na tle drzew ciężkich od owoców przywodzi mu na myśl klasyczne malarstwo. Może *Sąd Parysa*. Benedict nie bardzo pamięta ten mit, ale zdaje mu się, że opowiadał o wyborze najpiękniejszej kobiety na świecie.

Siada obok niej.

– Dobrze się czujesz? Edwin miał wrażenie, że wczoraj byłaś trochę wytrącona z równowagi.

– Tak, w porządku. – Natałka odgryza kęs jabłka i krzywi się. – Kwaśne. – Rzuca je przed siebie, a ono ląduje gdzieś w zaroślach.

– Wyrośnie z niego kolejne drzewo – komentuje Benedict.

– Za sto lat.

– Tego nauczyłem się w seminarium. Czas jest nieważny. *Tysiąc lat w Twoich oczach jest jak wczorajszy dzień, który minął*^[15].

– Lubisz posługiwać się cytatami, prawda?

– Chyba dzięki temu nie muszę mówić, o czym myślę.

– A o czym myślisz?

Benedict spogląda na nią – istne zjawisko, z tymi rozświetlonymi przez słońce włosami.

– Właśnie myślałem, że do Aberdeen mamy jeszcze co najmniej pięć godzin jazdy – odpowiada. – Najpóźniej o dziewiątej powinniśmy ruszyć w dalszą drogę. Teraz ja mogę prowadzić, jeśli chcesz.

Sam nie wie, czy czuje ulgę, czy rozczarowanie, kiedy Natałka odrzuca jego propozycję.

– Nie trzeba. Lubię prowadzić. – Wstaje i się przeciąga. – Wezmę prysznic przed śniadaniem. Jak tam Edwin?

– Kiedy wychodziłem, spał jak zabity.

Benedict żałuje, że użył tego sformułowania. Ma ochotę się przeżegnać.

– Lepiej pójde i go obudzę – mówi Natalka. – Wczoraj wieczorem chyba się trochę upił.

Gdy jednak wracają do pensjonatu, Edwin jest już w jadalni: siedzi przy stole pod oknem i raczy się obfitym angielskim śniadaniem. W tweedowej marynarce i różowej muszce wygląda dziarsko jak zwykle. Natalka idzie na górę, żeby wziąć prysznic, a Benedict przysiada się do Edwina. Z tego, co mówi Jess, turyści już wyruszyli.

– Dobrze spałeś? – pyta go Edwin.

– Tak – kłamie Benedict.

– Ja także.

Benedict wie, że to akurat prawda. Zamawia u Jess grzanekę i do tego kawę.

– Powinieneś zjeść porządne śniadanie – upomina go Edwin, krojąc swoją kaszanekę na cztery kawałki. – Może będziemy musieli obyć się bez lunchu. O której ma być dziś ten panel dyskusyjny?

– O czwartej. W bibliotece.

Pojawia się Natalka, ma wilgotne włosy. Za przykładem Edwina zamawia jajka na bekonie i kaszanekę. Benedict stara się nie patrzeć, jak je pochłania.

– To jakie mamy plany na dzisiejszy dzień? – zagaduje.

– Pojedziemy na to spotkanie – odpowiada Natalka – a potem pogadamy z J.D. Monroe. Zapytamy ją o Peggy i tę pocztówkę. Najlepiej, jeśli ty to zrobisz, Edwin. Wyglądasz najbardziej dobrodusznie z nas trojga.

Benedict nie jest pewny, ale to chyba miał być komplement pod adresem starszego pana.

Kolejny piękny odcinek trasy. Wrzosowiska, góry, gdzieś jeziora. Zgodnie z zapowiedzią przejeżdżają obok Gretna Green. Od 1754 roku to miasto miłości, jak głosi tablica. Jest bardzo malownicze, z niskimi białymi domkami, przycupniętymi u podnóża zielonych wzgórz.

– Jesteś gotowy, Benny? – pyta Natalka. – „Przyjmij tę obrączkę jako znak...” i tak dalej.

– Jeśli ty jesteś gotowa. – Benedict sili się na swobodny ton.

– Mój drogi chłopcze, sprawiasz wrażenie autentycznie przerażonego – zauważa Edwin.

Najwyraźniej trzeba jeszcze popracować nad tym swobodnym brzmieniem głosu.

Za Gretna Green leży Lockerbie, następne znane miasteczko. Tego dnia wygląda sielsko: szare cegły i gotyckie wieże, ale kiedy przez nie przejeżdżają, żadne z nich się nie odzywa. Trasa, jaką obrali, wiedzie także przez Dunblane, gdzie w 1996 roku zostało zastrzelonych szesnaścioro dzieci razem z nauczycielką. Taka tragedia w takiej pięknej scenerii, myśli Benedict. Widząc tablicę z nazwą miasteczka, zmawia pod nosem modlitwę i ku swojemu zaskoczeniu spostrzega, że Natalka robi znak krzyża.

Kiedy zatrzymują się na kawę przy M9, humory im się poprawiają. Nawet lokalna stacja benzynowa wydaje się Benedictowi egzotyczna: na półkach kruche ciastka w opakowaniach w kratkę i maskotki kudłatych szkockich krów. Kupują kanapki na dalszą drogę i Natalka wysyła esemesa do Harbinder.

– Żeby była na bieżąco – rzuca tonem wyjaśnienia.

– Co ona na nasz wyjazd do Aberdeen? – pyta Benedict. – Nie uważa, że mieszamy się w nie swoje sprawy?

– Chyba nie – odpowiada Natalka wymijająco. – Kilka dni temu poszłam z nią na drinka.

– Tak? – Benedict jest zdziwiony.

Jakoś nie wyobraża sobie, żeby mogły nawiązać porozumienie, poważna Harbinder i żywa jak srebro Natalka. Przypomina sobie jednak jej niedawne słowa: że pociągają ją zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Czyżby ten drink to była randka?

– Powiedziałaś jej, że wybieramy się do Aberdeen? – pyta dalej.

– Zawiadomiłam ją esemesem. Nie miała nic przeciwko temu.

To jeszcze nie oznacza aprobaty, myśli Benedict.

Przed Stirling, a potem znowu w Dundee wpadają w korki. Gdy docierają do Aberdeen, jest już wpół do czwartej. Panel dyskusyjny z udziałem J.D. Monroe zaczyna się za pół godziny.

– Musimy spytać o drogę – mówi Natalka.

Zatrzymuje samochód przy przystanku autobusowym i woła do siwowłosego przechodnia:

– Przepraszam pana! Jak dojechać do biblioteki?

– Do biblioteki? – powtarza mężczyzna, patrząc na nią pogodnym wzrokiem. Wyraźnie mu się nie spieszy. – Chodzi pani o Bibliotekę Główną?

Benedict zagląda do programu festiwalu.

– Tak, o nią.

– Prosto przez skrzyżowanie i dalej Skene Street. To obok kościoła i teatru. Wie pani, jak na te trzy budynki mówią miejscowi?

– Nie. Jak? – pyta Natalka, dostosowując się do jego tonu.

– Edukacja, zbawienie i potępienie – odpowiada mężczyzna. – Miłego dnia!

Benedictowi wciąż dźwięczą w uszach te słowa, gdy Natałka wysadza jego i Edwina przed biblioteką, a sama jedzie poszukać miejsca, by zaparkować samochód. „Edukacja, zbawienie i potępienie”. Niemal słyszy je wypowiedziane z irlandzkim akcentem, a nie ze szkockim miejscowego przechodnia. Trzy budynki robią stosowne wrażenie: szary kamień z kopułami i wieżyczkami. Aberdeen jest czasami nazywane granitowym miastem. Posąg Williama Wallace’a wskazuje na Teatr Jej Królewskiej Mości, jakby dokonywał wyboru, ale Edwin i Benedict ruszają po stopniach do biblioteki. Zaraz początek panelu.

Biblioteka jest duża i są jeszcze wolne miejsca, z tyłu, obok bufetu, na którym stoi termos z herbatą i leży patera z zawilgotniałymi pod przezroczystą folią babeczkami. Benedict spogląda na morze głów i przypomina mu się Dex Challoner w Chichester, opowiadający tak elokwentnie i dowcipnie o swoim pisarstwie. To taki cywilizowany świat: książki, biblioteki i babeczki. Jak to możliwe, że można tu zostać zamordowanym z powodu kilku słów?

Wzdryga się, słysząc wypowiedziane głośno nazwisko Dexa. Stojąca z przodu młoda bibliotekarka prosi o „uczczenie minutą ciszy tego wspaniałego pisarza, który miał być uczestnikiem festiwalu”. Rzeczywiście, Benedict widział jego nazwisko w programie. Skłania głowę i w duchu zmawia modlitwę za zmarłego. „Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie”. Uderza go myśl, że ostatnio często to wypowiada.

Bibliotekarka przedstawia się jako Moira i zaczyna dyskusję od krótkiego przedstawienia uczestników.

– J.D. Monroe, autorka bestsellerowej powieści *Ty mnie do tego pchnąłeś*. A także innych: *Dlaczego nie ja*, *Dlaczego mnie nie zabrałeś*

i najnowszej *To byłeś ty*.

Wynikałoby z tego, że te trzy kolejne nie sprzedają się już tak dobrze jak pierwsza, domyśla się Benedict. Moira wspomina o kilku nagrodach, na co J.D. się czerwieni. Jest młodsza, niż się spodziewał, między trzydziestką a czterdziestką, ma jasną karnację i blond włosy, które jakby wymykają się spod spinek.

– Susan Blake jest autorką dwudziestu pięciu kryminałów z Mikiem Malone’em i ma całą armię wielbicieli.

Ale żadnych nagród, myśli Benedict. Susan, z krótkimi różowymi włosami i o zadzierzystym wyrazie twarzy, musi być po pięćdziesiątce. Pewnie pisze o Mike’u Malonie od dwudziestu kilku lat. Ciekawe, jak to jest żyć przez tak długi czas z fikcyjną postacią?

– Debiutancka powieść Becki Finch, *Mój chłopak jest wampirem*, rozeszła się w nakładzie miliona egzemplarzy na całym świecie i ma zostać zekranizowana, z Timothée Chalametem w roli głównej. Obecnie autorka pisze jej sequel.

Becki jest najmłodszą uczestniczką panelu. Z ciemnymi włosami i kolczykiem w nosie wygląda wręcz na piętnastolatkę. Ma na sobie postrzępione džinsy, skórzaną kurtkę i w ogóle nie pasuje do tego miejsca. Benedict domyśla się, że odniosła największy sukces z obecnych tu pisarek. Przynajmniej pod względem finansowym.

Pierwsze pytania są typowe, w rodzaju: „O czym jest pani nowa książka?”. Benedict lekko przysypia. Pojawia się Natałka i zajmuje miejsce obok niego.

– Coś mnie ominęło? – szepcze.

– Nic szczególnie ciekawego.

Susan Blake wyznaje, że Mike Malone reprezentuje jej ideał mężczyzny: „Jest twardy, to macho, najpierw działa, a dopiero później

zadaje pytania”. Benedict zaczyna czuć się przygnębiony. Moira pyta inne autorki, czy i one opisywały w powieściach swój ideał.

– O nie – odzywa się J.D. Monroe – ja nie mam ideału.

– A ja mam – prycha Becki Finch. – To wampir, który od dawna nie żyje.

Dyskusja się ożywia, kiedy Moira pyta uczestniczki panelu, czy według nich kobiety szczególnie pociąga ukazywanie przemocy w książkach.

– Nie wiem, jak inne przedstawicielki mojej płci – odpowiada Susan – ale ja uwielbiam krwawe jatki. Miałabym ochotę zabić wielu ludzi w realnym świecie, lecz mi nie wolno. Więc robię to w powieściach.

Na widowni rozlegają się śmiechy i Susan uśmiecha się do słuchaczy, co dla Benedicta jest trochę niepokojące.

– Kobiety piszą o przemocy, ponieważ jej doświadczają – oznajmia Becki. Ta prosta prawda wywiera taki efekt, że wszelki śmiech milknie. – Mężczyźni nas nienawidzą. My poprzez książki bierzemy na nich odwet.

– A jakie jest twoje zdanie, J.D.? – pyta Moira. Benedict już zauważył, że Monroe zwykle odpowiada na pytanie jako ostatnia. – Czy powieści kryminalne są formą zemsty?

– Nie wiem – mówi J.D., okręcając wokół palca pasmo włosów.

Przestań to robić, chciałby jej powiedzieć Benedict. W seminarium uczono ich publicznego przemawiania i wciąż ma w pamięci, jak skrytykowano go za to, że wygłaszając mowę o dobrym łotrze, bawił się okularami.

– W moich książkach nie ma dużo przemocy – ciągnie Monroe. – Jest o niej mowa, bo oczywiście morderstwo jest przemocą, niezależnie od tego, jak zostaje przedstawione. Ale jeśli mam być szczerą, wymyślanie morderstw sprawia mi trudności. Znałam kiedyś wspaniałą starszą panią, która umiała wymyślać niewiarygodnie krwawe zabójstwa.

W sali znowu rozlegają się śmiechy.

– Opowiedz nam o tej niezwykłej osobie – prosi Moira.

– Hm... – J.D. obraca teraz bransoletkę na rękę. – To bardzo smutne, bo niedawno zmarła, ale wydaje mi się, że w jakiś sposób brała udział w zimnej wojnie. Często mówiła o Związku Radzieckim, o szpiegach i wywiadzie... – Milknie.

Atmosfera w sali gęstnieje, staje się niemal wroga, zauważa Benedict. Wyobraża sobie, co myślą ci siwowłosi czytelnicy kryminałów: „Po co w czasie takiej rozmowy wspominać o śmierci w realnym życiu? To trochę niesmaczne, czyż nie?”. Moira jednak szybko przechodzi do ostatniej części panelu, prosząc o pytania z sali do autorek. Najwięcej jest skierowanych do Susan. Widocznie wśród publiczności znajduje się dużo wielbicieli Mike’a Malone’a. Becki, być może czując, że czytelnicy z jej grupy wiekowej są gdzie indziej, odchyła się na oparcie fotela i patrzy w sufit. J.D. Monroe stara się sprawiać wrażenie zainteresowanej, choć Benedict przyłapuje ją na tym, że co jakiś czas spogląda na zegarek.

Ale jedna osoba ma do niej pytanie.

– Czy wie pani, kto zabił Peggy Smith? – pyta męski głos z tyłu sali.

J.D. podnosi rękę do gardła, oblewając się rumieńcem.

– Czy to postać z którejś twojej książki? – pogodnie włącza się Moira.

– Nie – odpowiada J.D. – To znaczy... nie wiem... ja...

Moira czeka jeszcze chwilę, a potem ogłasza koniec spotkania.

Natalka wstaje, żeby spojrzeć na mężczyznę, który zadał pytanie.

– Wychodzi – rzuca. – Idę za nim. Ty i Edwin porozmawiajcie z J.D. Nie dajcie jej wyjść.

I znika, zostawiając Benedicta i Edwina, a ci podchodzą do stolika, przy którym autorki podpisują książki.

Do Susan Blake kolejka jest długa. Becki chyba się ulotniła. Z J.D. ktoś rozmawia. Benedict słyszy: „Zawsze chciałem pisać, ale nie miałem czasu...”.

Kiedy niedoszły pisarz odchodzi, Edwin kładzie na stoliku egzemplarz *Ty mnie do tego pchnąłeś*. Uznali, że byłoby niegrzeczne, gdyby nie kupili książki.

– Może pani napisać *Drogiemu Edwinowi*? – pyta starszy pan z całym swoim staroświeckim wdziękiem wyniesionym z BBC. – Przyjaźniłem się z Peggy.

J.D. znowu podnosi rękę do gardła.

– Czy pan zadał to pytanie? Nie widziałam, kto to był.

– Nie. Ale chcieliśmy z panią porozmawiać. To mój przyjaciel, Benedict Cole. Przyjechaliśmy z Sussex. Znamy Harbinder Kaur.

– Detektyw sierżant Kaur? – J.D. trochę się rozluźnia. – Współpracujecie z policją?

W tym pytaniu brzmi niedowierzanie. Benedict jest pewien, że starszy pan, ze swoją różową muszką, nie wygląda na tajnego agenta policji.

– Nie. – Edwin śmieje się uspokajająco. – Jesteśmy tu tylko jako przyjaciele Peggy.

To brzmi jak „przyjaciele Dorotki”^[16], myśli Benedict, i J.D. można będzie wybaczyć, jeśli pomyli jednych z drugimi.

– Może napijemy się razem kawy? – proponuje Edwin. – Jeśli już skończyła pani podpisywanie książek.

Dodaje to tylko z grzeczności. Nikt nie stoi za nim w kolejce.

– Dobrze – odpowiada J.D. – Ale chodźmy do pubu. Muszę się napić czegoś mocniejszego.

Idą do Rob Roya na rogu ulicy, całego w ciemnym drewnie i polerowanym mosiądzu. Benedict proponuje, że pójdzie kupić drinki. J.D. i Edwin proszą o gin z tonikiem, a on sam bierze kufel piwa o nazwie Windswept Wolf. Wysyła Natalce esemesa, powiadamiając ją, gdzie są, a następnie dołącza do tamtych przy ustronnym stole, oddzielonym od reszty sali drewnianą ławą z wysokim oparciem.

J.D. pociąga duży łyk ginu z tonikiem.

– Dzięki. Tego było mi trzeba. Nie znoszę takich spotkań.

– Paneli dyskusyjnych? – pyta Edwin. – Dlaczego? Świetnie pani poszło.

Chce być uprzejmy, bo J.D. wcale nie wypadła dobrze, myśli Benedict. Mówiła albo za mało, albo za dużo i ani razu nie wspomniała o swojej najnowszej książce.

– Wydawca oczekuje, że będę brała w nich udział. Nie wystarczy napisać książkę, trzeba jeszcze jeździć i ją sprzedawać. Nie jestem w tym najlepsza. Przygotowuję sobie te wszystkie zabawne anegdotki, a potem nie umiem wpleść ich do rozmowy. Albo wplątam i nie pamiętam puenty. W dzisiejszych czasach należy być jak Susan, zawsze mieć coś do powiedzenia. Albo być interesującym jak Becki. Ja nie jestem interesująca, naprawdę. Tylko siedzę w domu, piszę książki i zajadam ciastka.

Benedict przypomina sobie notę biograficzną ze skrzydełka *Ty mnie do tego pchnąłeś*. Z tego, co pamięta, nie było w niej wzmianki o mężu czy partnerze. Było coś o tym, że J.D. krąży między Toskanią a Brighton, ale kiedy Benedict ją o to pyta, ona wybucha głośnym śmiechem.

– Powiedziałaś kiedyś wydawcy, że wyjeżdżam na urlop do Toskanii, i stąd to „krążenie”. Przeważnie krążę między kanapą a lodówką.

J.D. w podobny sposób komentuje panel dyskusyjny i dodaje, że chciałaby, żeby w jej książkach występowały kobiety „z nadwagą

i nieefektywne jak ona”. Dlaczego ludzie tak źle wyrażają się o sobie, zastanawia się Benedict. To staje się nudne. J.D. jest wysoka i wcale nie ma nadwagi. A potem nachodzi go refleksja, czy sam nie postępuje tak samo. Czyżby liczył, że ktoś zaprzeczy? Jeśli tak, to najwyższa pora z tym skończyć.

Edwin najwyraźniej postanawia przejść do rzeczy.

– Jak poznała pani Peggy? – pyta.

– Och, mówmy sobie po imieniu. Jestem Julie. – Posyła mu uśmiech, który tak jak jej śmiech jest zaskakująco ciepły. – Powiedział mi o niej Dex. Rozmawialiśmy kiedyś na festiwalu literackim poświęconym powieści kryminalnej i wspomniałam mu, że mam problemy z intrygą. Przy pierwszej książce szło mi świetnie. Niemal sama się napisała. Jednak przy drugiej natrafiłam na trudności. Wiedziałam, że musi dojść do morderstwa, ale nie mogłam wymyślić, w jaki sposób ma zostać popełnione.

– I Dex zasugerował, że Peggy może ci pomóc? – wtrąca Benedict.

– Tak. Żartował z niej. Powiedział, że to urodzona zabójczyni.

Benedict i Edwin spoglądają na siebie porozumiewawczo.

– Mówił, że Peggy w ciele uroczej starszej pani ma duszę zabójcy. Oczywiście to był żart. W każdym razie poradził mi, żebym się z nią skontaktowała. Był to z jego strony miły gest. Wspierał innych pisarzy, chociaż nic z tego nie miał. Napisałam do Peggy i rzeczywiście podsunęła mi kilka świetnych pomysłów na książki.

– Poznałaś ją osobiście? – pyta Edwin.

– Niestety, nie. Ale często wysyłałyśmy do siebie maile i listy. Peggy lubiła je pisać. I zawsze wymieniam ją w podziękowaniach.

– *PS. Dla PS* – rzuca Benedict. – *Postscriptum: dla Peggy Smith.*

– Tak. Sprawiało jej to przyjemność. Uwielbiała szyfry i zagadki. Codziennie rozwiązywała krzyżówki. Ale na pewno o tym wiecie.

– Rozwiązywaliśmy je razem – potwierdza Edwin. – Ale była ode mnie o wiele lepsza. Ja nie radzę sobie z anagramami. Wspomniałaś jednak, że Peggy brała udział w zimnej wojnie. Nigdy o tym nie słyszałem.

– Nie bardzo pamiętam, skąd to wiem – odpowiada Julie. – Chyba sama Peggy raz dała mi coś takiego do zrozumienia. I dość często mówiła o Rosji.

– O kułakach – podsuwa Edwin.

– Tak. – Julie się uśmiecha. – Tak nazywała syna. Musi być nieciekawym człowiekiem. Intryguje mnie, skąd tyle wiedziała o Rosji. Nic mi nie wiadomo o jej przeszłości. Ty pewnie jesteś lepiej zorientowany – zwraca się do Edwina.

– Wcale nie. Wiem, że mąż Peggy służył w marynarce wojennej. Niewiele o nim mówiła, ale kiedyś powiedziała, że był miłością jej życia. Po jego śmierci nie była zainteresowana mężczyznami. A przecież kiedy zmarł, miała dopiero sześćdziesiąt parę lat. Mogła ponownie wyjść za mąż. Uważałem, że to urocze. Chyba lubiła pracę w służbie cywilnej, a później, po przejściu na emeryturę, przekwalifikowała się na bibliotekarkę. Po przeprowadzce do Shoreham pracowała na pół etatu.

– Czy była kiedyś w Rosji? Wiesz coś o tym? – pyta go Benedict.

– Nie. Myślę, że Peggy podróżowała tylko w książkach. Czy ktoś chce jeszcze drinka?

– Teraz ja stawiam – mówi Julie.

Ale w tej chwili zza ławy wyłania się Natalka w towarzystwie wysokiego mężczyzny w okularach.

– Oto Lance – przedstawia go. – To on zadał w bibliotece to pytanie. Jest pisarzem. I także znał Peggy. Pomoże nam.

Mężczyzna sprawia wrażenie, jakby nie był tego zbyt pewny. Przez chwilę rozmawiają trochę skrępowani o Peggy, a potem on proponuje, że

pójdzie kupić drinki. Wywiązuje się krótka dyskusja, kto teraz stawia, aż w końcu Lance i Julie idą do baru razem. Edwin odchodzi, by poszukać toalety, i Benedict zostaje sam z siedzącą obok niego Natałką. Ciszę zakłócają jedynie stłumione głosy dobiegające zza drewnianej ławy.

– Posuwamy się do przodu – zauważa Benedict. – To znaczy ze sprawą.

– Może – odpowiada Natałka. – Lance też dostał jedną z tych pocztówek. Początkowo nie chciał tu przyjść, ale udało mi się go przekonać.

Benedict zastanawia się, dlaczego Lance nie chciał przyjść. Czy chodzi o to, że nie ma ochoty się z nimi bratać, czy też może coś ukrywa? I dlatego wyszedł z biblioteki zaraz po tym, jak zadał pytanie? Już ma podzielić się swoimi wątpliwościami z Natałką, gdy wyraz jej twarzy się zmienia, i to tak nagle i tak bardzo, że jest to wręcz szokujące.

– Zobacz – szepcze Natałka, wskazując za ławę.

– Co się stało?

– Ci ludzie. Chyba przyszli tu, żeby mnie zabić.

[15] Ps 90,4.

[16] Przyjaciół Dorotki (od bohaterki *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*) – środowiskowe określenie osoby homoseksualnej.

Rozdział 19

Harbinder: chlebki paratha

Tak naprawdę Harbinder jest na nich wściekła za ten wyjazd do Aberdeen.

– Co im strzeliło do głowy? – pyta retorycznie Neila. – Jak mogli sobie tak pojechać? Jakby to była jakaś zabawa... jakaś przygoda. Czy nie wiedzą, że toczy się oficjalne śledztwo w sprawie zabójstwa?

Jadą przesłuchać Nigela Smitha, który mieszka we wsi pod Lancing. Neil przez chwilę milczy, bo prowadzi samochód. Zawsze zachowuje szczególną ostrożność na krętych wiejskich drogach.

– Ale jak to się stało, że tam pojechali? – pyta w końcu.

To, niestety, jest zasadnicze pytanie, a odpowiedź stawia Harbinder w niekorzystnym świetle.

– Umówiłam się z Natalką na drinka – wyjaśnia. – Żeby porozmawiać z nią o opiekunce dla mamy. Powiedziałam jej o J.D. Monroe, o tym, że ona również dostała taką pocztówkę i że wybiera się do Aberdeen.

– Po co to zrobiłaś?

Harbinder stara się odpowiedzieć szczerze. Postąpiła tak częściowo dlatego, że Natalka wyjawiała jej prawdę o swoim przekręcie z kryptowalutą, ale powodem było także to, że poszła na drinka

z atrakcyjną kobietą i przestała się pilnować. Nie może jednak przyznać się do tego Neilowi. On oczywiście wie, że jest lesbijką, ale na pewno nie wyobraża sobie, jak to wygląda w praktyce.

– Próbowałam się zorientować, czy wie coś więcej o Peggy – odpowiada wreszcie.

Nawet w jej uszach brzmi to nieprzekonująco. Ale Neil chyba jej wierzy.

– Więc Natałka pojechała do Szkocji z tym gościem od kawy? – pyta. – Czy oni są parą?

Parą. Kto jeszcze tak mówi? Harbinder nie korzysta jednak z okazji, żeby wyśmiać jego sposób wyrażania się, choć bardzo ją to kusi.

– Zabrali ze sobą starszego sąsiada Peggy – rzuca tonem wyjaśnienia. – To nie jest żadna romantyczna podróż.

– Po prostu bawią się w detektywów – podsumowuje Neil. – Nie martw się o nich.

Oby miał rację, myśli Harbinder. Właśnie dotarli do wioski będącej ich celem. Jest taka ładna, że aż zbiera się człowiekowi na mdłości. Neil oczywiście nie posiada się z zachwytu, gdy objeżdżają staw z kaczkami, szukając domu, który jest zbyt okazały, żeby mieć numer.

– Idealna angielska wioska.

– Pewnie pełno w niej rasistów i faszystów – komentuje Harbinder, śledząc trasę w smartfonie.

– Dlaczego tak mówisz? Chciałbym zamieszkać w takim miejscu. Jak z kartki bożonarodzeniowej.

– Właśnie – mamrocze.

Jest niesprawiedliwa, zdaje sobie z tego sprawę. Neil to porządny facet, tylko ulega pewnej wizji angielskości, wciąż niedostępnej dla tych, którzy nie mają tak białej skóry, jak białe jest Boże Narodzenie Binga Crosby'ego.

W końcu odnajdują High Trees. Dom stoi w pewnej odległości od wsi i zgodnie z nazwą jest otoczony wysokimi drzewami i murem. Nigel najwyraźniej nie lubi gości. Ale oczekuje ich i otwiera bramę, starając się sprawiać wrażenie życzliwego.

– Trafiliście bez trudności? – pyta Sally, która stoi za nim.

– O tak. – Harbinder odgania przekarmionego spaniela.

Trochę zraziła się do psów po tym, jak matka złamała przez Starsky’ego nogę. Spaniel, który chyba wabi się Ozzy, przypomina jej psa Clare, puchatego Herberta, rozpieszczanego pupilka lubiącego naruszać prywatną przestrzeń ludzi.

– Leżeć, Ozymandias! – woła bezskutecznie Sally.

Ozymandias. No jasne.

Nigel prowadzi ich do swojego gabinetu, pełnego oprawionych w skórę książek. Harbinder mogłaby się założyć, że nie ma tu dzieł Dexa Challonera. Prawdę mówiąc, cały ten pokój wygląda jak w pokazowych mieszkaniach z jej ulubionych folderów reklamowych. Można tu nawet zobaczyć stare walizki i wielki zegar dworcowy.

Sally odchodzi, żeby zaparzyć herbatę, a za nią podąża Ozymandias.

– Chcielibyśmy porozmawiać o Dexie Challonerze – zaczyna Harbinder. – Słyszał pan, co się z nim stało?

Wiadomość o śmierci Dexa trudno było przeoczyć. O tym, że został zamordowany, donosiły wszystkie programy informacyjne, a w lokalnej prasie był to temat dnia.

– Tak. – Nigel zagłębia się w fotelu, który nie wygląda na tani. – To straszne.

– Wiemy, że on i pańska matka się przyjaźnili – ciągnie Harbinder. – I sprawdzamy, czy jedna śmierć nie jest powiązana z drugą.

– Chwileczkę. – Nigel przechodzi w tryb zaczepny. – Matka zmarła śmiercią naturalną.

Ciekawe, że tak łatwo nasuwa mu się to oficjalne określenie, gdy mówi o własnej matce.

– Nie sugerujemy, że było inaczej – zastrzega Harbinder, chociaż w gruncie rzeczy to właśnie sugerują. – Jednak pańska matka była zaangażowana w twórczość pisarską Dexa Challonera.

– Nie użyłbym tu słowa „zaangażowana” – oponuje Nigel. – Znała matkę Dexa, Weronikę. I to wszystko.

– Pomagała mu wymyślać zbrodnie – włącza się Sally, wchodząc z tacą do pokoju. – Była z tego bardzo dumna. Uwielbiała rozwiązywać zagadki kryminalne.

Nigel rzuca żonie spojrzenie rodem z kryminału.

– Nie wiem dlaczego – kwituje. – Przecież była inteligentną kobietą.

– Czy inteligentni ludzie nie czytają powieści kryminalnych? – pyta Harbinder. – Przecież Dex studiował w Oksfordzie.

– To co innego – sprzeciwia się Nigel.

Jasne, że tak, myśli Harbinder. Przede wszystkim Dex był mężczyzną.

– Czy Peggy mówiła, że jest konsultantką przy książkach Dexa? – Harbinder kieruje to pytanie do Sally, która wciąż stoi przy drzwiach.

– Wspominała o tym – potwierdza ona. – Tak jak mówi Nigel, poznała go, kiedy przyjechał odwiedzić matkę w Seaview Court. Zaimponowała mu znajomością powieści kryminalnych. Czytała wszystkie. Od tych ze złotej ery aż po najnowsze, czasami bardzo krwawe. Zdaje się, że podpowiedziała mu sposób zabójstwa, jakiego jeszcze nie było... chyba zatrucie jakimś dymem... i Dex wykorzystał go w powieści. Podziękował jej w nocy od autora i od tamtego czasu zawsze już wysyłał jej książki przed złożeniem

ich u wydawcy, często wprowadzając do nich sugerowane przez nią poprawki.

– Zatrucie dymem – powtarza Harbinder. – Czy to nie było w *Morderstwie na jutrzni*?

– Nie wiem – odpowiada Sally. – Przyznam, że nie czytałam żadnej książki Dexa Challonera. Jestem z tych dziewczyn, które wolą Agatę Christie.

Sally Smith mówi o sobie „dziewczyna”, żeby odwrócić uwagę od swojej inteligencji, zauważa Harbinder. Dostrzega podobną skłonność u własnej matki.

– Ja także nie czytam zbyt dużo – odzywa się Neil ze zwodniczym humorem, jego specjalnością. To również swojego rodzaju sposób na zmylenie przeciwnika. – W tym wydawnictwie czułem się kompletnie nie na miejscu. Pojechaliśmy na spotkanie z wydawcą Dexa i osobą zajmującą się promocją jego książek. Kobieta od promocji, Pippa, pamiętała, że poznała Peggy i Weronikę jednocześnie. Zauważyła, że obie mają sporą wiedzę o Rosji, może z czasów zimnej wojny?

– Matka pracowała w służbie cywilnej. – Ton głosu Nigela wskazuje, że rozmowa na ten temat dobiegła końca.

Na szczęście Sally ma inne zdanie.

– Zawsze myślałam, że w przeszłości była szpiegiem – wyznaje radośnie. – Te ich rozmowy z Weroniką. No i ta historia w Moskwie, z Ukraińcami.

– To nieistotne dla sprawy – rzuca Nigel.

Już my to ocenimy, myśli Harbinder i pyta:

– Jaka historia?

– Och, chodzi o coś, co przydarzyło się Peggy w Rosji. Pojechała tam na urlop z koleżanką. Miały już po siedemdziesiąt lat. To była dla nich

prawdziwa przygoda. W każdym razie zostały przyłapane z jakimiś Ukraińcami, może szpiegami, może nie. To działo się, zanim Rosja zaanektowała Krym. Zdaje się, że Peggy i jej koleżanka udzieliły tym mężczyznom schronienia w mieszkaniu, które wynajęły na czas pobytu w Moskwie. Naraziły się rosyjskim władzom, ale interweniowała ambasada... Nigel ma tam znajomości... i na szczęście wszystko skończyło się dobrze.

– To bardzo ciekawe – komentuje Harbinder. – Czy zna pani nazwisko tej koleżanki?

– Joan Tate – mówi Sally. – Jeszcze żyje, ale chyba cierpi na alzheimera. Mieszka w domu opieki w pobliżu Lewes. Mam gdzieś adres. Wciąż wysyłam jej kartki na Boże Narodzenie.

– Bardzo by to nam pomogło. Dziękujemy.

– Szkoda fatygi – wtrąca Nigel. – Ona już nic nie pamięta. Ma całkowitą demencję. Nie zadawałbym sobie trudu.

No pewnie, myśli Harbinder. Już wcześniej zauważyła, że Nigel dostaje dziwnego tik, kiedy mówi o matce. W tej chwili jego twarz przypomina drgającą pomarańczę.

– On coś ukrywa. – Neil ostrożnie pokonuje progi zwalniające na drodze za sielską wioską.

– Tak sądzisz? – rzuca Harbinder.

– Mhm. – Neil nie chwyta ironii, gdy prowadzi samochód. – A ty nie?

– Ja też – przyznaje cierpliwie Harbinder. – Pytanie tylko: co?

– Coś w związku z matką.

Neil to leśne zwierzątko, przypomina sobie Harbinder. Sprytna wiewiórka dobierająca się do orzecha, który jest większy od niej.

– Nie chciał mówić o Rosji – podejmuje Harbinder. – Dex pisał o rosyjskich szpiegach, a Peggy spotkała jakichś w Moskwie. I oboje nie żyją.

– Rosjanie nie zadawaliby sobie trudu, żeby zabijać starszą panią mieszkającą w budynku dla seniorów w Shoreham.

– Czyżby? A ci biedni ludzie, który zostali otruci rok temu w Salisbury? A może to przeoczyłeś?

– Fakt. Zjedli coś w Pizza Hut, prawda?

– Chyba w Zizzi's. Ale to nieważne. Ważne jest to, że Rosjanie mogą zabić kogoś, kto spokojnie żyje sobie w Anglii. Dex pisał o Rosjanach. Pamiętasz fragment, który ci czytałam? Znaleźliśmy go na biurku Peggy. Pochodził chyba z jego nowej książki, *Morderstwo w parku*. Były tam też te wszystkie listy od Joan.

– Czy sądzisz, że to właśnie ta Joan?

Wspina się na drzewo, iska sobie futerko.

– To już byłaby jakaś teoria – mówi Harbinder.

– Nie mogłaś odczytać jej pisma, prawda?

– Ty też nie mogłeś. Mam nadzieję, że grafolog wkrótce się do mnie odezwie.

Czeka, żeby Neil spytał, co za grafolog, on jednak coś sobie przypomina.

– No i ci ludzie, którzy obserwowali Peggy. Może to także Rosjanie.

Fajnie, że sam do tego doszedł, myśli Harbinder.

– Natalka uważa, że chodziło im o nią – mówi. – W Ukrainie była wplątana w jakieś oszustwo. Przekręt związany z kryptowalutą.

– Kryptowalutą? To coś jak bitcoin?

– Zgadza się. Natalka twierdzi, że wtedy jeszcze tego rodzaju transakcje dopiero raczkowały. Studiowała matematykę na uczelni w Kijowie.

– Ta twoja Natalka jest jakaś podejrzana.

– Nie żadna „moja” – protestuje Harbinder. Zastanawia się, czy Neil, na swój niewinny zwierzęcy sposób, czegoś nie sugeruje. – I powiedziała coś jeszcze. Otóż Peggy napomknęła Marii, że trop związany ze śmiercią Weroniki kryje się w tej książce. No wiesz, w *Poszcząc, podziękuj Bogu*. Benedict przesłał mi mailem jej streszczenie. Fabuła brzmi idiotycznie.

– Kto to jest Maria?

– Opiekunka. W tej chwili zajmuje się moją mamą. Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy zajrzeli tam, zanim wrócimy do komisariatu?

– Nie mam – odpowiada Neil. – Myślisz, że twoja matka upiekła jeden z tych płaskich chlebków?

– Chodzi o kulach – przypomina mu Harbinder. – Nie będzie piekła parathy.

Obawia się jednak, że matka nie tylko piecze i gotuje, ale jeszcze da Neilowi wałówkę na wynos.

No oczywiście, że Bibi gotuje. A w każdym razie siedzi przy stole kuchennym i z pasją sieka cebulę, podczas gdy brat Harbinder, Abhey, miesza coś w rondlu na kuchence.

– Abhey bardzo mi pomaga – oznajmia Bibi. – Będzie z niego świetny kucharz.

– Mężczyzna przez dziesięć minut miesza w garnku i już jest z niego Jamie Oliver – komentuje Harbinder. Widzi tylko jego plecy, ale wie, że brat się krzywi. – Znany syndrom.

– A ty kiedy ostatnio coś ugotowałaś, siostrze? – rzuca Abhey. – Cześć, Neil.

– Cześć, Abhey. – Głos Neila obniża się o oktawę.

Jej bracia budzą w nim respekt, Harbinder o tym wie. Mają prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu i noszą turbany.

– Są dzieciaki? – pyta.

Z jej obserwacji wynika, że Abhey i jego żona, Cara, przyjeżdżają z wizytą, kiedy potrzebują darmowej opiekunki do dzieci.

– Nie ma. – Z Abheya bije duma jak aromat z curry. – Wpadłem, żeby zobaczyć się z mamą. Mam tu niedaleko robotę.

Bibi chwali się wszystkim, że Abhey zatrudnia trzech pracowników i ma własne wizytówki.

– A gdzie Starsky? – Harbinder rozgląda się za psem. Jeszcze byłby gotów znowu przewrócić Bibi.

– Na dole. Pomaga tacie w sklepie.

– Ustawia towar na półkach, jak się domyślam? – sarka, ale w jej głosie nie ma złości.

Z jakiegoś powodu jej rodzice naprawdę uważają tego śpiocha za najlepszego przyjaciela i pomocnika.

– Daj Neilowi coś do jedzenia – mówi Bibi. – Upiekłam parathy.

– Nie jest głodny – rzuca Harbinder. – Zajrzeliśmy tylko, żeby sprawdzić, co u ciebie. Tak jak Abhey. Jesteśmy zajęci łapaniem zabójcy.

– Na pewno zdążyłyby coś przekąsić – zauważa Bibi.

Neil skwapliwie potwierdza.

I niebawem siedzi przy stole, pałaszując samosy, parathy i chakli. Harbinder zamierza powiedzieć, że nie mają czasu na jedzenie, ale niestety,

ponieważ jej matka świetnie gotuje, sama wkrótce pogryza to i owo. Bibi opowiada jej, jaka jest zadowolona z Marii.

– To taka miła dziewczyna. Wiesz, że ma troje dzieci? I jeszcze znajduje czas, żeby opiekować się takimi jak ja.

– To jej praca, mamó.

Harbinder postanowiła zatrudnić Marię legalnie, przez Care4You, bo inaczej nie wypadało. Natalka wzięłaby ją za cwaniaczkę. Na myśl o Natalce znowu ogarnia ją irytacja. Co to za pomysł, do cholery, żeby jechać do Aberdeen na spotkanie z J.D. Monroe? To nie zabawa, nie jakaś szalona wyprawa samochodowa. To śledztwo w sprawie zabójstwa. Dex został zastrzelony przez kogoś, kto się na tym zna. Peggy być może także padła ofiarą zabójcy. Harbinder czuje się winna, że powiedziała Natalce o pocztówce z pogrózkami, którą dostała J.D. Monroe. Ale skąd miała wiedzieć, że dziewczyna rzuci wszystko i wyruszy w tysiąckilometrową podróż z byłym producentem telewizyjnym i byłym zakonnikiem, a obecnie właścicielem kawiarni? W tym momencie krótko wibruje jej telefon.

Harbinder czyta esemesa. W tle słyszy, jak jej matka mówi:

– Wciąż z tym telefonem. Neil, ty na pewno w domu go odkładasz.

Na szczęście Neil ma pełne usta i nie może odpowiedzieć.

To wiadomość od Natalki.

Spotkaliśmy Lance'a Fostera. On też dostał pocztówkę. Robi się gorąco!

Nie wiadomo dlaczego najbardziej drażni Harbinder ten wykrzyknik.

Rozdział 20

Natalka: głosy

Natalka od razu czuje sympatię do Lance'a. Spodobał jej się już jego głos, kiedy z tylnych rzędów w bibliotece padło pytanie o Peggy, głęboki i stanowczy, nie afektowany, jak u Edwina, ani grzeczny i z nutą zakłopotania, jak u Benedicta. Z tego, co zdążyła zobaczyć, twarz pasowała do głosu i to ciekawość kazała jej wybiec z biblioteki za tajemniczym nieznajomym.

Dogania go w ogrodzie znajdującym się w pobliżu budynku. Mężczyzna idzie szybko, z podniesioną głową, jakby znał kierunek. Natalka jednak jest szybsza i lekko przeskakuje po granitowych stopniach w swoich sportowych butach.

– Halo! Proszę poczekać!

On się odwraca. Jest wysoki, ma haczykowaty nos, gęste brwi i okulary w rogowych oprawkach. Można odnieść wrażenie, że nos, okulary i brwi stanowią komplet, ale poza tym jest całkiem atrakcyjny. Choć starszy, niż początkowo Natalce się wydawało. Ma dobrze po czterdziestce, może nawet około pięćdziesiątki.

– Był pan w bibliotece – zaczyna Natalka, lekko dysząc, mimo że dwa razy w tygodniu trenuje kick-boxing. – Zadał pan pytanie o Peggy.

– Kim pani jest? – pyta mężczyzna, jakby to było najważniejsze.

– Nazywam się Natałka Kolisnyk. Prowadzę śledztwo w sprawie jej śmierci.

– Pracuje pani w policji? – Przez jego twarz przebiega jakiś dziwny wyraz, nie strachu, czegoś bardziej subtelnego, może rozbawienia.

– Nie. Przyjaźniłam się z Peggy. Prowadzimy prywatne śledztwo.

Całkiem dobrze to brzmi, jest z siebie dumna.

– My?

– Jestem tu z dwójką kolegów. Podejrzewamy, że śmierć Peggy ma związek z tym. – Wskazuje górujące nad parkiem budynki edukacji, zbawienia i potępienia. – Ze środowiskiem autorów powieści kryminalnych.

– Nie chcę być niegrzeczny – mówi mężczyzna, choć chyba nieszczerze – ale wydaje mi się, że czyta pani za dużo kryminałów.

– A pan? – Natałka nie daje za wygraną. – Zadał pan to pytanie i wyszedł. Pan może czyta za dużo książek o sprawach sądowych.

– O sprawach sądowych? Ma pani na myśli thrillery prawnicze? A przy okazji... skąd pani jest?

– Pochodzę z Ukrainy. Jak poznał pan Peggy?

Mężczyzna wzdycha i poprawia okulary na nosie.

– To skomplikowane, ale żeby nie wdawać się w szczegóły: doradzała mi przy pisaniu książki.

– Więc pisze pan kryminały?

– Nie całkiem. Zajmuję się prawdziwą literaturą. Ale w mojej powieści występują pewne elementy typowe dla kryminału.

To pewnie najlepsze kawałki w tej książce, myśli Natałka i pyta go o nazwisko.

– Jestem Lance Foster. Moja książka nosi tytuł *Laokoon* i zyskała pewne uznanie.

– Wiem. W „Timesie” pisali, że to arcydzieło.

Lance unosi brwi.

– Słyszała pani o niej?

– Trafiałam na nią, kiedy robiłam porządki w mieszkaniu Peggy Smith. Jest jej dedykowana.

– *Peggy Smith*, sine quibus... To znaczy...

– Bez której – przerywa mu Natałka, chociaż nie przyznaje się, że dowiedziała się tego od Benedicta. – Dlaczego spytał pan J.D. Monroe, czy wie, kto zabił Peggy?

– Zajrzałem do jednej z jej książek. I zobaczyłem w podziękowaniach: *PS. Dla PS.* A podczas panelu wspomniała o Peggy. Nie mogłem się powstrzymać.

– Dlaczego uważa pan, że Peggy została zamordowana?

Lance znowu rzuca jej to na wpół rozbawione spojrzenie.

– Mówi pani to, co myśli, prawda?

– To pana słowa. Spytał pan: „Czy wie pani, kto zabił Peggy Smith?”.

On wzrusza ramionami.

– To był żart.

– Nie sędzę.

Lance milczy, gdy obok nich przechodzi kobieta, pchając wózek z płaczącym niemowlęciem. Za nią drepcze dwoje dzieci w szkolnych mundurkach. Musi być już około szóstej, myśli Natałka. Niebo ciemnieje. Zmrok zapada tu wcześniej niż w Sussex.

– Początkowo nie miałem żadnych podejrzeń – odpowiada w końcu Lance. – O śmierci Peggy dowiedziałem się, dopiero gdy na jednym

z festiwalu literackich spotkałem Dexa. A potem on sam zginął w taki straszny sposób, a ja dostałem tę pocztówkę. Przyszła w kopercie i było na niej napisane...

– *Dopadniemy cię.*

Teraz Lance naprawdę jest zaskoczony.

– Skąd pani wie?

– J.D. Monroe też taką dostała. – Jej telefon wibruje. Natalka szybko czyta esemesa. – Chodźmy z nią pogadać.

Początkowo Lance nie chce iść. O dziwo, to właśnie obecność koleżanki po piórze go zniechęca.

– Człowiek stara się unikać spotkań towarzyskich podczas tych wszystkich festiwali.

– Musi pan iść – przekonuje go Natalka. – Trzeba koniecznie rozwiązać tę zagadkę.

I w końcu ciekawość przeważa. Ruszają do pubu – to staroświecki budynek na rogu ulicy. W środku jest tłoczno, ale J.D., Edwin i Benedict siedzą w przytulnym ustronnym boksie i rozmawiają o Włoszech. Właściwie mówi Benedict.

– ...klasztor Santa Maria delle Grazie. W czasie porannych nabożeństw słyszeć tylko krzyki orłów i sokołów, w dole płynie Tyber, fioletowe skały porasta ciemnozielona roślinność... – Wręcz promienieje i wydaje się całkiem odmieniony.

Natalka jakoś dziwnie nie ma ochoty mu przerywać. Ale J.D. unosi głowę i ich zauważa. Edwin także się odwraca.

– Znalazłaś go, jak widzę – mówi.

– Tak, to Lance Foster – oznajmia Natałka. – On zadał to pytanie. Jest pisarzem. Znał także Peggy. Pomoże nam. – Jeśli powie to wszem wobec, myśli, Lance nie będzie mógł się wycofać.

– Cześć – rzuca J.D. – Jestem Julie Monroe. Chyba mamy tego samego wydawcę.

– Naprawdę? – Lance unosi brwi, jakby w to powątpiewał.

– Tak – potwierdza Julie. – Seventh Seal. Widziałam pańską książkę w gabinecie Milesa. Dlaczego pan o to spytał? Naprawdę sądzi pan, że Peggy została zamordowana?

Natałka podziwia jej bezpośredniość. Zaczyna podejrzewać, że Julie nie jest taka łagodna, jak wydawała się podczas panelu.

Lance, najwyraźniej wytrącony z równowagi jej pytaniem, unika odpowiedzi, proponując, że postawi drinki. Natałka prosi o duży kieliszek czerwonego wina. Benedict dziękuje, bo ma jeszcze połowę piwa. J.D. twierdzi, że teraz ona stawia, więc idą do baru oboje. Edwin wychodzi do toalety. Natałka i Benedict zostają sami. Siedzą obok siebie na ławie z wysokim oparciem.

Może to dlatego, że słyszała, jak lirycznie opowiadał o rzymskim klasztorze, ale ma wrażenie, że Benedict wygląda jakoś inaczej. Teraz milczy i tylko przebiera palcami po stole.

– Posuwamy się do przodu – odzywa się wreszcie.

Dopiero po chwili do Natałki dociera, że chodzi mu o śledztwo. Benedict uwielbia zagadki kryminalne. Pewnie dobrze się bawi, mimo że zaczęło się od śmierci przyjaciółki.

– Lance też dostał tę pocztówkę – mówi Natałka. – Początkowo nie chciał tu przyjść, ale udało mi się go przekonać.

I wtedy to słyszy. Tak jakby radio nagle złapało nową stację. Szmer głosów po drugiej stronie ławy przybiera postać słów wypowiedzianych

w języku, który nie wymaga tłumaczenia, bo jest jej drugą naturą.

- Jesteś pewny?
- Wszędzie rozpoznałbym tę twarz.
- Uważaj.
- Nie martw się o mnie. To nie mnie coś się stanie.

Natalka chwytła Benedicta za ramię.

- Ci ludzie. Chyba są tutaj, żeby mnie zabić. – Ledwie nad sobą panuje.
- Co takiego? Gdzie? – pyta Benedict.

Wstaje, żeby spojrzeć nad przepierzeniem, ale Natalka pociąga go w dół.

- Nie! Nie chcę, żeby mnie zobaczyli. Muszę stąd iść. Natychmiast!
- Pójdę z tobą.
- Dobra.

Natalka naciąga kaptur na głowę, żeby zasłonić twarz, i przepycha się przez tłum do wyjścia, podczas gdy Lance'owi i Julie wreszcie udaje się zwrócić uwagę barmana.

Nie wiedząc, dokąd idzie, Natalka prowadzi Benedicta ulicami granitowego miasta. Kilka razy ogląda się za siebie, ale chyba nikt ich nie śledzi. Czyżby się pomyliła? Ale oni na pewno rozmawiali po ukraińsku, a ilu Ukraińców można spotkać w północno-wschodniej Szkocji? Czy to ci sami ludzie, którzy czekali w samochodzie pod jej domem w Shoreham? I których Peggy widziała z okien mieszkania? Natalka przyspiesza kroku, pociągając za sobą Benedicta.

Mają więcej szczęścia niż rozumu, bo trafiają do miejsca, gdzie Natalka zaparkowała samochód. Wsiadają, ale ona nie uruchamia silnika. Siedzą w środku i patrzą na oświetlone latarniami, nieznane im budynki. Natalka

zastanawia się, ile może Benedictowi powiedzieć. Nie chce go przestraszyć, zresztą nie jest pewna, czy dla niej samej to wszystko ma sens.

– Co się dzieje? – pyta w końcu Benedict.

W jego głosie nie ma niezadowolenia ani strachu. Brzmi łagodnie i zadziwiająco spokojnie.

– Oni... – zaczyna Natalka. – Myślę, że chcą mnie dorwać. – Obraca pierścionek na palcu, ten srebrny, który Dmytro podarował jej na szesnaste urodziny.

– Dlaczego chcą cię dorwać?

Natalka bierze głęboki oddech.

– Bo tam, w Ukrainie, wplątałam się w coś. W handel kryptowalutą. Z dwoma kolegami z uniwersytetu. Zarobiliśmy dużo pieniędzy. Ale też pożyczaliśmy jakąś sumę od pewnych... złych ludzi. Chciałam uciec, wyjechać do Anglii, więc wzięłam część tej forsy. – Czeka, aż Benedict krzyknie z oburzeniem, ale on wciąż milczy. – Nie całą, oczywiście – podejmuje – tyle, żeby wystarczyło mi na podróż i potem na chesne. Zamierzałam później oddać te pieniądze, ale wybuchła wojna i mój brat zaginął. Matka została sama. Muszę pomagać jej finansowo. – Uświadamia sobie, że płacze.

Benedict wyciąga rękę i dotyka jej ramienia.

– Wszystko w porządku.

– Nie, nie w porządku, Benny. Myślę, że ci ludzie to przestępcy z mafii ukraińskiej. I że chcą mnie zabić. A jeśli zginę, mama nie będzie miała już nikogo.

– Dlaczego sądzisz, że to oni?

– Mówili po ukraińsku, słyszałam.

– Rozpoznałaś ich?

– Nie przyjrzałam się dobrze. Wpadłam w panikę.

– Udało mi się cyknąć im zdjęcie, kiedy wychodziłem – mówi Benedict. – Pewnie nie jest zbyt udane.

– Zrobiłeś zdjęcie? – Benedict z sekundy na sekundę staje się coraz bardziej cool.

Podsuwa jej telefon. Fotka jest ciemna, ale Natalka włącza edycję i rozjaśnia ją. Widzi dwóch mężczyzn siedzących przy stole w pubie. Wydają się młodzi, pewnie trochę po trzydziestce. Obaj mają krótko obcięte włosy i noszą kurtki z postawionymi kołnierzami. Z powodu ciemności trudno określić wyraz ich twarzy.

– Nie piją alkoholu – zauważa Benedict. – Uznałem, że to nieco podejrzane. Przynajmniej w Szkocji.

Rzeczywiście na stole stoi kilka pustych butelek po coli.

– Ostrzyżeni na jeża – dodaje Natalka. – Wyglądają, jakby mogli służyć w wojsku.

– Co chcesz teraz zrobić? – pyta Benedict.

Natalka pragnie w tej chwili tylko jednego. I pragnie tego ponad wszystko.

– Zjeść coś – odpowiada. – I napić się wina.

– No to poszukajmy restauracji – kwituje Benedict.

Najpierw odstawiają samochód pod hotel, a potem rozglądają się za miejscem, gdzie mogliby coś zjeść.

– Teraz mogę się napić – mówi Natalka.

Znajdują staromodną włoską restaurację w suterenie – schodzi się do niej po stopniach wprost z ulicy. W środku jest mrocznie i tajemniczo, ze świecami w butelkach po chianti i olejnymi obrazami przedstawiającymi

Wezuwiusza i Koloseum. Od kelnera, który mówi z wyraźnym szkockim akcentem, dowiadują się, że w Aberdeen mieszka duża włoska społeczność.

– Wielu Włochów, którzy byli jeńcami wojennymi, zostało w Szkocji. Między innymi mój *nonno*.

– A są tu Ukraińcy? – pyta go Natalka.

– Nic mi o tym nie wiadomo, ale mieszka tu kilku Rosjan. Na uniwersytecie w Aberdeen jest znany wydział rusycystyki. Ja też tam studiuje. Historię współczesną.

– Czy tamci mogli być studentami? – mówi z namysłem Benedict po odejściu kelnera. – Trochę starszymi?

– Nie wiem. – Zamówili czerwone wino i Natalka pociąga łyk z kieliszka. – Benny! Czy zawiadomiłeś Edwina, że wyszliśmy z pubu?

– O rany. Nie. – Benedict szybko pisze esemesa. – Mam mu przekazać, gdzie jesteśmy?

Natalka waha się przez moment.

– Pewnie.

Chwilę później jednak Benedict dostaje wiadomość, że Edwin poszedł „z Julie” na pizzę.

Natalka, ku swojemu zdziwieniu, cieszy się, że zje posiłek tylko z Benedictem. To dlatego, że jest zestresowana, mówi sobie. Stała obecność zbyt wielu ludzi bywa męcząca.

– Edwin najwyraźniej dobrze dogaduje się z Julie Monroe – zauważa.

– Tak. Ale on w ogóle ma dobry kontakt z ludźmi. Szkoda, że nie widziałas go w kościele. Chodzę tam od dwóch lat i jeszcze z nikim nie rozmawiałem. Edwin jest zawsze duszą towarzystwa.

Natalka stwierdza, że jej kieliszek jest pusty, więc dolewa wina i sobie, i Benedictowi.

– Dlaczego poszedłeś do zakonu? – pyta.

Benedict sprawia wrażenie zaskoczonego, ale odpowiada bez oporów:

– Zakochałem się. Tak to wyglądało. Chodziłem na mszę, nie mówiąc o tym nikomu. Nawiązałem potajemną relację z Bogiem. Potem dostałem się do seminarium i zacząłem się miotać, bo wszystko tam było takie racjonalne i logiczne. Mieliśmy przedmiot zwany apologetyką, będący obroną wiary. Miałem ochotę powiedzieć: „Tego nie można udowodnić, to się po prostu czuje”.

– To tak jak z matematyką, przynajmniej dla mnie – stwierdza Natałka. – Wiem, że matematyka to sama logika i dowody, ale ja uważam, że albo ktoś ją czuje, albo nie. Podoba mi się działanie liczb. Jakby istniały na wyższym poziomie.

– Jak Bóg. – Benedict także zbyt szybko pije wino. – Pewnie dlatego poszedłem do zakonu. Tam, inaczej niż w seminarium, chodziło o odczuwanie boskiej miłości.

Zapada cisza, którą przerywa jedynie kelner, przynosząc talerze z ich daniami. Natałka posypuje serem swoje ragù.

– Więc dlaczego to rzuciłeś? – pyta.

– Bo się odkochałem – odpowiada Benedict.

Jest tak poważny, że Natałka woli nie pytać, co to znaczy. Oboje z ulgą zmieniają temat i zaczynają rozmawiać o zabójstwie.

Rozdział 21

Edwin: kroki w ciemności

Do Edwina dopiero po chwili dociera, że go zostawili; popija już drugi gin z tonikiem i przysłuchuje się rozmowie Lance'a i Julie. Miło spędzić wieczór w nieznanym mieście, w towarzystwie atrakcyjnych młodych ludzi – jego definicja młodości jest dość elastyczna – i gawędzić o książkach. Julie i Lance znaleźli wspólny język, jednak Edwin czuje, że nie pociągają się wzajemnie. Usiłuje się zorientować, co jest tego powodem. Może Lance jest gejem? Ale przecież Edwin umie rozpoznać zakonspirowanego geja. To kwestia przetrwania, a Lance nie emanuje żadną taką aurą. Może po prostu oboje są w szczęśliwych związkach małżeńskich, choć byłoby to strasznie nudne.

Lance i Julie rozmawiają o Peggy, o jej encyklopedycznej znajomości powieści kryminalnych i o tym, że zawsze wiedziała, kiedy z intrygą jest coś nie tak.

– Oczywiście kwestia intrygi jest przeceniana – twierdzi Lance. – Mnie chodzi o coś więcej niż tylko opisywanie kolejnych wydarzeń.

Edwin przypomina sobie, że nie czytał jego książki.

– Twoi czytelnicy na pewno wiedzą, co zdarzy się dalej – odpowiada Julie. – To właśnie sprawia, że odwracają kartki.

– Och, czytelnicy – rzuca Lance. – Nie myślę o nich.

– Ja myślę o nich bez przerwy. Martwię się, czy moja nowa książka spodoba im się tak jak poprzednia. Martwię się, czy nie za dużo w niej seksu i przemocy, a potem, czy nie za mało. Czasami ten lęk tak mnie paraliżuje, że w ogóle nie mogę pisać.

– Powinnaś się od tego uwolnić – przekonuje Lance. – Liczy się tylko autor i kartka.

Jednak on wydał tylko jedną książkę, a Julie cztery, myśli Edwin, Dex Challoner natomiast przeszło dwadzieścia. Usiłuje przypomnieć sobie tytuły powieści J.D. Monroe. We wszystkich jest odniesienie do „mnie” i do „ciebie”. Uświadamia sobie, że Lance zwraca się do niego.

– Gdzie jest Natałka?

Edwin rozgląda się wokół, jakby mogła kryć się za jakąś rośliną doniczkową. Tłok w pubie jest już mniejszy. Przy sąsiednim stoliku siedzą dwaj mężczyźni, z wyglądu obcokrajowcy, przy barze kręci się grupa ludzi – może to autorzy powieści kryminalnych – a przy stole do bilardu stoi para starszych wielbicieli trunków. Ani śladu Natałki i Benedicta.

– Czy to Miles, tam w tej grupie? – pyta Julie. – Z kim on rozmawia?

Lance nie zwraca na nią uwagi.

– Natałka sama nalegała, żebym tu przyszedł, a teraz zniknęła.

– Może poszła z Benedictem coś zjeść – mówi Julie. – Od razu pomyślałam, że jest bardzo miły.

– Byli ze mną. – Edwin stara się opanować urazę.

Nagle przychodzi mu do głowy, żeby zajrzeć do telefonu. Szczyci się swoimi umiejętnościami komputerowymi, ale wciąż nie ma nawyku, by nie wyłączać go i trzymać na stole, jak ci wszyscy młodzi. Choćby w tej chwili: komórka Julii, w różowym połyskującym etui, leży obok tej Lance’a, wysłużonej, ale wyglądającej na drogą. To niemal jak gra wstępna.

No i oczywiście jest wiadomość od Benedicta:

Natalce zrobiło się trochę słabo. Poszliśmy na kolację do Romano. Samochód pod hotelem. 5 minut na piechotę od pubu. Zostawiłem twoją walizkę w recepcji. Bx

Do wiadomości jest dołączona jedna z tych lokalizacji. Edwin w pierwszej chwili czuje irytację, którą tylko w małym stopniu łagodzi znak pocałunku. Ale potem myśli: może lepiej zostawić Benedicta i Natalkę samych. Jeśli kogoś ma ugodzić strzała Amora, to on nie chce w tym przeszkadzać.

– Słabo? – powtarza ze zdziwieniem Lance. – Wcześniej nic jej nie było.

Brzmi to trochę zaborczo, zwłaszcza że dopiero co ją poznał, zauważa Edwin.

– Skoro mowa o kolacji – zaczyna Julie – chętnie bym coś przekąsiła, żeby zneutralizować działanie alkoholu. – Spogląda wyczekująco na Lance’a.

– Wracam do hotelu – odpowiada Lance z wyjątkowym, według Edwina, brakiem galanterii. – Chciałbym dziś jeszcze coś napisać.

Kończy się więc na tym, że Edwin idzie na pizzę z autorką *Ty mnie do tego pchnąłeś*.

To zaskakująco przyjemny wieczór. Julie stanowi dobre towarzystwo: rozmowna, ale nie przytłaczająca, a przy tym umie słuchać. Opowiada Edwinowi, że jest singielką, mieszka w Brighton i zanim została nauczycielką, pracowała jako pielęgniarka.

– Tylko to nam proponowano w ramach doradztwa zawodowego. Pielęgniarka albo nauczycielka. Więc zostałam i tym, i tym.

– Ja chciałem studiować muzykę – wyznaje Edwin – ale ojciec oświadczył, że nie ma na to pieniędzy. Jednak dopisało mi szczęście. Zdobyłem pracę w BBC, i to w czasach, kiedy wystarczyło parzyć herbatę i załatwiać sprawunki. Zacząłem jako chłopiec na posyłki i dalej już poszło.

– To ciekawe. Mogłam widzieć cię w telewizji?

– Nigdy nie występowałem przed kamerą – wyjaśnia Edwin. – Ale przez jakiś czas byłem prezenterem w Radio 3.

– To moja ulubiona stacja radiowa. No i jeszcze Radio 4 i *The Archers*.

– Jak zostałam pisarką? – Edwin sądzi, że wielu ludzi chciałoby o to spytać, ale pewnie brakuje im śmiałości.

– Pisałam opowiadania, ale żadnego nie udało mi się wydać. Mieszkałam w zachodnim Londynie, opiekowałam się matką, pracowałam w szkole, której nie znosiłam, i czułam się strasznie zdołowana. Potem matka zmarła i podczas żałoby przyszedł mi do głowy pomysł na książkę. Postawiłam wszystko na jedną kartę, rzuciłam pracę i przez pół roku pisałam powieść. Miałam fart. Wysłałam ją agentce literackiej, a ona była nią zachwycona. Wiem, że niewielu osobom zdarza się coś takiego.

– I to było *Ty mnie do tego pchnąłeś*?

– Tak. Zdobyła wiele nagród i tak dalej. Problem jednak w tym, że żadna z moich następnych książek nie cieszyła się już takim powodzeniem. – Julie uśmiecha się, ale sprawia wrażenie naprawdę przygnębionej.

– Czy to ważne? – rzuca Edwin. – Skoro pierwsza była taka dobra?

– Oczywiście, że ważne. Z jednej książki nie wyżyjesz do emerytury. Chyba że to *Zabić drozda* albo coś takiego. Ale chodzi raczej o to... sama nie wiem... że chciałabym być prawdziwą pisarką. A nie kimś, komu raz się poszczęściło.

– Żeby napisać książkę, która odniosła sukces, trzeba czegoś więcej niż tylko szczęścia – mówi Edwin. – No i wydano ci także inne. Lance nie może się tym pochwalić.

Julie uśmiecha się szeroko.

– Co o nim sądzisz?

– Wydaje się dość miły. Ale trochę nadęty.

– To dlatego, że ma się za poważnego pisarza. I w końcu nie powiedział nam, jak poznał Peggy.

– Rzeczywiście. – Edwin tego nie zauważył.

– I jeśli wyda następną książkę, wszyscy będą nią zachwyceni. Recenzje w „Timesie”. Wywiady w Radio Four. Nawet jeżeli nikt jej nie kupi.

Edwin wyczuwa w jej słowach gorycz. Kiedy przynoszą im obojgu kawę, zmienia temat na uroki Brighton. Wyznaje, że tęskni za swoim domem w Kemp Town, i zjadliwie wypowiada się na temat Seaview Court.

– Uwielbiam Brighton – mówi Julie. – Pierwsze, co zrobiłam, kiedy dostałam zaliczkę na debiutancką książkę, to kupiłam tam mieszkanie. No, w Hove.

– Czyli nie w Brighton – komentuje Edwin, odwołując się do miejscowego żartu.

– Codziennie przed południem spaceruję promenadą – ciągnie Julie – od pomnika Pokoju do mola. Tylko ja i Arthur. Mój pies – dodaje pospiesznie, jakby nie chciała, by Edwin myślał, że w jej życiu jest jakiś mężczyzna.

– Chciałbym mieć psa – rzuca Edwin. – Miałbym powód, żeby wychodzić z domu.

– Arthur jest wspaniały. To jack russell, więc ma osobowość. Łobuziak z niego. Mój poprzedni pies, Wilbur, był mieszańcem. Wciąż za nim

tęsknię.

– Ja też tęsknię za Barbrą, moim kotem – wyznaje Edwin. – Miejsce, które zwykle zajmowała... lubiła kłaść się wzdłuż listew podłogowych. Ciągle się spodziewam, że zobaczę ją wyciągniętą przy kaloryferze. Choć nie mieszkała ze mną w Preview Court. Tam by jej się nie spodobało.

– Mnie też stale się wydaje, że widzę Wilbura. – Julie dopija wino. – Zdecydowanie różnił się charakterem od Arthura, był bardziej niezależny, trochę jak kot. Czasami mam wrażenie, że gdzieś mi miga, na obrzeżach pola widzenia, a potem rozplywa się w powietrzu.

– Może naprawdę go widzisz.

Edwin zdaje sobie sprawę, że się upił; dwa razy gin z tonikiem, a potem duży kieliszek czerwonego wina wprawiły go w stan ckliwego rozmarzenia. Pozbieraj się, nakazuje sobie. Wypija duży łyk wody i proponuje, żeby poprosili o rachunek.

Nalega, by odprowadzić Julie do domu. „Zawsze bądź dżentelmenem”, mówiła mu matka i nawet w czasach, kiedy sądził, że nie spełnił jej oczekiwań jako mężczyzna, starał się postępować jak dżentelmen. Julie zatrzymała się w Majestic, jak większość gości festiwalu. Gdy zbliżają się do hotelu, widzą, że prawie we wszystkich oknach palą się światła – budynek przypomina liniowiec; gra zespół muzyczny, pasażerowie, nieświadomi zagrożenia, bawią się na ciemnym morzu, myśli Edwin. Ale nie, to przecież nie *Titanic*. To tylko kwatery uczestników konferencji; pewnie przez większość roku hotel stoi niemal pusty, a ożywa jedynie na kilka nocy.

– Jest bardzo wesoło – mówi Julie. – Koledzy pisarze piją do samego rana. Powinieneś zajść tam do baru na kieliszek czegoś mocniejszego przed snem.

– Miło z twojej strony. – Edwin żałuje, że nie ma kapelusza, którego mógłby uchylić. – Ale lepiej już wróć do swojego hotelu. – Nazywanie Travelodge hotelem to pewna przesada, zwłaszcza że Edwin nie umie pozbyć się zwyczaju wymawiania tego słowa z francuska.

Julie wprawdzie pokazuje mu lokalizację w smartfonie, ale Edwin wstępuje do recepcji i dostaje prawdziwą mapę, na papierze, z nazwami ulic i całą resztą. Wygląda na to, że Travelodge znajduje się zaledwie kilka minut drogi stąd. Edwin całuje więc Julie w oba policzki i umawia się z nią na kawę następnego dnia, a potem rusza przez ciemne Aberdeen.

Sądził, że będzie odczuwał strach, idąc nocą przez nieznanne miasto, ale alkohol dodał mu odwagi. Kroczy więc przed siebie, jak przystało na mężczyznę w jego wieku, przypominając sobie, jak spacerował z François po paryskich bulwarach, a z Nickym po Edynburgu. Ma wrażenie, jakby szli, dziarscy, obok niego, już słabszego niż kiedyś. Niemal słyszy... Zaraz, ktoś za nim idzie. Zdecydowane kroki, które są coraz bliżej i bliżej. Czy słyszy jakiegoś mężczyznę wołającego go po imieniu?

Ten ktoś zaczyna biec. Edwin się zatrzymuje. Nie ucieknie prześladowcy, więc może z godnością stawić łotrowi czoło.

– Edwin?!

Facet jest już przy nim. Ciemna kurtka, dzinsy, dość długie włosy i oświetlona latarką w iPhone'ie znana, nieco niedźwiedziowata twarz.

– Freddie Fanshawe!

– Edwin Fitzgerald. Ty tutaj?

Freddie Fanshawe jest dziennikarzem BBC zajmującym się kulturą i kiedyś pracował dla Edwina. Wtedy był stażystą, świeżo po studiach, i choć teraz musi być już po czterdziestce, wydaje się niewiele starszy.

– Jestem na urlopie – odpowiada Edwin. – Uwielbiam Szkocję.

– A ja przyjechałem jako dziennikarz na festiwal literacki – wyjaśnia Freddie. – W normalnych okolicznościach bym się nie fatygował, ale po tej sprawie z Dexem Challonerem...

– Rozumiem, że festiwal od razu stał się ciekawszy – rzuca Edwin. – Idziesz może do Travelodge? – Na końcu ulicy dostrzega niebieski neon.

Freddie się krzywi.

– Tak. Nie jak za dawnych czasów, co? Tydzień w Balmoral, wszystkie wydatki opłacone.

– Nie, dziś nie ma takich luksusów – przyznaje Edwin. – Chociaż pisarze najwyraźniej dobrze się bawią w Majestic.

– Właśnie stamtąd wracam. Musiałem wyjść, zanim upiliby mnie tak, że wylądowałbym pod stołem.

Dochodzą razem do Travelodge. We fluorescencyjnym świetle ukazują się przed nimi pusta recepcja oraz automaty z batonami czekoladowymi i miniaturowymi szamponami.

– Spotkamy się jutro na kawie? – pyta Edwin. – Mógłbym ci coś powiedzieć o Dexie Challonerze.

Zaczeka, aż otrzeźwieje, i wtedy zdecyduje, ile Freddiemu wyjawić, jednak przychodzi mu do głowy, że może sam też czegoś się od niego dowiedzieć i będzie to korzystna dla obu stron wymiana barterowa. Freddie, który już rusza w stronę windy, wydaje się zaciekawiony, co jest miłe. Edwin przyciągnął jego uwagę. Teraz musi już tylko odebrać walizkę i będzie mógł położyć się do łóżka, z flanelową opaską na oczach.

Kiedy czeka przy kontuarze, drzwi za nim się otwierają i do hotelu wchodzi jakiś mężczyzna. Najwidoczniej ma klucz do swojego pokoju, bo mija Edwina i kieruje się prosto do windy.

Edwin nie wie, co dziwi go bardziej: to, że Nigel Smith jest w Aberdeen, czy to, że zatrzymał się w Travelodge.

Rozdział 22

Harbinder: niedobry syn

Harbinder umawia się na spotkanie z Joan Tate w ośrodku o szumnej nazwie Highcliffe House.

– Nie będzie wiedziała, kim pani jest – uprzedza ją pogodny głos przez telefon – ale uwielbia gości.

W drodze po Neila zajeżdża pod adres, który podała jej Cathy Johnson, asystentka Dexa. Rozmawiały już przez telefon, ale Harbinder chce się z nią zobaczyć. Ta kobieta nie może być taka słodka, jak się wydaje. Wszystko według niej jest albo było cudowne: Mia, Dex, jego powieści. Może za tym głosem kryje się potwór o czerwonych oczach, z ociekającymi krwią zębiskami.

Wygląda jednak na to, że głos nie kłamał. Cathy jest tuż po pięćdziesiątce i ma łagodny wyraz twarzy. Jej dom, parterowy, stojący na wąskim przesmyku między mostem Ropetackle a morzem, prezentuje się estetycznie i schludnie. W pomalowanym na różowo salonie stoi fioletowa kanapa w kwiaty. Nigdzie nie widać książek.

– Odpowiedziałam na ogłoszenie w miejscowej gazecie – wyjaśnia Cathy. – Nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z pisarzami ani z branżą wydawniczą.

– Na czym polegały pani obowiązki jako asystentki Dexa?

– Głównie odpisywałam na listy. Dostawał ich mnóstwo od czytelników. Ale także rezerwowałam mu pokoje w hotelach i bilety, gdy wyjeżdżał. Rozsyłałam jego książki jako nagrody konkursowe. Zajmowałam się tego typu rzeczami.

– Prowadziła pani jego konto na Twitterze?

– Nie, sam to robił, bo lubił. Mówił, że wtedy wpisy mają bardziej osobisty charakter. Byłam z tego zadowolona. Nie jestem zbyt obeznana z mediami społecznościowymi.

Rozglądając się po pokoju, Harbinder nie widzi śladów obecności nastolatków, którzy mogliby w tej kwestii służyć radą. To najwyraźniej dom singielki.

– Czy Dex otrzymywał nieprzyjemne listy albo pocztówki? – pyta Harbinder. – Jakież pogrożki?

– O nie. – Cathy sprawia wrażenie przejętej. – Listy zawsze były cudowne. Wszyscy go kochali.

– Więc nie dostał kartki z groźbą: *Dopadniemy cię?*

– Nie. To by mnie bardzo zdenerwowało.

A J.D. Monroe praktycznie zignorowała taką wiadomość, myśli Harbinder. Pyta Cathy, czy dobrze jej się z Dexem pracowało.

– Wspaniale. – Cathy ma łzy w oczach.

Takiej odpowiedzi należało się spodziewać, ale mimo to jest wzruszająca.

Harbinder, po wyjściu od Cathy, spogląda na nazwę ulicy i uświadamia sobie, że zaledwie kilka budynków dalej znajduje się biuro Care4You. Czyżby Patricia Creeve prowadziła firmę z prywatnego domu? Jeśli tak, dobrze by było ją odwiedzić i zadać jej kilka pytań o Natalkę. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin pojawiło się aż za dużo nawiązań do

Rosji i Ukrainy. Czy należy wierzyć w historię Natalki o kryptowalucie i kradzieży pieniędzy, nie mówiąc już o tajemniczych ludziach, którzy rzekomo ją śledzą? A teraz jeszcze ten jej wyjazd do Aberdeen pod byle pretekstem. Może jej pracodawczyni rzuci trochę światła na to wszystko. Chyba sprawdza osoby, które zatrudnia do opieki?

Patricia Creeve wydaje się zdziwiona na jej widok, ale zaprasza ją do środka. Prowadzi Harbinder do pokoju, który kiedyś służył za małą sypialnię, a teraz pełni funkcję biura, z szafkami na akta i terminarzami. Pozostało tam jednak wąskie łóżko i Harbinder przysiadła na nim. Ale najpierw musi odsunąć kilka dużych pluszowych zabawek.

– Wygrałam je na mołu w Brighton – wyjaśnia Patricia. – Okazało się, że nieźle sobie radzę na strzelnicy Buffalo Bill.

Sama chodziła na molo? – zastanawia się Harbinder. Podobnie jak dom Cathy kilka numerów dalej, tak i ten wydaje się zamieszkały przez jedną osobę.

– Zawsze pracowała pani z domu? – pyta.

– Kiedyś wynajmowałam biuro – odpowiada Patricia, siadając wyprostowana na fotelu biurowym – ale koszty były zbyt duże. Czynsze lokali użytkowych w Shoreham są niebotyczne. To dlatego, że wszyscy przenoszą się tu z Brighton.

Harbinder wie, że to stała śpiewka mieszkańców Shoreham. Bardziej światowi, nonszalancy sąsiedzi budzą ich niechęć.

– Ma pani dużo pracy?

– Mnóstwo. Opiekunki przychodzą i odchodzą, a ja codziennie dostaję zlecenia ze szpitala. Nie mogą wypisać starszej osoby do domu bez zaplanowania opieki dla niej, a zależy im, żeby zwolnić łóżko. – Pokazuje Harbinder wiadomości z National Health Care w telefonie i je przewija. –

Dziś rano sama musiałam odwiedzić dwie osoby, bo Natałka nagle wzięła wolne.

– Chcę porozmawiać z panią o niej – rzuca Harbinder. – Jak długo u pani pracuje?

– Dwa lata. Zazwyczaj można na nią liczyć. To jedna z moich najlepszych pracownic. Dlatego jestem taka zdziwiona jej zachowaniem.

– Jak to się stało, że pani ją zatrudniła? Czy miała jakieś doświadczenie w tym zawodzie?

– Nie. Doświadczenie jest niepotrzebne. Wystarczy mieć samochód i czystą kartotekę w drogówce.

– Myślałam, że wymaga się jakichś fachowych kwalifikacji.

– Lubię, gdy pracownik ma przygotowanie zawodowe w zakresie opieki zdrowotnej i socjalnej, ale nie jest to konieczne. Ja mam doświadczenie jako opiekunka, Maria też, jednak większość dziewczyn po prostu szuka pracy, bo tego oczekują od nich rodziny.

– A Natałka? – pyta Harbinder.

– Natałka to bystra dziewczyna – odpowiada Patricia. – Jest po studiach. Myślę, że wzięła tę pracę, bo dzięki niej ma czas na inne rzeczy.

Trudno coś wyczytać z jej twarzy, jednak Harbinder odnosi wrażenie, że Patricia gotowa jest zdradzić coś więcej. Ma ochotę zwrócić jej uwagę, żeby nie nazywała kobiet dziewczynami, ale to chyba zabrzmiałoby zbyt agresywnie. Powiedziałyby to, gdyby był z nią Neil, ot, żeby go rozdrażnić.

– Jakie „inne rzeczy”? – dopytuje.

– Cóż, wygląda na to, że ma sporo pieniędzy. – Patricia rozsiada się wygodniej na fotelu, skracając nieco zawodowy dystans. – Dobry samochód, drogie ubrania. Nie zarobiła na to tutaj, proszę mi wierzyć. – Śmieje się z pewną goryczą. – Początkowo sądziłam, że ma bogatego chłopaka, ale tu znowu coś dziwnego: naprawdę ładna z niej dziewczyna,

a nigdy nie wspomina o żadnym mężczyźnie. Zastanawiam się, czy ona nie jest... no wie pani... lesbijką. – Ścisza głos, choć nikt nie może ich usłyszeć, chyba że pluszaki.

– Dziś trudno powiedzieć, kto jest homoseksualny, a kto nie – zauważa Harbinder. – Co pani wie o przeszłości Natalki?

Po raz pierwszy Patricia wydaje się trochę przestraszona.

– Dlaczego pani pyta? Jest o coś podejrzana czy co?

– Nie. W związku z Dexem Challonerem – Harbinder stara się mówić uspokajająco – wyniknęła pewna sprawa.

– Dexem Challonerem? To okropne, że spotkała go taka śmierć. Opiekowaliśmy się jego matką, Weroniką. Miała charakter, mówię pani.

– Słyszałam. Natalka jest Ukrainką, prawda?

– Chyba tak.

– A wie pani, czy ma kontakt z kimś w Ukrainie?

– Wydaje mi się, że z matką. Kiedyś pokazała mi jej zdjęcie. Zwyczajna kobieta, i tyle.

Coś podobnego, odpowiada w duchu Harbinder.

– Weronika była Polką, prawda? – pyta. – Czy mówiła przy pani, co robiła podczas wojny?

– Nie. Ale mogła mówić o tym przy Marii. Były w dobrych stosunkach. Maria także jest Polką i myślę, że rozmowa w ojczystym języku sprawiała im obu przyjemność.

– Podobno Peggy dużo wiedziała na temat Polski, Maria wspomniała o tym na jej pogrzebie. Czy Peggy rozmawiała z panią o Polsce? Albo o Rosji?

– Nie. Byłam u niej tylko kilka razy. Opiekowały się nią Natalka i Maria. Osoby starsze wolą stałych opiekunów, więc staramy się tego

pilnować.

– Czy Natałka jeździ do Ukrainy?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Kiedyś napomknęła, że oszczędza pieniądze, by sprowadzić tu matkę.

– Ma innych krewnych?

– Raz wspomniała o bracie, ale on chyba nie żyje.

– Wie pani, jak miał na imię?

– Hm, wydaje mi się, że Dimitrij albo jakoś podobnie. Brzmiało obco.

To zawęźa pole poszukiwań, myśli Harbinder. Przypomina jej się nauczycielka z podstawówki, która mówiła do niej „Sarah”, bo nie umiała wypowiedzieć „Harbinder”. Ojciec wybrał się do szkoły, by wytłumaczyć, że w przeciwieństwie do „Sarah” imię Harbinder wymawia się tak, jak się pisze.

Telefon Patricii zaczyna natarczywie dzwonić, więc Harbinder uznaje, że pora się pożegnać. Niewiele dowiedziała się z tej rozmowy, oprócz tego, że Natałka ma matkę i być może brata – i że jeśli ona sama nie sprawdzi się jako policjantka, zawsze będzie mogła ubiegać się o pracę opiekunki.

Jeśli rzeczywiście kiedyś zostanie do tego zmuszona, jedno jest pewne: za nic nie zatrudni się w Highcliffe House. Z zewnątrz budynek nie wygląda tak źle, nie przypomina gotyckiego zamku, jak sugeruje nazwa; to przyjemny dom, stojący z dala od ulicy. Jednak w środku jest już znacznie gorzej: milczące postacie w niewygodnych fotelach, ryczący telewizor i ściszone głosy personelu, a wszystko to spowite wonią moczu i kapusty.

– Jeśli miałbym kiedykolwiek skończyć w takim miejscu – mamrocze Neil, gdy idą za opiekunem do pokoju Joan Tate – od razu mnie zastrzel.

– Nie jestem twoją najbliższą krewną – odpowiada Harbinder. – Zostawię to Kelly.

– Zrobiłaby to – mówi Neil. – Oczywiście wy w swojej kulturze macie to lepiej urządzone.

– My? W naszej kulturze? Masz na myśli mieszkańców Shoreham?

– Wiesz, co mam na myśli. Dbacie o starszych ludzi.

Ma rację, stwierdza w duchu Harbinder, choć nigdy by mu tego nie przyznała. Jej babcia ze strony matki mieszkała z nimi aż do śmierci, szanowana, obsługiwana, nawet gdy już nie pamiętała, kim jest dla niej każde z nich. Harbinder, która miała osiem lat, kiedy Nani zmarła, pamięta, że opowiadała jej o koniach – przez krótki okres swojej wielkiej miłości do nich – spokojna o to, że babcia ją uwielbia i że nie rozumie z tego ani słowa.

Personel w Highcliffe House nie sprawia wrażenia bezdusznego, tylko wydaje się przepracowany i udręczony. Opiekun ciepło wita się z Joan i naciąga jej na ramiona pomarańczowy kardigan.

– Nie należy do niej – wyjaśnia. – Ubrania się mieszają.

Harbinder rozgląda się po pokoju, zastanawiając się, czy przedmioty na stoliku są własnością Joan, czy nie. Jest wśród nich ślubna fotografia, porcelanowy koń i wazon ze sztucznymi kwiatami. Sama Joan, drobna kobieta o ptasiej twarzy, spogląda na Harbinder.

– Jest pani tym lekarzem? – pyta.

– Nie. Nie wszyscy Hindusi się lekarzami.

Ale miło jej, że Joan zwróciła się do niej, a nie do Neila. Starsza pani od razu budzi jej sympatię.

– Jesteśmy znajomymi Peggy – oznajmia. – Pani przyjaciółki Peggy Smith.

Twarz Joan natychmiast się rozjaśnia.

– Peggy! Czy ona tu jest?

– Niestety, nie. – Nie chce powiedzieć Joan, że jej przyjaciółka nie żyje, nawet jeśli staruszka zaraz o tym zapomni.

– Dzień dobry, kochanie – rzuca Neil, siadając obok Joan. – Ładny masz sweter.

Zdaniem Harbinder brzmi to bardzo protekcyjnie, ale starsza pani jest wręcz zachwycona.

– Nie jest mój – odpowiada. – Ja jestem pani jesień, nie wiosna.

– W każdym razie bardzo ci w nim do twarzy.

– Jesteś moim wnukiem? – pyta Joan. – Nieczęsto mnie odwiedza.

– Na pewno wkrótce przyjedzie do ciebie. Jestem Neil, a to jest Harbinder. Chcemy pogawędzić o Peggy. Miałyście udany urlop w Rosji, prawda?

– W Rosji – powtarza Joan, jakby to było dla niej nowe słowo.

– Czy pamięta pani tamtych młodych ludzi, których tam poznałyście? – odzywa się Harbinder. – Mieszkali u was.

Joan spogląda na nią szeroko otwartymi oczami – są jasnoniebieskie, prawie białe, ale wydają się patrzeć rozumnie.

– Dobrze się bawiliśmy, no nie? – mówi.

– Tak.

Czy ona bierze mnie za Peggy? – zastanawia się Harbinder. Słyszała o ludziach, którzy nie rozróżniają kolorów, ale to już byłoby naprawdę dziwne.

– Powiedziałaś, że to studenci – rzuca Joan. – Tacy mili chłopcy.

– Byli Rosjanami? – ciągnie Harbinder.

– Miles. Słuchali go. Miles Davis.

– Rozumiem – włącza się Neil. – To musiała być dopiero przygoda. Czy pamiętasz coś więcej o tych chłopcach?

– Zabrałyśmy ich na przedstawienie baletowe. Byli tacy mili.

– A jak się nazywali? – pyta znowu Harbinder. – Dimitrij? Iwan? Władimir? – Nie przychodzą jej na myśl żadne inne wschodnie imiona, więc dodaje rozpaczliwie: – Nigel?

– Nigel nie był miłym chłopcem – odpowiada Joan. – Niedobry syn.

Harbinder i Neil wymieniają spojrzenia.

– Dlaczego niedobry? – podejmuje Neil.

– Zabierał Peggy wszystkie pieniądze – wyjaśnia Joan. – Zarzucał jej, że za dużo gra. Ale ona też grała. Tak twierdziła Peggy.

– Kto? – dopytuje Harbinder. – Kto też grał?

– Na wyścigach. Och, lubiłyśmy wyścigi konne.

A potem niespodziewanie Joan zasypia.

– Nic jej nie jest? – Neil dotyka kardiganu. – Joan?

Pierś Joan wznosi się i opada. Staruszka wydaje się spokojna, ale Harbinder na wszelki wypadek idzie na korytarz i znajduje osobę, która wygląda na pielęgniarkę. Kobieta wchodzi do pokoju, pobieżnie bada Joan i mówi, że staruszka dużo śpi.

– Może być w takim stanie przez wiele godzin.

Ale kiedy Harbinder pochyla się nad Joan, żeby się pożegnać, ta otwiera oczy.

– Drom! – rzuca, po czym znowu zasypia.

Rozdział 23

Benedict: cholernie dobra zagadka

Benedict budzi się z przerażeniem, myśląc, że jest w swojej kawalerce na poddaszu w Shoreham i że drzwi i okno zmieniły miejsce. Potem jednak przytomnieje. Jest w Travelodge w Aberdeen, przypomina sobie. Przyjechał tu z Natałką – która pewnie śpi po drugiej stronie ściany z kartongipsu – i z Edwinem – jeśli starszy pan wrócił bezpiecznie do hotelu po *rendez-vous* z Julie. Prowadzą śledztwo i tropią zabójcę. Być może depte im po piętach ukraińska mafia.

Dziwnie upojony tym wszystkim, Benedict wstaje i idzie do toalety. Potem szuka czajnika i znajduje go w szafce przy łóżku; co za przemyślna kryjówka. Parzy sobie herbatę i wraca na łóżko. Tego dnia wybierają się na panel z udziałem Lance’a Fostera. Czy w autorze *Laokoona* nie ma czegoś osobliwego, wręcz podejrzanego? Dlaczego zapytał Julie, czy wie, kto zamordował Peggy? To dziwne. Benedict uświadamia sobie, że nie zapytał Lance’a, skąd zna Peggy. Był zbyt zajęty Natałką. A ta jej historia o kryptowalucie i „złych ludziach”, którzy chcą się na niej zemścić? Kiedy opowiadała o matce i bracie, zdawało się, że to zupełnie inna Natałka, młodsza i bardziej bezbronna, ale także jakby obca i trudna do zrozumienia. Kto by pomyślał, że studiowała matematykę. On ledwie zdał egzamin na

zakończenie szkoły średniej. Ignoruje przy tym – czego ma świadomość – to, że Natalka, jak sama się przyznała, jest złodziejką.

Benedict bierze prysznic i na myśl, że stoi nagi kilka metrów od Natalki, przebiega go dreszcz. Kiedy wychodzi z łazienki, jego ładujący się telefon wibruje. Przyszła wiadomość od Edwina. *Śniadanie o ósmej? Naprzeciwko jest miła kawiarenka, The Rowan Tree*. Tylko on tak dba o poprawność interpunkcji w esemesie. W każdym razie jest chyba w dobrym humorze. Benedict wysyła wiadomość do Natalki i zaczyna się ubierać.

Edwin siedzi przy oknie i pałaszuje wielką porcję solonych śledzi. Najwyraźniej doskonale się czuje. Mówi, że zauważył tę kawiarnię, gdy wczoraj wieczorem wracał po kolacji z Julie.

– Dobrze się bawiłeś? – pyta Benedict.

Zamawia kawę i kanapkę z bekonem. Ma lekkiego kaca i na widok Edwina, wprawnie filetującego śledzie, zbiera mu się na mdłości.

– Było bardzo przyjemnie – odpowiada Edwin. – Julie jest dobrą towarzyszką. Chyba czuje się samotna. Opiekowała się matką, a po jej śmierci zamieszkała w Hove tylko z psem.

– Przynajmniej ma psa – zauważa Benedict. – Pamiętasz, jak Peggy odnotowywała ludzi spacerujących z psami?

– Tak. Dwie osoby z border collie, trzy ze spanielami i jedna z nieokreślonym mieszkańcem o długiej sierści.

Obaj się śmieją.

– Wczoraj wieczorem spotkałem też znajomego – rzuca Edwin.

– Znajomego?

– Tak, kiedyś pracowałem z nim w BBC. Nazywa się Freddie Fanshawe. Poznałem go, gdy był stażystą po studiach, teraz jest dziennikarzem. Przyjechał tu ze względu na śmierć Dexa. Pomyślałem, że może czegoś się od niego dowiemy.

– Dowiemy?

– Tak, na temat śledztwa. A skoro o tym mowa... mam pewną informację. Poczekam z tym, aż będziemy w komplecie.

Gdy to mówi, drzwi się otwierają i staje w nich Natałka. Jest w czarnym swetrze i czarnych dżinsach, włosy ma jeszcze wilgotne po prysznicu. Wygląda jak piękna zabójczyni, myśli Benedict.

Natałka zamawia czarną kawę.

– Powinnaś coś zjeść – zwraca jej uwagę Edwin.

– Na myśl o śniadaniu robi mi się niedobrze.

Ona chyba też ma kaca, stwierdza w duchu Benedict. I od razu poprawia mu się nastrój.

Edwin rozgląda się po pustej kawiarni, jakby sprawdzał, czy nikt ich nie podsłuchuje. Chce zwiększyć napięcie, domyśla się Benedict.

– No więc... – zaczyna starszy pan – wiem, że... jest tu Nigel Smith.

– Nigel, syn Peggy? – upewnia się Natałka.

– We własnej osobie. I także zatrzymał się w Travelodge. Wczoraj wieczorem widziałem, jak tam wchodził. Na pewno mnie nie rozpoznał.

– Może przyjechał na festiwal – podsuwa Benedict.

Edwin odnosi się do tej uwagi z należnym jej lekceważeniem.

– On nie cierpi kryminałów. Słyszałem, jak to mówił. Jest tu z innego powodu.

– Niewykluczone, że ma kochankę – sugeruje Natałka. – To zwykle wszystko wyjaśnia.

– Kochanki nie zabiera się do Travelodge – odparowuje Edwin. – Kiedy ludzie zatrzymują się w Travelodge? Podczas wyjazdów służbowych. A jaką służbową sprawę ma tu Nigel?

– Jego żona chyba mówiła, że on pracuje w City – wtrąca Natałka. – Sprawiają wrażenie zamożnych.

– To nic nie znaczy – odzywa się Benedict. – Gdyby Shack mieściło się w londyńskim ratuszu, też mógłbym powiedzieć, że pracuję w City.

– Ale czy byłbyś zamożny? – rzuca Natałka.

– Pewnie nie.

– Może Nigel nie ma pieniędzy – podejmuje Edwin. – A jeśli wszystkie stracił? I dlatego tak mu się spieszy, żeby sprzedać mieszkanie Peggy? Forsa to zawsze dobry motyw zabójstwa.

– Naprawdę sądzisz, że Nigel zabiłby własną matkę? – pyta z powątpiewaniem Natałka.

Czy myśli o swojej matce, tam, w Ukrainie? – zastanawia się Benedict. Wczoraj, gdy o niej mówiła, była bliska płaczu.

– Mordercą jest zwykle członek rodziny – zauważa Benedict. – To znaczy w prawdziwym życiu, nie w kryminałach. I zawsze to najmniej podejrzana osoba.

– Właśnie. – Edwin smaruje masłem ostatnią kromkę ciemnego chleba.

– Musimy wziąć go pod ścisłą obserwację – oświadcza Natałka.

Benedict jest ciekaw, czy powie Edwinowi o tamtych Ukraińcach, ona jednak o nich nie wspomina, a Edwin, zawsze taktowny, nie pyta ich, dlaczego poprzedniego wieczoru tak nagle zniknęli.

Po śniadaniu idą do Majestic. Panel, w którym bierze udział Lance, zaczyna się o jedenastej na miejscu, w hotelu. Edwin umówił się na spotkanie ze znajomym z BBC zaraz potem.

– Jesteś zajęty – komentuje Benedict.

– Po to jeździ się na festiwalu, czyż nie? – rzuca Edwin.

Benedict jednak nigdy nie był na żadnym festiwalu, jeśli nie liczyć spotkania z papieżem Benedyktem w Hyde Parku w 2010 roku.

Panel *Czy Hamlet to opowieść kryminalna?* odbywa się w oranżerii, niedużym pomieszczeniu przylegającym do wielkiej sali balowej. Okna, znajdujące się po jednej stronie, wychodzą na smagany wiatrem ogród, a żyrandole, owinięte materiałem, zwisają z sufitu niczym rośliny. Benedict, Edwin i Natałka siedzą na złożonych ażurowych krzesłach z tyłu. Jest jak na ślubie, myśli Benedict, chociaż był tylko na dwóch: na ślubie Hugo i znajomej pary z klasy, ale oni rozstali się po pół roku. Uczestników spotkania jest niewielu – wczorajszy panel cieszył się znacznie większym zainteresowaniem. Przyszło tylko piętnaście osób. Julie Monroe, która pojawia się minutę przed rozpoczęciem dyskusji, jest szesnasta.

– Przepraszam – mówi szeptem, chociaż Benedict nie wie, za co przeprasza. – Pracowałam nad redakcją.

Lance wchodzi na podest wraz z trzema innymi mężczyznami. Odnotowując, że w wydarzeniach literackich przeważnie biorą udział kobiety, Benedict zastanawia się, z jakiego powodu tu jest inaczej. Prowadzący dyskusję przedstawia się jako Hamish Macleod, wykładowca uniwersytecki. Dwaj inni pisarze to wytatuowany młody mężczyzna, Simon Stevens, którego debiutancka powieść *Chip Rapper* została nominowana do Nagrody Bookera, oraz Cymbeline Blake, niegdyś bardzo znany autor, którego Benedict uważał już za zmarłego. Hamish krótko prezentuje trzech gości, dodając, że Lance Foster uczy także kreatywnego pisanie, o czym Benedict nie wiedział.

Hamish zadaje pierwsze pytanie: czy powieść kryminalna jest niedoceniana przez krytyków?

– Ja nie piszę powieści kryminalnych – odpowiada Lance. – Moja twórczość to literatura.

– Szczerze mówiąc, stary, nie rozumiem, co to wszystko znaczy – zabiera głos Simon, który bardzo stara się maskować akcent chłopca z prywatnej szkoły. – Ja po prostu piszę książki.

– To wszystko chrzaniecie – rzuca Cymbeline Blake.

Hamish, który zaczyna lekko się pocić, pyta ich, które pozycje z klasyki literackiej uważają za powieści kryminalne.

– *Wzgórza* – krótko odpowiada Lance – i *Flossa*.

Benedict dopiero po chwili rozszyfrowuje, że chodzi o *Wichrowe wzgórza* i *Młyn nad Flossą*.

– Ja tam niewiele czytam – wyznaje Simon. – Ale za to lubię dobre gangsterskie filmy.

– Klasyka jest gównem warta – kwituje Cymbeline. – Wolę pisma porno.

Słysząc, że ludzie wychodzą, Hamish jest już naprawdę zdenerwowany, gdy Lance niespodziewanie pochyła się do przodu i oznajmia:

– I Jane Austen. *Emma* to cholernie dobra zagadka kryminalna. Mnóstwo tropów w monologach panny Bates. Prowadzę kurs na temat złotej ery. Christie, Marsh, Allingham, Atkins. Nigdy nie pomijam starszych pań. Znałem kiedyś jedną z nich, przypominała pannę Marple.

Benedict, Edwin i Natalka spoglądają na siebie. Kiedy prowadzący spotkanie prosi o pytania z sali, rękę podnosi Benedict.

– Zainteresowała mnie wzmianka pana Fostera o pisarzach złotej ery powieści kryminalnej – zaczyna. – Co panowie sądzą o takiej autorce jak Sheila Atkins?

– W życiu o niej nie słyszałem – rzuca Simon.

Cymbeline jakby zapadł w śpiączkę.

– Należę do wielbicieli Atkins – mówi z kolei Lance. Można odnieść wrażenie, że coś go bardzo bawi. – Jest mi bardzo droga. Wiedziała, jak skonstruować intrygę. Zdziwiliby się państwo.

– Czytał pan *Poszcząc, podziękuj Bogu*? – dopytuje Benedict.

– Tak.

Lance jest jakby zaskoczony i już ma coś dodać, gdy Hamish wchodzi mu w słowo, pytając, czy ktoś jeszcze chciałby dowiedzieć się czegoś od gości panelu. Ponieważ najwyraźniej nikt nie chce, sam zadaje pisarzom pytanie: nad czym obecnie pracują?

– Ja nad następną głównianą powieścią – odpowiada Cymbeline. – Ale ludzie to kupią.

– Nad niczym. – To Simon. – Jeśli *Chip Rapper* będzie moją jedyną książką, jedyną szansą na nieśmiertelność, to umrę szczęśliwy.

– Właśnie skończyłem książkę. Coś zupełnie innego – odzywa się Lance. – Jestem tym bardzo podekscytowany.

Ale wcale nie wygląda na podekscytowanego. Wydaje się tak samo znudzony jak publiczność. Hamish kończy spotkanie dziesięć minut przed czasem.

– To było zabawne – mówi Natałka.

– Pójdziemy porozmawiać z Lance'em? – pyta Benedict.

– Ja idę na kawę – oznajmia Edwin. – Więcej gadania o literaturze nie wytrzymam. Przypominają mi się dawne czasy w BBC.

– Przyłączę się do ciebie – rzuca Julie.

Natałka i Benedict podchodzą do stolika, przy którym pisarze podpisują książki. O dziwo, do Cymbeline'a Blake'a stoi całkiem sporo ludzi. Obok

niego Lance i Simon rozmawiają z wyraźnym skrepowaniem.

– To było bardzo interesujące – zwraca się Benedict do Lance’a.

– Naprawdę? Dla mnie to była katastrofa.

Benedict go pociesza. W końcu jako jedyny z publiczności wniósł coś do dyskusji.

– Czy starszą panią, którą porównałeś do panny Marple, była Peggy Smith? – pyta.

– Tak. Była z niej urodzona detektyw. Tak zawsze mówiła o niej moja mama.

Ciekawe, myśli Benedict. Pierwsza wzmianka o jakiejś bliższej rodzinie.

– Nie powiedziałaś nam, jak poznałeś Peggy – włącza się Natałka. – Wspomniałeś tylko, że to skomplikowane.

– Zniknęłaś wczoraj wieczorem – odparowuje Lance. – To dlatego. – W jego głosie brzmi irytacja i znowu ten zbyt władczy ton, żeby mógł spodobać się Benedictowi.

– Spotkajmy się potem na drinka – proponuje Natałka.

Lance spogląda na zegarek.

– Dobrze. Jestem umówiony na lunch ze swoim agentem. Może wieczorem w barze hotelowym? Powiedzmy, o siódmej?

– Świetnie – rzuca Benedict.

Patrzą, jak Lance zbiera swoje rzeczy i wychodzi, omijając tłumek, który wciąż otacza Cymbeline’a. Benedict jest ciekaw, czy ten agent w ogóle istnieje.

Hol hotelowy nagle sprawia wrażenie pełnego ludzi. Benedict dostrzega Edwina i Julie, siedzących twarzą w twarz na kanapie. Popijają kawę, podczas gdy większość pozostałych uczestników festiwalu kieruje się już

do baru. Benedict schodzi z drogi mężczyźnie niosącemu trzy wypełnione po brzegi kufle piwa. Zamierza wypić je wszystkie sam?

– Masz ochotę na drinka? – pyta Natałka.

– Dlaczego nie?

Dziś wydaje się całkiem spokojna, on jednak na wszelki wypadek lustruje wzrokiem hol w poszukiwaniu tamtych Ukraińców. Wtedy zauważa potężnego mężczyznę w marynarce, który zmierza do drzwi obrotowych.

Trąca Natalkę w ramię.

– Spójrz.

– Kto to? O, to Nigel. Z kim?

– Chyba z Lance'em – odpowiada Benedict.

Rozdział 24

Natalka: niedobry pokój

W blasku dnia Natalka już się tak nie denerwuje. Wprawdzie rano, gdy się obudziła, przeżyła ciężkie chwile: miała sucho w ustach i było jej niedobrze, a w dodatku przestraszyła się, że na końcu łóżka siedzi jakiś mężczyzna. Zerwała się na równe nogi, z walącym sercem, ale okazało się, że to tylko jej własna kurtka, wisząca na oparciu krzesła, i obcy pokój hotelowy, minimalistyczny i w najprostszycy kolorach. Pokoik w Miners' Arms był inny, przytulny dzięki pochyłemu sufitowi, ale i tam nie spała dobrze.

Benedict jednak okazał Natalce tyle dobroci. Wczoraj wieczorem wydał jej się jakiś inny. Czy to dlatego, że z własnej inicjatywy zrobił zdjęcie tym facetom, czy dlatego, że nie był zaskoczony jej wyznaniem, nagle przestał być taki śmieszny – zabawny były zakonnik, który nie żałuje czasu, by podać idealne cappuccino – i zaczął zachowywać się jak mężczyzna, ktoś, kogo mogła znać w poprzednim życiu. Wypili dwie butelki wina. Nic dziwnego, że rano czuła się nie najlepiej.

Panel z udziałem Lance'a był dziwny. Wszyscy uczestniczący w nim autorzy jakby chcieli dowieść, że wcale nie piszą kryminałów. Dlaczego, to przecież chyba świetna sprawa? Dex Challoner bardzo się na tym

wzbogacił, a nawet J.D. Monroe nieźle żyje: mieszkanie w Hove, wakacje w Toskanii, śliczny piesek. Chociaż, jeśli się zastanowić, chodzi w ciuchach, o których nie warto pisać w listach do domu. Lance, jako autor jednego dzieła „literackiego”, nie jest chyba zbyt zamożny. Wczoraj wspomniał jej, że aby związać koniec z końcem, musi uczyć w dwóch miejscach. A jego ciuchy, mimo że stylowe, widziały już lepsze dni. Jednak nadal jest atrakcyjny, nawet jeśli gada jakieś bzdury o Jane Austen. No i wydawał się całkiem zadowolony, gdy zobaczył ich później, chociaż może dlatego, że chciał, by wzięto ich za jego wielbicieli.

Później w holu nagle znowu ogarnia ją strach. A jeśli są tu ci Ukraińcy, których wczoraj widziała? Jeżeli zamierzają coś jej zrobić, może nawet ją zabić, załatwić jedną kulą w głowę, jak Dexa? Chętnie napiłaby się czegoś mocniejszego, ale kiedy proponuje, żeby poszli na drinka, Benedict zauważa Nigela wychodzącego z hotelu razem z Lance'em i budzi się w nim detektyw.

– Idźmy za nimi.

– Nie zdążymy przedrzeć się przez ten tłum – oponuje Natałka.

To prawda, że Majestic nagle wydaje się pełen ludzi; uczestnicy jednego panelu udają się na drugi, inni kierują się do baru, żeby znowu się napić. Benedict z żalem przyznaje jej rację i zamawia dla nich obojga po kieliszku wina. Z minuty na minutę coraz mniej przypomina zakonnik.

Znajdują zaciszny kątek za jakimiś wysokimi roślinami doniczkowymi i tam niebawem przyłączają się do nich Edwin i Julie.

– Widzieliście Nigela i Lance'a? – pyta ich Benedict. – Wyszli razem.

– Ciekawe – rzuca Edwin. – Skąd oni się znają?

– Poznali się przez Peggy? – podsuwa Julie.

Najwyraźniej jest na bieżąco z całym śledztwem. Natałka już wcześniej zauważyła, że Edwin to straszliwy gaduła.

– A ty? Znasz Nigela? – zwraca się Natałka do Julie.

– Nie. Widziałam go na pogrzebie. Nie rozmawiał ze mną. Wydał mi się trochę nadęty.

– Może Lance i Nigel mają romans – mówi Natałka.

– Niemożliwe – zaprzecza Edwin. – Żaden gej nie miałby ochoty na kogoś takiego jak Nigel.

– Powinniśmy zawiadomić detektyw Kaur – odzywa się Benedict. – Bo to dość podejrzane, nie sądzicie?

– Wyślijmy jej selfie.

Natałka każe im usiąść obok siebie i Benedict, który ma długie ręce, robi zdjęcie. Jest trochę nieostre, a Julie akurat zamknęła oczy, ale Natałka wyszła całkiem dobrze. Wysyła je do Harbinder.

Jedzą w Majestic lunch i wypijają butelkę wina, po którym Natałka robi się trochę senna. Wraca do Travelodge, żeby się zdrzemnąć, podczas gdy Edwin idzie na spotkanie ze znajomym z BBC, a Benedict i Julie udają się na panel pod tytułem *Detektywistyczne duety: od Holmesa i Watsona po Bryanta i Maya*.

Łóżko jest wygodne, a dzięki czarnym zasłonom w pokoju panuje mrok, ale Natałka i tak nie może zasnąć. Wciąż myśli o Dmytrze, o jego pocziwej, miłej twarzy z zadartym nosem i szczerymi niebieskimi oczami, o tym, jak nadawał imiona wszystkim żywym stworzeniom, nawet pająkom, jak mrugał, opowiadając śmieszne historie. Nie widziała go od sześciu lat. W końcu rezygnuje z prób zaśnięcia, wstaje i bierze prysznic. Potem wkłada swoje najlepsze dżinsy i nowy top z falbankami. Nie wie, kogo chciałaby olśnić, ale zawsze czuje się lepiej, gdy dobrze wygląda. Na koniec się maluje.

Jest szósta i już prawie zapadł zmrok, kiedy Natałka wychodzi z Travelodge. Dzień był ładny, ale teraz siąpi deszcz, nieustająca mżawka, od której na pewno spuszą jej się włosy. Światła Majestic, szeregi złotych okien, niczym w kalendarzu adwentowym, sprawiają przyjemne wrażenie i jakby zapraszają do środka. Gdy tylko Natałka wchodzi przez obrotowe drzwi, słyszy głosy od strony baru. Ktoś mówi głośno: „Jesteś gówniarzem, Rupert!”. Inny się śmieje i rozlega się nieomylny dźwięk strzelającego korka od szampana. Natałka toruje sobie drogę w tłumie i zamawia kieliszek czerwonego wina. Znajduje wolny stolik, ale wkrótce przysiadają się do niej trzy sympatyczne kobiety, które mówią, że są bookstagramerkami. To dla niej nowe słowo, lecz nie chce pytać, co oznacza. Gawędzi z nimi do za pięć siódma, gdy zjawiają się Benedict i Edwin.

– Widziałeś Lance’a? – pyta Benedict.

– Jeszcze nie – odpowiada.

Nagle znowu zaczyna się denerwować. Rozgląda się wokół. Są tu głównie ludzie w średnim wieku, większość to kobiety. Nikt nie wygląda na ukraińskiego gangstera.

– Dobrze się czujesz? – dopytuje Edwin. – Bardzo zbladłaś.

– Nic mi nie jest. Jak twój człowiek z BBC?

– Freddie okazał się niezbyt pomocny – mówi Edwin. – Niewiele wiedział o Dexie Challonerze. Powiedziałem mu, że Dex miał konsultantkę do spraw zbrodni w osobie Peggy. Freddie był tym zafascynowany.

Jest wpół do ósmej, a Lance’a wciąż nie ma. W barze robi się coraz tłoczniej i głośniejsze. Bookstagramerki zachwycają się ostatnią powieścią Iana Rankina. Natałka idzie do recepcji, żeby zapytać o numer pokoju Foster.

– Nie powinienem go podawać – rzuca recepcjonista, pryszczaty młodzieniec z akcentem, który Natałka uznaje za szkocki.

– Umówiłam się z nim na spotkanie. – Natałka obdarza chłopaka swoim najbardziej zmysłowym uśmiechem. – Jesteśmy dobrymi znajomymi.

Ten puszcza oko i podaje jej samoprzylepną karteczkę.

– Pokój trzysta piętnaście.

Winda, staroświecka, z metalową odsuwaną kratą, jedzie strasznie powoli, ale wreszcie, szcękając, dociera na trzecie piętro. Hotel jest znacznie większy, niż wydaje się z zewnątrz, istny labirynt korytarzy i niepotrzebnych schodów, prowadzących w górę i w dół, nie wiadomo po co. Z wyłożonych boazerią ścian spoglądają smętnie łby jeleni. Pokój trzysta piętnaście znajduje się w małej wnęce, obok szafy z bielizną pościelową.

– To nie jest dobry pokój – mówi Natałka. – Byłam pokojówką, więc wiem.

Już chce zapukać do drzwi, gdy ze zdziwieniem widzi, że są otwarte. Zatrzymuje się w progu, bojąc się iść dalej. Benedict omija ją i wchodzi do środka.

– Lance?! – woła.

A potem Natałka słyszy jego okrzyk:

– Święta Mario, Matko Boża!

To musi być coś poważnego, skoro Benedict wzywa imię Boga swego nadaremno. Natałka i Edwin patrzą na siebie i wchodzi za Benedictem do pokoju.

Lance siedzi na fotelu przy oknie. Natalce przypomina się Peggy, siedząca obok swojej lornetki, z niewidzącym wzrokiem utkwionym w morze.

Rozdział 25

Benedict: to wygląda na kryminał

Benedict od razu wie, że Lance nie żyje. Dotyka jego ręki, lepkiej od potu, i nie wyczuwa pulsu.

– Święta Mario, Matko Boża!

Nie jest nawet świadom, że wypowiada te słowa na głos, ale zaraz pojawia się przy nim Edwin i mówi coś o morderstwie.

– Czy on jest martwy? – pyta Natalka drżącym głosem.

To, o dziwo, sprawia, że Benedict odzyskuje panowanie nad sobą.

– Chyba tak. – Głowa Lance’a spoczywa na oparciu fotela, oczy są otwarte, źrenice rozszerzone. – Wezwijcie pogotowie – mówi, ale słyszy, że Edwin już rozmawia przez telefon i zadziwiająco spokojnym głosem podaje adres.

– Czy da się wyczuć puls? – pyta Edwin, powtarzając za osobą przyjmującą zgłoszenie.

Benedict na wszelki wypadek nachyla się do piersi Lance’a, nasłuchując bicia serca, ale już wszystko wie. Ciało ma w sobie ten przerażający bezwład.

– On nie żyje – mówi Natałka tak, jakby miała się zaraz rozpłakać. – Ktoś go zabił.

– Tego nie wiemy.

Benedict uważnie rozgląda się po pokoju. Drzwi były otwarte, choć Lance siedział w fotelu. Najwyraźniej nie spodziewał się śmierci. Czy zmarł z przyczyn naturalnych? To możliwe, ale jeszcze dzisiaj wydawało się, że jest w dobrej formie, mówił o *Wzgórzach* i *Flossie*, był podekscytowany swoim nowym projektem.

– Karetka już jedzie – informuje Edwin. – Powinniśmy uprzedzić konsjerża. Ja to zrobię. – Wychodzi z pokoju.

– Konsjerża – powtarza Natałka. – Słowo w stylu Edwina.

– To prawda – przyznaje Benedict.

Natałka na wpół się śmieje, na wpół płacze. On obejmuje ją ramieniem, czując znajomy cytrusowy zapach.

Edwin wraca w towarzystwie dwóch ochroniarzy i przyszczatego recepcjonisty.

– Chryste Panie! – rzuca pierwszy ochroniarz po wejściu do pokoju. – Ktoś dotykał ciała?

Lance stał się „ciałem”, myśli Benedict.

– Tylko żeby sprawdzić puls – odpowiada.

– Nie żyje, to jasne jak słońce – kwituje tamten. – Znacie tego człowieka?

– Trochę – mówi Benedict. – To jeden z tych pisarzy, autor kryminałów.

– To wygląda na kryminał – zauważa drugi ochroniarz.

Nikt nie ma już nic więcej do powiedzenia, więc czekają w dość krepującym milczeniu, aż w oknie pojawia się błyskające niebieskie światło karetki pogotowia.

Ratownicy medyczni potwierdzają, że Lance nie żyje. Po ciało ma przyjechać inny ambulans.

– Nie możemy zabrać zmarłej osoby – wyjaśnia jeden z nich.

Zostają na miejscu i wkrótce zjawia się policja, wezwana przez hotelowych ochroniarzy. To czworo funkcjonariuszy; trzech mężczyźni: dwaj umundurowani i jeden, wysoki, w cywilnym ubraniu, który przedstawia się jako detektyw inspektor Harris, oraz kobieta, detektyw sierżant Macready. Są bardzo sprawni. Proszą wszystkich do sąsiedniego pokoju. Ktoś nawet przynosi herbatę i ciastka, a właściwie przywozi, na wózku.

To dziwne znaleźć się w takiej sytuacji w zwykłym pokoju hotelowym. Benedict, Natalka i Edwin siedzą obok siebie na podwójnym łóżku. Macready zajmuje miejsce przy biurku. Harris stoi przed nimi, niemal trącając głową żyrandol z aksamitnego poroża.

– Kto go znalazł? – pyta Harris.

Ma rude włosy, bardzo krótko ostrzyżone, i szorstki sposób bycia, którego jednak nie można uznać za nieuprzejmy.

– Ja – odzywa się Benedict.

– Pan, czyli kto?

– Benedict Cole.

– Był pan przyjacielem zmarłego?

Zmarłego. Z „ciała” Lance stał się „zmarłym”.

– Nie. Poznałem go dopiero wczoraj. To jeden z pisarzy, którzy przyjechali na festiwal powieści kryminalnej. Nazywał się Lance Foster.

Podał już nazwisko Lance’a ratownikom medycznym.

– Dlaczego przyszedł pan do jego pokoju? – Harris mówi bezbarwnym głosem, bez śladu jakiegokolwiek intonacji.

– Umówiliśmy się z nim na drinka – wtrąca Natałka. – Ponieważ nie przyszedł, zaczęliśmy go szukać. Ja nazywam się Natalia Kolisnyk, a to jest Edwin Fitzgerald.

Harris spogląda na nich troje i Benedict usiłuje przeniknąć wyraz jego twarzy. Wie, że muszą wydawać się dziwną grupą: atrakcyjna kobieta, nieciekawo okularnik i starszy pan w muszce.

– Jesteście na urlopie? – pyta Harris.

– Przyjechaliśmy na festiwal – odpowiada Natałka. Milknie na chwilę, po czym dodaje: – I prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa.

– Co? – Po raz pierwszy Harris podnosi głos.

Macready spogląda na nich znad swoich notatek. Jest całkiem ładna, ma jasną cerę i ciemne włosy związane w kucyk.

– Proszę powtórzyć – rzuca Harris.

Benedict dochodzi do wniosku, że powinien się odezwać, zanim Natałka wspomni o ukraińskiej mafii.

– Byliśmy znajomymi Dexa Challonera – zaczyna – tego pisarza, który został zabity w Shoreham. Wiemy, że Dex dostał list z pogrózkami, i dowiedzieliśmy się, że Julie Monroe, inna pisarka, także otrzymała taki anonim, więc postanowiliśmy przyjechać do Aberdeen i porozmawiać z nią. – Stara się, żeby to wyglądało na zupełnie racjonalne zachowanie, ale wydaje mu się, że wyczuwa nad swoją głową niewidzialny neon: *Czubek*.

– Dlaczego nie poszliście z tym na policję? – pyta Macready.

– Policja o tym wie – wyjaśnia Benedict – ale detektyw sierżant Kaur powiedziała, że...

Ku jego zaskoczeniu Harris robi krok do przodu.

– Kto?

– Detektyw sierżant Kaur z policji West Sussex.

– Harbinder Kaur?

– Tak.

– No, no, no – kwituje Harris. – Jaki ten świat mały.

Macready najwyraźniej nic z tego nie rozumie.

– Proszę nam opowiedzieć o tych listach z pogrózkami – zwraca się do Benedicta.

– To były pocztówki. Bez adresu i znaczka, więc sądzimy, że zostały wysłane w kopertach. Wszystkie zawierały te same słowa: *Dopadniemy cię*. Wiadomo nam, że Dex, Julie i Lance byli powiązani z Peggy Smith, która również ostatnio straciła życie.

– Peggy była konsultantką do spraw zabójstw – podejmuje Natalka. – Według nas też została zamordowana.

– Co takiego?! – wykrzykuje Harris.

– Była konsultantką do spraw zabójstw – powtarza cierpliwie Natalka. – Pomagała autorom kryminałów wymyślać sposoby mordowania bohaterów ich powieści. Jedną z tych pocztówek znaleźliśmy w książce należącej do Peggy, *Morderstwie w wieżowcu* Dexa Challonera. Potem, kiedy porządkowaliśmy rzeczy Peggy, wpadł człowiek z pistoletem i ukradł jedną z książek.

– Człowiek z pistoletem. – Harris wydaje się zdezorientowany.

Benedict ma wrażenie, że neon z napisem *Czubek* nad jego głową błyska już na czerwono.

– No więc kiedy Dex zginął – ciągnie Natalka – pomyśleliśmy, że te zgony muszą mieć ze sobą związek. Później, gdy okazało się, że J.D. Monroe też dostała pocztówkę...

– J.D. Monroe?

– Julie Monroe. Pisarka.

Macready wszystko notuje. Harris zwraca się teraz do Edwina:

– A pan, panie Fitzgerald, jaką odgrywa w tym rolę?

Starszy pan staje na wysokości zadania, myśli Benedict z uznaniem. Odpowiada swoim „radiowym głosem”, jak nazywała go Peggy, i poskramia nawet groźnego Harrisa:

– Byłem przyjacielem Peggy. Jestem na emeryturze i lubię czytać. Spodobał mi się pomysł wyjazdu do Szkocji. W latach młodości często odwiedzałem Edynburg. To takie piękne miasto.

– I jak podróż? – pyta Harris.

– Trochę bardziej obfitująca w wydarzenia, niżbym sobie życzył – przyznaje Edwin.

– Czy ktoś z was wie coś więcej o Lansie Fosterze?

Najcięższym wzrokiem Harris patrzy na Natalkę, stwierdza w duchu Benedict; może podejrzewa, że drink w barze to miało być spotkanie kochanków. Tylko po co zabierałaby ze sobą jego i Edwina?

– Był rozwiedziony – odpowiada Edwin. – Wspomniał o byłej żonie. – Zwraca się do Benedicta i Natalki: – To było wczoraj w pubie, po waszym wyjściu.

– Miał tego samego wydawcę co Dex Challoner – dorzuca Benedict. – Seventh Seal.

– Dziękuję wam – mówi Harris. – Możecie już iść. Ale nie opuszczajcie miasta.

Schodzą na parter, gdzie z baru wciąż słychać odgłosy dobrej zabawy. Policja odgrodziła pokój Lance’a, ale jak zauważyła Natalka, to korytarz na uboczu i mimo że na zewnątrz stoją wozy policyjne, wielu gości hotelowych nie jest świadomych tragedii, która wydarzyła się na górze.

Benedict ze zdziwieniem widzi, że minęła dopiero jedenasta. Wydaje się, jakby od czasu, kiedy czekali na Lance'a, przysłuchując się, jak bookstagramerki rozmawiają o Ianie Rankinie, minęło kilka dni.

Na zewnątrz noc jest chłodna i cudownie spokojna. Przez jakiś czas idą w milczeniu.

– Myślicie, że Lance umarł śmiercią naturalną? – odzywa się w końcu Edwin.

– Możliwe – odpowiada Benedict. – Dostał zawału albo wstrząsu anafilaktycznego. Nic nie jest wykluczone.

– Ja sądzę, że został zamordowany – oświadcza Natalka. – Kiedy go zobaczyłam, w fotelu przy oknie, od razu przypomniała mi się Peggy.

Benedict uświadamia sobie, że to ona znalazła ciało starszej pani. Nic dziwnego, że jest wstrząśnięta.

– Peggy również mogła umrzeć z przyczyn naturalnych – zauważa.

– Sam w to nie wierzysz, Benny – rzuca Natalka. – Szukamy seryjnego zabójcy. I nie wiemy, kto będzie jego następną ofiarą.

Podświadomie przyspieszają kroku i wreszcie widzą znak Travelodge, podświetlony niebieski profil śpiącego człowieka. Nagle wywołuje on u Benedicta złowrogi skojarzenia. Czy ta postać śpi, czy leży martwa? Może jest niebieska, bo przestała oddychać i zsiniała? Czerwone tło też wydaje się niepokojące, jeśli się dłużej zastanowić.

W recepcji nie ma nikogo. Bez słowa ruszają po schodach, bo zgodnie rezygnują z windy. Na podeście Natalka całuje każdego z nich w oba policzki.

– Dobranoc – mówi.

– Dobranoc, moja droga – odpowiada Edwin.

Benedict milczy.

Obawia się, że będzie godzinami leżał bezsenne, ale gdy tylko przykłada głowę do poduszki, zapada w sen i nic mu się nie śni.

Rozdział 26

Harbinder: dobre stare powieści detektywistyczne

Ruszając spod Highcliffe House, Harbinder słyszy, że jej telefon wibruje, powiadamiając o nadejściu esemesa. Sprawdza go, dopiero gdy znów siedzi przy swoim biurku. Selfie nie wywołuje uśmiechu na jej twarzy. Benedict, Edwin i Natalka uśmiechają się jak kretyni, trzymając w rękach kieliszki z winem. Jest z nimi jeszcze jakaś kobieta, blondynka, która akurat przymknęła oczy. Benedict za bardzo nachyla się w stronę aparatu, przez co jego nos wydaje się strasznie duży. Edwin to zamazana postać z siwymi włosami i w różowej muszce. Ale Natalka prezentuje się wkurzająco efektownie. Pewnie wybrała to zdjęcie, bo dobrze na nim wyszła.

Pokazuje fotkę Neilowi.

– Co oni sobie wyobrażają, do cholery? Że w co się bawią?

– Natalka wygląda jak modelka – komentuje Neil. – Czy dołączyli jakąś wiadomość?

– Nie. Czekaj, jest jeszcze jeden esemes. *Zgadniesz, kto tu jest? Nigel!* Jaki Nigel? Chodzi o syna Peggy?

– Niemożliwe. Widzieliśmy go zaledwie wczoraj.

Harbinder jednak przypomina sobie stos walizek w jego gabinecie. Może nie były tylko dekoracją? To żaden problem znaleźć lot do Aberdeen.

Sama latała do Szkocji i była zdumiona, jakie to łatwe. I jest się na miejscu szybciej, niż gdyby jechać pociągiem do Londynu.

Przegląda maile. Przyszły wyniki badań kryminalistycznych w sprawie Dexa Challonera, ale zawierają irytująco mało informacji. Morderca musiał stanąć na progu i stamtąd strzelić, bo w pokoju nie było żadnych włókien, odcisków palców, śladów DNA, które by coś mówiły. Tylko w ogrodzie znaleziono odcisk buta, numer osiem, co świadczy o tym, że zabójca dostał się do środka przez francuskie okno na tyłach domu. Kamery też niczego nie zarejestrowały, chociaż jeszcze nie zdołali skontaktować się ze wszystkimi sąsiadami Dexa. Wiele domów przy Millionaires' Row jest zamieszkiwanych tylko przez kilka tygodni w roku.

Odprawa jest o piątej. Harbinder referuje, czego dowiedzieli się od żony Dexa, jego wydawcy, specjalistki do spraw marketingu i agentki literackiej.

– Dex był dla wydawcy i pozostałych kurą znoszącą złote jajka – oznajmia. – Żadne z nich nie miało motywu, żeby go zabić. Poza tym chyba się nie kreował na wielkiego twórcę. Raczej budził sympatię.

– To zabójstwo wygląda na robotę zawodowca – zauważa Donna. – Nie wydaje mi się, żeby popełnił je jakiś mól książkowy.

Harbinder staje przed oczami Benedict, istne wcielenie „mola książkowego”. Co też porabia teraz ta trójka muszkieterów?

– Trafiliśmy także na ukraiński trop, chociaż słaby – ciągnie. – Peggy Smith po dwutysięcznym roku pojechała na urlop do Rosji i możliwe, że przypadkiem zetknęła się z jakimiś ukraińskimi aktywistami. Odwiedziliśmy Joan Tate, koleżankę, która jej wtedy towarzyszyła, ale ma alzheimera i niewiele nam powiedziała.

– Jeśli nie liczyć kilku nieaktualnych rad dotyczących obstawiania koni na wyścigach – wtrąca Neil.

– Zapalała do Neila sympatią – wyjaśnia Harbinder. – Wzięła go za dawno niewidzianego wnuka.

– Wszystko bierze początek od Peggy Smith. – Donna gryzie końcówkę długopisu. – A z tego, co wiemy, umarła śmiercią naturalną. Co napisano w akcie zgonu? Atak serca?

– Tak – odpowiada Harbinder. – Wprawdzie cierpiała na chorobę wieńcową, ale jak twierdzi jej opiekunka, w dniu śmierci czuła się dobrze. No i jest jeszcze ten napastnik z bronią w mieszkaniu Peggy, i pocztówka z pogrózkami. Ta, która tkwiła w książce napisanej przez Dexa Challonera. Inna pisarka, J.D. Monroe, otrzymała podobną kartkę.

– Naprawdę? Rozmawialiście z nią? – pyta Donna.

– Jest teraz w Aberdeen, na festiwalu powieści kryminalnej – wyjaśnia Harbinder. – Taką pocztówkę dostał jeszcze inny autor zaproszony na tę imprezę, Lance Foster. Aha, i wiecie, kto się tam pojawił? Nigel, syn Peggy.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Ta opiekunka, Natalka, jest tam z dwójką znajomych. – Harbinder nie patrzy na Neila.

– Często się na nią natykamy. Co o niej wiadomo?

Na tym polega kłopot z Donna: niewiele uchodzi jej uwagi.

– Nazywa się Natalia Kolisnyk i jest Ukrainką – mówi Harbinder. – Sprawdziliśmy ją. Od dwóch lat jest zatrudniona w agencji opieki nad starszymi osobami i ma matkę w Ukrainie. Jak sama mi się przyznała, była zamieszana w jakieś oszustwo z kryptowalutą i boi się, że szukają jej ukraińscy mafiosi.

– Wierzysz jej czy uważasz, że to wariatka?

Harbinder nadal unika wzroku Neila. Stara się udzielić szczerzej odpowiedzi.

– Myślę, że jest naprawdę przestraszona – zaczyna – ale może trochę przesadzać. Nie wiem, dlaczego tak chętnie pojechała do Aberdeen. Przysłała mi to dzisiaj.

Podaje telefon Donnie, która marszcząc czoło, przewija wiadomości wstecz.

– Sprawia wrażenie bardzo z tobą zaprzyjaźnionej – kwituje. – Uważaj. Niespodziewanie na pomoc Harbinder przychodzi Neil.

– Natalka jest tam ze swoim chłopakiem i jakimś starszym gościem, który znał Peggy – wyjaśnia. – Wybrali się w tę podróż we trójkę. Nie straciliśmy czujności.

– To dobrze – kwituje Donna. – Na razie zajmijmy się Dexam Challonerem. Znany pisarz zamordowany w swoim domu. Media bardzo interesują się tą sprawą, więc musimy rzucić im coś na żer. Prześledźmy, co robił w wieczór przed śmiercią. Macie wykazy jego połączeń telefonicznych i esemesów?

– Jeszcze nie.

– To przyciśnijcie operatora. W esemesach zwykle można znaleźć jakiś trop. Pamiętajcie, że kiedy Dex zginął, jego telefon leżał tuż obok na kanapie.

Harbinder wraca za biurko, żeby ponaglić operatora, i wtedy zauważa, że przyszedł mail od Sandy, grafolożki.

Udało mi się odczytać większą część listów od Joan, choć tu i tam pozostały luki. Mam nadzieję, że to w czymś pomoże.

Do wiadomości dołączyła listy w postaci pliku tekstowego.

Droga Peggy!

Jak miło, że się odezwałaś. Cieszę się, że przeprowadzka do Shoreham okazała się słuszną decyzją. Trudno przewidzieć, czy taki krok się sprawdzi, prawda? Ale nadal jesteś zdrowa i możesz cieszyć się [morzem?] i spacerami. Ja ostatnio mam kłopoty z chodzeniem. Hazel (żona Jasona) mówi, że powinnam schudnąć. Bezcelne babsko! To dobrze, że znalazłaś przyjaciół. Gdyby Weronika wiedziała o [...]. Niewielu już nas zostało.

Uściski

Joan

Droga Peggy!

Przykro mi z powodu Weroniki. Musi Ci jej brakować. Nie możesz [...] swojej opiekunki, prawda? Proszę, wyślij mi listę książek do czytania, jakichś dobrych starych powieści kryminalnych. Muszę ćwiczyć umysł. Ostatnio nie potrafię nawet rozwiązać krzyżówki, nie mówiąc już o kalamburach.

Uściski

Joan

Droga Peggy!

Edwin wydaje się zabawny. Chciałabym mieć takiego sąsiada. Całymi dniami, tygodniami, z nikim się nie widuję. Nie chcę [narzekać?], ale czasami bardzo mnie to przygnębia. Jason przychodzi, kiedy może, ale jest zapracowany. Hazel twierdzi, że powinnam mieć opiekunkę, ale jakoś mi się to nie widzi. Czy nie wspominałaś, że sama myślisz o zatrudnieniu kogoś takiego? Jak żałuję, że nie jestem [...]. Ci to umieją żyć!

Uściski

Joan

Droga Peggy!

Jakie to zabawne. Myślałam o tych chłopcach zaledwie parę dni temu. Śmieszne, że wpadłaś na jednego z nich! Wtedy to było! Niewiarygodne, że zabrałyśmy ich tamtego wieczoru do teatru Bolszoi jak gdyby nigdy nic, prawda? Wiesz, co stało się z pozostałymi? Zawsze się bałam, że po tym wszystkim jednak skończą za kratami. Ta sytuacja na Krymie jest straszna. Zawsze czułam, że Putin to [...]. Jason mówi, że nie znam się na polityce, ale to kułak, jak Twój Nigel. Czytałaś [...]? Moim zdaniem fascynująca przenikliwość.

Uściski

Joan

Droga Peggy!

Przepraszam, że długo się nie odzywałam. Coraz trudniej mi skupić myśli. Jason na pewno uważa, że to alzhajmer (czy tak się to pisze?). Już nie może się doczekać, żeby oddać mnie gdzieś i mieć święty spokój. Chciałabym się z Tobą jeszcze zobaczyć. Dobrze się kiedyś bawiłyśmy.

Uściski

Joan

Pierwszy list jest z czerwca 2006 roku, ostatni z października 2015. Wydają się Harbinder bardzo przejmujące. *Chciałabym się z Tobą jeszcze zobaczyć.* Ale przyjaciółki już nigdy się nie spotkały. Niesympatyczny Jason się nie mylił: to rzeczywiście był alzheimer. Oddał ją do domu opieki i z całą pewnością nieczęsto ją odwiedza. Harbinder ma przed oczami obraz

drobniutkiej kobiety w pomarańczowym swetrze. Trudno wyobrazić ją sobie wykrzykującą: „Bezczelne babsko!”, rozwiązującą krzyżówki i dyskutującą o sytuacji na Krymie, a jednak robiła to wszystko i jeszcze więcej.

Te luki w tekście są wkurzające. *Nie możesz [...] swojej opiekunki?, Jak żałuję, że nie jestem [...]. Ci to umieją żyć!* Sandy przysłała też skany oryginałów, więc Harbinder wpatruje się w nie, mrużąc oczy. Czy to nie mogłoby brzmieć: *Jak żałuję, że nie jestem Rosjanką. Ci to umieją żyć!*

Jednak niewątpliwie wielkim odkryciem jest to, że Peggy spotkała jednego ze studentów, którym pomogły z Joan podczas pobytu w Rosji. Bo chyba właśnie do tego nawiązuje Joan? Kiedy odbyły tę podróż? Sally powiedziała, że Peggy była wtedy po siedemdziesiątce, więc musiało to być między 1998 a 2008 rokiem. A w Seaview Court zamieszkała tuż przed 2006. Edwin wprowadził się tam chyba sześć lat później. List o spotkaniu jednego z tamtych chłopców pochodzi z 2014 roku, co oznacza, że musiało to nastąpić cztery lata przed śmiercią Peggy i jakieś szesnaście po podróży do Rosji.

Wzmianka o Weronice także jest ciekawa, choć Joan pisze o „przyjaciołach” w liczbie mnogiej. Co takiego Peggy powiedziała Marii? Że śmierć Weroniki jest podejrzana? Czy w tym liście kryje się jakaś podpowiedź?

– Nad czym tak ślęczysz? – Neil wszedł bezszelestnie, jak to czasami ma w zwyczaju.

– To listy od Joan. Te, które znaleźliśmy u Peggy w biurku. Sally je przepisała. Popatrz. – Odsuwa się na fotelu, żeby mógł zobaczyć.

Neil czyta szybko.

– Jasna cholera, biedna stara Joanie – rzuca.

– Właśnie.

– Już wtedy miała alzheimera. Nic dziwnego, że nie mogła rozwiązać krzyżówki. I Peggy rzeczywiście spotkała któregoś z tych Ukraińców.

– Na to wygląda.

Neil wciąż patrzy w ekran komputera. Czy on nie potrzebuje okularów? – zastanawia się Harbinder.

– Ciekawe, co to znaczy: *Niewielu już nas zostało*.

Słusznie, musi przyznać Harbinder. To ważne zdanie. Tylko nie wiadomo, o kim tu mowa.

Zamiast jechać prosto do domu, gdzie prawdopodobnie zwałyby jej się na głowę rozmaite obowiązki domowe, które dziwnym trafem może wykonać tylko kobieta, Harbinder postanawia wpaść do Clare. Poznała ją przed rokiem, podczas dochodzenia w sprawie zabójstwa. Clare Cassidy pracuje w miejscowym ogólniaku – do którego chodziła sama Harbinder – gdzie kieruje grupą nauczycieli angielskiego, i nie należy do osób, z jakimi w normalnych okolicznościach Harbinder mogłaby się zaprzyjaźnić. Po pierwsze, jest wysoka, szczupła i nosi się z niewymuszoną elegancją, a po drugie, spotyka się z wykładowcą z Cambridge i uwielbia mówić o książkach autorstwa białych nieżyjących już mężczyzn. Ale jakimś cudem znalazły wspólny język, a poza tym Harbinder bardzo lubi jej nastoletnią córkę, Georgie.

Clare, szykowna nawet w spodniach dresowych i w za dużym swetrze, wita ją serdecznie. Georgie, która ogląda w salonie telewizję, macha do Harbinder, a Herbert, ich szalony pies, zachowuje się, jakby nie widział jej od lat, i musi to sobie zrekompensować, biegając wokół niej i przenikliwie szczekając.

– Spokój, Herbert! – woła Clare. – Napijesz się herbaty, a może wina? Chodźmy do kuchni. Georgie ogląda *Porady różowej brygady*. Chyba na

podstawie tego programu ma napisać pracę maturalną.

Georgie, choć mówi, że jest przeciwna egzaminom konkursowym, miała na świadectwie ukończenia gimnazjum same piątki – czy też dziewiątki według tej dziwnej nowej skali ocen. Teraz chodzi do dwuletniej szkoły, gdzie uczy się literatury angielskiej pod kierunkiem kobiety, która twierdzi, że jest dobrą czarownicą. Od czasów Harbinder dużo zmieniło się w szkołach.

Harbinder bardzo lubi kuchnię Clare. Same opływowe linie i dyskretne oświetlenie; przede wszystkim zupełnie inaczej niż u jej rodziców, a to już coś. Siadają przy stole z widokiem na ogród, także dyskretnie oświetlony, i popijają czerwone wino. Harbinder opowiada Clare o śledztwie, świadoma, że Donna raczej by tego nie pochwaliła.

– Nie spodziewam się, że czytasz Dexa Challonera – mówi. – To nie wiktoriański klasyk z brodą.

– Uwielbiam jego książki – odpowiada Clare. – Jestem fanką dobrych kryminalów. Wilkie Collins pisał opowiadania detektywistyczne. Podobnie jak Dickens.

– Skoro tak mówisz...

– Wiecie, kto mógł zabić Dexa?

– Nie, jeszcze nie. Mamy kilka tropów, ale wszystkie są trochę naciągane. Wręcz dosłownie naciągane, bo sięgają Rosji i Aberdeen.

– Kocham Szkocję – oświadcza Clare.

Nie dziwi to Harbinder, bo wie, że babcia Clare mieszka w Ullapool.

– Mogłabym tam pojechać – dodaje Harbinder. – Pewna zwariowana Ukrainka wciąż przysyła mi stamtąd esemesy.

– Twoja dziewczyna?

– Nie.

– Chętnie bym się z tobą zabrała, gdyby nie szkoła – mówi Clare. – Przydałby mi się urlop. W pracy mam urwanie głowy.

– Jak nauczycielka angielskiego może mieć urwanie głowy? – rzuca Harbinder. To taki ich żart. – Każ im siedzieć cicho przez pół godziny i tyle.

– Nie chodzi o uczniów. Chodzi o całą resztę. Klasyfikacja, komunikacja i kanalizacja.

– Aliteracja – komentuje Harbinder. – Rzeczywiście musi być źle.

Lubi od czasu do czasu przypomnieć Clare, że nie jest kompletną ignorantką.

– A czytałaś J.D. Monroe? – pyta. – Napisała między innymi *Ty mnie do tego pchnąłeś*.

– Chyba nie. To raczej nie jest coś, co by mi się spodobało.

– To może *Laokoona* Lance’a Fostera?

– O tak, to czytałam. Błyskotliwa książka. Nieco pretensjonalna, ale błyskotliwa.

– O czym jest?

– O człowieku z zespołem zamknięcia, no wiesz, gdy ma się świadomość, ale jest się całkowicie sparaliżowanym. Wie, że ktoś próbuje go zabić, nie ma jednak pojęcia kto. W końcu to rozgryza, ale gdy ten człowiek podejmuje kolejną próbę, nie może go powstrzymać.

– I ginie?

– Zakończenie jest dwuznaczne, ale chyba tak.

– To brzmi śmiesznie.

– Wcale nie jest śmieszne, o nie. A dlaczego pytasz o tę książkę? Ma jakiś związek z Dexem Challonerem?

– Nie wiem – odpowiada Harbinder.

Wciąż myśli o esemesie Natalki.

Spotkaliśmy Lance'a Fostera. On też dostał pocztówkę. Robi się gorąco!

Kiedy Harbinder wreszcie zajeżdża pod dom rodziców, akurat wychodzi stamtąd kobieta w czymś, co przypomina uniform pielęgniarki.

– Czy mogę w czymś pani pomóc? – pyta, słysząc w swoim głosie oficjalny ton.

– O, dobry wieczór. Jestem Vicky. Maria nie mogła dzisiaj przyjść, więc poprosiła mnie, żebym zajrzała do pani mamy.

– Bardzo miło z pani strony.

Maria mogła wcześniej to z nią uzgodnić, myśli Harbinder.

Vicky otwiera pilotem drzwi swojego samochodu.

– Pani mama ma się dobrze, ale za dużo pracuje. Zastałam ją w trakcie odkurzania. Powiedziałam, żeby zostawiła to mnie.

– Dziękuję.

Harbinder jest pewna, że odkurzanie nie należy do obowiązków Vicky. Ani Marii. Przypuszcza, że w najbliższej przyszłości spadnie to na nią, córkę.

W domu matka robi kolację. Ojciec czyta gazetę. Starsky leży u jego stóp jak dywanik.

– Kto stoi za ladą? – pyta Harbinder.

– Kush – odpowiada ojciec. – Co u mojej córeczki?

– Łapanie zabójcy – rzuca Harbinder, chociaż do tego jeszcze daleko.

Prosi matkę, żeby usiadła, i sama bierze się do szykowania kolacji, choć nie idzie jej to tak sprawnie.

– Ja się tym zajmę – mówi Deepak. – Ty idź pod prysznic. Miałaś ciężki dzień.

Deepak uważa, że wzięcie prysznicia wszystko załatwia. Sam bierze go pięć razy dziennie. Harbinder już ma odmówić, choćby po to, żeby wyjść na męczennicę, ale ni stąd, ni zowąd wizja znalezienia się pod strumieniem gorącej, wręcz parującej, wody przemawia jej do wyobraźni.

– Dobrze – odpowiada i idzie do swojego pokoju.

Kiedy ponownie wprowadziła się do rodziców, najlepsze w tym powrocie było to, że zajęła drugą co do wielkości sypialnię, z łazienką obok. Bierze prysznic i owinięta ręcznikiem kładzie się na łóżku, żeby dla relaksu rozegrać kilka partyjek *Panda Pop*. Dopiero wtedy uświadamia sobie, że wciąż ma wyłączony telefon.

Przysłyły trzy wiadomości od Donny z prośbą, żeby oddzwoniła. Gdy tylko słyszy głos szefowej, wie, że sprawa jest poważna.

– Właśnie zadzwonili do mnie z policji w Aberdeen – mówi Donna. – Lance Foster nie żyje. Wygląda na to, że został zabity. Podejrzewają, że ma to związek ze śmiercią Dexa Challonera. W każdym razie musisz tam jechać. Detektyw inspektor prosił konkretnie o ciebie. – Ton jej głosu wyraża uznanie.

Harbinder wylatuje z lotniska w Shoreham o dziesiątej wieczorem. „Do Aberdeen jest wiele lotów – powiedziała jej Donna. – Ze względu na platformy wiertnicze”. Lotnisko w Shoreham, oficjalnie noszące nazwę Portu Lotniczego Brighton City, to ładny budynek w stylu art déco. Patrząc na niego z zewnątrz, trudno się domyślić, że ma coś wspólnego z transportem lotniczym. Tymczasem kobieta z ochrony mówi jej, że przewija się przez niego dużo pasażerów.

– I to nie tylko pracowników platform. Także zatrudnionych w branżach podstawowych, jak lekarze, pielęgniarki, strażacy, policjanci. – Zerka na

legitymację służbową Harbinder, ale jest zbyt dyskretna, żeby o coś zapytać.

Harbinder ze strachem zauważa, że jej samolot ma śmigła, ale lot przebiega sprawnie, bez zakłóceń. Jest w Aberdeen dziesięć minut przed północą. Kiedy wychodzi z terminalu na deszcz, czuje się zagubiona. Donna powiedziała jej, żeby jechała prosto do hotelu – oczywiście Travelodge – i zaczęła pracę dopiero rano, ale jak ma się tam dostać? Nie widzi postojów taksówek, zresztą może w Szkocji nazywają się inaczej. Czy powinna oszczędzać policyjne pieniądze i pojechać autobusem? Ale o tej porze pewnie już nie kursują. Stoi bezradnie, z torbą w ręce.

– Harbinder!

Odwraca się i widzi, że woła ją jakiś mężczyzna z wozu policyjnego. Wygląda dziwnie znajomo. Podchodząc, Harbinder dostrzega więcej. Rude włosy, ciemne oczy, orli nos.

– Jim!

Poznała sierżanta Jima Harrisa w zeszłym roku, kiedy oboje tropili zabójcę. Sądziła jednak, że Jim pracuje w Ullapool.

– Przeniosłem się do Aberdeen – wyjaśnia jej, kiedy odjeżdżają spod lotniska. – Awans. Jestem teraz detektywem inspektorem.

A więc wszystko jasne. To o nim wspomniała Donna.

– Gratulacje – odpowiada Harbinder.

Cieszy się ze względu na niego, ale czuje gorycz. Kiedy ona sama zostanie awansowana? W tym roku zdała egzamin na detektywa inspektora, ale w West Sussex nie ma wakatów. Może powinna się gdzieś przenieść.

– Opowiedz mi o Lansie Fosterze – prosi.

– Lance Foster, pięćdziesiąt pięć lat, znaleziony martwy w swoim pokoju hotelowym. Uznaliśmy to za podejrzanę.

– Kto go znalazł? – pyta Harbinder, chociaż domyśla się odpowiedzi.

– Hm, to bardzo ciekawe. Znalazła go niezwykle dziwna trójka ludzi, którzy twierdzą, że cię znają. Umówili się z Fosterem w barze hotelowym. Ponieważ się nie zjawił, poszli po niego do pokoju.

– Natałka Kolisnyk, Benedict Cole i Edwin Fitzgerald – rzuca Harbinder.

Jim spogląda na nią z ukosa.

– Zgadza się. Powiesz mi, jaka jest w tym twoja rola? Nie wierzyłem własnym uszom, gdy powołali się na ciebie.

Harbinder wzdycha.

– To długa historia.

Opowiada mu o Dexie, Peggy i tajemniczych pocztówkach. O Joan Tate i ukraińskich studentach. O wystraszonej Natalce i odczytanym bariście. Za oknem samochodu migają nieznajome ulice, w świetle reflektorów widać zacinający deszcz. Harbinder kończy relację, gdy Jim zajeżdża pod Travelodge.

– Jasna cholera – komentuje. – To jak jeden z odcinków *Taggart*.

Czy to ma być żart? – zastanawia się Harbinder. Nie może się zorientować, jest zbyt zmęczona.

– Zorganizowałem w hotelu Majestic centrum operacyjne – mówi Jim. – Zobaczymy się tam jutro o dziewiątej.

– Dobra. Dzięki za podwiezienie.

Harbinder melduje się w hotelu, jedzie windą na trzecie piętro i odnajduje swój pokój. Kładzie się na łóżku i niemal od razu zasypia.

Rozdział 27

Harbinder: bezpieczne miejsce

Harbinder pochłania obfite szkockie śniadanie, kiedy do jadalni wchodzi Benedict.

– Dzień dobry, Benedict!

– Harbinder! To znaczy detektyw sierżant Kaur.

Wydaje się autentycznie zdziwiony jej widokiem. Zdejmuje okulary i je przeciera, jakby to za ich sprawą tak nagle się przed nim pojawiła.

– Słyszałam, że mieliście ekscytujące przeżycia – rzuca Harbinder.

– Nie wiem, czy nazwałbym je ekscytującymi.

Benedict jakby odzyskał panowanie nad sobą i idzie do bufetu, żeby nałożyć sobie na talerz śniadanie, po czym wraca do stolika.

– Skąd się tu wzięłaś? – pyta. Pewnie uświadomił sobie, że to nie zabrzmiało zbyt uprzejmie, bo dodaje: – Czy to detektyw inspektor Harris...?

– Tak, wezwał mnie Jim – potwierdza Harbinder. – Współpracowaliśmy przy innym dochodzeniu.

– Odniosłem wrażenie, że twoje nazwisko coś mu mówi.

– Wspomniałeś przy nim, że ta sprawa może mieć związek ze śmiercią Dexa Challonera. Jim skontaktował się z moją szefową i zapytał, czy mogłabym pomóc. Przyleciałam wczoraj w nocy. Z Shoreham.

– Z tego małego lotniska?

– Tak. Mój samolot miał jeszcze śmigła. To było przerażające.

Na chwilę zapada cisza. Benedict wygląda jakoś inaczej, myśli Harbinder, jest jakby pewniejszy siebie, mimo tego, co zdarzyło się w ciągu ostatniej doby. Ciekawe, czy pojawi się Natalka. Czy będzie ożywiona w roli detektywa, czy też odegra poruszenie z powodu śmierci Lance'a, żeby skupić na sobie uwagę?

Benedict odzywa się pierwszy:

– Czy Harris... wielkie nieba, trudno myśleć o nim jako o Jimie... uważa, że Lance'a zamordowano?

– Uznał jego śmierć za podejrzaną. – Tyle może Benedictowi zdradzić. – Rozumiem, że to ty znalazłeś ciało.

– Tak. – Benedict lekko się wzdryga. – Mieliśmy spotkać się z nim w barze. Ponieważ się nie zjawił, poszliśmy do jego pokoju. Siedział na krześle... martwy.

– Wyglądał na spokojnego?

– Nie wiem... – Benedict znowu przeciera okulary. – Był bardzo spocony. Zwróciłem na to uwagę. To dziwne, bo w pokoju nie było gorąco.

– Tu jest o wiele chłodniej niż w Sussex. – Harbinder przypomina sobie, że wczoraj było jej zimno, mimo że miała na sobie puchową kurtkę. – Dlaczego umówiliście się z Lance'em?

– Spotkaliśmy go dzień wcześniej. Natalka chyba ci o tym pisała. Przyszedł na dyskusję, w której uczestniczyła Julie... J.D. Monroe... i publicznie zadał jej pytanie o Peggy. Później wybrał się z nami na drinka

i okazało się, że on też dostał taką pocztówkę. Wczoraj przed południem poszliśmy na panel, w którym występował.

– Panel?

– Dyskusję z udziałem dwóch innych pisarzy. Lance na dobrą sprawę nigdy nie powiedział, jak poznał Peggy, ale obiecał, że jeśli spotkamy się w barze o siódmej, opowie nam całą historię.

– Ale się nie pokazał?

– Nie. Przeszkodziła mu śmierć.

Harbinder podejrzewa, że przygotował sobie ten tekst. Nie bardzo wie, jak postępować z tym nowym, pewnym siebie Benedictem.

– Rozumiem, że ty też widziałeś Nigela Smitha?

– Tak. – Benedict rozgląda się ukradkiem. – Zatrzymał się właśnie tutaj. To znaczy, był tu jeszcze wczoraj. I zgadnij, z kim jadł lunch.

Ale właściwie zdradził już puentę.

– Z Lance'em Fosterem.

– Tak. Czy to nie dziwne?

– Z całą pewnością.

Harbinder przypomina sobie pogardliwe uwagi Nigela o powieści kryminalnej jako gatunku literackim. Co w takim razie robi na zjeździe autorów kryminałów? Czuje, że Benedict ma jakąś teorię.

I rzeczywiście.

– Zastanawiałem się nad tym – zaczyna Benedict – i doszedłem do wniosku, że są tylko trzy sensowne wyjaśnienia...

Jednak Harbinder nie ma szansy ich poznać, bo w tej chwili do jadalni wchodzi Natalka i Edwin. Natalka jest w stroju do biegania, legginsach i bluzie z kapturem, a Edwin niesie gazetę.

Oboje wyrażają zdziwienie/zaskoczenie/radość na jej widok. Ona krótko opowiada im o Jimie/lotniku/śmigłach.

– A więc Harris sądzi, że Lance został zamordowany – kwituje Natałka, siadając przy stole i stawiając na nim talerz jajek na bekonie.

– Nie wiem, co sądzi – odpowiada Harbinder – ale muszę iść na odprawę do hotelu Majestic. – Wstaje.

– Zobaczymy się później? – pyta Edwin.

Na nim również te wydarzenia nie odbiły się niekorzystnie. Jest jak zwykle elegancko ubrany, do granatowego rozpinanego swetra ma fular w kropki. Z wielką starannością smaruje grzanekę marmoladą.

– Detektyw inspektor na pewno zechce jeszcze raz z wami porozmawiać – mówi Harbinder.

– Powiedział, żebyśmy nie wyjeżdżali z miasta – rzuca Benedict.

– Więc nie wyjeżdżajcie.

Rankiem Aberdeen wygląda inaczej, szare budynki lśnią po nocnym deszczu.

– Nazywają je granitowym miastem – powiedziała recepcjonistka w Travelodge – ale dla mnie jest srebrne.

Harbinder z przyjemnością patrzy dookoła – podoba jej się tutaj. Zabudowa sprawia wrażenie solidnej i trwałej, wszędzie jakieś wieże i iglice. Miasto jak z powieści.

Majestic to duży ponury hotel, wzniesiony z ciemnego kamienia. Przed wejściem stoją wozy policyjne i kiedy Harbinder przechodzi przez obrotowe drzwi, pierwszą osobą, którą widzi, jest Miles Taylor, wydawca Dexa. Rozmawia przez telefon i z początku jej nie poznaje. Mnóstwo ludzi w holu chce się wymeldować, wszędzie stoją walizki i torby z książkami.

Przypięta do sztalugi informacja głosi, że festiwal powieści kryminalnej został zakończony z powodu *nieprzewidzianych, tragicznych okoliczności*. U stóp schodów pełnią straż dwaj policjanci.

Miles unosi głowę i uśmiecha się półgębkiem, nie bardzo wiedząc, skąd ją zna. Potem dostrzega policyjną plaketkę, którą Harbinder ma zawieszoną na szyi.

– My się znamy, prawda? – pyta. – Przyjechała pani spotkać się ze mną w sprawie Dexa.

– Zgadza się. Detektyw sierżant Kaur.

– Czy Lance’a zamordowano? Tak wszyscy mówią.

– Nie mogę odpowiedzieć – oznajmia Harbinder.

Z plecakiem i słuchawkami Miles wygląda młodziej. Na nogach ma czarno-białe vansy, jak student. Jednak w tym otoczeniu jego osoba wydaje się budzić respekt. Harbinder zauważa, że ludzie patrzą na nich, wyraźnie zastanawiając się, z kim on rozmawia.

– Policja chce mnie przesłuchać – mówi Miles. – Nie wiem dlaczego. Nie jestem wydawcą Lance’a. Zresztą od lat niczego nie opublikował.

– Ale wydaje pan Dexa.

– Czy ta historia ma związek z jego śmiercią?

– I na to nie mogę odpowiedzieć. Nie ja prowadzę śledztwo w tej sprawie.

– To okropne, co się stało – rzuca Miles niemal do siebie. – Jelli będzie wstrząśnięta. Jelli Walker-Thompson. Była agentką Lance’a.

Jego i Dexa, myśli Harbinder.

– Przepraszam – mówi. – Muszę już iść.

Jim zorganizował centrum operacyjne na pierwszym piętrze. Winda prezentuje się okazale, ale jest stara, z tych otwartych; kunsztowne detale z brązu, liny i bloki wyglądają, jakby pochodziły z czasów królowej Wiktorii. Ale winda najwyraźniej nie jeździ. Harbinder idzie więc schodami, pokrytymi ciemnoczerwoną wykładziną w małe złote poroża. Na ścianach jest tapeta z tłoczonym wzorem i wydaje się, jakby motywem przewodnim dekoracji była śmierć: znowu poroże, wypchane zwierzęta, skrzyżowane miecze, sceny myśliwskie. Od czasu do czasu da się zauważyć jakieś ironiczne akcenty: z wnęki wyziera fioletowy aksamitny jeleń, na obrazie lisy gonią człowieka. Harbinder idzie szybkim krokiem, spoglądając na numery pokoi. Mija drzwi z napisem *Sala modlitw*, ale nie może się powstrzymać, by nie zajrzeć do środka. Pomieszczenie jest zupełnie puste, jeśli nie liczyć stolika, na którym leżą Biblia i Koran. Czym prędzej zamyka drzwi i pokonawszy kilka zakrętów, odnajduje apartament. Nazywa się Darnley[17], co wydaje się Harbinder złowieszcze, choć nie wie dlaczego.

– Znalazłaś nas – mówi na jej widok Jim. – To królicza nora.

Szybko dokonuje prezentacji.

– Detektyw sierżant Sheena Macready, moja zastępczyni. Tom McGrath, technik kryminalistyki. Doug Waterford, patolog. Selma Francis, dane policyjne.

Jest jeszcze Brodie albo Brady, Harbinder nie jest pewna imienia. To dziwne widzieć ekipę dochodzeniową w sypialni ozdobionej porożem, z wielkim zdjęciem Forth Bridge nad łóżkiem. Drzwi do łazienki są otwarte i widać wolno stojącą wannę, samotną na podwyższeniu.

– A to detektyw sierżant Kaur – oznajmia na koniec Jim. – Z dochodzeńki w West Sussex. Zaprosiłem ją tutaj, bo nasza sprawa może być powiązana z zabójstwem innego pisarza, Dexa Challonera. Czy

wszyscy o tym słyszeli? Challoner był znanym autorem kryminałów, a w zeszły piątek został zastrzelony w swoim domu w Shoreham. Pojedyncza kula w głowę, żadnych śladów włamania.

– Czyli uznaliście śmierć Lance’a za zabójstwo? – Harbinder domyśliła się tego, gdy zobaczyła wozy policyjne przed hotelem, ale chce poznać dowody.

– Nie mogę przeprowadzić sekcji, dopóki ciało nie zostanie oficjalnie zidentyfikowane – informuje Doug Waterford.

– Dziś do Aberdeen ma przyjechać była żona Fostera – dodaje Jim.

– Ale... – Doug należy do tych Szkotów, którzy przeciągają każde słowo w nieskończoność – wstępne oględziny przyniosły kilka informacji, które mogą być interesujące...

„Interesujące” – to bardzo w stylu patologa.

– A konkretnie ślady po ukłuciu igłą na ramieniu zmarłego. – Jim chyba chce przyspieszyć sprawę. – To, w połączeniu z niezwykle dużą ilością potu na skórze, sugeruje śmierć wskutek przedawkowania insuliny. Benedict Cole, który znalazł ciało, zeznał, że źrenice denata były rozszerzone, a to kolejna oznaka. Okazał się zaskakująco dobrym świadkiem.

Harbinder mimo woli czuje dumę z Benedicta. Jest spostrzegawczy, zauważyła to już wcześniej. Byłby z niego niezły detektyw.

– Zupełnie inna metoda działania niż w przypadku Dexa – wtrąca Brodie albo Brady.

Rzeczywiście, myśli Harbinder, ale może właśnie to było przyczyną śmierci Peggy. Nie przeprowadzono sekcji zwłok, więc nie znaleziono śladów wkłucia.

– Zatrucie insuliną trudno wykryć po śmierci – dodaje Doug – ale we krwi zmarłego stwierdzono nienaturalnie niski poziom glukozy.

– A więc ktoś wstrzyknął Lance’owi Fosterowi insulinę – podsumowuje Jim. – To coś zupełnie innego niż strzał w głowę.

– Ale te śmierci łączy kilka faktów – zauważa Harbinder. – Obaj byli pisarzami i obaj znali niejaką Peggy Smith, która zmarła kilka tygodni temu. Wiemy, że Dex, Lance i jeszcze jedna pisarka, J.D. Monroe, dostali kartki z wiadomością: *Dopadniemy cię*. No i wszyscy mają tego samego wydawcę, Seventh Seal.

– Natalka Kolisnyk wspomniała o Peggy Smith – potwierdza Jim. – I mówiła, że ktoś zagroził im bronią w jej mieszkaniu. Wydało mi się to mocno naciągane.

– Peggy była starszą panią, mieszkała w Shoreham-by-Sea, w domu dla osób wymagających opieki – wyjaśnia Harbinder. – Natalka była jej opiekunką. Peggy doradzała autorom kryminałów. Najwyraźniej umiała wymyślać sposoby zabijania. Dex Challoner nazywał ją konsultantką do spraw zabójstw.

Ktoś parska śmiechem, ale zaraz usiłuje zamaskować to kaszlnięciem.

– Kiedy Natalka i Benedict sortowali jej książki – ciągnie Harbinder – do mieszkania wpadł człowiek z pistoletem i ukradł jedną z nich. Jest na nagraniu monitoringu, ale nie udało nam się go zidentyfikować.

– Ukradł książkę, mówisz? – W głosie Jima brzmi zdumienie.

Najpewniej niewiele czyta, myśli Harbinder.

– Tak, niewydawany już kryminał Sheili Atkins, *Poszcząc, podziękuj Bogu*. Nie wiemy, jakie to ma znaczenie, jednak faktem jest, że syn Peggy, Nigel, był wczoraj widziany w Aberdeen. Zatrzymał się w Travelodge, ale gdy sprawdziłam to dziś rano, okazało się, że nie mają w rejestrze żadnego Nigela Smitha.

– Jesteś pewna, że to był on? – pyta Jim.

– Ja nie, ale Natalka i Benedict twierdzą, że go rozpoznali.

– Znowu ci dwoje – rzuca Jim. – O co im chodzi? W co grają? I jeszcze ten trzeci, Edwin Fitzgerald. Ale polubiłem go. Miły, kulturalny starszy gość.

– Przyjechali na festiwal powieści kryminalnej – odpowiada Harbinder. – Wyobrażają sobie, że są detektywami amatorami. Poznali się z Lance'em Fosterem i J.D. Monroe.

– Przesłuchamy ją za kilka minut – mówi Jim. – Może do nas dołączysz, Harbinder? Tom, coś ciekawego na miejscu zbrodni?

Technik kryminalistyki odzywa się spomiędzy stosu poduszek z motywami myśliwskimi, które leżą na łóżku.

– Nie mamy jeszcze wszystkich wyników analiz, ale odkryliśmy ślad na framudze drzwi, jakby pozostawiony przez dłoń w rękawiczce. Nie sądzę, żeby w tym pokoju dało się znaleźć coś więcej.

– Podobnie było z Dexem Challonerem – komentuje Harbinder. – Zabójca strzelił z progu francuskiego okna. W pokoju żadnych śladów. Mnóstwo kamer przemysłowych wokoło, ale ani jedna nie działała.

– Tak samo tutaj – wtrąca Sheena. – Jest monitoring w holu, w ciągu dnia przez hotel przewija się jednak tyle ludzi, że trudno będzie dostrzec kogoś, kto nie powinien tam być. Z tego, co mówi recepcjonista, jedynymi osobami, które przebywały na trzecim piętrze w czasie, gdy zginął Lance, były sprzątaczkі. Przy tyłu gościach pracowały do wieczora.

– Czyli zabójca po prostu wjechał windą na trzecie piętro, wstrzyknął Lance'owi insulinę i wyszedł – kwituje Brodie albo Brady.

– Przypuszczamy, że skorzystał ze schodów – koryguje Tom. – Są tam ślady, które mogą świadczyć, że ktoś pokonał je w pośpiechu. Wezwałem eksperta z zakresu podiatrii kryminalistycznej.

O takiej specjalności Harbinder jeszcze nie słyszała. Będzie musiała wspomnieć o niej przy Neilu.

– Jeśli zabójca nie wszedł do pokoju, to czy Lance otworzył mu drzwi i wrócił na fotel? – pyta. – To wydaje się dziwne.

– Może facet wszedł, porozmawiał z Lance’em i zabił go przed wyjściem – mówi Jim. – Ale wtedy zostawiłby jakieś ślady. Brawo, Harbinder.

Harbinder stara się ukryć satysfakcję. Jim to typ szefa, którego chce się zadowolić. Ale nie jest jej szefem, powinna o tym pamiętać.

– Sądzymy, że Dex Challoner znał swojego zabójcę – podejmuje – a w każdym razie nie czuł się zagrożony, bo siedział na kanapie, kiedy do niego strzelono. A przecież można sądzić, że gdyby w środku nocy ktoś niespodziewanie zjawił się u ciebie, to przynajmniej byś wstał.

Rozlega się ciche pukanie do drzwi. Sheena idzie otworzyć.

– Przyszła Julie Monroe – oznajmia.

Rozmawiają z Julie w jednym z przyległych pokoiów: małym salonie z kanapą, służącą pewnie za rozkładane łóżko, dwoma fotelami i wielkim telewizorem. Sheena parzy herbatę i kawę z torebek z zestawu powitalnego.

– Nie ma żadnych ciastek? – pyta Jim. – Uwielbiam herbatniki.

– Jesteś na diecie – zwraca mu uwagę Sheena, co świadczy o pewnej zażyłości.

Harbinder przypomina sobie, że Jim ma żonę, która jednak nie pracuje w policji.

Julie Monroe jest blondynką, i to dość atrakcyjną, ma długie nogi, co jeszcze podkreślają obcisłe dżinsy. Patrząc na nią, Harbinder, sama niewysoka – jej bracia na jej widok często śpiewają: „Hej ho! Hej ho!” – nie może powstrzymać zazdrości.

Sheena zadaje kilka pytań, które pozwalają ustalić, że Julie ma trzydzieści pięć lat, jest niezamężna i mieszka w Hove. Napisała cztery opublikowane książki i „kilka nieopublikowanych”. Jest w moim wieku, myśli Harbinder, ale wygląda na to, że osiągnęła znacznie więcej – przynajmniej mieszka sama, a nie u rodziców.

Jim pyta ją o kartkę z pogrózkami.

– Wiadomość była wydrukowana – mówi Julie. – Jej treść brzmiała: *Dopadniemy cię*. Początkowo nie przywiązywałam do niej wagi, ale później, po śmierci Dexa...

– Czy dobrze znała pani Dexa Challonera?

– Nie za bardzo. Widywałam go na różnych spotkaniach literackich, gdzie stale bywają ci sami ludzie. Zawsze sympatyczny. Wcale nie zarozumiały, chociaż prawie za każdym razem był najbardziej znanym uczestnikiem. Zwierzyłam mu się, że czasami mam kłopoty z wymyśleniem zbrodni, a wtedy on powiedział mi o Peggy.

– I ta Peggy pomagała pani wymyślać morderstwa? – pyta Jim.

Szkotom świetnie wychodzi niedowierzanie, myśli Harbinder. Jim kładzie szczególnie ironiczny nacisk na słowo „morderstwa”. Morderstwa.

– Wiem, że to może wydawać się dziwne – przyznaje Julie – ale Peggy miała niezwykle analityczny umysł. Dużo czytała i umiała wymyślać intrygi powieściowe. Ja lepiej radzę sobie z kreowaniem postaci i opisem relacji międzyludzkich. Poza tym przywiązuję się do swoich bohaterów i nie chcę ich zabijać. Peggy była ode mnie twardsza.

– A czy znała pani Lance’a Fostera? – pyta dalej Jim.

– Słabo – odpowiada Julie. – Mieliśmy tę samą agentkę literacką, więc widywałam go na przyjęciach bożonarodzeniowych i tym podobnych imprezach u Jelli. Ale nie rozmawialiśmy ze sobą. Nie miałam pojęcia, że

zna Peggy, dopóki nie spytał mnie o nią podczas panelu. Dziękował jej w swojej książce, ale po łacinie. Nie chodziłam do tego rodzaju szkoły.

To też łączy ją z Harbinder.

– Co pani zrobiła po otrzymaniu tej kartki z pogróżką?

– Początkowo nie zdawałam sobie sprawy, że to coś poważnego, ale potem skontaktowałam się ze mną detektyw Kaur. – Julie uśmiecha się do Harbinder. – Dowiedziałam się od niej, że Dex też dostał taką wiadomość. Byłam naprawdę poruszona. Detektyw Kaur chciała się ze mną spotkać, ale następnego dnia miałam jechać do Aberdeen. Więc przysłała po kartkę miejscowego policjanta. Prawdę mówiąc, nie wydawał się zbyt zainteresowany tą sprawą.

Jim prosi ją o szczegóły i wszystko notuje.

– Czy spotkała się pani z Lance'em w Aberdeen?

– Tak. Poszliśmy na drinka z kilkoma osobami, które poznałam po panelu z moim udziałem. Z Benedictem i Edwinem.

– Benedictem Cole'em i Edwinem Fitzgeraldem?

– Zgadza się. Lance zjawił się później z niejaką Natalie... nie, Natałką. Rozmawialiśmy między innymi o Peggy. Następnie poszłam na kolację z Edwinem. Wczoraj wybrałam się na panel, w którym brał udział Lance, a potem już nie rozmawialiśmy ze sobą.

– Z kim pani spędziła zeszły wieczór? – rzuca Sheena zdawkowym tonem, by nie sprawiało to wrażenia, że pyta o alibi.

– Tak się złożyło, że jadłam kolację z dwiema innymi autorkami kryminałów, Susan Blake i Helen Cray. Wróciłam do hotelu około północy. Zobaczyłam na zewnątrz policję i domyśliłam się, że coś się stało, tylko nie wiedziałam co. Dowiedziałam się dziś rano. – Wsuwa palce we włosy i po raz pierwszy wygląda na przestraszoną. – Lance też dostał taką pocztówkę, prawda? Podobnie jak Dex? Czy grozi mi niebezpieczeństwo?

– Raczej nie ma powodu do obaw – odpowiada Jim – ale lepiej nie ryzykować. Umieszczę panią na noc w bezpiecznym miejscu. Znajdą się tam również pani znajomi i detektyw sierżant Kaur.

A to coś nowego, myśli Harbinder. Zaczyna sądzić, że awans jednak uderzył Jimowi do głowy.

Następny jest Miles Taylor. Wydaje się zestresowany, siada na kanapie tak, jakby nie był pewny, czy się pod nim nie zarwie. Odgarnia ręką włosy i zakłada nogę na nogę, podrygując stopą w vansie. Kiedy Jim zadaje pytania wstępne, Harbinder zauważa, że Miles zmienia ton głosu. Pewnie robi to nieświadomie, ale na pewno cholernie drażni tym Jima.

– Czy znał pan Lance’a Fostera?

– Bardzo słabo. Naprawdę nie wiem, dlaczego mnie tu wezwaliście.

– Rozmawialiśmy z agentką Lance’a. – Jim zagląda do swoich notatek. – Angelicą Walker-Thompson. I od niej wiemy, że był pan jego wydawcą.

– Tylko formalnie. Lance napisał zaledwie jedną książkę i przejąłem go jako autora, kiedy jego wydawcę wchłonęło Seventh Seal. Przypuszczam, że podano Jelli... Angelice... moje nazwisko jako osoby do ewentualnego kontaktu.

– A więc nigdy nie pracował pan z Lance’em?

– Nie. – Miles się waha, unosi rękę ku włosom, ale zaraz ją opuszcza. – Chociaż dziwna sprawa, Lance odezwał się do mnie kilka miesięcy temu. Powiedział, że pisze coś nowego. Był tym bardzo podekscytowany.

– Czy wie pan coś więcej o Lansie? – pyta Sheena. – Był rozwiedziony. Czy któreś z jego rodziców jeszcze żyje? Miał rodzeństwo?

– Przykro mi. Nie wiem. Jelli jest lepiej zorientowana w tych sprawach.

Ale policja rozmawiała już z Walker-Thompson, która, jak się okazało, nie przyjechała na festiwal powieści kryminalnej do Aberdeen.

– A Dex Challoner? – kontynuuje Jim. – Byliście w bliskich relacjach?

Miles zerka na Harbinder.

– Jak już wie detektyw Kaur, wydaliśmy jego trzy ostatnie książki.

– Czy Dex znał Lance’a Fosterera?

– Nigdy o nim nie wspominał, ale pisarze znają się wzajemnie. Zwłaszcza autorzy kryminałów. To mały świat. I towarzyski.

Przypominając sobie ludzi kręcących się na dole, Harbinder jest gotowa mu uwierzyć.

– Czy widział się pan z Lance’em Fosterem wczoraj wieczorem? – pyta Jim.

– Nie. Poszedłem na kolację z kilkoma kolegami i dwójką innych pisarzy.

– O której godzinie wrócił pan do hotelu?

– Chyba około północy.

Jim pyta o nazwiska tych osób, a Sheena je zapisuje. Harbinder robiłaby to sama, nawet jako detektyw inspektor.

– Lance Foster dostał pocztówkę z pogrózkami – podejmuje Jim. – Wiadomo panu coś na ten temat?

– Nie – odpowiada Miles.

Zanim ponownie zdążyłby zaznaczyć, że właściwie nie znał Lance’a, Harbinder rzuca:

– Tekst brzmi: *Dopadniemy cię*. Podobną kartkę znaleźliśmy w mieszkaniu Peggy Smith, w jednym z kryminałów napisanych przez Dexa. Czy Dex wspomniał kiedykolwiek, że taką dostał?

– *Dopadniemy cię* – powtarza Miles. – Coś mi to mówi. Czy to cytat? Dex nigdy nie mówił o żadnej pocztówce z pogrózkami.

– J.D. Monroe również taką otrzymała.

– Julie? – Teraz Miles sprawia wrażenie przejętego. – Kto miałby grozić Julie?

Nie wydawał się zdziwiony tym, że ktoś miałby grozić Lance'owi, myśli Harbinder. Albo Dexowi.

O pierwszej robią przerwę na lunch. Jim zamawia dla całego zespołu kanapki, ale Harbinder postanawia zejść do hotelowej restauracji. Majestic oferuje zimny posiłek dla tych gości, którzy jeszcze zostali, więc być może zjawią się Natalka i spółka. Wielka jadalnia jest jednak pusta, tylko Julie Monroe siedzi przy stoliku pod przeszklonym dachem i zawzięcie przebiera palcami po klawiaturze laptopa. Harbinder nie wie, czy wypada jej przeszkodzić, ale Julie unosi wzrok i uśmiecha się do niej.

– Proszę się do mnie przysiąc. Nieswojo być tu samej.

– Nie chcę przeszkadzać pani w pracy. – Harbinder trudno uznać pisanie książek za pracę, ale chce być uprzejma.

– To dla mnie sposób ucieczki. – Julie zamyka laptopa. – Mogę na chwilę przenieść się do innego świata. Oczywiście pomaga to, że akcja moich książek rozgrywa się na słonecznych plażach w pięknych rejonach świata. Pewnie byłoby inaczej, gdybym opisywała ponure ulice Aberdeen.

– Jest pani w stanie pisać tutaj, w środku restauracji?

– W tym tłumie, chce pani powiedzieć? – Julie ogarnia wzrokiem puste stoliki. Jest ich chyba z pięćdziesiąt. – Cóż, tak. Mogę pracować wszędzie. W kawiarni, w autobusie, na plaży. Lubię mieć wokół siebie ludzi, słyszeć gwar rozmów. Pewnie dlatego, że mieszkam sama. Uciekam od ciszy.

– Ja mieszkam z rodzicami – wyznaje Harbinder. – W domu jest zawsze pełno ludzi. Bracia z dziećmi, znajomi rodziców, ich głupi pies. Cisza to dla mnie coś cudownego.

– A mnie pani dom wydaje się cudowny – mówi Julie. – Jestem jedynaczką, a moi rodzice nie żyją. Uwielbiam przebywać wśród ludzi.

Jak to się stało, że tak szybko przeszły na ten poziom, zastanawia się Harbinder. To, że mieszka z rodzicami, wyjawia zwykle dopiero po kilku tygodniach znajomości.

– Wie pani coś o tym „bezpiecznym miejscu”? – pyta Julie.

– Nie. Ale Jim... detektyw Harris... powiedział, że to niedaleko stąd, gdzieś na wybrzeżu.

– Dla pani to pewnie nic szczególnego – mówi Julie – ale ja jestem przerażona.

Wcale nie wygląda na przerażoną, myśli Harbinder, mimo że jest jedną z trzech osób, którym wysłano groźby, a dwie z nich już nie żyją. Ale Harbinder lubi wyobrażać sobie siebie jako zaprawioną w bojach weterankę.

– Mam za sobą śledztwa w sprawach kilku zabójstw – przyznaje. – Między innymi tu, w Szkocji. Stąd znam detektywa Harrisa.

Na szczęście – bo nie powinna mówić nic więcej – z holu dobiegają głosy i do restauracji wchodzi Natalka, Benedict i Edwin w towarzystwie dwóch umundurowanych policjantów.

– Edwin! – Julie macha ręką. – Natalka! Benedict!

Harbinder jest zdziwiona, że tak szybko się zaprzyjaźnili. Potem przypomina sobie tamto selfie. Julie to najwyraźniej typ osoby, która łatwo nawiązuje przyjaźnie. Pewnie równie łatwo zapomina ludzi.

– Jakie to ekscytujące. – Edwin podchodzi i całuje Julie w oba policzki. – Eskortowała nas policja. Mimo że to zaledwie pięć minut drogi.

– Umieszczą nas w bezpiecznym miejscu – zwraca się Natałka do Harbinder. – Wiesz o tym?

– Właśnie się dowiedziałam.

– Wybrzeże Aberdeen jest piękne – rzuca Edwin, jakby to miał być krótki wypad za miasto.

– Nie mogą nas do niczego zmusić – mówi Natałka. – Mam samochód. A gdybym tak wróciła do domu?

Tylko ona jest naprawdę przejęta, myśli Harbinder. Ciekawe, z jakiego powodu. W końcu ta wyprawa to jej pomysł. Dlaczego teraz chce się wycofać? Po śmierci Dexa nie była tak zdenerwowana. Może naprawdę polubiła Lance’a Fostera.

– Teraz tkwimy w tym wszyscy – zauważa Edwin.

I ta myśl wyraźnie go ekscytuje.

Lunch złożony z mięsa na zimno i sałatki jest nieapetyczny. Harbinder przypuszcza, że większość pracowników cateringu wróciła do domu. Julie to wegetarianka i wreszcie ktoś przynosi jej pomarszczonego pieczonego ziemniaka. W sposób nieunikniony rozmowa skupia się na sprawie. Harbinder jest zmuszona skrócić zawodowy dystans. W końcu chce się dowiedzieć, co odkryli. Nie ma też powodu, żeby wykluczyć Julie z kręgu wtajemniczonych. A ona sprawia wrażenie żywo zainteresowanej nowymi informacjami.

– Edwin – zaczyna Harbinder – widziałeś Nigela Smitha w Travelodge, prawda? A nie ma żadnego śladu, że się tu zatrzymał.

– Tak – potwierdza Edwin. – To na pewno był on.

– A ja widziałem go wczoraj – włącza się Benedict. – Jadł lunch z Lance’em. Powiedziałem o tym Harrisowi.

– Może Nigel ma romans – odzywa się Natałka, lekko się rozpogadzając. – Mówiłam to już wcześniej.

Czy to może być wytłumaczenie? – zastanawia się Harbinder. Nigel wygląda jej na kogoś, kto może zdradzać żonę, nawet taką, która jest dla niego zbyt atrakcyjna.

– Poszperałem tu i tam – mówi Benedict – i odkryłem, że Nigel i Lance chodzili do tej samej szkoły.

Harbinder miała rację: byłby z niego dobry detektyw.

– Niemożliwe – zaprzecza Natałka. – Nigel jest o wiele starszy.

– Ma pięćdziesiąt pięć lat, tyle samo, ile miał Lance – odpowiada Benedict. – I obaj uczyli się w Denham College w Tunbridge Wells. To prywatna szkoła. Czesne: dziesięć tysięcy funtów za semestr. Fotografia Lance’a widnieje na stronie z listą absolwentów, a Nigel jest na zdjęciu z jednego z ich zjazdów.

– Dziesięć tysięcy za semestr – powtarza Natałka. – Dwieście dziesięć tysięcy funtów za siedem lat.

Studiowała matematykę, przypomina sobie Harbinder.

– Może po prostu umówili się na spotkanie po latach? – mówi z namysłem. – Ale dlaczego w tajemnicy? Widziałam się z Nigelem w wtorek przed południem i ani słowem nie wspomniał, że wybiera się do Aberdeen.

– Nadal uważam, że ma romans – oznajmia Natałka. – W takiej sytuacji mężczyzna melduje się w hotelu pod fałszywym nazwiskiem.

– Nie wyobrażam sobie, żeby jakaś kobieta mogła zawiesić oko na Nigelu – wtrąca Harbinder.

– Może miał romans z Lance’em – podsuwa Julie.

– To właśnie powiedziałam – rzuca Natałka.

– Gej by się takim facetem nie zainteresował – stanowczo orzeka Edwin.

– Pozostaje kwestia tej ich znajomości szkolnej. – Benedict najwyraźniej nie chce porzucić swojego tropu.

– Tak – przyznaje Harbinder. – Powiem o tym ekipie śledczej. Podejrzane jest także to, że Nigel zameldował się pod fałszywym nazwiskiem. Poza tym należał w szkole do CCF. Na pewno umie posługiwać się bronią palną.

– Nie wydaje mi się, żeby pozwalano im choćby zbliżyć się do niej – oponuje Benedict. – Mój brat Hugo też był w CCF. Zajmowali się jedynie obrzucaniem miejscowej podstawówki świecami dymnymi.

Po lunchu detektywi amatorzy sadowią się w holu i rozważają motywy i środki. Siedzący przy innym stoliku policjanci obserwują ich ponuro. Harbinder już ma iść na górę, kiedy dzwoni jej telefon. To Neil, więc znajduje ustronne miejsce, za palmami w donicach, i odbiera.

– Jak tam w pięknej Szkocji? – słyszy jego głos.

– Zimno.

– Pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć... – zaczyna Neil. – Tak jak sugerowałam, sprawdziliśmy rachunek bankowy Peggy. I wiesz, co się okazało?

– Co? – Harbinder nie wie, dlaczego miałyby go chwalić za postępowanie zgodne ze zwyczajowymi procedurami dochodzeniówki.

– Ktoś wypłaca z niego pieniądze, co tydzień niewielką sumę, ale uzbierało się tego już całkiem dużo.

– Nigel? Pamiętasz, co powiedziała Joan: że zabierał Peggy całą forszę.

– Ale po co by mu były te pieniądze? Widziałaś jego dom.

Żeby nie zaczął znowu rozplýwać się nad tą idealną angielską wioską, Harbinder zmienia temat.

– Wszystko wskazuje na to, że wczoraj Nigel był tutaj, w Aberdeen. Zatrzymał się w Travelodge, ale nie ma go w rejestrze gości. I chodził do szkoły z Lance'em Fosterem.

– Powinienem złożyć mu kolejną wizytę, jak sądzisz?

– Dobrze by było. Edwin jest pewny, że widział go w Aberdeen.

– Edwin zbliża się już do setki.

– Ma osiemdziesiątkę i z jego głową wszystko w porządku. Jedź i spotkaj się z Nigelem.

Rozłącza się, zanim Neil jej przypomni, że nie jest jego szefową. I wtedy przychodzi esemes. Od Natalki.

Możemy porozmawiać? W cztery oczy.

[17] Henryk Stuart, lord Darnley (1545–1567) – mąż Marii Stuart, ojciec króla Jakuba I. Został zamordowany.

Rozdział 28

Edwin: wiatr w drzwi

Edwin ma poczucie winy, że tak dobrze się bawi. Bez wątpienia jest mu bardzo przykro, że zginął człowiek. Lance był jeszcze młody – przynajmniej według jego kryteriów – i całkiem miły. Z całą pewnością nie zasłużył na to, żeby zostać zamordowany w depresyjnym pokoju hotelowym. Oczywiście jeśli rzeczywiście go zamordowano, ale sądząc z tego, jak policja się z nimi cacka, tak pewnie było. Jednak przerażające odkrycie, udział w śledztwie, a teraz jeszcze perspektywa przeniesienia w bezpieczne miejsce nie wiadomo gdzie – to wszystko podziałało na niego wręcz odmładzająco. Czuje się w pełni sił. Podczas lunchu dojada bułkę po Natalce i wypija dwie filiżanki kawy. Wręcz rozpiera go energia.

Natalka natomiast sprawia wrażenie markotnej. Rzecz jasna odkrycie zwłok przygnębiłoby każdego. Raz czy dwa Edwin zauważa, że Benedict spogląda na Natalkę z niepokojem. Muszą obaj się nią opiekować, myśli, czując przyjemną odpowiedzialność. Jest taka młoda.

Benedict z kolei wydaje się zaintrygowany całą tą sprawą. Uwielbia kryminały, to pewne – był zachwycony tamtego dnia w Miners' Arms, gdy trafił w telewizji na popołudniową emisję *Napisała: Morderstwo* – teraz

jednak Edwin dostrzega w jego oczach jeszcze to, co sierżant Cuff nazwał w *Księżycowym kamieniu* detektywistyczną gorączką.

– Trop kryje się w książkach, nie ulega wątpliwości – powtarza Benedict. – Wczoraj kupiłem *Laokoona*. Muszę uważnie go przeczytać.

– Ja nie mogłam przebrnąć przez pierwszą stronę – wyznaje Julie.

Ona też jest jakaś dziwnie pogodna. Nikt nie wspomina o ogólnie znanym fakcie, że Dexa i Lance’a, którzy już nie żyją, łączą z Julie otrzymane kartki z pogrózkami. Julie parę razy napomknęła, że „naprawdę się boi”, ale nie wygląda na przestraszoną. Idzie do kuchni, żeby poprosić o kawę, po czym wraca z termosem i puszką herbatników. Julie, Benedict i Edwin udają się na kanapę w holu, żeby dalej prowadzić śledztwo. Natałka chyba zniknęła gdzieś z detektyw Kaur.

Benedict pisze na kartce imiona – Dex, Lance i Peggy – i rysuje pomiędzy nimi strzałki. Edwinowi kręci się od tego w głowie. Poza tym wypił tyle kawy, że musi ciągle kursować do toalety, która znajduje się idiotycznie daleko; trzeba przejść przez korytarze z lamperią, niepasującymi do siebie tapetami i nadmiarem poroża, przez kilkoro wahadłowych drzwi i obok tych z napisem: *Pomieszczenie ruchu elektrycznego. Nie wchodzić!* Kilka lat temu Peggy podarowała mu na Boże Narodzenie zegarek marki Fitbit i przez jakiś czas obsesyjnie dbał o to, żeby codziennie przejść dziesięć tysięcy kroków. Jest przekonany, że tego dnia, wciąż chodząc do toalety, pokonał już większość tego dystansu. Na drzwiach widnieje dziwna twarz z wąsami – w odróżnieniu od WC dla kobiet, na których umieszczono wizerunek kobiety w czepku – i to zaczyna wydawać się Edwinowi demoniczne.

Wracając ostatnim razem do holu, ze zdziwieniem usłyszał, że woła go ktoś stojący za donicą z palmą.

– Edwin!

To Freddie Fanshawe, z torbą podrózną przewieszoną przez ramię; obok stóp ma walizkę na kółkach.

– Wyjeżdżasz? – pyta Edwin.

– Tak. Łatwiej było zamówić taksówkę na ten adres. A ty?

– Ja zostaję jeszcze dzień albo dwa. – Edwin nie może się oprzeć, żeby nie dodać: – Policja zamierza umieścić mnie i moich przyjaciół w bezpiecznym miejscu.

Freddie spogląda na niego z szacunkiem i chyba rozbawieniem.

– O rany, Edwin, ty to sobie żyjesz, co?

– Tak. Żałuję, że nie mogę powiedzieć tego o Dexie Challonerze i Lansie Fosterze.

– Czy to w związku ze śmiercią Dexa Challonera?

– Poniekąd.

Edwin nie chce zdradzać, że to oni znaleźli ciało Lance'a. To mówiłoby już zbyt wiele.

– Może zainteresuje cię coś, co słyszałem o Challonerze – rzuca Freddie. – Wygląda na to, że złożył w wydawnictwie kolejną powieść z Todem France'em. Zamierzał napisać jeszcze jedną książkę, stanowiącą oddzielną całość, i na tym zakończyć karierę. Podobno jego agentka wpadła w szal.

– Dlaczego miałby skończyć z pisaniem?

– Nie wiem. Rzadko któryś z nich się na to decyduje, no nie? Do końca piszą te swoje ramoty, aż wszystkim nam chce się rzygać.

Freddie wydaje się zbyt cyniczny jak na dziennikarza zajmującego się kulturą, myśli Edwin. Powinien zająć się dziennikarstwem sportowym, jak Nicky, i siedzieć godzinami na zimnie przy linii bocznej boiska, udając, że obchodzi go, czy jakieś United Coś Tam pokona Wanderers Jakichś Tam.

Wtedy by zrozumiał, jakim był farciarzem. Tak czy owak, ta informacja o Dexie jest interesująca.

– Skąd o tym wiesz? – pyta.

– Nie mogę ujawnić źródła – odpowiada Freddie, przytykając palec do boku nosa. – O, Ginny do mnie macha. Pewnie przyjechała taksówka. Do widzenia, Edwin. Nie daj się wplątać w jakieś nowe morderstwa.

Oddala się z bagażem, zostawiając Edwina pogrążonego w myślach. Po powrocie na kanapę Edwin chce powiedzieć Benedictowi i Julie, co właśnie usłyszał od Freddiego, ale są zajęci dyskusją o motywach i sposobach.

– Ale jaki Nigel miałby motyw, żeby usunąć Lance’a? Może był przez niego dręczony w szkole?

W końcu Edwin zasypia.

Budzi go czyjś głos.

– Obudź się, śpiochu.

Ktoś pochyla się nad nim i przez jedną straszną chwilę Edwin ma wrażenie, że to jego matka, zmarła przeszło trzydzieści lat temu. Na szczęście nie wyrywa mu się nic żenującego, w stylu: „mamusiu”. Przeciera oczy i widzi, że to Natalka. Śmieszne, ale coś w jej twarzy, może niezwykła symetria, rzeczywiście przypomina mu matkę, która w swoim czasie słynęła z urody.

– Ruszamy – mówi Natalka.

Jest tu też detektyw Kaur w towarzystwie wysokiego blondyna.

– To Miles Taylor – przedstawia go. – Był wydawcą Lance’a. I Dexa. Jedzie z nami.

– To chyba nie jest konieczne. – Miles wydaje się trochę wytrącony z równowagi.

– Środek ostrożności. Tylko na jedną noc. – Dołącza do nich rudowłosy policjant, detektyw inspektor Harris. – To w Cove Bay. Urokliwe miejsce.

Edwin dawno nie słyszał, żeby ktoś w rozmowie użył przymiotnika „urokliwy”. Wydaje mu się to czarujące. Harris jest dość atrakcyjny, w specyficzny sposób, bo przypomina kościotrupa. Natalka i Julie wpatrują się w niego, jakby miał zaraz zdradzić sekrety wszechświata.

– Jeśli chce pani jechać swoim samochodem – zwraca się Harris do Natalki – przyślę funkcjonariusza, który będzie pani towarzyszył.

– Nic mi się nie stanie – odpowiada ona. – Benny może pojechać ze mną.

– Tak czy owak, przydzielę wam mojego człowieka.

Nawet Natalka nie może się sprzeciwić.

Edwin, Miles, Julie i detektyw Kaur zabierają się z Harrisem, który sam prowadzi samochód; Kaur siada z przodu, zgodnie ze swoją rolą w śledztwie. Trasa jest piękna. Przejeżdżają przez most i zostawiają miasto za sobą, mijając kamienne domy; popołudniowe światło łagodzi surowość budynków. Jakieś piętnaście minut później docierają nad morze, gdzie porośnięte mchem klify opadają prosto do wody, a fale rozbijają się o skały.

– Jesteśmy na miejscu – informuje Harris.

Zatrzymują się przed nowoczesnym białym domem, stojącym na szczycie klifu. Poniżej betonowy stok prowadzi nad morze. Kiedy wysiadają z samochodu, porywisty wiatr z nutą soli zapiera Edwinowi dech w piersi. Otula szyję kraciatym szalikiem. Natalka już parkuje na podjeździe. Harris wyjmuje kluczyk ze stacyjki.

– Nie ma tu luksusów – mówi – ale myślę, że będzie wam wygodnie.

Dom jest wręcz idealny: drewniane podłogi, białe ściany, proste meble. W salonie słychać szum fal rozbijających się o skały w zatoce. Na górze są cztery sypialnie, na dole jedna.

– Ja muszę mieć oddzielny pokój – natychmiast odzywa się Miles. – Mam lęki związane z przestrzenią.

To pewnie znaczy, że facet chrapie, myśli Edwin. Na szczęście on sam nie ma takiego problemu.

– Julie i ja bierzemy wspólny – mówi Nataalka.

Panie szybko się ze sobą zaprzyjaźniły. Zajmują pokój urządzone jak dla dzieci, z piętrowymi łózkami i tapetą z Tintinem. Zostają więc dwie jedyńki i jedna dwójka na górze, no i mniejsza dwójka na dole.

– Ja mogę spać na dole – zgłasza się Edwin.

Już się zorientował, że dzięki temu będzie miał bliżej do toalety. Detektyw Kaur – ku swojemu wyraźnemu zadowoleniu – dostaje dwójkę na górze, a Miles i Benedict po jedyńce.

– Mam nadzieję, że zasłony nie prześwitują – rzuca Miles. – Jestem przyzwyczajony do rolet zaciemniających.

Ten to da im popalić.

– Przez całą noc przed domem będzie stał wóz patrolowy – informuje Harris. – W razie problemów, Harbinder, dzwoń do mnie.

– Dobrze – odpowiada detektyw Kaur, która właśnie sprawdza, czy telewizor działa.

– Jest coś do jedzenia? – pyta Nataalka.

– Byłbym zapomniał. – Harris idzie do samochodu i wraca z dwiema wypchanymi reklamówkami. – Sheena zrobiła dla was zakupy.

Pan macho w takich sprawach wyręcza się innymi, zauważa Edwin, z zadowoleniem stwierdzając, że Sheena pomyślała także o winie.

Benedict i Nataalka przyrządzają na kolację spaghetti bolognese, z wegetariańską wersją dla Julie. Jest bardzo smaczne, zwłaszcza popijane

winem. Rozmawiają o Szkocji, jedzeniu, wakacjach – o wszystkim, tylko nie o zbrodni. Edwin dowiaduje się ze zdziwieniem, że Miles studiował na uniwersytecie w Aberdeen. Ta jego fryzura jest bardzo w stylu Oxbridge. I facet nawet interesująco opowiada o historii Szkocji, a jego głos przybiera wyraźną szkocką intonację. Właśnie mówi o Marii, królowej Szkotów, kiedy odzywa się Harbinder:

– A kim był Darnley?

– Skąd to pytanie?

– Tak nazywał się jeden z pokoiów hotelowych.

Miles wydaje się zdzwiony, ale odpowiada:

– Henryk Stuart, lord Darnley, był drugim mężem Marii Stuart. Zamordowano go w Kirk O'Field.

– Słyszałem, że był gejem – wtrąca Edwin.

– Nie ma na to dowodów – zastrzega Miles. – Spłodził z Marią syna, angielskiego króla Jakuba Pierwszego.

– To nie wyklucza homoseksualizmu – zauważa Edwin.

– Nie, rzeczywiście nie. Tak czy owak, spotkał go straszny koniec. Wysadzono dom, w którym mieszkał. Darnleya i jego służącego znaleziono na sąsiednim polu. Uważa się, że on z kolei zamordował Davida Rizzio, włoskiego śpiewaka, który być może był kochankiem Marii.

– Same morderstwa – mówi Edwin.

W Szkocji niewiele się pod tym względem zmieniło, myśli.

Wygląda na to, że detektyw Kaur – teraz dla nich już Harbinder – ma podobne spostrzeżenie.

– Kiedy ostatnim razem byłam w Szkocji – opowiada – tropiłam zabójcę, bardzo niebezpiecznego człowieka. Zjawiłam się na miejscu, gdy

miał dźgnąć nożem nastolatkę. Rzuciłam się na niego, a Jim... detektyw inspektor Harris... wpadł przez drzwi i obalił go szarżą stosowaną w rugby.

– Wielkie nieba, masz naprawdę ekscytującą pracę! – wykrzykuje Edwin.

– Nie zawsze jest taka ekscytująca. Przeważnie siedzę przed elektrownią w Shoreham i wypatruję nieistniejących terrorystów.

– Mogę sobie wyobrazić detektywa Harrisa w takiej roli – komentuje Julie. – Macho z niego, prawda?

Harbinder potwierdza, chociaż z tonu jej głosu wynika, że to wcale nie musi być zaleta.

– Widywałam wielu macho u nas, w Ukrainie – odzywa się Natałka. – Kiedy przyszła wojna, wszyscy okazali się tchórzami.

Miles spogląda na nią.

– Och, jesteś z Ukrainy? A znasz... – Rzuca jakieś nazwisko, ale z taką wymową, pretensjonalną, zdaniem Edwina, że brzmi ono niezrozumiale.

– Tak – mówi Natałka. – A ty jak go poznałeś?

– Studiowałam rusycystykę i mieszkałam przez rok w Moskwie.

– Nie wspominałeś o tym wcześniej – zauważa Harbinder.

– Nie sądziłem, że to ważne – odpowiada Miles.

Harbinder jest z jakiegoś powodu poirytowana, domyśla się Edwin.

– Dziś po południu dowiedziałem się czegoś ciekawego – zaczyna. – Freddie Fanshawe, mój znajomy z BBC, powiedział, że Dex zamierzał zrezygnować z pisania.

– To nieprawda – wtrąca szybko Miles. – Złożył w wydawnictwie kolejny kryminał z Todem France'em i już cieszył się na następny projekt.

– *Konsultantkę do spraw zabójstw* – dopowiada Harbinder.

Miles gapi się na nią bardzo grubiańsko.

- Skąd o tym wiesz?
- Od jego agentki.
- Jelli Walker-Thompson – dodaje Julie. – Reprezentuje także mnie.
- A Lance... – odzywa się Benedict.

Przez całą kolację milczał, ale Edwin ma wrażenie, że umysł młodego człowieka działa na pełnych obrotach. Kolejna oznaka gorączki detektywistycznej.

– Pamiętacie wczorajszy panel? – pyta Benedict. – Lance powiedział, że pracuje nad czymś nowym. I że jest tym bardzo podekscytowany.

– No i już tego nie napisze – mówi Natalka.

– Dwaj pisarze, którzy byli podekscytowani nowymi projektami, i obaj nie żyją – podsumowuje Benedict. – To daje do myślenia, nie uważacie?

Uczestnicy kolacji milczą.

Harbinder nie udało się uruchomić telewizora, więc po kolacji grają w karty. Benedict znajduje jakąś starą talię w komodzie, dzoker służy za brakującego asa karo. Grają w remika, którego Harbinder wcześniej nie znała.

– W mojej rodzinie nie gra się w karty – wyjaśnia przepaszająco.

– A w mojej grało się stale – mówi Natalka – nawet na plaży. Mój tata był w tym dobry... Jak mówicie na kogoś takiego? Szuler?

I wszystko wskazuje na to, że Natalka odziedziczyła po nim tę umiejętność, bo wygrywa partię za partią. Harbinder szybko się uczy, ale popełnia błędy, Benedict zadziwiająco szarżuje, Miles jest metodyczny, a Julie lekkomyślna. Edwinowi trudno się skupić. Figury karciane patrzą na niego zimno z profilu: król, królowa, walet. Które z nich jest którym?

Natalka to z całą pewnością królowa kier, Harbinder – królowa karo. Czy to znaczy, że Julie jest królową trefl albo pik?

– To dziwne – odzywa się Julie. – Jesteśmy jakby na urlopie, a przebywamy w strzeżonym przez policję domu, ukrywając się przed mordercą.

Na te słowa wszyscy nieruchomieją, z kartami w dłoniach. Stół oświetla lampa, ale reszta salonu jest pogrążona w mroku. Wiatr z biegiem wieczoru się nasilił i co jakiś czas okna trzeszczą, a zasłony się wzdymają.

– Nie ukrywamy się – prostuje Natalka. – Po prostu spędzamy noc w białym domu na klifie.

Edwinowi jednak się wydaje, że to na niej uwaga Julie wywarła największe wrażenie.

– Nic nam nie grozi – uspokajająco mówi Benedict. – Przecież na zewnątrz jest policja.

Harbinder zaniósła policjantom w samochodzie trochę spaghetti, ale odpowiedzieli, że właśnie zjedli rybę z frytkami. Edwin ma nadzieję, że nie zasną po obfitym posiłku.

– Lance też sądził, że nic mu nie grozi – rzuca Natalka. – A potem został zamordowany.

– Nie wiemy, czy to było morderstwo – zauważa Edwin.

– Jasne, że było. – Miles niezręcznie tasuje karty. – Bo z jakiego innego powodu byśmy się tu znaleźli?

Na zewnątrz wyje wiatr.

W swoim pokoju na dole, bardzo wygodnym, Edwin wkłada piżamę i kładzie się do łóżka. Wziął ze sobą książkę, *The Mating Season* P.G. Wodehouse'a, która zawsze poprawia mu humor, ale jakoś nie może

pogrążyć się we wspaniałym świecie Bertiego Woostera. Wiatr ciągle daje o sobie znać. Drzwi trzeszczą, jakby próbował je sforsować jakiś szaleniec. Nagle Edwinowi przypomina się cytat, chyba z Malory'ego, z *Le Morte d'Arthur*. *Cóż to za wiatr we drzwiach, bratanku? – spytał król*. Myśli o figurach karcianych: król, królowa, walet. Kiery, trefle, karo, piki. Słyszy fale rozbijające się o skały w zatoce. Coś na zewnątrz się przewraca, pewnie kubek na śmieci. Edwin wstaje i podchodzi do okna. Droga jest pusta. Gdzie ten wóz policyjny, który miał ich pilnować? Wysoka trawa w ogrodzie ugina się w porywach wiatru. Edwin wraca do łóżka.

Chwilę później znowu odkłada książkę. Dobiega go jakiś hałas, regularny chrzęst, po chwili cichnie i zaraz rozlega się ponownie. Ktoś idzie żwirową ścieżką wokół domu. Edwin zarzuca na siebie szlafrok i wychodzi na korytarz. Spotyka tam Harbinder, wciąż ubraną.

– Słyszałaś to? – pyta ją.

– Tak. To na pewno nic takiego. Może kot.

– Kot w nabijanych ćwiekami butach?

Harbinder otwiera drzwi frontowe. Zimny wiatr rozwiewa jej włosy.

– Nie ma wozu policyjnego – zauważa. – Pewnie objeżdżają dzielnicę.

Tu, na wschodnim cyplu Szkocji, nie ma czegoś takiego jak dzielnica, ale Edwin tego nie mówi. Harbinder włącza latarkę w smartfonie.

– Jest tam kto?!

Wiatr unosi jej słowa. Wydaje się przestraszona i nagle bardzo młoda. Edwin staje obok niej w progu.

– Rozejrzę się – mówi Harbinder.

– Idę z tobą.

– Nie, zostań tutaj. Nie możemy zostawić drzwi otwartych.

Po kilku minutach wraca.

– Ani żywej duszy – oznajmia. – Wóz policyjny jest już na miejscu.
Wszystko w porządku.

Ale starannie zamyka drzwi na oba zamki.

Rozdział 29

Harbinder: Ghostwriter

Harbinder powoli wraca na górę. Ten hałas na zewnątrz mógł być spowodowany przez wiatr albo zwierzę, lisa czy kota, a ona wciąż wraca pamięcią do ostatniej rozmowy z Natalką.

Znalazły w hotelu mały salon, oczywiście z porożem na ścianach i z kilkoma kolażami przedstawiającymi ptaki, wykonanymi z wykorzystaniem prawdziwych piór. Natalka, skulona w fotelu, była blada i miała podkrążone oczy.

– Dlaczego chciałaś się ze mną zobaczyć na osobności? – zapytała Harbinder.

– Pamiętasz, jak opowiadałam ci o tamtych dwóch w samochodzie? – zaczęła Natalka. – Chyba mnie śledzą. Wtedy w pubie usłyszałam, jak dwaj faceci mówią po ukraińsku. Rozmawiali o mnie.

– Jesteś pewna?

– Jeden z nich powiedział: „Wszędzie rozpoznałbym tę twarz”.

– Widziałaś ich już kiedyś?

– Benny zrobił im zdjęcie, ale wyszło niewyraźne. Obaj byli stosunkowo młodzi, może po trzydziestce, mieli krótkie włosy. Chyba ich

nie znam. Tylko że ilu Ukraińców można spotkać w Aberdeen?

– Mówiłaś o tym detektywowi Harrisowi?

– Nie. On już ma nas wszystkich za stukniętych.

Pewnie tak, pomyślała Harbinder.

– Hm, dziś wieczorem zabiorą nas w bezpieczne miejsce – rzuciła. – Tam nikt cię nie znajdzie.

Natalka nie wyglądała na przekonaną i teraz Harbinder nie czuje się już taka pewna. A jeśli ci tajemniczy mężczyźni rzeczywiście ją śledzą? Nieuzbrojeni policjanci nie dadzą sobie rady z ukraińską mafią. Z pokoju, który zajmują Natalka i Julie, dochodzą głosy i stłumione śmiechy. Przez chwilę Harbinder ma ochotę przyłączyć się do nich obu, ale nigdy nie lubiła dziewczyńskich pogaduszek, nawet gdy była dziewczyną.

Miles w swoim pokoju mówi coś półgłosem, pewnie rozmawia przez telefon. U Benedicta cisza. Może się modli? Trudno wciąż myśleć o nim jako o kimś uduchowionym, nie z tego świata. Tu, w Aberdeen, wydaje się inny, jakby bardziej zdecydowany. Służy Natalce wsparciem i Edwinowi chyba też. Nie to, żeby Edwin potrzebował wsparcia. Zachował absolutny spokój, gdy inni wpadliby w panikę. Harbinder wchodzi do siebie. Jest zadowolona, że zdobyła dwuosobowy pokój z szerokim łóżkiem i łazienką. To jej się należy, mówi sobie. W końcu tylko ona tu naprawdę pracuje. I z tą myślą, zanim położy się do łóżka i jeszcze przez pół godziny pogra w *Panda Pop*, zagląda do poczty.

Budzi się wczesnym rankiem. Słońce prześwieca przez zasłony. Miles na pewno nie zmrużył oka. Harbinder przez kilka minut leży w błogim cieple, słuchając krzyku mew. Zastanawia się, co przyniesie ten dzień. Jim musi być przekonany, że Lance'a zamordowano, bo inaczej po co narażałby się na koszty, zabierając ich tutaj? Czy będzie chciał jeszcze raz z nimi

porozmawiać? Najwyraźniej nie może rozgryźć Natałki i Benedicta, choć Edwin już budzi jego szacunek. A jaka jest rola jej samej, oprócz tego, że służy informacjami w sprawie Dexa Challonera i Peggy Smith? Podzieliła się z Jimem podejrzeniem, że Peggy została zamordowana w taki sam sposób jak Lance Foster. Wysłuchał jej uprzejmie, ale jest pewna, że odrzucił tę teorię. Nie interesuje go starsza pani, która umarła samotnie w Shoreham. Obchodzi go tylko jego trup. Jak to możliwe, że on jest detektywem inspektorem, a ona nie? Ale przecież nie będzie nad tym rozmyślać, szkoda czasu. Robota czeka, trzeba wstawać.

Bierze prysznic w luksusowej łazience. Czy nie powinna była odstąpić tego pokoju Edwinowi jako najstarszemu z nich? Jej matka na pewno by tak uważała. Ale Edwin wydawał się zupełnie zadowolony ze swojego przydziału. Harbinder szybko wkłada dżinsy i sweter, po czym schodzi na parter.

Jak można się było spodziewać, Miles już siedzi w kuchni, z ponurą miną jedząc grzanekę. Edwin też jest tutaj – spogląda na czajnik, jakby chciał go zmusić do pracy. Obok niego na stole stoi kawiarka, a w powietrzu unosi się cudowny zapach mielonej kawy. Wskazówki zegara, w kształcie marchewek, przesuwają się na tarczy od jednego warzywa do drugiego. Jest siódma trzydzieści, czyli wpół do rzodkiewki.

– Dzień dobry – mówi Harbinder. – Wszyscy dobrze spali?

– Jak kamień – odpowiada Edwin, zalewając kawę wrzącą wodą.

– A ja tak sobie – odzywa się Miles. – Chyba mam alergię na tutejsze poduszki.

Harbinder pomija to milczeniem i z wdzięcznością przyjmuje od Edwina kawę. Robi sobie grzanekę, smaruje ją masłem i pastą Marmite. Jednocześnie słyszy w głowie głos ojca: „Marmite to jeden z powodów, dla których Brytyjczycy nigdy nie będą cywilizowanym narodem”.

Je ze skupieniem i dopiero po chwili uświadamia sobie, że Miles mówi coś do niej.

– ...z tobą porozmawiać. Przejdziemy się po plaży?

Edwin patrzy na nią, unosząc brew.

– Mną się nie przejmujcie – rzuca. – Mam P.G. Wodehouse’a i dobrze mi z nim.

Wóz policyjny stoi na swoim stanowisku przed domem i Harbinder zatrzymuje się przy nim, żeby zamienić kilka słów z siedzącymi w środku dwoma policjantami, innymi niż wczoraj. Proponuje im kawę, ale odpowiadają, że po drodze zajechali do McDonalda. W samochodzie pachnie goframi.

– Czy coś się działo w nocy? – pyta. – Wydawało mi się, że słyszałam kogoś chodzącego wokół domu.

– To musiał być wiatr – mówi jeden z policjantów. – W nocy świszczalo jak cholera.

To pewnie znaczy „wiało”, myśli Harbinder. Fajna onomatopeja, ale raczej mało prawdopodobne, żeby to był odgłos wiatru.

Harbinder i Miles ruszają kamienistą plażą. Jest kolejny piękny ranek: świeże powietrze, zapach morza. Poza linią przypływu cumuje kilka łodzi rybackich, a rybacy, siedząc na murku wokół zatoki, naprawiają sieci.

– Mam przyjaciół, którzy mieszkają niedaleko stąd – odzywa się Miles. – Właściciel tej ziemi nie chce, żeby łowiono tu ryby, ale robi się to od setek lat. Dla tych ludzi to sposób życia.

– Ciężki kawałek chleba – komentuje Harbinder.

Zauważyła, że Miles staje się bardziej przystępny, gdy mówi o Szkocji.

Ślizgając się na wilgotnych kamieniach, zmierzają ku końcowi zatoki. Miles znajduje płaski kamień i próbuje puścić kaczkę na wodzie. Kiedy wreszcie powie, o co mu chodzi? – zastanawia się Harbinder.

– Chciałeś ze mną porozmawiać? – ponagła go.

– To może nic ważnego – zastrzega się Miles – ale wczoraj wieczorem dostałem dziwnego maila.

– Dziwnego pod jakim względem? – pyta Harbinder.

Myśli o tamtych pocztówkach. *Dopadniemy cię.*

– Tekst niezamawianej książki. Od kogoś, kogo nie znam.

– To chyba musi wam się zdarzać bez przerwy.

– Seventh Seal przyjmuje teksty tylko od agentów literackich – tłumaczy Miles. – A adres nadawcy tej wiadomości nic mi nie mówi.

– I to jest takie niezwykle?

Harbinder patrzy na mewę, która leci nisko nad falami. Niebo pochmurnieje, a wiatr się wzmacza.

– Nie, ale po przeczytaniu streszczenia zorientowałem się, że to wierna kopia powieści Dexa Challonera.

Harbinder wciąż nie może zrozumieć, co jest w tym takiego dziwnego. Plagiaty, świadome czy nie, muszą być dla wydawcy beletrystyki czymś powszednim. I mówi to Milesowi.

– To kopia niewydanej książki Dexa – wyjaśnia Miles. – A co więcej, książki, której jeszcze nie napisał. I oczywiście już nigdy nie napisze.

Teraz Harbinder pojmuje.

– *Konsultantki do spraw zabójstw?*

– Właśnie. To był ściśle tajny projekt. Z tego, co się orientuję, wiedzieliśmy o nim tylko Jelli i ja. Dex mógł wtajemniczyć Mię i najbliższych przyjaciół, choć nie należał do pisarzy, którzy rozpowiadają, nad czym aktualnie pracują.

– Rozmawiał o tym z Peggy. – Harbinder przypomina sobie liścik, który widziała.

Peggy, kochana, proszę, pomóż! W przyszłym tygodniu muszę dać Milesowi pierwszą wersję.

– Chodzi mi o to, że nie ma setek czytelników beta.

– Czytelników beta?

– Osób, które czytają książkę, zanim zobaczy ją wydawca. Często są to przyjaciele autora. Wyłapują błędy, podsuwają sugestie i tak dalej. To może być przydatne, ale Dex tak nie pracował. Nie licząc Mii, pierwszymi czytelnikami jego nowych powieści zawsze byliśmy Jelli i ja. A kiedyś Betty, jego poprzednia wydawczyni.

– Jak bardzo książka, której tekst ci przysłano, jest podobna do tej, którą zamierzał napisać Dex?

– Ze streszczenia wynika, że jest wręcz identyczna. To historia starszej pani, mieszkającej w budynku dla seniorów, która rozwiązuje zagadki kryminalne. Oczywiście pierwowzorem była Peggy.

– Jaki ta książka nosi tytuł?

– *Ghostwriter*. Widać w niej ambicje literackie i chęć zaimponowania czytelnikom, ale pod względem fabuły nie różni się od książki, którą chciał napisać Dex.

– I nie wiesz, kto ci ją przysłał?

– Nie. Ktoś, kto używa adresu Gmail i nazwał się Książkinaprawdęmeblują. To cytat z powieści Anthony’ego Powella: *Książki naprawdę meblują pokój*.

Dlaczego ludzie za wszelką cenę chcą jej tłumaczyć takie rzeczy?

– Czy Peggy wiedziała, że Dex zamierza napisać o niej książkę? – pyta.

– Tak. Mówił, że była tym zachwycona.

Rozdział 30

Natalka: stary kaszalot

Pierwsze, co Natalka widzi po przebudzeniu, to Tintin – jego owalna twarz z czarnymi kropkami w miejscach oczu znajduje się tuż obok niej. Natalka mruga i usiłuje zebrać myśli. To tapeta, cały szereg postaci z kreskówek. Tintin i jego pies. Jak on się wabił? Snowy. Ci dwaj identyczni detektywi. Kapitan. Kapitan Haddock. Był jej ulubionym bohaterem, z tą swoją fajką, whisky i wielkim domem na wsi. Może ucieleśniał dla niej idealnego ojca. Bo z pewnością nie przypominał jej własnego.

Natalka leży na górnym łóżku. Wydawało jej się, że Julie postąpiła ładnie, oferując jej lepsze miejsce, ale teraz czuje się jak schwytana w pułapkę. Nie może wstać, nie budząc współlokatorki, a słyszy, że Julie pochrapuje cicho na dole. W nocy też mówiła przez sen, chociaż Natalka nic nie mogła z tego zrozumieć.

Dziwnie jest tak leżeć. W normalnych okolicznościach poćwiczyłyby rano jogę albo wybrała się na jogging. Nawet nie pamięta, kiedy ostatnio dzieliła z kimś pokój. Kochankowie – i mężowie – się nie liczą. Ciekawe, kto ozdobił te ściany tapetą z Tintinem i dlaczego. Kto tu spał? Na pewno rodzeństwo. Może bliźnięta. Ludzie mówili, że ona i Dmytro są prawie jak bliźnięta, bo różnica wieku między nimi wynosiła tylko osiemnaście

miesiący. Ale jeśli dobrze sobie przypomina, pokój dzieliła z nim tylko na wakacjach. Jej ojciec wypożyczał od kolegi z pracy przyczepę kempingową i jechali nad morze. Natałka i Dmytro mieli na zmianę zajmować górne łóżko, ale jakimś cudem zawsze przypadło ono jej. Była starsza i przypuszcza, że z tego korzystała. Chciałaby zobaczyć jeszcze brata, choćby po to, żeby go przeprosić. Wzór tapety zaciera jej się przed oczami. Tintin, Snowy, Thompson i Thompson, kapitan Haddock.

Próbuje po cichu zejść, ale Julie otwiera oczy.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry. Przepraszam. Obudziłam cię?

– Już nie spałam. – Zapewne chce być miła.

– Właśnie patrzyłam na tę tapetę – mówi Natałka. – Uwielbiałam Tintina.

– Mieliście książki o nim po ukraińsku?

– Czytaliśmy je po angielsku. Zawsze myślałam, że są angielskie. Byłam zdumiona, kiedy się dowiedziałam, że Hergé był Belgiem. Kapitan Haddock wydawał mi się typowym Anglikiem.

– „Stary kaszalot” – rzuca Julie. – To było jedno z jego przekleństw.

– Pamiętam.

Natalce zawsze podobało się to określenie, chociaż trudno jej było je wymówić. Powtarza je teraz pod nosem, wyglądając przez okno. Widzi morze po lewej stronie, lśniące fale. Przypominają jej się tamte wakacje z przyczepą. Odessa, Kobłewe, Skadowsk. Żółty piasek, parki rozrywki, zapach sosnowych igieł.

– Ciekawe, co będziemy dziś robić – odzywa się znowu Julie.

– Powinniśmy chyba pójść na plażę – mówi Natałka.

Gdy Natalka schodzi na parter, okazuje się, że Harbinder i Miles są na spacerze, a Edwin przysypia nad P.G. Wodehouse'em. Benedict je w kuchni grzankę i czyta jakąś książkę. Wydaje jej się, że to jedna z powieści Julie, bo na okładce dostrzega basen. Jak to jest widzieć kogoś, kto czyta napisaną przez siebie książkę? To na pewno stresujące. Zupełnie jak patrzeć na nauczyciela, który czyta twoje wypracowanie.

– Cześć – mówi Benedict. – Właśnie zaparzyłem kawę.

– Świetnie. – Natalka nalewa sobie do filiżanki. – Nie jest taka dobra jak u ciebie.

Benedict aż się rumieni.

– W kawiarni nigdy nie wychodzi porządna.

– To brzmi jak tajne hasło.

Wchodzi Julie w jednym z tych obszernych topów, noszonych z upodobaniem przez kobiety, które są zdania, że mają nadwagę.

– Właśnie rozmawialiśmy o kawie – odzywa się Benedict. – Świeżo zaparzona.

– Dziękuję. – Julie bierze kubek i widzi książkę, która leży przed nim na stole. – O rany. To moja powieść.

– Tak. Kupiłem ją przed pójściem na panel z twoim udziałem. Jest naprawdę dobra.

– Bardzo ci dziękuję. – Julie sprawia wrażenie naprawdę zadowolonej. – Ale nie mogę patrzeć, jak czytasz. Wciąż sprawdzałabym, czy nie wyglądasz na znudzonego. Kiedyś w metrze siedziałam naprzeciwko kobiety, która czytała moją powieść. To była męka.

– Powinniśmy wybrać się na spacer po plaży – mówi Natalka.

– Właśnie stamtąd wracam – oświadcza Harbinder z progu. – Jest bardzo ładnie, ale wiatr się wzmacnia.

– Dobrze będzie zaczerpnąć świeżego powietrza. – Natałka czuje, że ma atak klaustrofobii.

– Chmurzy się – zauważa Julie, wyglądając przez okno.

– To najlepsza pora, żeby podziwiać morze. – Natałka nie ustępuje. – Podczas wiatru i deszczu.

– Zgadzam się – popiera ją Benedict. – Uwielbiam morze niezależnie od pogody. To w mojej pracy jest najlepsze.

– A czym się zajmujesz? – pyta Julie.

– Prowadzę kawiarnię – odpowiada Benedict, znowu się rumieniąc. – A właściwie szopę z kawą.

– Benny podaje najlepszą kawę na wschodnim wybrzeżu – chwali go Natałka.

– Chyba kiedyś poszedłem tam z Peggy – odzywa się nagle Miles. – Kawa rzeczywiście była dobra.

– Naprawdę? – Benedicta wyraźnie cieszą te słowa. – Nawet to pamiętam. Wziąłem cię za jakiegoś jej krewnego.

– Tak? – Miles wydaje się dotknięty tą uwagą.

Dziwne, myśli Natałka. Przecież to chyba powód do dumy być spokrewnionym z Peggy.

W końcu tylko czworo z nich idzie na spacer. Miles mówi, że ma już dosyć wysiłku fizycznego jak na jeden dzień, a Edwin niepokoi się, że będzie padało. I rzeczywiście, kiedy wychodzą z domu, nad morzem gromadzą się chmury. Wieje coraz silniejszy wiatr i krzyczą mewy. Jest odpływ, na odsłoniętych skałach lśnią mokre wodorosty.

– Powinniśmy zostać w polu widzenia policjantów – mówi Harbinder.

No tak, cały czas jest na służbie, myśli Natałka. Zauważa, że Harbinder lustruje biegnącą przed domem drogę, zanim rusza w stronę ścieżki na

plażę. Natalka czuje się już dzisiaj spokojniejsza. Są w bezpiecznym miejscu na wybrzeżu Aberdeenshire, gdzie diabeł mówi dobranoc, pod strażą policji. Chyba tutaj ci Ukraińcy jej nie wytropią?

Przecinają plażę. Julie potyka się w swoich eleganckich botkach za kostkę; sportowe buty Natalki sprawdzają się tu lepiej. Benedict idzie nad wodę i puszcza kaczkę. Kamień odbija się od powierzchni morza raz, dwa, trzy, cztery, pięć razy.

– Jesteś w tym naprawdę dobry.

Benedict uśmiecha się szeroko, wiatr rozwiewa mu włosy.

– Tata mnie tego nauczył. Zawsze lepiej puszczałem kaczki niż Hugo. Cholernie go to wkurzało.

Natalka chyba pierwszy raz słyszy, żeby Benny użył słowa zbliżonego do przekleństwa.

Harbinder i Julie przyglądają się małym sadzawkom na skałach. Natalka zauważa, że idą tuż obok siebie, ale nie rozmawiają. Ręka Julie od czasu do czasu ociera się o dłoń Harbinder.

Julie odwraca się i macha do Natalki.

– Może zobaczymy starego kaszalota! – Wiatr unosi jej słowa.

– Już prędzej ukwiał koński – mówi Benedict. Skąd on wie takie rzeczy? – Albo kraby z rodziny portunikowatych. Są bardzo agresywne.

Julie wspina się po kamieniach. Ślizga się na czarnych wodorostach.

– Ale stąd widok! – woła.

– Uważaj – rzuca Harbinder.

Julie się odwraca i patrzy na nią z uśmiechem, a potem nagle traci równowagę i leci do przodu, wyciągając rękę. Z miejsca, gdzie upada, dochodzi trzask.

– Julie!

Harbinder wdrapuje się na kamienie i pomaga jej wstać, a ona przelotnie kładzie głowę na jej ramieniu. Benedict i Natalka podbiegają do nich.

– Wszystko w porządku? – pyta Harbinder.

– Nic mi nie jest – odpowiada Julie bez tchu.

Ale z bliska Natalka widzi, że już zaczyna jej puchnąć nadgarstek prawej ręki.

Benedict i Harbinder pomagają jej zejść ze skał. Twarz Julie jest niepokojąco blada.

– Musisz jechać do szpitala – stwierdza Harbinder.

– To pewnie tylko zwichnięcie – mówi Julie. – Wystarczy, że łyknę aspirynę i położę się do łóżka.

Ale usta ma sine, a jej nadgarstek w zbyt szybkim tempie zmienia kolor.

– Raczej złamanie – orzeka Harbinder.

Benedict też tak uważa.

– Zawieziemy cię tam z Natalką – oferuje.

– Nie – ucina Harbinder. – Nie powinniście opuszczać domu. Ja ją zawiozę.

Idą na górę po betonowej rampie, a Harbinder i Benedict podtrzymują Julie z obu stron. Z samochodu wysiada jeden z policjantów. Edwin, z zaniepokojoną miną, wychodzi z domu.

– Musi pani jechać na pogotowie – mówi policjant, patrząc na rękę Julie. – Zawieziemy panią. Detektyw Kaur zostanie z resztą.

– Ja pojedę z tobą – zgłasza się Edwin.

– Nie ma potrzeby – odpowiada Julie, ale drży jej dolna warga.

– Okropnie jest być na pogotowiu samemu – przekonuje Edwin. – Tylko wezmę płaszcz.

Dość długo nie wraca, ale w końcu pojawia się w płaszczu i kraciastym szaliku, niosąc kurtkę Julie. Oboje wsiadają na tylne siedzenie wozu policyjnego. Natalka, Benedict i Harbinder patrzą za odjeżdżającym samochodem. A potem ruszają w stronę domu.

– Edwin zostawił drzwi otwarte – zauważa Benedict. – Musiał być podenerwowany.

Natalka czuje, że serce bije jej szybciej.

Nie wchodzi tam! – chce powiedzieć. Ale wkracza za Benedictem i Harbinder do środka.

A w salonie jakiś dziwny mężczyzna mierzy do Milesa z pistoletu.

Rozdział 31

Benedict: mord wspak

Benedict zawsze chciał być bohaterem. Jakie to byłoby uczucie, zastanawiał się, wynieść kogoś na rękach z płonącego budynku? Albo własnym ciałem zasłonić przed kulą ukochaną dziewczynę? Ale kiedy przychodzi co do czego, wszystko dzieje się samo.

Miles siedzi na kanapie, blady jak kreda, osłaniając twarz ręką. Tamten stoi przed nim, celując mu w pierś z pistoletu.

– Odłóż broń – nakazuje Harbinder z podziwu godnym spokojem.

Mężczyzna mówi coś w języku, którego Benedict nie rozumie.

Odpowiada mu Natalka.

On się odwraca i wymierza w nią pistolet.

Benedict krzyczy:

– Nie! – I staje przed Natalką.

Rozlega się strzał.

A potem zapada cisza. Słyszać tylko krzyk mew.

Czy jest martwy? Czy tak właśnie czuje się ktoś, kto umiera? Jeśli tak, to jeszcze nie jest najgorzej. Uderzenie krwi do głowy, uczucie euforii i wrażenie, że robiło się coś takiego już wiele razy wcześniej. Zabawne,

postrzał wcale nie boli. I wtedy Benedict uświadamia sobie, że wciąż stoi, Natalka obejmuje go od tyłu, a tamten cudzoziemiec znowu mierzy z broni do Milesa. W ścianie, tam gdzie trafił pocisk, widać dziurę.

– Zdradziłeś nas – mówi po angielsku ten z pistoletem.

Odruchowo, nawet w tak przerażającym momencie, Benedict spogląda na jego buty. Zdarte białe sneakersy. Czyli to nie tamten w błyszczących butach.

– Nie chciałem – odpowiada Miles. – Byliśmy studentami. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, co robimy.

– Oddaj mi broń – odzywa się Harbinder. – Porozmawiamy o tym.

– Zdradził nas – powtarzają Białe Sneakersy. – Nas wsadzono na lata do więzienia, a on wrócił sobie na swoją przytulną uczelnię.

– Wiem – rzuca Harbinder. – Peggy pomogła wam obu, prawda? Ale później po ciebie przyszła policja, a Miles bezpiecznie wyjechał do Anglii.

– Jak się domyśliłaś? – pyta Miles.

Nadal siedzi przerażony na kanapie.

– Studiowałeś rusycystykę na uniwersytecie – wyjaśnia Harbinder. – Pewnie poznałeś Peggy w Rosji, kiedy na rok wyjechałeś za granicę. Pamiętam kartkę z podziękowaniami, którą jej przysłałeś. No i było jeszcze coś, co powiedziała pewna starsza pani.

– Zabiję go – mówi tamten. – Długo na to czekałem. – Znowu podnosi broń.

– Andrij – odzywa się jakiś nowy głos. – Odłóż pistolet.

Andrij się odwraca, a wtedy Harbinder rzuca się na niego i wytrąca mu broń z ręki. Benedict spieszy jej na pomoc, a Natalka pada w ramiona tego drugiego mężczyzny. Benedict puszcza Andrija, ale z niego już jakby uszło powietrze. Siada na podłodze. Miles zaczyna szlochać.

Natalka wciąż obejmuje nieznanego.

– Co się tu dzieje? – pyta Harbinder, wyjmując kule z pistoletu.

Benedict patrzy na tych dwoje ciężkim wzrokiem, najpierw na jedno, potem na drugie. I wreszcie do niego dociera.

– To chyba jej brat – mówi.

– To Dmytro – potwierdza Natalka.

Oczy jej błyszczą i wygląda piękniej niż kiedykolwiek. Jakby odmieniona.

– A kim jest ten? – Benedict wskazuje mężczyznę siedzącego na podłodze, Andrija.

– Obaj tu studiujemy – odpowiada Dmytro. – Mają specjalny program nauczania dla uchodźców politycznych. Przyjechałem do Anglii dwa tygodnie temu. Próbuję odszukać siostrę, a tu ona pojawia się przede mną.

– Byliście wtedy wieczorem w pubie? – pyta Natalka. – Nie widziałam was. Dlaczego nie podeszliście do mnie?

– Mnie tam nie było – mówi Dmytro. – Nie mogłem uwierzyć, kiedy Andrij pokazał mi zdjęcie.

– Jakie zdjęcie? – pyta Benedict.

Myśli o fotce, którą zrobił tamtym dwóm pijącym colę. Czy jednym z nich był mężczyzna, który teraz chciał zabić Milesa?

– Poszedłem do pubu z Siergiejem – wyjaśnia Andrij. – To on był wtedy z nami w Rosji. Pijemy sobie i widzimy jego. – Wskazuje Milesa. – Zrozumiałem, że muszę się... – Cmoka, szukając odpowiedniego angielskiego słowa.

– Zemścić? – podsuwa Natalka.

– Tak, zemścić. Cykam zdjęcie, a ona... – wskazuje Natalkę – jest w tle.

– To nie była moja wina – odzywa się Miles już nie ze strachem, ale z przygnębieniem.

– Nie? A dlaczego nie jesteś w więzieniu? – pyta Andrij. – Ja siedziałem dziesięć lat.

– Przykro mi – odpowiada Miles.

Harbinder rozmawia przez telefon.

– Uzbrojony napastnik – mówi. – Pilnie potrzebne wsparcie.

W uszach Benedicta brzmi to niemal jak zdrada, bo teraz, gdy Andrij zaczął mówić po ludzku, przestał być napastnikiem z bronią.

– Czy próbowaliście odnaleźć Peggy? – zwraca się do Andrija Natalka. – Pojechaliście do Shoreham?

Stoi obok brata, trzymając go za rękę. Teraz widać ich podobieństwo. Dmytro jest wyższy i szczuplejszy, wystają mu kości policzkowe, ale oczy ma takie jak Natalka, ciemnoniebieskie, przepastne.

– Tak – potwierdza Andrij. – Pojechaliśmy do niej, Siergiej i ja. Zobaczyliśmy ją, ale wokół było za dużo ludzi. Kiedy następnego dnia wróciliśmy, już nie żyła.

– Widziałam was – mówi Natalka. – Widziałam was z okna swojego pokoju. W białym samochodzie.

– Tak. Zauważyliśmy cię u Peggy. I pojechaliśmy za tobą.

– Pytaliście o mnie w domu, w którym mieszkam. Powiedzieliście, że jesteście moimi znajomymi.

– Chciałem porozmawiać o Peggy – tłumaczy Andrij. – Nie wiedziałem, że... ty i Dmytro... jesteście rodzeństwem. Pokazuję mu zdjęcie, a on mówi: „To Natalka”.

– Od razu cię rozpoznałem – wtrąca Dmytro.

Jego angielski, tak jak Natalki, jest bardzo dobry. Mówi coś do niej po ukraińsku. Ona, ocierając łzy, znowu bierze go za rękę.

– Widzisz, Benny – zwraca się do Benedicta – mój brat żyje.

– Cieszę się, że mogę cię poznać. – Benedict wstaje z podłogi i wyciąga do niego rękę.

Dmytro ją ściska.

– Jesteś bardzo odważny – zauważa. – Zasłoniłeś Natalkę. Bohater z ciebie.

– Wcale nie.

– Tak, Benny – mówi cicho Natalka.

Kiedy wracają Edwin i Julie z obandażowanym nadgarstkiem, Andrija już nie ma; zabrano go do aresztu, a Harbinder wciąż siedzi na policji. Benedict, Natalka i Dmytro jedzą rybę z frytkami przy kuchennym stole. Wszyscy nagle poczuli, że są głodni, i czuwający nad nimi policjanci, zmieszani, że przeoczyli całe wydarzenie, pojechali kupić coś do jedzenia. Jest czwarta po południu, marchewka wskazuje bakłażan. Miles, który złożył na policji obszerne zeznania, leży w swoim pokoju.

– To mój brat. – Natalka z dumą przedstawia Dmytra.

– Twój brat? – Edwin jest zaskoczony. – Myślałem, że on... – Urywa.

– Sądziłam, że nie żyjesz – tłumaczy bratu Natalka. – I tak wszystkim mówiłam.

– Byłem rosyjskim jeńcem wojennym – wyjaśnia Dmytro. – Wysyłałem do mamy listy przez Amnesty International, ale nigdy nie dostałem odpowiedzi.

– Przeprowadziła się. Bała się mieszkać nadal w starym domu. Ciągle gdzieś jeździ i cię szuka. Nie przyjęła do wiadomości, że nie żyjesz.

– Jak wydostałeś się z Rosji? – pyta Benedict.

– Siódmego września tego roku nastąpiła wymiana jeńców. Z separatystami. Prezydent Trump powiedział, że to „wielki krok naprzód”. – Dmytro uśmiecha się ironicznie.

Natalka mówi do niego coś po ukraińsku. On odpowiada. Oboje płaczą. I w tym momencie wraca Harbinder, niosąc kilka toreb z woskowanego papieru.

– Umierałam z głodu – mówi. – Więc w drodze powrotnej zatrzymałam się przy smaźalni frytek.

Wszyscy rzucają się na nową partię jedzenia.

Dmytro wyciera oczy.

– Co z Andrijem? – zwraca się do Harbinder.

– Na razie został zatrzymany. Jim zamierza oskarżyć go o próbę zabójstwa, ale Miles nie chce wnieść zarzutów. Może odpowie tylko za nielegalne posiadanie broni.

– Andrij nie jest złym człowiekiem – broni przyjaciela Dmytro. – Po prostu na widok Milesa poniosły go... – Spogląda pytająco na Natalkę.

– Nerwy – podsuwa mu siostra.

Kiedy byli dziećmi, pewnie też kończyła za niego zdania, myśli Benedict.

– Opowiedz nam o Milesie, Harbinder – prosi Edwin. Jest zły, że tyle go ominęło, tak przynajmniej wydaje się Benedictowi. – Skąd znał tego Andrija?

– Jak zdołałam się zorientować – zaczyna Harbinder, patrząc w górę, pewnie zaniepokojona, że Miles może to słyszeć – Peggy i jej przyjaciółka Joan poznały Andrija i Siergieja w Rosji w dwa tysiące piątym roku. Byli wtedy studentami, ale wdali się w jakąś działalność szpiegowską. Ukrywali się przed KGB... czy FSB, jak teraz nazywają się te służby... i trafili na

Milesa, który studiował wtedy w Rosji. Miles pomagał im jako tłumacz i znalazł dla nich kryjówkę. U Peggy i Joan. Wszystko szło dobrze, Peggy i Joan nawet zabrały ich na przedstawienie baletowe. Ale kilka dni później Andrij i Siergiej zostali zatrzymani. Doszli do przekonania, że to Miles ich wydał. Myślę, że rzeczywiście, może nawet nieświadomie, zdradził KGB, gdzie ich znaleźć. Był młody i pewnie wpadł w panikę. Andrij i Siergiej trafili do więzienia, ale trzy lata temu wyszli na wolność. Przyjechali do Aberdeen w ramach programu pomocy dla uchodźców. Wybrali się któregoś wieczoru do pubu i kogo widzą? Milesa. Poszedł tam na piwo ze swoimi autorami.

– Nie ze mną – odzywa się Julie. – Kompletnie mnie olewał.

– Peggy pomogła akurat wydawcy Dexa Challonera – zauważa Edwin. – Co za zbieg okoliczności.

– Wcale nie – odpowiada Harbinder. – Myślę, że Miles chciał pracować z Dexem właśnie ze względu na Peggy. Pamiętacie tamtą kartkę od Dexa, którą znaleźliśmy w jednej z książek Peggy? Została wysłana, zanim jeszcze Miles został jego wydawcą.

– Jak na to wpadłaś? – pyta Benedict. – Chyba szybko się domyśliłaś.

– O studentach, którym pomogła Peggy, powiedziała nam jej synowa – wyjaśnia Harbinder. – No i znaleźliśmy listy od Joan, w których wspominała o spotkaniu z „jednym z tych chłopców”, jak ich nazywała. Ale kiedy zobaczyłam Andrija trzymającego Milesa na muszce, nagle przypomniało mi się coś jeszcze. Pojechałam do domu opieki, żeby zobaczyć się z Joan. Ma alzheimera i niewiele można się od niej dowiedzieć. Gdy jednak zapytałam ją o tamtych studentów, odpowiedziała: „Miles. Słuchali go. Miles Davis”. Ale chodziło jej o Milesa Taylora. – Patrzy na zebranych przy stole.

– Bardzo sprytne – mówi z uznaniem Edwin.

Harbinder w odpowiedzi mamrocze coś skromnie, ale zdaniem Benedicta wygląda na zadowoloną z siebie. Biorąc pod uwagę to, jak sprawnie obezwładniła uzbrojonego Andrija, a potem spokojnie wyjęła kule z pistoletu, ma pełne prawo czuć się dumna.

– Joan wspomniała także, że Nigel nie był dobrym synem i zabierał Peggy wszystkie pieniądze – podejmuje Harbinder. – Powiedziała, że Peggy lubiła hazard.

– To nieprawda – odzywa się Edwin. – Przez całe lata, kiedy ją znałem, tylko raz postawiła jakąś sumę w Grand National.

– Według Joan chętnie grała na wyścigach konnych – odpowiada Harbinder. – Chyba że Joan miała na myśli kogoś innego. Przed naszym wyjściem się obudziła... bo przysnęła... i powiedziała: „Drom”. A potem znowu zasnęła.

Wszyscy się śmieją, ale Benedict przypomina sobie stary film o nawiedzonym hotelu, z Jackiem Nicholsonem, jego dziki wzrok. *Lśnienie*. „Oto Johnny”.

– Drom to anagram słowa „mord” – mówi. – „Mord” na wspak.

– Nie pomyślałam o tym – przyznaje Harbinder.

– Ja też jestem fatalny, jeśli chodzi o anagramy – pociesza ją Edwin. – W życiu bym na to nie wpadł.

– Wszystkie książki Dexa mają w tytule *Morderstwo* – zauważa Natałka.

– Może Joan chciała nam coś przekazać – rzuca Harbinder.

– Może – potwierdza z namysłem Julie.

Nie odzywała się przez cały czas i Benedict domyśla się, że boli ją nadgarstek. Pewnie martwi się, czy będzie mogła pisać, bo to prawa ręka.

– Moja mama też miała alzheimera – dodaje Julie – i czasami wydawało mi się, że mówi jakimś szyfrem, bo dziwnie to brzmiało i było pozbawione

sensu, a później okazywało się, że jednak coś znaczy.

– Peggy lubiła szyfry – wspomina Natalka. – I zagadki.

– Szkoda, że nie ma jej tu z nami – dorzuca Edwin. – Na pewno by nam pomogła.

Tego wieczoru nikt nie siedzi do późna. Po kolacji Natalka z bratem zamykają się w pokoju z piętrowym łóżkiem, żeby zadzwonić do matki, ale o dziesiątej Dmytro wyłania się stamtąd i oznajmia, że będzie spał na kanapie. Usłyszawszy to, pozostali udają się do siebie. Miles wciąż nie wychodzi ze swojego pokoju.

Od sceny z pistoletem Benedict zamienił z Natalką zaledwie kilka słów. Teraz, gdy pojawił się Dmytro, ona sprawia wrażenie zupełnie innej osoby. Promienieje i jest taka śliczna, że gdy siedzieli przy stole, Benedict parę razy musiał odwrócić od niej wzrok. To jak ze słońcem: niebezpiecznie jest patrzeć na nie zbyt długo. Na podeście schodów mówią sobie „dobranoc” i Benedict słyszy, że drzwi jej pokoju się zamykają. Z pokoju Milesa dobiega lekkie chrapanie, a z pokoju Harbinder dźwięki gry na komórkę.

Benedict powinien być wykończony, ale gdy kładzie się do łóżka, nie może zasnąć. W tym pokoju musiał być kiedyś gabinet, bo są tu krzesła i biurko z Ikei, a na ścianie wisi korkowa tablica. Przy łóżku nie ma lampy, więc Benedict leży w ciemności, słuchając odgłosów wiatru i morza w dole.

To mój brat.

Mord wstecz.

Poszcząc, podziękuj Bogu za miłość uczciwego człowieka.

Znałem kiedyś starszą panią, która przypominała pannę Marple.

Dzięki za zbrodnie.

Musiał przymknąć oczy, bo kiedy je otwiera, drzwi pokoju się uchylają i na łóżko pada snop światła. Benedict wyczuwa zapach perfum Natalki.

Ona jak duch przecina pokój i siada na końcu łóżka.

– Uratowałeś mi życie.

– Wcale nie. On nie chciał cię zabić.

– Nie mogłeś tego wiedzieć. Jesteś chyba najodważniejszym człowiekiem, jakiego znam.

Benedict chce coś powiedzieć, zaprotestować, ale Natalka pochyla się i ucisza go pocałunkiem.

Rozdział 32

Harbinder: Miles Davis

Harbinder schodzi na śniadanie i zastaje w kuchni Edwina i Dmytra, którzy z ożywieniem rozmawiają o Dynamie Kijów. Wiedza starszego pana o piłce nożnej robi na niej wrażenie; myślała, że zna się tylko na muzyce klasycznej i P.G. Wodehousie.

Dmytro wstaje na jej widok. Jest bardzo dobrze wychowany. To trochę męczące.

– Może kawy?

– Dziękuję.

Harbinder robi sobie grzanekę i siada naprzeciwko Edwina.

– Myślisz, że będziemy mogli dziś wrócić do domu? – pyta on, starannie rozsmarowując marmoladę.

Harbinder już wcześniej zauważyła, że drażni go, gdy Natalka używa jednego noża do marmolady i do masła i gdy Benedict zbyt wolno je. Tak właśnie dzieje się z kimś, kto mieszka sam, myśli. Ją też to czeka za kilka lat.

– Mam taką nadzieję – odpowiada. – Po co mieliby trzymać nas tu dłużej? Nie widzę powodu. Jeśli Julie potrzebuje ochrony policyjnej,

równie dobrze może ją dostać w Brighton. A taki dom i nadzór mundurowych oznaczają koszty. Jim na pewno chętnie się nas pozbędzie.

– Czy sądzisz, że detektyw Harris wniesie oskarżenie przeciwko Andrijowi? – pyta Dmytro.

– O coś na pewno go oskarży. W końcu Andrij miał broń. I użył jej, nawet jeśli kula trafiła w ścianę.

Celował w Milesa, zastanawia się Harbinder, czy może ten pierwszy strzał miał być tylko ostrzeżeniem? Jim mógłby również postawić mu zarzut usiłowania zabójstwa, nawet jeśli sam Miles nie zechce z tym pójść do sądu.

– Andrij nie skrzywdziłby Milesa – oświadcza Dmytro.

Harbinder nie jest tego taka pewna. Pistolet był naładowany. Osobiście wyjęła z niego kule.

Kiedy kończą śniadanie, pojawia się sam Harris.

– To była szalona noc – mówi. – Znajdzie się kawa?

Edwin nalewa mu jej do kubka. Jim wydaje się rozluźniony: odchyła się na oparcie krzesła, z przyjemnością pijąc kawę, jednak Harbinder ma wrażenie, że Dmytro denerwuje się w obecności policjanta – po chwili wstaje, mamrocząc coś o tym, że musi wziąć prysznic. Jim opróżnia kubek i podsuwa go Edwinowi po dolewkę.

– Dobrze się wczoraj spisałaś – zwraca się do Harbinder. – Napisałem o tym w raporcie. Może dostaniesz pochwałę.

Harbinder robi skromną minę, ale chyba widać, że bardzo zależy jej na tej pochwie.

– Jak się domyśliłaś, że chodzi o Milesa? – pyta Jim.

Harbinder opowiada całą historię od nowa, o Joan i „Milesie Davisie”. Wczoraj wszystko dobrze się skończyło i Jim powinien być pełen podziwu, a tymczasem jedynie uśmiecha się irytująco.

– Czyli to było tylko przeczucie?

– Może nie – odzywa się Edwin. – Niewykluczone, że Joan myślała o Milesie jeszcze w innym sensie. Powiedziała „drom”, a to anagram słowa „mord”.

Teraz Jim otwarcie się śmieje.

– Musimy chwilę pogadać, Harbinder – rzuca.

Edwin wstaje.

– Więc zostawię was samych.

– Nie, zostań – niespodziewanie mówi Jim. – Od początku bierzesz w tym udział i chciałbym, żebyś był na bieżąco.

Edwin siada z powrotem, wyraźnie zadowolony.

– Oskarżyliśmy Andrija Awramienkę o posiadanie broni – zaczyna Jim – ale zamierzam dodać do tego usiłowanie zabójstwa. Jak sam się przyznał, przyjechał tu, żeby zabić Milesa Taylora. Tyle że rozbroiła go obecna tu detektyw sierżant Kaur.

Spogląda na Harbinder, żartobliwie skłaniając głowę. Jeśli tak to ująć, rzeczywiście się wykazała.

– Awramienko musiał pojechać za nami w czwartek wieczorem i od tamtego czasu kręcił się w pobliżu. Porozmawiam o tym z funkcjonariuszami, którzy was pilnowali. – W głosie Jima brzmi nuta irytacji.

Harbinder nie może uwierzyć, jak szybko płynie czas. Lance został zamordowany w środę wieczorem, a ich umieszczono tu w czwartek. Jest już sobota, ruchliwy dzień w sklepie jej rodziców. Powinna wrócić do domu i im pomóc.

– Harbinder i ja mieliśmy wrażenie, że nocą z czwartku na piątek słyszeliśmy, jak ktoś chodzi koło domu – odzywa się Edwin.

– Tak. Detektyw Kaur wspominała o tym. – Jim milknie na chwilę, żeby dopić drugi kubek kawy. Kiedy unosi głowę, ma już inny wyraz twarzy. Jakby podjął jakąś decyzję. – Chodzi o to – mówi – że według mnie nie ma związku między zabójstwem Lance’a Fostera a zabójstwem Dexa Challonera.

Edwin i Harbinder patrzą po sobie.

– Jak to? – pyta ona.

– Te dwa zabójstwa są zupełnie inne – tłumaczy Jim. – Lance zginął wskutek wstrzyknięcia śmiertelnej dawki insuliny, a Dex od strzału w głowę. Nie sądzę, żeby były ze sobą powiązane.

– A kartki z pogrózkami? – rzuca Harbinder. – A Peggy Smith? A ten uzbrojony mężczyzna, który wpadł do jej mieszkania?

Jim ze zniecierpliwieniem macha ręką.

– Chyba zanadto komplikujemy sprawy. Mam ofiarę, człowieka zamordowanego w pokoju hotelowym, i mam szaleńca z bronią grasującego na wolności. Nie potrzeba mi więcej komplikacji. Ta historia z książkami i anagramami to tylko domysły. Nie składa się to w żadną sensowną całość.

Co za niesprawiedliwość, myśli Harbinder. To Edwin wspomniał o anagramie, nie ona. A cała reszta to fakty. Do mieszkania Peggy wtargnął człowiek z bronią, Dex Challoner został zastrzelony, trzy osoby otrzymały pocztówki z pogrózkami, Miles dostał tekst książki jota w jotę jak powieść, którą chciał napisać Dex. To musi się jakoś ze sobą łączyć.

– To rzeczywiście wyglądało, jakby te sprawy, Lance’a i Dexa, miały ze sobą związek – podejmuje Jim już w bardziej pojednawczym tonie. – Dlatego cię tu ściągnęliśmy, Harbinder. W końcu obaj byli autorami kryminałów. Ale wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z dwoma

różnymi zabójcami. Challoner mógł zostać zabity przez zazdrosną kochankę albo rywalizującego z nim pisarza.

– A Lance? – pyta Edwin. – Jego kto miałby zabić?

– Może ty mi powiesz – odpowiada Jim.

Patrzy na niego, jakby naprawdę tego oczekiwał, ale Edwin wytrzymuje jego spojrzenie.

– Nie mam żadnych podejrzanych – dodaje po chwili Jim. – Z nagrania monitoringu nic nie wynika, ale liczymy na jakiś przełom w śledztwie. Przyjrzę się życiu prywatnemu Lance'a. Dam głowę, że zginął z ręki kogoś, kogo dobrze znał.

– Znowu jakiejś zazdrosnej kochanki? – wtrąca Harbinder.

Jim ignoruje jej uwagę. Podobnie jak Neil chyba nie potrafi wyczuć sarkazmu.

– Możliwe. Tak czy inaczej, my mamy przed sobą długi dzień przesłuchań, a wy pewnie chcecie już wracać do domu.

– Tak, ale... – zaczyna Edwin.

Jim wstaje.

– Przyślę samochód po detektyw Kaur i panią Monroe. Pani Kolisnyk i pan Cole pojedą za nimi. A pan, panie Fitzgerald, może zabrać się z jednymi albo z drugimi, wybór należy do pana.

– Pojadę z Harbinder – mówi Edwin. – Nie chcę robić za przyzwoitkę.

Jakby na zawołanie pojawiają się Benedict i Natalka, oboje zarumienieni i trochę zakłopotani.

Teraz, gdy już wiedzą, że mogą wracać, oczekiwanie na wóz policyjny bardzo im się dłuży. Dmytro jedzie z nimi. Chce pobyć trochę z siostrą.

– Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę Shoreham – powtarza.

Harbinder ma nadzieję, że nie będzie zbyt rozczarowany.

Siedzą pośród spakowanych już bagaży. Julie palcami jednej ręki stuka w klawiaturę laptopa, Benedict czyta *Laokoona* Lance'a Fostera, Natalka wygląda przez okno, a Edwin przegląda „Cove Bay News”, które rankiem wrzucono do skrzynki na listy.

Harbinder usiłuje przeczytać maile, ale nie może się skoncentrować. Jest wściekła na Jima. Jak śmiał nazwać całą tę sprawę „domysłami”? Możliwe, że zabójca Lance'a wciąż przebywa w Aberdeen, a tymczasem policja skupia się na Ukraińcu, którego – choć rzeczywiście jest porywcy i pała żądzą zemsty – nic z Lance'em Fosterem nie łączy. Żeby się uspokoić, Harbinder postanawia zagrać w *Panda Pop*, ale zanim zdąży pomóc mamie Pandzie pokonać Badboona, dzwoni jej telefon. To Neil.

– Cześć – mówi Harbinder.

Przynajmniej jedna osoba nie uważa, że ta sprawa jest wytworem wyobraźni – Neil mówi z przejęciem w głosie; pewnie sądzi, że dokonał przełomowego odkrycia. Przykro będzie rozwiązać jego złudzenia, ale ktoś musi to zrobić.

– Analiza monitoringu w Millionaires' Row wreszcie coś dała – informuje. – Jeden z sąsiadów właśnie wrócił z urlopu, a jego kamery obejmują zasięgiem patio na tyłach domu Dexa. Dwudziestego drugiego września Dex miał gościa o wpół do pierwszej w nocy.

Według koronera Dex Challoner zginął między północą a drugą w sobotę dwudziestego drugiego. Harbinder czuje, że serce bije jej szybciej. Detektywistyczna gorączka, jak powiedziała by Edwin.

– Kto to był?

– Przyślę ci zrzut ekranu. Mamy nadzieję, że uda nam się zdobyć więcej materiału od innego sąsiada.

Neila trochę ponosi, ale kilka sekund później Harbinder otrzymuje maila. Klika w załącznik. I na ekranie jej smartfona ukazuje się kobieta patrząca wprost w obiektyw zamaskowanej kamery przemysłowej.

Maria.

Maria, która obecnie opiekuje się jej matką.

Harbinder szybko dzwoni do Neila.

– To Maria. Ta opiekunka. Znała Peggy. I Weronikę. Natałka pewnie ma jej dane kontaktowe. Wezmę je od niej. A ty zadzwoń do Patricii Creeve, właścicielki Care4You. Ona będzie wiedziała. I słuchaj, Neil... jedź do mojej mamy. Niech Maria się do niej nie zbliża.

– Dobrze, już jadę – odpowiada Neil. – Nie martw się.

Nie martw się. Jezu.

– Wrócę najszybciej, jak się da.

Jim załatwia jej lot w południe. Osobiście odwozi ją na lotnisko. Harbinder nie wie, czy ostatecznie odkrycie rozwiało jego teorię o dwóch niezwiązanych ze sobą morderstwach. Ma nadzieję, że tak.

– A ta Maria – pyta Jim, gdy mkną przez most – co o niej wiesz?

– Opiekuje się starszymi ludźmi – odpowiada Harbinder. – Pochodzi z Polski. Jest zamężna i ma troje dzieci. Kolega właśnie do nich pojechał, ale w domu nikogo nie ma. Od czwartku nie widziano żadnego z nich.

– Czyli mogła być w Aberdeen i... teoretycznie... zabić Lance'a Fostera?

– Tak. Pamiętasz, recepcjonistka w hotelu powiedziała, że na tym piętrze były tylko sprzątaczkі. Marię w stroju opiekunki łatwo byłoby uznać za sprzątaczkę. A gdyby jeszcze włożyła swój dawny strój pielęgniarki...

Ludzie z reguły nie zapamiętują kobiet, które wyglądają na cudzoziemki. Wiem coś o tym.

– Ja nie poczuwam się do winy w tej kwestii – mówi Jim. – Ale dlaczego Maria miałaby zabić Lance’a?

– Nie wiem. Może dlatego, że wiedział, kto zabił Dexa.

Harbinder pochyla się do przodu, jakby chciała, żeby samochód jechał szybciej. Jim wysadza ją przed terminalem. Na tym polega urok takich małych lotnisk – można zaparkować niemal na pasie startowym.

– Twój samolot odlatuje za czterdzieści minut – rzuca Jim. – Powodzenia.

Harbinder ma wrażenie, jakby przez cały lot wstrzymywała oddech. Na lotnisku w Shoreham czeka na nią Neil.

– Olivia jest z twoją mamą – informuje ją. – Wszystko w porządku.

Olivia Grant to jedna z najzdolniejszych posterunkowych. Harbinder wreszcie może odetchnąć.

– Nadal ani śladu Marii?

– Nadal. Postawiliśmy przed jej domem wóz policyjny. Patricia twierdzi, że Marii nie ma w pracy od czwartku. Jest wściekła, bo musi radzić sobie bez dwóch pracowników. Sama odwiedza większość podopiecznych.

Neil szybko zawozi ją do domu. Harbinder zastaje matkę i Olivie na kanapie w salonie – oglądają *Celebrity Antiques Roadshow*.

– Cześć, Harbi! – wykrzykuje matka, odwracając się do niej. – Zjesz coś?

Rozdział 33

Benedict: identyczne pizamy

Tym razem podróż przez szkockie wzgórza jest wspaniała. Słońce oświetla odległe jeziora i kamienne zamki, piękne lasy i niżej położone wioski. Za kierownicą siedzi Natalka, oboje z bratem podśpiewują do Radio 1. Benedict zajmuje miejsce z tyłu, z rozmarzeniem wsłuchując się w słowa piosenek. Może to dzięki muzyce pop rodzeństwo tak dobrze zna angielski. Dmytro ma nawet lekki amerykański akcent.

Benedict wciąż nie może uwierzyć w to, co wydarzyło się w nocy. Spał z Natalką. On, który był święcie przekonany, że umrze jako prawiczek. Uprawiał seks z piękną kobietą i wcale nie było to stresujące – było całkiem naturalne i po prostu cudowne. Czy to znaczy, że chodzą ze sobą? Chyba są już zbyt dojrzały, żeby mówić o sobie nawzajem „mój chłopak” i „moja dziewczyna”? Czy są w związku? To słowo przyprawia go o dreszcz podniecenia. Natalka i Dmytro śpiewają o miłości i byciu blisko ze sobą. Benedict myśli o przyszłości. Że będzie budził się co rano przy Natalce, robił z nią zakupy na targu, pływał łódką, świętował Boże Narodzenie, a może nawet będą nosili identyczne pizamy...

– Widzisz, co dzieje się w drugim samochodzie? – pyta Natalka.

Benedict się odwraca. Czarny nissan qashqai, prowadzony przez małomównego młodego mężczyznę o imieniu Duncan, jedzie tuż za nimi. Obok kierowcy siedzi Julie. Chyba rozmawia przez telefon.

– Zdaje się, że Edwin z tyłu śpi – odpowiada Benedict.

– Nie wierz w to – mówi Natałka. – Tylko udaje. Jest najbystrzejszy z nas wszystkich.

– To bardzo mądry człowiek – dodaje Dmytro. – I dużo wie o piłce nożnej.

Ponownie zatrzymują się na stacji Tebay. Tym razem zamierzają pokonać dziesięciogodzinną trasę bez zatrzymywania się na nocleg, więc przystanki na odpoczynek są konieczne. Benedict, Edwin i Julie siadają przed sklepem z produktami rolnymi i piją kawę. Kaczki szukają w trawie okruchów. Natałka, Dmytro i Duncan, nieco dalej, palą papierosy, jedni prawdziwe, inni elektroniczne.

– Dlaczego Harbinder wyjechała w takim pośpiechu? – pyta Julie. – Ledwie się pożegnała.

– Prosiła Natałkę o adres domowy Marii – informuje Benedict. – Maria to jedna z opiekunek. Chyba teraz dorabia sobie, zajmując się matką Harbinder. Może pani Kaur się pogorszyło. Oby nie.

– Muszę przyznać, że byłem zdziwiony, że Harbinder nic nam nie wyjaśniła – wtrąca Edwin. – Nawet detektyw Harris wszystko przy mnie mówił. Powiedział, że docenia mój wkład.

Edwin wspomina o tym trzeci raz. Dobrze, że Jim okazał mu szacunek, nawet jeśli tylko chciał być miły, ale to trochę irytujące. Bo to w końcu on, Benedict, specjalizuje się w rozwiązywaniu zagadek. To on zauważył, że Nigel wychodzi z hotelu z Lance'em, i odkrył, że są kolegami ze szkoły. On łamie sobie głowę, żeby rozwikłać tę sprawę. I na dowód ma schemat powiązań.

– Ciekawe, kiedy dojedziemy – odzywa się Julie. – Powiedziałam opiekunce do psa, że wrócę o dziesiątej. Nie mogę się doczekać, żeby znowu zobaczyć Arthura.

– Zaniosę Natalce kawę – mówi Benedict, zanim Julie zacznie pokazywać mu zdjęcia swojego psa. – Na pewno chętnie się napije.

– Kto jak kto, ale ty wiesz to najlepiej – komentuje Edwin.

Na następnym odcinku trasy Natalka ustępuje Benedictowi miejsca za kierownicą. Od lat nie siedział za kółkiem. Uzyskał prawo jazdy w wieku siedemnastu lat, jak „prawdziwy mężczyzna”, zgodnie z tym, co mówił jego ojciec. Cieszył się, że zdał egzamin już za pierwszym razem, inaczej niż Hugo – który podchodził do niego aż trzy razy – i nawet lubił prowadzić. Jednak w seminarium i później w klasztorze nie miał ku temu wielu okazji. A teraz nie stać go na samochód. Hugo ma oczywiście ogromne auto z napędem na cztery koła i przyciemnianymi szybami.

Początkowo Benedict jest trochę zestresowany, ale później, gdy już oswaja się ze wszystkimi elementami, prędkość i niezależność zaczynają sprawiać mu przyjemność. Na widok znaków: *M1* i *Południe* śmieje się głośno.

– Południe – mówi. – To zbyt uproszczenie.

– Lubię południe – odpowiada Natalka i te słowa brzmią w jej ustach bardzo seksownie: przywodzą na myśl palmy, hamaki, drinki z parasolką. – Mieszkałam na południu Ukrainy. Musisz do nas kiedyś przyjechać.

– Z chęcią – rzuca Benedict ochryłym głosem.

– Pojedziemy tam wszyscy razem – włącza się Dmytro.

– Możesz wrócić do kraju? – pyta Benedict.

Nie widzi twarzy Dmytra, ale słyszy jego westchnienie.

– Któregoś dnia... Któregoś dnia wrócę. Kiedy Rosjanie się stamtąd wyniosą.

– Nie do wiary, jak długo ciągną się te wojny – zauważa Benedict. – Niedawno czytałem Conana Doyle’a, który pisał, że doktor Watson właśnie wrócił z Afganistanu. To okropne, że wciąż trwają tam walki.

– Tak samo na Krymie – wtrąca Natalka. – Czytamy w książkach historycznych o Florence Nightingale, ale to, z czym się spotykała, jest wciąż aktualne. Wiecie, podobno zwierzęta mieszkające w okolicach Czarnobyli wręcz odżyły. Wszystko jest dla nich lepsze, nawet śmiertelne promieniowanie, niż bliskość człowieka.

– Człowiek to potwór – mówi Dmytro, ale ze śmiechem.

Chwilę później Natalka ponownie włącza Radio 1.

Kiedy siedzisz obok kobiety, którą kochasz, M1 ciągnie się w nieskończoność. Zatrzymują się na lunch – zapiekane ciabatty z roztopioną mozzarellą – a później Natalka zmienia Benedicta za kierownicą. Teraz jakoś nie chce im się rozmawiać. Natalka słucha muzyki, Dmytro drzemie z tyłu, a on czyta *Laokoona*, dopóki jeszcze nie zapadł zmrok.

– Możesz czytać podczas jazdy, nie robi ci się niedobrze? – pyta Natalka.

– Nie. To jedna z moich supermocy.

Uwielbia ją rozśmieszać.

Ponownie zatrzymują się na kawę i brownie, które smakują jak węgiel. Podczas gdy Edwin i Julie ustawiają się w kolejce po dolewkę, Benedict sunie wzrokiem po podziękowaniach w *Laokoonie*.

– Lance nie dziękuje zbyt wielu osobom – zauważa. – Nie wymienia agentki literackiej ani wydawcy.

– Co takiego napisał o Peggy? – Natałka zwilżonym placem zbiera okruszki ciasta.

– *Peggy Smith*, sine quibus...

– „Bez której”.

– Tak. Jest jeszcze tylko jedno zdanie: *Serdeczności i podziękowania dla towarzystwa przy oknie wykuszowym*.

– *Towarzystwa przy oknie wykuszowym*? – powtarza ze zdziwieniem Julie, odstawiając swoją tacę. – To z Georgette Heyer. Chodziło o dandysów, którzy siadywali przy oknie w swoim klubie. Chyba przy James’s Street. Sophy, w *Wielkiej Sophy*, wywołuje powszechne zgorszenie, jadąc tą ulicą w swoim wysoko zawieszonym faetonie.

– Lance Foster nie wyglądał na wielbiciela Georgette Heyer – zauważa Benedict. – Ciekawe, kogo miał na myśli. Chociaż... Tak się zastanawiam...

– No? – ponagla go Natałka.

– Okno wykuszowe może być odzewem na jakieś zaszyfrowane hasło – wyjaśnia Benedict. – Które brzmi na przykład: „...z widokiem na...”. Rozumiecie, „okno” i „widok”.

– Proszę, tylko nie zaczynaj znowu z tymi anagramami – odzywa się Edwin, siadając przy stoliku ze swoją herbatą. – Jestem na to za stary.

– To nie anagram, ale może właśnie hasło – odpowiada Benedict. – No, Edwin, co przychodzi ci na myśl, gdy mówię „widok na morze”?

– Szczególnie przygnębiający budynek mieszkalny.

– Otóż to. A jeśli matka Lance’a... albo inna osoba z jego rodziny... mieszkała w Seaview Court? Jeśli znała Peggy i Weronikę? Jeśli miała okno wykuszowe? W Seaview Court są takie. Peggy je miała.

– I stąd Lance znał Peggy – podsuwa Natalka. – Nigdy nam nie powiedział, jak się poznali.

– Powinniśmy powiedzieć o tym Harbinder – orzeka Benedict. – To byłoby brakujące ogniwo.

– Chyba już więcej jej nie zobaczę – mówi Julie.

Sprawia wrażenie zniechęconej. Wyjmuje telefon – może chce poprawić sobie humor, oglądając zdjęcia Arthura.

Przed ostatnim etapem podróży Edwin przesiada się do nich. Duncan zawiezie Julie do domu w Hove, przenocuje w najbliższym pensjonacie i rano wróci do Aberdeen. Większość z nich tyle tylko usłyszała od niego w ciągu całego dnia.

Przyjemnie kończyć podróż w towarzystwie Edwina, w takim gronie, w jakim ją zaczęli. Wydaje się, że upłynęło więcej niż sześć dni od czasu, kiedy wyruszyli o świcie, grali w „kim jestem?” i gawędzili o Gretna Green. Przez ten tydzień Benedict znalazł zwłoki, własnym ciałem zasłonił Natalkę przed kulą z pistoletu i uprawiał seks. Kilka naprawdę pamiętnych scen w książce, jaką jest życie, nawet jeśli to kryminał. Patrzy na siebie w lusterku dla pasażera, zastanawiając się, czy zmiana, jaka się w nim dokonała, będzie widoczna dla kogoś z zewnątrz.

– Dlaczego się uśmiechasz? – pyta Edwin z tylnego siedzenia. – Chętnie bym się z czegoś pośmiał. – Chyba nie ma ochoty wracać do Seaview Court.

– Myślę o tym wszystkim, co się ostatnio zdarzyło.

– Tak, to był dziwny tydzień – przyznaje Edwin.

– Fantastyczny – wtrąca Natalka.

Chyba ma na myśli odnalezienie brata, myśli Benedict, choć byłoby miło, gdyby na jej zadowolenie wpłynęło też to, co stało się w nocy.

– Ciekawe, czy kiedykolwiek się dowiemy, dlaczego zginął Lance Foster – odzywa się znowu Edwin. – Odniosłem wrażenie, że detektyw Harris nie chce dzielić się informacjami z Harbinder. Chociaż wspomniał, że ceni mój wkład...

– Zagrajmy w „kim jestem?” – proponuje Benedict.

Muszą wyjaśnić zasady gry Dmytrowi, co chwilę trwa, a odgadnięcie, że Benedict jest Sammym Davisem Juniorem, zajmuje im prawie całą drogę M25. Edwin ma podobny powód do satysfakcji, wcielając się w Joan Bakewell. Są już niedaleko Shoreham, w oddali widać ciemne jak atrament morze.

– Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, gdzie mieszkasz – mówi znowu Dmytro.

– To nic szczególnego – mówi Natalka. – Moja gospodyni bardzo chce cię poznać. Jej mąż pewnie zasypie cię pytaniami o Ukrainę.

Benedict czuje, jak ściska mu się serce. Natalka podrzuci go pod dom i cała ta przygoda się skończy. Pewnie znowu staną się tylko przyjaciółmi i będą po kumpłowsku spotykać się codziennie w Shack, żeby wypić razem cappuccino.

Seaview Court to pierwszy przystanek. Edwin wydaje się smutny, gdy tak ciągnie za sobą walizkę, idąc do drzwi wejściowych, ale po wstukaniu kodu do domofonu odwraca się i macha do nich dziarsko.

– Biedny Edwin – mówi Natalka. – Będzie czuł się samotny po tej wyprawie. Musimy o nim pamiętać.

Naprawdę jest aniołem, myśli Benedict.

Natalka ziewa, wycofując samochód z parkingu. Dochodzi już jedenasta. Zbyt szybko zajeżdżają pod budynek, w którym mieszka

Benedict.

– Zobaczymy się niedługo, Benny – rzuca Natalka.

– Jasne.

Wyjmuje z bagażnika swoją torbę. Czy ona nawet nie wysiądzie z samochodu?

I wtedy, gdy Benedict szuka kluczy, Natalka pojawia się przy nim. Całuje go w policzek.

– Będzie mi ciebie brakowało dziś w nocy – szepcze.

– Mnie ciebie też. Musimy to kiedyś powtórzyć – dodaje.

– Pewnie. Przecież jesteśmy teraz kochankami.

I wraca do samochodu, machając mu na pożegnanie.

W budynku panuje cisza, gdy Benedict wspina się po schodach. Otwiera drzwi do swojej kawalerki, która zalana światłem księżycy, wygląda jak magiczna komnata, pełna możliwości. Bierze prysznic, ale mimo że dochodzi już północ, nie może zasnąć. Wygląda przez okno, kiedy zatokę omiata światło latarni morskiej, wydobywając z mroku statki, ich maszty i ciemną wodę. Może powinien się pomodlić. W końcu ma za co dziękować. Z nagłą nostalgią przypomina sobie wieczorne modlitwy w klasztorze, nieszpory, litanie pochwał i podziękowań. Nie klęka, nadal siedzi przy biurku, z rozmarzeniem patrząc przed siebie. Na blacie jak zwykle panuje porządek – leżą tu tylko książka, bloczek z kartkami i zakładka. Tą książką jest *Poszcząc, podziękuj Bogu* Sheili Atkins, a na pierwszej kartce bloczku widnieje jedno słowo: *Francja?* Na zakładce znajduje się wizerunek świętego Patryka w zieleni, trzymającego koniczynę i pastorał. Nagle Benedict sobie przypomina. Ta zakładka wypadła z egzemplarza *Poszcząc*, który należał do Peggy i został wtedy skradziony

przez człowieka z bronią. Zachował ją, bo zawsze czuł sympatię do świętego patrona Irlandii, nawet jeśli nie został on oficjalnie kanonizowany. Poza tym lubi święte obrazki. Zbierała je jego babcia, bardziej wierząca niż reszta rodziny.

Na wizerunek pada światło. Święty Patryku, módl się za nami. Wówczas Benedict słyszy głos Peggy: „Religia to opium dla mas”. Dlaczego, tak gardząc wiarą, trzymała w książce święty obrazek?

Głos Natalki: „Maria powiedziała, że trop kryje się w tej książce”. Benedict przeczytał *Poszcząc* od deski do deski i nic szczególnego nie zwróciło jego uwagi. A jeśli ten trop dosłownie krył się w książce? Jeżeli jest nim sam Patryk?

Snop światła latarni przesuwa się dalej i pokój pogrąża się w ciemności.

Rozdział 34

Harbinder: dzwony kościelne

Harbinder budzi się wcześniej, ale matka jest już w kuchni, przygotowuje śniadanie. Ojciec siedzi przy stole, je daliyę i czyta wczorajsze wydanie lokalnej gazety. *Zabójstwo Dexa: policja wciąż błądzi*. Starsky siedzi przy nim ze stoickim spokojem. Czeka na poranny spacer.

– Czy opiekunka miała przychodzić rano? – pyta Harbinder, stawiając czajnik na gazie, żeby zaparzyć kawę.

Matka parzy tylko herbatę albo haldi doodh. Harbinder wciąż pamięta, jak w podstawówce mieli opisać swoje typowe śniadanie. „U nas w domu najpierw robi się makki ki roti...” Kevin Brewster tak się śmiał, że nauczycielka kazała mu wyjść z klasy.

– Nie widziałam Marii od kilku dni – mówi Bibi. – Mam nadzieję, że nie zachorowała. Patricia powiedziała, że postara się przysłać Vicky. Albo nawet przyjdzie sama, około południa. Jakie to miłe z jej strony.

– Dlaczego nie jesteś w sklepie? – pyta Harbinder ojca.

Jest dopiero wpół do ósmej, ale sklep otwierają o siódmej.

– Kush tam jest – odpowiada ojciec. – Chcę zobaczyć, jak gra Kiaan.

Stara się, żeby zabrzmiało to niedbale, jednak Harbinder wie, że Deepak uwielbia patrzeć, jak jego wnuk gra w piłkę nożną. Kiaan ma dopiero osiem lat, ale jak twierdzi jej matka, znana specjalistka od piłki nożnej, „już go namierzyli”. To zabawne: ojciec z pogardą wypowiada się o Hindusach, którzy zbyt starają się zasymilować, ale najbardziej ze wszystkiego lubi oglądać niedzielne mecze piłkarskie, krzycząc za linią boczną i pomstując na sędziów. Jeśli istnieje jakaś bardziej angielska rozrywka, Harbinder chętnie by ją zobaczyła.

– Uściskaj go ode mnie – mówi, bo bardzo lubi bratanków i bratanice. – Powiedz mu, żeby zaliczył hat trick.

Bibi przewraca oczami.

– On jest obrońcą, Harbi.

– Jadę do pracy – rzuca Harbinder.

– W niedzielę? – Bibi dziwi się, jakby była katoliczką, która chce zaciągnąć wszystkich na mszę.

– Pracuję nad sprawą zabójstwa – wyjaśnia. – Jeśli nie przyjdzie żadna opiekunka, zadzwoń do mnie. I, mamó, jeśli zjawi się Maria, dzwoń od razu.

– Dlaczego? – pyta Deepak, unosząc wzrok znad gazety.

Starsky idzie po swoją smycz.

– Muszę z nią porozmawiać – odpowiada ponuro Harbinder.

Neil i Donna są już w komisariacie; Donna dojada pączka, a Neil ćwiczy bicepsy.

– Jak było w urodziwej Szkocji? – pyta Donna. – Przywiozłaś nam maślane ciasteczka?

– Przykro mi, ale nie.

Harbinder zawsze zapomina przywieźć prezenty, choć rzadko kiedy gdzieś wyjeżdża. Neil przywozi słodycze, nawet gdy wyskakuje na jeden dzień do Bognor.

– Przesyłka dla ciebie. – Neil podaje jej kopertę bąbelkową. – Otworzyłem na wypadek, gdyby w środku była bomba, ale to tylko książka.

– Fajnie, że przestrzegasz procedur bezpieczeństwa – odpowiada Harbinder.

To kieszonkowe wydanie *Miasteczka zwanego Morderstwem Dexa Challonera*. W środku jest kartka od Pippy Sinclair-Lewis, zajmującej się promocją.

Zgodnie z obietnicą, pierwsza powieść Dexa z cyklu Morderstwo. Miłej lektury.

Serdeczności

Pippa

To miłe z jej strony, myśli Harbinder, chociaż nie wie, kiedy znajdzie czas, żeby przeczytać takie grube tomszyczne. Wkłada książkę do torby.

– Czego dowiedzieliśmy się o Marii? – pyta.

Neil zagląda do notatek. Zapisuje wszystko starannym dużym pismem. To zawsze okropnie wkurza Harbinder, ale czasami bywa użyteczne.

– Maria Holloway, z domu Lipska. Trzydzieści pięć lat, zamężna z Lee Hollowayem, który zajmuje się układaniem wykładzin dywanowych. Urodzona w Kozłowie, przebywa w Anglii od dziesięciu lat. Pracowała jako pielęgniarka w Szpitalu Uniwersyteckim Princess Royal. Ma stamtąd dobre referencje. Patricia Creeve mówi, że Maria rzuciła pielęgniarstwo, by zająć się wychowywaniem dzieci. Mają ich trójkę: Michaela, Lucy i Jamiego. Starsze uczyły się u Świętego Marka w Steyning, ale od

czwartku nie ma ich w szkole. Lee pracuje w Carpet Kingdom w Shoreham i także od tego czasu nie pojawił się w pracy. Mieszkają pod Steyning. Nasi ludzie całą noc siedzieli w samochodzie przed ich domem, ale nie widzieli żywego ducha.

Nie widzieli żywego ducha. Harbinder myśli o Peggy, siedzącej w fotelu przy oknie z widokiem na plażę i zatokę. Czy zabiła ją Maria, była pielęgniarka? Ale dlaczego?

– To Maria mogła wypłacać pieniądze z konta Peggy – mówi. – Według słów Dexa Weronika też stale podejrzewała, że jest okradana. Może faktycznie tak było. I Maria okradała także ją.

– Po co jednak miałyby zabijać Dexa?

– A jeśli się dowiedział, że zamordowała jego matkę? Pamiętasz, co Maria mówiła Natalce? Że Peggy wiedziała coś o śmierci Weroniki.

– Tylko po co by to mówiła, jeżeli to ona załatwiła Weronikę? – wtrąca Donna.

Przygląda się na ekranie laptopa ściągniętemu z Facebooka zdjęciu Marii. Kobieta obejmuje dwoje dzieci. Ma rozpuszczone włosy, jest odprężona, uśmiechnięta. Potem Donna otwiera zbliżenie z nagrania monitoringu. Maria patrzy prosto w obiektyw kamery, włosy ma spięte do tyłu, oczy zimne.

– Maria odwiedziła Dexa dziesięć minut po północy – zauważa Harbinder. – To by się zgadzało z czasem jego śmierci.

– Ale dlaczego go zastrzeliła? – odzywa się Neil. – Mogę sobie wyobrazić, jak zabija dwie starsze panie. Robi im zastrzyk albo coś w tym stylu. Ale strzelić do kogoś z zimną krwią...

Neilowi nie mieści się w głowie, że kobiety mogą być zdolne do największego okrucieństwa. To ujmujące, ale jak wynika z doświadczenia Harbinder, taka jest prawda.

– Czy mogła też zabić Lance’a Fostera? – pyta Donna.

– Niewykluczone – odpowiada Harbinder. – Recepcjonista twierdzi, że na piętrze pracowały sprzątaczkę. Maria w stroju opiekunki mogła udawać jedną z nich.

– A Nigel Smith? – ciągnie Donna. – Jeśli motywem zbrodni były pieniądze, to on najbardziej skorzystał na śmierci Peggy.

– A Joan, jej przyjaciółka, powiedziała, że zabierał matce forszę – dodaje Neil. – „Niedobry syn”, tak się wyraziła.

– Czy Nigel na pewno był w Aberdeen w czasie, gdy zginął Lance?

– Tak sędzę – mówi Harbinder. – Edwin jest przekonany, że go widział, a dobrze go zna. Benedict zauważył, jak Nigel wychodzi z hotelu z Lance’em. Zdaje się, że ci dwaj byli kolegami ze szkoły.

– W piątek pojechałem do niego. Nie zastałem go w domu – potwierdza Neil. – Jego żona powiedziała, że wyjechał do Frankfurtu. W sprawach zawodowych.

– Sally nie musi wszystkiego wiedzieć – zauważa Harbinder. – Albo go kryje. Spotkamy się z nią jeszcze raz. A w drodze powrotnej możemy zajechać pod dom Marii, poprosić jej sąsiadów, gdzie ona może być.

– Dobra – rzuca Neil.

Pewnie marzy, żeby znowu zobaczyć idealną angielską wioskę, myśli Harbinder.

Kiedy zbliżają się do domu Smithów, rozlega się bicie dzwonów kościelnych. To pewnie jedyne miejsce – z wyjątkiem Ambridge – gdzie ludzie jeszcze chodzą do wiejskiego kościoła, myśli Harbinder. Jej matka słucha w radiu *The Archers*, mimo że mylą jej się postacie. Czy Sally, w typie Shuli, jeśli w ogóle taki typ istnieje, uczęszcza na niedzielne

nabożeństwo? Jednak nie: Sally od razu otwiera drzwi, trzymając Ozymandiasa za obrozę. Jest w kaloszach i najwyraźniej dopiero co wróciła ze spaceru z psem.

– O, to wy – rzuca.

Wygląda na to, że pozory uprzejmości powoli znikają.

– Czy możemy wejść? – pyta Harbinder. – Cześć, Ozzy. – Usiłuje jednocześnie poklepać psa po łbie i utrzymać go na odległość.

– To nie jest najlepsza pora... – zaczyna Sally.

Ale Neil i Harbinder siedzą już przy barze śniadaniowym, a Ozymandias radośnie kręci się wokół nich.

– Gdzie jest Nigel? – zagaduje Harbinder.

– Jak powiedziałam pani koledze, wyjechał do Frankfurtu. W sprawach służbowych. I jeszcze nie wrócił.

Zdjęła kalosze i wygląda trochę niepoważnie w puchatych różowych skarpetkach. Nie proponuje gościom herbaty ani kawy.

– W zeszły wtorek i środę kilku świadków widziało pani męża w Aberdeen – mówi Harbinder. – Czy wie pani, co tam robił?

– Nie był w Aberdeen.

Sally obraca się tyłem do nich i poprawia róże w wazonie. Nie umie kłamać.

– Pani Smith – podejmuje Harbinder. – Sally. Wiadomo nam, że Nigel spotkał się tam z Lance'em Fosterem. I że on i Lance chodzili do jednej szkoły. W środę wieczorem Lance został zamordowany. Jeśli nie chce pani, żeby mąż stał się podejrzanym numer jeden w tej sprawie, lepiej proszę nam powiedzieć, po co pojechał do Aberdeen.

Sally z powrotem się odwraca. Na policzku ma ślad błota i teraz sprawia wrażenie małej i bezradnej. Zegar z kukułką w holu wybija

dziesiątą – dźwięk jest głośny i dziwnie złowróżbny.

– Obiecałam, że nie powiem.

Tylko z czymś nie wyskocz, bezgłośnie ostrzega Neila Harbinder. Po prostu czekaj. Zegar bije i bije. Ozymandias znacząco wylizuje pustą miskę.

– Nigel napisał książkę – mówi nagle Sally.

Harbinder wymienia z Neilem spojrzenie. Jeśli nawet czegoś się spodziewała, to na pewno nie tego.

– Zajęło mu to raptem kilka tygodni – ciągnie Sally. – Ale jest świetna. Nigel nie chciał, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział. Jest chyba przesądny i woli zachować to w tajemnicy do czasu, aż książka się ukaże. Czytałam ją, ale nie jestem na tyle mądra, żeby służyć mu jakimiś redakcyjnymi uwagami. Dlatego Nigel pomyślał o Lansie. Owszem, znali się ze szkolnych czasów. Nie byli przyjaciółmi, ale utrzymywali ze sobą kontakt i Lance zaproponował, że rzuci na nią okiem. Po koleżeńsku, oczywiście. Nigel wysłał mu tekst i kilka dni później Lance się odezwał. Miał uwagi. Nigel chciał omówić je z nim osobiście. Nie był pewny, czy Lance zrozumiał jego intencje.

– Czy ta książka nosi tytuł *Ghostwriter*? – pyta Harbinder.

Teraz oboje, Sally i Neil, patrzą na nią ze zdziwieniem.

– Skąd pani wie? – W głosie Sally brzmi lęk.

– Powiedział mi o niej Miles Taylor. Pod względem fabuły, jego zdaniem, przypomina książkę, którą zamierzał napisać Dex Challoner. Czy Nigel słyszał, jak Dex rozmawiał o tym z Peggy?

– To możliwe. – Sally odzyskuje panowanie nad sobą. – Ale *Ghostwriter* to całkowicie oryginalne dzieło.

Skoro tak twierdzisz, myśli Harbinder. Nie ma pewności, czy Nigel świadomie wykorzystał pomysł Dexa, czy też wmówił sobie – i żonie – że to wyjątkowy wytwór genialnego umysłu.

– Nigel wysłał tekst Milesowi – podejmuje Sally. – To taki sympatyczny człowiek. Peggy też go lubiła. Był jednym z tych studentów, o których wam mówiłam, pamiętacie? Peggy pomogła im, kiedy była w Rosji. Nigel zrobił to anonimowo, żeby Miles w żaden sposób nie czuł się wobec niego zobowiązany.

Albo żeby Miles nie miał skojarzeń z Dexem, myśli Harbinder. Jest przekonana, że Nigel chciał, by Miles czuł się wobec niego zobowiązany.

– Liczę, że on zaproponuje mu wydanie tej książki – ciągnie Sally. – Nigel powiedział, że możemy spodziewać się całkiem sporej zaliczki. Muszę przyznać, że przydałyby nam się te pieniądze.

Czyżby? Harbinder rozgląda się po kuchni: najnowocześniejsze szafki sąsiadujące ze staroświecką kuchenką Aga. Jeśli Sally i Nigelowi brakuje forsy, to muszą mieć inne wyobrażenie biedy. Potem przypominają jej się słowa Joan: „Zabierał Peggy wszystkie pieniądze. Zarzucał jej, że za dużo gra. Ale ona też grała. Tak twierdziła Peggy”. Kogo miała na myśli? Sally?

– Czy to wszystko? – pyta Sally. – Bo naprawdę mam robotę.

Ciekawe jaką, myśli Harbinder.

– Dziękujemy pani – mówi. – Bardzo nam pani pomogła. Sami trafimy do wyjścia.

Ale Ozymandias odprowadza ich do drzwi, najwyraźniej wierząc, że teraz wszyscy są najlepszymi przyjaciółmi.

Gdy jadą wiejskimi drogami pod dom Marii, Neil, który prowadzi, mówi:

– Naprawdę czasami myślę, że jesteś czarownicą, Harbinder. Skąd, do diabła, wiedziałaś o tej książce?

Ona mimo woli czuje zadowolenie.

– Miles Taylor mi powiedział. I okazało się, że był jednym z tych studentów.

Opowiada Neilowi o Andriju i jego żądzy zemsty.

– Jim Harris, tamtejszy detektyw inspektor, nie sądzi, żeby między zabójstwem Dexa a śmiercią Lance’a był jakiś związek, ale ja uważam, że jest. I że należy szukać go tutaj, w Shoreham.

– Maria?

– Być może. Czy to tutaj?

Na obrzeżach Steyning stoi szereg domków z tarasami. To niedaleko Clare. Ale podczas gdy Clare mieszka w eleganckim miejskim domu, który nie wiadomo jak wyrósł na wiejskich terenach Sussex, te domki są małe, pudełkowate, z tynkiem kamyczkowym i stolarką, która prosi się o odmalowanie. Domek Marii ma ładny ogródek od frontu, po treliach pną się róże, które przejawiają niezłomną wolę życia. Ale już u najbliższego sąsiada stoją na podjeździe dwa rdzewiejące samochody, a po drugiej stronie w prowizorycznej klatce gdakają kury.

– Nie chciałbym tu mieszkać – stwierdza, jak można było przewidzieć, Neil.

– Pewnie na nic lepszego ich nie stać – odpowiada Harbinder.

Czy to dlatego Maria kradła, a może i zabijała? Żeby uciec od handlarza używanymi autami i hodowcy kur?

– Rozmawiałaś z sąsiadami?

– Ja osobiście nie. Wysłano tu dwóch posterunkowych.

– W takim razie pogadajmy teraz.

W domku z samochodami na podjeździe nie ma nikogo, ale w tym z kurami drzwi otwiera kobieta.

– Już mówiłam tamtym policjantom – odpowiada na pytanie. – Nie widziałam Marii ani Lee od dłuższego czasu.

– Nie powiedzieli, dokąd wyjeżdżają?

– Nie, co jest dziwne, bo dobrze ze sobą żyjemy. Zwykle, jak gdzieś wyjeżdżają, opiekujemy się ich kotem, Puzzle'em.

– A kto teraz się nim zajmuje?

– Chyba zabrali go ze sobą. – Kobieta rumieni się lekko. Jest dość młoda, w wieku Harbinder, krótkowłosa, z tatuażami na ramionach. – Mam klucz, więc zajrzałam do środka, żeby sprawdzić, co z kotem. Wygląda na to, że go wzięli. Jego koszyka nie było.

To ciekawe. Jeśli ktoś zabiera ze sobą kota, to znaczy, że sprawa jest poważna.

– A może domyśla się pani, dokąd wyjechali?

– Nie. Już mówiłam tamtym. Rodzice Lee mieszkają gdzieś w Kent, ale nie wydaje mi się, żeby on i Maria utrzymywali z nimi bliski kontakt. A cała rodzina Marii jest w Polsce. Mam nadzieję, że wszystko u nich dobrze. To tacy mili ludzie. Dzieci też sympatyczne. Michael czasami pomaga mi zbierać jajka. Płacę mu za każde dziesięć pensów.

Harbinder i Neil wracają do samochodu i patrzą, jak ta kobieta, Fliss, karmi kury.

– Rzeczywiście wygląda na to, że Maria się zmyła – mówi Neil. – Musi mieć coś na sumieniu.

– Albo się boi – podsuwa Harbinder. Milknie, a po chwili pyta: – Czy myślisz, że Sally i Nigel naprawdę potrzebują pieniędzy?

– Jasne, że nie. Widziałas tę ich kuchenkę? Kelly by taką chciała. Ja też, mimo że nie umiem gotować.

– Kuchenka sama niczego nie ugotuje – mamrocze Harbinder. – Joan wspomniała o jakiejś kobiecie, która uprawia hazard. Edwin twierdzi, że nie

chodziło o Peggy. To może o Sally?

– Joan już nie kontaktuje, biedna staruszka. Poczekaj. Dostałem esemesa.

Neil wyjmując telefon i przebiera po wyświetlaczu swoimi łapkami. Ten widok zawsze ją drażni. Mógłby użyć kciuków jak normalni ludzie. Harbinder spogląda na szereg domków, więdnące róże, rdzewiejące samochody. Fliss, z koszykiem jajek w ręce, dostrzega to i macha do niej.

– Harbinder – rzuca Neil.

Słyszając ton jego głosu, Harbinder natychmiast odwraca głowę.

– Mam następne nagrania z kamer przy Millionaires' Row. I zobacz, kto stoi przed domem Dexa.

Zdjęcie jest niewyraźne, ale nie można się pomylić. To Patricia Creeve. Z pistoletem w dłoni.

– Gdzie ona teraz jest? – pyta Neil.

Harbinder szybko zerka na zegarek. Dwunasta.

– U mojej mamy – odpowiada.

Rozdział 35

Harbinder: babie lato

Harbinder dzwoni do domu, ale nikt nie odbiera. Matka nie ma komórki, a ojciec jest na meczu. Próbuje skontaktować się z Kushem, ale daremnie, pewnie jest zajęty w sklepie. Czym prędzej zawiadamia komisariat i prosi, żeby wysłali kogoś do jej domu.

Neil w tym czasie dodaje gazu. W drodze do Shoreham mijają dom Clare i dawną fabrykę cementu, płaskie zielone pola, samochody stojące na jałowym biegu, rowerzystów w obcisłych strojach, na wyścigówkach. Jadą na sygnale, więc wszyscy ich przepuszczają.

– Szybciej! – rzuca nerwowo Harbinder.

– Nie martw się – uspokaja ją Neil, trzymając kierownicę wyprostowanymi rękami. – Będziemy na miejscu za dziesięć minut.

Ale dziesięć minut wystarczy, żeby Patricia wstrzyknęła jej matce śmiertelną dawkę jakiejś substancji. Bibi nawet nie zapyta, co to za zastrzyk. Nie będzie chciała sprawiać kłopotów. Pewnie nawet od razu podciągnie rękaw. Harbinder zaciska dłonie w pięści. Jeśli Patricia skrzywdzi jej matkę, ona rozerwie ją na strzępy. I zrobi to z przyjemnością.

– Spokojnie – mówi Neil. – Znowu wydajesz ten dziwny warkot.

Na rondzie przy obwodnicy jak zwykle jest koszmarny korek. A pośrodku pasą się niczego nieświadome konie. Neil zmienia pas ruchu; wciskając pedał gazu, przejeżdża poboczem. Harbinder w życiu by nie pomyślała, że może być zdolny do czegoś takiego.

Ale w mieście już tak się nie da. Na wszystkich drogach stoi sznur samochodów. Główna ulica została zamknięta, bo mają się odbyć dożynki. Harbinder zgrzyta zębami i przeklina kościoły, święta i wszystkich ludzi. Neil skręca w boczną uliczkę, która okazuje się zastawiona przez vana.

Harbinder otwiera drzwi samochodu.

– Prędzej dotrę na piechotę. Ty jedź najszybciej, jak się da. Spotkamy się na miejscu.

Przebiega obok vana i przecina dziedziniec kościelny, roztrzaskując dzieci z balonami i karmelowymi jabłkami na patyku. Matka zawsze zabierała ich na dożynki. Na widok Bibi w sari i Deepaka w turbanie ludzie szeptali między sobą, ale matka zamierzała korzystać ze wszystkich rozrywek, jakie tylko były dostępne. Nawet przejechała się karuzelą; siedziała na malowanym uśmiechniętym koniu, jedną ręką przytrzymując sari, a drugą machając energicznie. Harbinder – Boże, wybacz jej – czuła się zażenowana i nie chciała do niej dołączyć. To Abhey wskoczył na sąsiedniego konia, nie dbając o to, że śmieje się z niego cała klasa, że wytykają palcami chłopca z kokiem. Jeśli jej matka wyjdzie z tego cało, Harbinder pójdzie z nią wszędzie, nawet do Harry Potter World i do gurdwary.

Wreszcie skręca za róg i mija pub, w którym piła z Natałką czerwone wino. Przed domem stoi jakiś samochód. Patricii? Gdy Harbinder przebiega przez ulicę, nadjeżdża auto Natałki i wyskakuje z niego Benedict. Macha jakimś kartonikiem i mówi coś bez sensu.

– Patryk! Patricia. To ona! Dzwoniłem do ciebie, ale nie odbierałaś...

– Nie mam na to czasu, Benedict! – Harbinder szuka w torbie kluczy, ale oczywiście akurat nie ma ich tam, gdzie powinny być. Wali więc w okno sklepowe. – Kush! Wpuść mnie do domu!

Jej brat irytująco wolno wychodzi zza lady.

– Co się dzieje, siostrze? Jest z nią opiekunka. Widziałem, jak wchodziła. Taka wysoka postawna kobieta.

– To psychopatka – dyszy Harbinder. – Wpuść mnie!

Coś w tonie jej głosu sprawia, że Kush nie tylko szybko otwiera drzwi, ale także idzie za nią na górę. Benedict podąża za nimi, wciąż bredząc coś o świętym Patryku.

– Mamo?! – woła Harbinder. – Mamo!

Cisza.

– Mamo! – wrzeszczy Kush.

Głos ukochanego syna powinien obudzić Bibi, ale w domu nadal panuje głucha cisza.

Harbinder wpada do salonu. Matka siedzi nieruchomo w swoim fotelu.

– Mamo!

Ujmuje ją za rękę i – chwała niebiosom – wyczuwa puls. A ciało jest ciepłe.

Matka otwiera oczy.

– Harbinder? Kushna? Co tu robicie?

– Gdzie Patricia? Ta kobieta z agencji?

– Jest w kuchni, parzy herbatę.

– Zostań z nią – nakazuje bratu Harbinder.

Otwiera drzwi do kuchni. Patricia stoi nieruchomo, plecami do blatu, a naprzeciwko siedzi Starsky i na nią warczy.

– Wciąż nie mogę w to uwierzyć – mówi Neil. – Myślałem, że Patricia jest z tych dobrych.

Są już z powrotem w komisariacie i jedzą pizzę. Patricia Creeve została oskarżona o zamordowanie Dexa Challonera, ale pewnie, jak sądzi Harbinder, przyzna się także do zabicia Peggy Smith i Lance’a Fostera. I być może Weroniki Challoner.

– Potrzebowała pieniędzy – wyjaśnia teraz Harbinder. – To ona uprawiała hazard. Dlatego musiała przenieść firmę do domu. Od lat podbierała forszę Weronice, ale kiedy starsza pani zaczęła coś podejrzewać, zabiła ją. Peggy na pewno się tego domyślała. Była dobra w rozwiązywaniu zagadek kryminalnych, jak pamiętasz. Ale nie miała żadnego dowodu. Powiedziała Marii, że śmierć Weroniki wydaje jej się podejrzana. I że trop kryje się w *Poszcząc, podziękuj Bogu*, ale chodziło jej nie o treść książki, tylko o obrazek ze świętym Patrykiem. Patryk. Patricia.

– Lepiej by zrobiła, gdyby zwyczajnie zgłosiła to policji – zauważa Donna.

– Nie miała pewności.

– Czyli to Patricia wpadła wtedy z pistoletem do mieszkania Peggy, gdy byli tam Natałka i Benedict? – podejmuje Neil. – Chyba zeznali, że to był mężczyzna.

– Patricia jest wysoką kobietą – odpowiada Harbinder. – Tak określił ją mój brat. Musi mieć buty o rozmiarze co najmniej czterdzieści dwa... pod oknem Dexa został ślad jej stopy. Trzeba będzie wezwać podiatrę kryminalistycznego. – Jest zadowolona, że zapamiętała nazwę tej obco brzmiącej funkcji.

– Maria poszła spotkać się z Dexem – dodaje Neil. – Dlatego zarejestrowała ją kamera monitoringu.

– Tak. Śmierć Peggy i obecność Dexa na pogrzebie musiały sprawić, że Maria przypomniała sobie słowa Peggy o śmierci Weroniki. Poszła do Dexa i powiedziała mu o tym, nie wiedząc, że osobą, którą Peggy podejrzewała, jest Patricia. A on od razu zadzwonił do Patricii. Nie wiem po co. Żeby spytać, czy może wierzyć Marii?

– Telefon leżał obok niego na kanapie – wtrąca Neil. – Rzeczywiście dzwonił do Patricii. A ona czym prędzej przyjechała i go zabiła.

– Dobrze strzela – mówi Harbinder. – Sama mi o tym wspomniała. Pochwaliła się, że zawsze wygrywa trofea na strzelnicach na molu w Brighton.

– Czyli Maria nie wiedziała, że to była Patricia? – pyta Neil.

– Nie. Wiedziała jednak, że ktoś z jej otoczenia jest mordercą, i wpadła w popłoch.

Marię odnaleziono. Schroniła się u teściów w Ashford. „Bałam się – wyznała policji w Kent. – Dlatego uciekłam. Przepraszam. Myślałam, że będę następną ofiarą zabójcy, bo wiedziałam o nich wszystkich. O Peggy, Weronice i Dexie”. I pewnie się nie myliła, przypuszcza Harbinder.

– A co z Lance'em Fosterem? – pyta Donna.

– Jego matka przyjaźniła się z Peggy i Weroniką – odpowiada Harbinder. – Właśnie dowiedziałam się tego od Benedicta. Określały się mianem towarzystwa przy oknie wykuszowym, bo siadywały przy nim, żeby patrzeć na morze. Lance wspomina o nich w książce, w podziękowaniach. Może to go z nimi łączy.

– Czy Patricia zdążyłaby dotrzeć do Aberdeen?

– Tak. Z Shoreham do Aberdeen można dostać się w kilka godzin. Kobieta z ochrony mówiła mi, że pielęgniarki często latają na tej trasie. Może myślała właśnie o Patricii. Niewykluczone, że Patricia leciała tego

dnia w swoim starym uniformie pielęgniarzkim. Złapała samolot do Aberdeen, zabiła Lance'a i wróciła do domu o północy.

– Trzeba mieć zimną krew – wtrąca Neil.

– Myślę, że Patricia działała z zimną krwią – przyznaje Harbinder. – Prowadziła agencję wyłącznie w celach zarobkowych. Powiedziała mi, że wciąż brakuje jej pieniędzy. Była uzależniona od hazardu. Może to właśnie chciała przekazać nam Joan.

– A cała reszta? – pyta Donna. – Anonimowe pocztówki, ludzie, którzy śledzili Natalkę?

– Okazało się, że to ci ukraińscy studenci – wyjaśnia Harbinder. – Był z nimi powiązany wydawca Dexa. Nigel Smith chyba liczy, że ten człowiek wyda jego powieść.

– Czy każdy musi pisać książkę? – odzywa się Donna. – Ja osobiście nie widzę w tym nic szczególnego.

– To chyba sposób spędzania czasu – mówi Harbinder.

Przypomina jej się, co powiedziała Julie: „Rodzaj ucieczki”. Wyobraża ją sobie, jak siedzi w kafejce w Brighton, przebywając we własnym słonecznym świecie, gdy wokół toczą się rozmowy.

– Wyglądasz na zmęczoną – zauważa Donna. – Powinnaś jechać do domu.

– Odwiozę cię – proponuje Neil.

– Moi rodzice pewnie wydają przyjęcie na cześć psa – rzuca Harbinder.

Kiedy jednak przyjeżdża do domu, matka już śpi i czeka na nią tylko ojciec ze Starskym.

– Chodź, usiądź przy mnie, Harbi – prosi.

Ogląda wiadomości. Jest dopiero dziesiąta.

Kiedy Harbinder siada obok niego, wdycha znajomy zapach czystego płótna i wody po goleniu. Po chwili opiera głowę na jego ramieniu – tylko dlatego, że jest wykończona, mówi sobie.

– Na pewno padasz z nóg – zauważa ojciec. – Tyle przeżyłaś. Wracam z meczu i słyszę, że uratowałaś matce życie.

– To zasługa Starsky’ego. Przygwoździł Patricię do kuchennego blatu.

Czuje, jak unosi się jego pierś.

– Wspaniale się spisał, prawda? Musiał wiedzieć. Ta straszna kobieta od początku budziła jego nieufność. Dlatego zaczął na nią warczeć, kiedy zabrała się do parzenia herbaty. To pierwszorzędny pies obronny.

Od razu przyznajmy mu Medal Królowej za Odwagę, myśli Harbinder. Ale wyciąga rękę, żeby pogłaskać Starsky’ego po uszach.

– Jest bohaterem – mówi.

Przez jakiś czas w milczeniu oglądają telewizję. Z prognozy pogody dowiadują się, że na południu Anglii nadal będzie trwało babie lato.

– Babie lato – powtarza Deepak. – To niepoprawne politycznie. – Znów milknie, a po chwili oświadcza: – Jestem z ciebie bardzo dumny, Harbi. Mam nadzieję, że o tym wiesz. Zdaję sobie sprawę, że czasami trudno się mieszka ze starymi rodzicami.

– Nie jest tak najgorzej – rzuca Harbinder.

– To naprawdę niełatwe. Jesteś już dorosłą kobietą. Masz odpowiedzialną pracę.

O rany. Czy mogłaby to dostać na piśmie?

– Chcę, żebyś wiedziała... zawsze możesz zaprosić tu przyjaciół.

Serce aż jej zamiera. Czy ojciec mówi to, co jej się wydaje?

– Zawsze możesz zaprosić do domu swojego chłopaka. Albo dziewczynę.

Czyli tak. Co ma powiedzieć? Może najlepiej milczeć. Wygląda na to, że Deepak przygotowywał sobie tę mowę już jakiś czas temu.

– Zależy nam, żebyś była szczęśliwa. Nieważne, z mężczyzną czy z kobietą.

Harbinder czuje, że serce trzepocze jej w piersi, jakby chciało stamtąd wylecieć, unosząc ze sobą całe ciało. Zauważa na wyświetlaczu smartfona wiadomość od Julie.

Może spacer w Brighton któregoś dnia?

Harbinder i jej ojciec patrzą na ekran telewizora – widzą, jak przez Europę przechodzi front wysokiego ciśnienia.

Rozdział 36

Benedict: Dziennik pani znad morza

To Alison, administratorka, informuje Benedicta, że mieszkanie Peggy sprzedano.

– Może chcecie z Natalką zajrzeć tam i sprawdzić, czy nie zostały jeszcze jakieś rzeczy Peggy? Jej syn i synowa zabrali chyba wszystko, może z wyjątkiem jednego czy dwóch pudeł.

– Zostawili tylko to, co nie ma żadnej wartości – prycha Natalka. – Znam takich.

– Zawsze twierdzisz, że masz o ludziach złą opinię – zauważa Benedict. – Ale wcale tak nie jest.

Czuje, że teraz może mówić jej coś takiego. Od dwóch tygodni spotykają się prawie codziennie. Dmytro wrócił do Aberdeen, a Natalka przeważnie nocuje u Benedicta. Rozmawiali nawet – krótko – o tym, żeby zamieszkać razem.

– Nic już tam nie znajdziemy. – Natalka obstaje przy swoim. – Nic wartościowego.

Kiedy jednak wchodzi do znajomego mieszkania, widzą pośrodku salonu duże pudło. Są w nim głównie stare notesy. Benedict wyjmuje je i rozkłada na podłodze. Dziwnie znowu tu być, siedzieć w świetle

słonecznym wpadającym przez okno wykuszowe. Benedictowi przypomina się pogrzeb Peggy: goście w czarnych strojach, Nigel stojący z boku i patrzący spode łba. Potem kroki na schodach i lufa pistoletu wymierzonego w niego i Natalkę. Czy naprawdę za maską kryła się Patricia Creeve? Tak twierdzi Harbinder, chociaż Benedict wciąż w to powątpiewa. Ale została nagrana, z bronią w ręce, przez kamery przemysłowe i oskarżono ją o zabójstwo Dexa Challonera. Harbinder jest zdania, że dojdą kolejne zarzuty. Dopóki nie znajdzie się nowy kierownik, Care4You prowadzą Natalka i Maria.

– Spójrz na to – mówi Benedict do Natalki, która przegląda pocztówki. – To *Księga dochodzeniowa* Peggy. Zastanawiałem się, gdzie ona może być. Prowadziła w niej zapiski. *Dziennik pani znad morza*.

Tytuł jest napisany fantazyjnymi literami, a wokół niego widnieją motywy morskie w pastelowych kolorach.

Benedict przerzuca strony, podziwiając staranne pismo Peggy i jej skrupulatne wykazy biegaczy, rowerzystów i spacerowiczów z psami. Wrzesień 2018, ostatni miesiąc jej życia. Czy naprawdę miała atak serca, czy też została zamordowana przez Patricię? Z tego, co mówi Harbinder, podczas sekcji zwłok rzadko kiedy daje się wykryć przedawkowanie insuliny.

Dziesiąty września 2018 roku. Dzień śmierci Peggy. Co tego dnia zobaczyła?

2 kobiety z chodzikami

1 ksiądz (pastor?) jedzący lody

11 spacerowiczów z psami. 6 kobiet: 4 mieszańce, mops, terier jack russell

1 mężczyzna z chartem, 2 pary z pudłowatymi

5 rowerzystów

6 biegaczy

1 monocyklista

Benedict ponownie przesuwając wzrokiem po liście: *11 spacerowiczów z psami. 6 kobiet: 4 mieszańce, mops, terier jack russell, 1 mężczyzna z chartem, 2 pary z pudłowatymi.*

– Natałka? Jakiego psa ma Julie? – pyta. – Chodzi mi o rasę.

– Jacka russella. Pamiętasz, pokazywała nam zdjęcia.

– Spójrz na to. – Pokazuje jej listę.

– Monocyklista. Pewnie z Brighton – zauważa Natałka.

– Nie. Kobieta z jackiem russellem.

– To nie musiała być Julie.

– Nie, ale mówiła, że nigdy nie poznała Peggy. I zastanawia mnie jeszcze jedno.

– Co takiego? – pyta Natałka ze zniecierpliwieniem, ale też z pewną czułością.

– Kiedy czytałem *Ty mnie do tego pchnąłeś*, coś mi się przypomniało. Teraz uświadomiłem sobie, co to było. Intryga bardzo przypominała fabułę *Poszcząc, podziękuj Bogu*.

– Czyli tej książki, którą zabrał człowiek z bronią.

– Właśnie.

Natałka patrzy na niego uważnie. Oboje wstają z podłogi.

– Gdzie mieszka Julie? – pyta Benedict.

– W Hove. Ale dziś nie ma jej w domu. Umówiła się z Harbinder.

Natalka zostawiła samochód przed swoim domem i kiedy po niego idą, zatrzymuje ich Debbie, która koniecznie chce porozmawiać o Dmytrze i o tym, jaki jest uroczy. Z kolei gdy już jadą, utykają w korkach na drodze wzdłuż wybrzeża, nieuniknionych w sobotnie popołudnie. Natalka raz po raz zmienia pas ruchu, a Benedict dzwoni do Harbinder i do Julii. Żadna z nich nie odbiera.

– Naprawdę sądzisz, że Julie zabiła Peggy? – Natalka wyprzedza piętrowy autobus wycieczkowy. – Sprawia wrażenie takiej miłej osoby.

– Motyw i środki. Miała jedno i drugie. Lance’a też mogła zabić. Była wtedy w hotelu.

– A teraz Harbinder jest z nią na randce. Wiem, dokąd pójda. Harbinder powiedziała, że mają wybrać się z psem na spacer. Edwin mówi, że Julie zawsze spaceruje między pomnikiem Pokoju a mołem.

– Czy one ze sobą chodzą, Julie i Harbinder?

– To ich pierwsza randka, chociaż Harbinder nie chce tego tak nazywać. Myślę jednak, że się polubiły. Zauważyłam to w Cove Bay. Kiedy Julie złamała rękę.

– Nie miałem pojęcia. Nie wiedziałem, że Julie jest lesbijką. O tym, że Harbinder nią jest, też dowiedziałem się dopiero od ciebie.

– Ja wyczuwam takie rzeczy. Mówiłam ci, że sypiałam i z mężczyznami, i z kobietami.

– Tak, mówiłaś. Dzięki. Zawsze miło usłyszeć.

– Nie bądź sarkastyczny, Benny. Lepiej rozejrzyj się za miejscem parkingowym.

Łatwo powiedzieć. Nadmorski bulwar w Hove jest pełen ludzi, którzy korzystają z pięknej jesiennej aury. W końcu Natalce jakoś udaje się wjechać na miejsce opuszczone przez motocykl. Jest zaprzeczeniem źle parkujących kobiet z dowcipów. Zresztą Benedict i tak nigdy się z nich nie

śmiały. Zawsze uważał, że kobiety są w wielu dziedzinach lepsze od mężczyzn.

Szybko idą promenadą. Mijają Anioła Pokoju, kawiarnię, pozostałości zachodniego mola, które przypomina szkielet olbrzymiego morskiego zwierzęcia. Ten deptak zmienił się od czasu, gdy Benedict bywał tu jako chłopiec. Teraz wszystko jest starannie zaprojektowane i utrzymane: kamyki w betonie, kosze do gry w koszykówkę, tory do jazdy na rolkach i deskorolkach, sklepy z pamiątkami. Kobiet z psami nie brakuje, ale nie ma wśród nich Julie z Arthurem.

– Nie znajdziemy ich, nie ma szans. – Benedict przystaje przy budce z różowym plastikowym homarem na dachu, żeby złapać tchu.

– A popatrz tam – rzuca Natalka.

Harbinder siedzi sama na ławce i patrzy w stronę morza. Trzyma na smyczy pieska. Benedict i Natalka idą do niej po kamieniach. Ona podnosi głowę i widząc ich, wcale nie jest zdziwiona. Tak samo jak piesek. Natalka i Benedict siadają po obu jej stronach.

– Chcemy porozmawiać z tobą o Julie – zaczyna Benedict.

– Nie ma jej ze mną – odpowiada Harbinder bezbarwnym tonem. – Jest na policji.

Benedict i Natalka patrzą na nią szeroko otwartymi oczami.

– Wiem, że Julie zabiła Peggy – ciągnie Harbinder ze wzrokiem wciąż skierowanym na morze. – I Lance’a Fostera. Podejrzewałam to już od jakiegoś czasu. Patricia zabiła Dexa, bo myślała, że dowiedział się od Marii o jej kradzieżach. Ale Jim miał rację. To morderstwo różniło się od tamtych. Potem przypomniałam sobie, że osoba, która zabrała *Poszcząc, podziękuj Bogu* z mieszkania Peggy, trzymała pistolet w lewej ręce. Patricia jest praworęczna. Julie złamała prawą rękę, ale nadal mogła pisać. A potem przeczytałam tę książkę. Julie zaczerpnęła z niej intrygę swojej pierwszej

powieści. Peggy musiała o tym wiedzieć. Edwin twierdzi, że nie doradzała Julie przy pracy nad nią. Może przeczytała ją później. I dlatego zapytała Milesa, czy czytał *Poszcząc*. A on powiedział o tym Julie. No więc Julie zabiła Peggy.

– Tylko z tego powodu? – pyta ze zdziwieniem Nataalka.

– To było jej wielkie dzieło – tłumaczy Harbinder. – Jedyna jej książka, która odniosła sukces. Myślę, że zabiła, by chronić swój sekret.

– I pewnie dlatego zamordowała Lance’a – dopowiada Nataalka. – Zapytał ją o Peggy. Chyba się domyślał. I podczas panelu, w którym brał udział, wspomniał o *Poszcząc*. To musiało być adresowane do Julie.

– Tak – odzywa się Benedict. – Specjalnie napomknął wtedy o Sheili Atkins i jej umiejętności konstruowania fabuły. Ale przecież Julie, kradnąc jej pomysł, musiała liczyć się z tym, że pewnego dnia ktoś to odkryje.

– Może się liczyła – mówi Harbinder. – Sądzę, że zabicie Peggy przyszło jej z łatwością.

– Julie była dawniej pielęgniarką – zauważa Nataalka. – Edwin mi o tym wspomniał. Wiedziała, jak zrobić zastrzyk z insuliny.

– W tej chwili przesłuchuje ją policja z Brighton. Obiecałam, że zaprowadzę Arthura do jakichś jej znajomych. Naprawdę się o niego martwiła.

Benedict wyciąga rękę, żeby pogłaskać pieska, ale on go ignoruje.

– Myślę, że się przyzna – ciągnie Harbinder wciąż tym dziwnym, jakby obojętnym głosem. – Być może pojawią się jeszcze inne dowody. Nagranie monitoringu z Majestic. Ślady znalezione przez techników kryminalistyki w pokoju hotelowym.

Benedict wyobraża sobie Lance’a siedzącego w fotelu przy oknie. Pewnie nie był przestraszony, kiedy zjawiała się u niego Julie, nawet jeżeli wiedział, że przyszła, by porozmawiać o Peggy. Usiadłby z powrotem,

niemal ciekaw tej rozmowy. Czy wtedy Julie wbiła mu igłę w ramię? Jak mówi Harbinder, pewnie ślady to wykażą.

– Powiadomiłam Jima – podejmuje detektyw. – To już druga sprawa, którą dla niego rozwiązałam. Nie zauważyłam, żeby był szczególnie wdzięczny.

Przez parę minut wszyscy troje patrzą na plażę i morze, błękitne, z drobnymi białymi falami. Ludzie pływają, chociaż jest październik. Na horyzoncie widać lecący po niebie samolot odrzutowy. Z mola dochodzą wybuchy śmiechu i muzyka.

– Przykro mi – mówi Natalka.

– Nic się takiego nie stało – odpowiada Harbinder. – Przynajmniej moi rodzice już wiedzą, że jestem innej orientacji. Pewnie domyślali się tego od jakiegoś czasu. Mam tylko nadzieję, że moja ewentualna przyszła dziewczyna nie okaże się znowu morderczynią.

Siedzą w milczeniu, patrząc na morze i zatłoczoną promenadę.

Rozdział 37

Harbinder: influencerzy

– A więc ta Julie przyznała się do zabicia Peggy i Lance’a Fostera? – Donna wydaje się wręcz poirytowana, ale to pewnie dlatego, że musiała w sobotę przyjść do pracy.

– Na to wygląda – mówi Harbinder.

Poprosiła policjantów z Brighton, żeby nie podchodzili, tylko przy pomniku Pokoju czekali na jej znak. Ogródek kawiarniany jeszcze działał i panował w nim duży ruch, ale udało jej się znaleźć wolny stolik. Gdy zobaczyła nadchodzącą Julie, w pasiastym topie i granatowych spodniach, z podekscytowanym białym pieskiem na smyczy, nagle ogarnęła ją nadzieja, że to nieprawda. Julie to po prostu trzydziestokilkuletnia kobieta, która wyszła z psem na spacer. Atrakcyjna, inteligentna kobieta, z którą Harbinder mogłaby mieć pierwszy dorosły romans, aprobowany przez rodziców. Julie wciąż miała unieruchomioną rękę, trzymała smycz w lewej dłoni. Z uśmiechem pomachała do Harbinder, a potem, gdy podeszła, pocałowała ją w oba policzki. A jej ścisnęło się serce. Nie jest chrześcijanką, ale przypomniała sobie, jak Judasz powitał Jezusa.

– Spóźniłam się? Przepraszam.

– Nie, nie spóźniłaś się. Przyszłam wcześniej.

Co miała teraz powiedzieć? Zapytać: czy zamordowałaś Peggy Smith? Zabiłaś Lance'a Fostera, a potem spędziłaś dwa przyjemne dni w domu nad morzem, śmiejąc się, gawędząc i grając w karty?

– Co u ciebie? – zagadnęła Julie.

Usiadła obok Harbinder przy kawiarnianym stoliku. Arthur szarpał się na smyczy, bo chciał iść dalej.

– W porządku. Wciąż pracuję nad tą sprawą.

Czy tylko jej się wydawało, że Julie nagle zeszywniała?

– Myślałam, że jest już zamknięta. Że winna jest ta kierowniczka agencji opieki. Mówiłaś, że macie nagranie z monitoringu, które ją obciąża.

– Mamy nagranie, na którym Patricia Creeve stoi przed domem Dexa. To ona go zabiła, nie ma wątpliwości. Ale dysponujemy też nagraniem przedstawiającym osobę, która zagroziła bronią Natalce i Benedictowi. To ktoś inny.

Harbinder pamięta, że Julie nic na to nie powiedziała.

– To byłaś ty, Julie. Poszłaś do mieszkania Peggy z pistoletem... pewnie atrapą... i ukradłaś tę książkę. W obiegu pozostało już niewiele jej egzemplarzy i wolałaś ją zabrać. Wcześniej zabiłaś Peggy, prawda?

Kiedy Julie wreszcie się odezwała, rzuciła tylko:

– Nie macie dowodu.

Wtedy zgasł ostatni promyk nadziei, jaką miała jeszcze Harbinder. Żaden niewinny człowiek by tak nie zareagował.

– Zawsze znajdzie się dowód – rzuciła. – Jeśli nie u Peggy, to w pokoju hotelowym Lance'a. Wiesz o tym. Zostawiamy za sobą ślady, to nieuniknione. Chociaż w twoich książkach nie mówi się wiele o policyjnych procedurach, prawda? Czy raczej w książkach Sheili Atkins.

Dała sygnał policjantom, usiłującym, jej zdaniem bez powodzenia, wtopić się w tłum spacerowiczów. Zabrali Julie na przesłuchanie. Harbinder powiedziała, że dołączy do nich, gdy odprowadzi Arthura do znajomych Julie, ale przeszła się jeszcze promenadą i usiadła na ławce z widokiem na morze. Tam właśnie znaleźli ją Benedict i Natalka.

Z komisariatu przy Holland Road zadzwoniła do Donny.

A teraz Donna i Neil próbują ogarnąć bieg wydarzeń.

– Czyli Julie Monroe zabiła Peggy, bo fabułę swojej książki zerznęła z jakiegoś starego kryminału i starsza pani o tym wiedziała? – Na wypadek gdyby powyższa informacja była niezrozumiała, Neil sylabizuje wszystkie słowa.

– Tak. Myślałam, że nie da się tego udowodnić. Po śmierci Peggy nie przeprowadzono sekcji i mnóstwo osób zdeptało ewentualne ślady w mieszkaniu. Ale Julie się przyznała. Zrobiła to, jeszcze zanim przyszedłam na komisariat w Hove. Przyznała się także do zabicia Lance'a. W obu przypadkach wstrzyknęła insulinę. Psycholożka, która z nią rozmawiała, twierdzi, że Julie mogła też zabić swoją matkę. Stąd zaczerpnęła pomysł. Tak zostaje zamordowana ofiara w jej pierwszej powieści: zastrzykiem z insuliną. Nic dziwnego, że wymyślenie tego morderstwa przyszło jej bez trudu.

– Podejrzewałaś coś? – pyta Neil. – Musiałaś dobrze poznać Julie. Byliście wszyscy trzymeni w tym domu nad morzem, prawda?

Patrzy na nią z uwagą, nie jak zwykle, niczym sprytna wiewiórka.

– Tak, miałam pewne podejrzenia – potwierdza Harbinder.

– Powinnaś była się tym z nami podzielić – mówi Donna, ale dość łagodnym tonem.

– To były tylko podejrzenia. Wpadłam na to dopiero po przeczytaniu *Poszcząc, podziękuj Bogu*, czyli wczoraj wieczorem.

– To całe czytanie... – rzuca Neil. – Niedługo wstąpisz do klubu książki, Harbinder.

– Jeśli do tego dojdzie, będziesz mógł mnie zastrzelić, masz moje pozwolenie.

Wraca do domu wczesnym wieczorem. Ojciec jest jeszcze w sklepie, więc Harbinder pod bacznym okiem śliniącego się Starsky’ego pomaga matce przygotować kolację. Jest zadowolona, że nie powiedziała jej o randce z Julie. Bibi bardzo chce pokazać, że nie ma żadnych uprzedzeń, i zasypałaby każdą jej ewentualną dziewczynę płatkami róż i hinduskimi słodyczami. Byłoby jeszcze gorzej niż wtedy, gdy jej bracia przyprowadzali swoje wybranki.

Jest sobotni wieczór, więc po kolacji Harbinder ogląda z rodzicami telewizję, słuchając ich zwyczajowych komentarzy podczas *Mam talent!*

– Spójrz na to, Deepak. Ja bym tak nie umiała.

– A chciałybyś robić coś takiego, Bibi?

Najwcześniej, jak można, Harbinder wymawia się i idzie na górę. Bierze prysznic, wsuwa się do łóżka, po czym chwyta za telefon, ale szybko go odkłada. Próbuje odzwyczaić się od gry w *Panda Pop*. Przypomina jej się uwaga Neila o czytaniu. Może właśnie to powinna teraz zrobić. Poczytać i przestać myśleć o tym, jaki wyraz twarzy miała Julie, kiedy zobaczyła ją tego popołudnia. Czy mogłaby z nią być, gdyby nie to, co się stało? Nawet jeśli tak, myśli Harbinder, to po pierwszej kłótni Julie podeszłaby do niej z pełną strzykawką. Bezpieczniej pozostać singielką.

Rozgląda się po pokoju za czymś do czytania, ale na regale stoją tylko jej szkolne i uniwersyteckie podręczniki, no i komplet powieści Jamesa Herberta. Tego wieczoru nie ma ochoty na horror. Na biurku leży przesyłka od Pippy Sinclair-Lewis z pierwszą książką Dexa Challonera, *Miasteczko*

zwane *Morderstwem*. Wyjmuje ją z koperty i przerzuca. Śmierć, broń, seks, zabójstwo. Idealna lektura na poprawę humoru. Kiedy otwiera książkę na pierwszym rozdziale, ze środka wypada pocztówka. *Miłej lektury!* – napisała Pippa. Harbinder odwraca kartkę i widzi słowa: *Dopadniemy cię*.

Nie spodziewa się, że Pippa Sinclair-Lewis w sobotni wieczór odbierze telefon z nieznanego numeru, a jednak odbiera.

– Przepraszam, że dzwonię tak późno.

– Proszę się nie przejmować. Jestem nocnym markiem. Właśnie czytałam.

– Ja też. *Miasteczko zwane Morderstwem*.

– O, świetnie. I co, podoba się pani?

– Właściwie jeszcze nie zaczęłam. Przeglądałam książkę i wypadła z niej pocztówka. Z tekstem: *Dopadniemy cię*.

Ku jej zaskoczeniu Pippa się śmieje.

– Och, to jeden z pomysłów Dakoty. Pamięta pani, wspominałam o niej. Młoda specjalistka od reklamy i marketingu. Zamówiła te pocztówki do egzemplarzy sygnałnych pewnej debiutanckiej powieści, *Komornicy*. To szaleństwo, bo nawet nie ma na nich tytułu. I rozesłała je, zanim wysłała same książki. Chyba chodziło o to, żeby wywołać „szum”.

Harbinder wyobraża sobie, że Pippa pokazuje palcami cudzysłów.

– Do kogo wysyłano te kartki?

– Do każdego, kto mógł wypowiedzieć się o tej powieści. Albo napisać krótką rekomendację, którą można by zamieścić na okładce. Do recenzentów, blogerów, innych pisarzy.

– Takich jak Dex Challoner, Lance Foster i J.D. Monroe?

– Tak. Właśnie do takich osób. Influencerów, rozumie pani.

– Rozumiem – odpowiada Harbinder. – Cóż, w takim razie nie zawracam już pani głowy. Dobranoc.

– Dobranoc. Przyjemnego czytania.

Harbinder jednak nie ma zamiaru podejmować ryzyka, jakim jest czytanie. Gasi światło i szybko zasypia.

Rozdział 38

Edwin: czas i sposobność

Edwin wraca do swojej starej gry, polegającej na wypełnianiu czasu. W trakcie wykonywania kolejnych codziennych czynności wciąż przypomina sobie fragment z *Makbeta*:

Niech co chce, będzie; czas i sposobności

Burz najgroźniejsze znoszą przeciwności[18].

Pamięta, że podczas festiwalu edynburskiego poszedł z Nickym na eksperymentalną inscenizację tej sztuki. W roli wiedźm występowali tancerze breakdance przebrani za kury. Nie przypomina sobie, z którego fragmentu ten dwuwiersz pochodzi, ale z pewnością Makbet miał wtedy ciężki dzień. Tylu ludzi do zlikwidowania, a tak mało czasu. Edwin ma go za dużo, piasek wolno przesypuje się w klepsydrze, ziarenko po ziarenku. Ale przecież w końcu się przesypie. Niedziele są jeszcze do zniesienia, bo zaczął chodzić na msze. Polubił ojca Brendana i podoba mu się, że niektórzy niezłomni w wierze parafianie pamiętają, jak Edwin się nazywa, i pytają go, jak wymawiać trudne imiona z czytań mszalnych. A najlepsze jest to, że poranna msza niedzielna – razem z drogą tam i z powrotem – zajmuje mu ze dwie godziny, a nawet trzy, jeśli później wstąpi na kawę.

Problem w tym, że budzi się za wcześnie, około piątej rano. Przez to ma w ciągu dnia więcej godzin do zabicia. Godziny do zabicia... Od powrotu z Aberdeen zwraca uwagę na morderczą naturę języka angielskiego. Zabijać czas. Być wykończonym. Wbić komuś nóż w plecy. Strzelić sobie w łeb. Patricia zastrzeliła Dexa, Julie wbiła Peggy igłę, wstrzykując jej zabójczą dawkę insuliny. Edwinowi wciąż nie mieści się w głowie, że te kobiety, które przecież lubił, okazały się zdolne do takich rzeczy. Ale czy *Makbet* nie ostrzega przed kobietami?

Edwin pozwala sobie wstać dopiero o szóstej. Parzy herbatę i robi grzanekę, a potem zjada ją prawie tak irytująco wolno jak Benedict. Następnie idzie do łazienki. Jeśli się postara, potrafi spędzić pod prysznicem nawet dwie godziny. W końcu z wiekiem trzeba uważać, żeby nie poślizgnąć się na wilgotnej podłodze. Zawsze dba o to, żeby mata antypoślizgowa była na miejscu, i korzysta z poręczy, roztropnie zainstalowanych przez tych, którzy przekształcili Preview Court w porządną przystanek na drodze do śmierci.

Później Edwin się ubiera. Jest pod tym względem bardzo staranny: spodnie ma wyprasowane, buty wypastowane, swetry dobrane pod kolor. Podeszły wiek nie usprawiedliwia niechlujstwa. Edwin zawsze szczyił się dobrym gustem. Nie wyszedłby z domu w bezkształtnej bluzie czy źle leżących džinsach, jak Benedict. Chociaż trzeba przyznać, że ten młody człowiek ubiera się znacznie lepiej, odkąd chodzi z Natalką. Nosi porządnie uszyte ubrania z naturalnych tkanin, w odcieniach zieleni i niebieskiego, żeby podkreślić kolor oczu. Ma nawet nowe okulary i nową fryzurę, tak że nie wygląda już, jakby strzygł się sam nożyczkami do paznokci, i to bez lustra. Nie ulega wątpliwości, że ten chłopak stał się innym człowiekiem. Najwyższy czas, myśli Edwin z zadowoleniem. Prawie uwierzył, że to on odegrał rolę Amora pomiędzy Benedictem a Natalką.

Gdy jest już ubrany, z krawatem albo muszką, może iść na kawę do Benedicta. To jego ulubiona pora dnia. Miło pomyśleć, że tuż obok znajduje się miejsce, gdzie zawsze czeka go ciepłe powitanie, gdzie wypije dobrą kawę i będzie mógł pogawędzić o wspólnych znajomych. Żeby tylko tego nie nadużywać. Benedict ma przecież innych klientów. Edwin z reguły nie zostaje dłużej niż pół godziny. Zresztą jest już za zimno, żeby siedzieć zbyt długo przy stole piknikowym. Pogoda wciąż dopisuje, ale w końcu to październik i poranki są chłodne.

Tego dnia jednak, gdy Edwin narzuca już płaszcz na ramiona, ktoś puka do drzwi. Ludzie z zewnątrz zwykle muszą dzwonić przez domofon, żeby dostać się do kompleksu. Pukanie oznacza, że ta osoba jest już w środku. Przez chwilę Edwin wyobraża sobie, że staje twarzą w twarz z uzbrojonym napastnikiem, jak to dwukrotnie zdarzyło się Benedictowi i Natalce. Nie zazdrości im tego, ale jest ciekawy, jak sam zachowałby się w takiej sytuacji. Cóż, może zaraz będzie miał okazję się przekonać.

Otwiera drzwi z niepotrzebną brawurą i widzi na progu Sally Smith.

– Cześć, Edwin. – Sally ma na sobie czerwoną kurtkę i beret, co nagle boleśnie przypomina mu o Peggy. – Wychodzisz? – pyta, wskazując na jego płaszcz i kapelusz.

– Tylko na drugą stronę ulicy, do kawiarni Benedicta. – Edwin nie może się zmusić, żeby mówić o niej Shack, szopa, w każdym razie nie na głos.

– Jak miło – rzuca Sally. – Czy to prawda, że on i Natalka są parą? Alison coś mi o tym napomknęła.

– Tak.

To dziwne określenie, myśli Edwin. Nasuwa mu się tytuł piosenki *We're a couple of swells*^[19]. Żeby tylko nie zaczął nucić jej na głos.

– Cudownie. Cieszę się, że Natalka znalazła sobie porządnego chłopaka.

– Benedict z całą pewnością jest porządny.

– Wiesz, że według policji Peggy została zamordowana? – pyta Sally. – Czy to nie straszne?

– Rzeczywiście, straszne.

– Nigel bardzo to przeżywa. Pisze, żeby czymś się zająć.

Z tego, co Edwin słyszał, lepiej by było, żeby Nigel Smith raz na zawsze zapomniał o pisaniu. To trochę niepokojące, że nagle odkrył w sobie literata.

– Nieważne – rzuca Sally. – Przyszłam ci powiedzieć, że sprzedaliśmy mieszkanie Peggy.

– Tak, Alison mi mówiła. – Wiedział oczywiście, że tak się stanie, ale teraz, gdy to nastąpiło, jest mu zaskakująco smutno.

– Nowa lokatorka, pani Shepherd, wprowadzi się za kilka tygodni – ciągnie Sally. – Więc pomyślałam, że może wcześniej zorganizujecie sobie tam ostatnią herbatkę? Żeby pożegnać się z Peggy. Natałka ma chyba drugi komplet kluczy. Może je później odesłać do agencji handlu nieruchomościami.

– Ciekawe, skąd ona wie, że wciąż mam te klucze – mówi Natałka. – Wygląda na to, że Sally wie wszystko. Tak czy owak, ta herbatka to fajny pomysł.

– Przyniósłbym ciasto – ofiarowuje się Benedict, podchodząc z talerzem niezbyt udanych brownie.

– Zaprosimy Harbinder? – pyta Natałka.

– A jak ona się ma? – wtrąca Edwin. – Po tej historii z Julie – wyjaśnia po chwili.

– Chyba nie najgorzej – odpowiada Natałka. – Jest twarda.

– Ale mocno to przeżyła – zauważa Benedict. – Zresztą jak my wszyscy.

– O tak – przyznaje Edwin. – Naprawdę lubiłem Julie.

– A ja nigdy nie miałam do niej zaufania. – Natałka wcześniej nic takiego nawet nie sugerowała. – Kiedy dzieliłyśmy pokój, mówiła przez sen.

Znowu lady Makbet, myśli Edwin.

– Powinniśmy zaprosić Harbinder – rzuca Benedict. – Peggy chciałaby, żebyśmy uczcili zakończenie tej sprawy. Pamiętam, jak zawsze powtarzała, że nie znosi kryminałów, w których pozostają niezakończone wątki.

– Zdaje się, że to my jesteśmy takimi niezakończonymi wątkami w tej historii.

– Nie – mówi Natałka. – My jesteśmy głównymi bohaterami.

Edwin myśli o tym w drodze powrotnej do Preview Court. Zastanawia się, czy jest głównym bohaterem własnego życia. Gdyby je sfilmowano, pewnie to jego matka i Nicky graliby najważniejsze role, a przynajmniej takie, które miałyby szansę na Oscara. Cóż, w każdym razie tajemnica Peggy stanowiłaby interesującą ostatnią część.

Czym ma się zająć, gdy już wróci do domu? Jest dopiero jedenasta, o wiele za wcześnie na lunch. Jeśli doręczono gazetę, zabierze się do rozwiązywania krzyżówki. To będzie sposób uczczenia Peggy – próba rozpracowania zaszyfrowanych haseł. Przypomina sobie o anagramach, wyrazach z przestawionymi literami. Jest kilka, które często pojawiają się w krzyżówkach. Edwin zaczął sporządzać ich listę.

Bark – krab

Kara – arak

Wiśnia – świnia

Tyran – narty

Romantyk – markotny

Wchodzi do budynku i ze stosu gazet na stoliku w holu bierze „Guardiana”. Na wierzchu widnieją wielkie litery: EDWARD FITZHERBERT. Kioskarz nigdy nie pamięta, jak Edwin się nazywa. Typowe.

Już ma ruszyć po schodach, gdy ktoś woła go po imieniu. Właściwym imieniu. Edwin się odwraca. Alison stoi w drzwiach swojego biura.

– Cześć, Edwin. Jak się masz?

– Nieźle – odpowiada. – Nie mogę się skarżyć.

No, mógłby, ale kto chciałby tego słuchać?

– Myślałam o naszej nowej lokatorce – mówi Alison. – Tej pani, która ma się wprowadzić do mieszkania Peggy. Nazywa się Belinda Shepherd. Jest z Londynu, niedawno owdowiała. Kiedyś pracowała w Radio Four. Pomyślałam, że byłoby miło, gdybyś ją odwiedził. Pewnie na początku będzie czuła się tu samotnie. Powinniście mieć wiele wspólnego, oboje pracowaliście w BBC.

– Mógłbym jej zanieść kilka brownie od Benedicta – odpowiada Edwin.

– Byłoby wspaniale.

Czas i sposobność, myśli, idąc na górę do swojego mieszkania, po schodach pokrytych wykładziną antypoślizgową. Czas i sposobność. Ale teraz te słowa mają dla niego radosny, dziarski wydźwięk.

[19] *We're a couple of swells* (Para elegantów z nas) – piosenka śpiewana przez Judy Garland i Freda Astaire'a.

Rozdział 39

Natalka: powrót do zwykłości

Natalka stara się biegać codziennie rano. Pogoda wciąż jest ładna, a to przyjemność biec ścieżką ponad plażą, patrząc, jak w dali połyskuje morze. Przypomina sobie Cove Bay, łodzie rybackie podpływające do brzegu, Benedicta puszczającego kaczki, to, jak z przerażenia zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, ujrzała Dmytra, który stał przed nią niczym zjawa. Myślała, że jest sama na świecie, gdy co wieczór sprawdzała stan konta bankowego, ścigana przez nieznanymi wrogów, a teraz znowu ma brata, niemal bliźniaka. Każdego dnia pisują do siebie esemesy i rozmawiają na Skype. Ich matka wręcz oszalała ze szczęścia – planuje przyjazd do Anglii, żeby się z nimi zobaczyć.

No i Natalka ma chłopaka. Tak w myślach nazywa Benedicta, wspominając Daszę i Anastazję oraz ich nieustannie zmieniające się nastoletnie miłości. Ma wielką ochotę, żeby do nich zadzwonić i opowiedzieć im o nim.

Ale ma też inny powód, żeby biegać. Martwi się, że będąc z Benedictem, za bardzo mięknie. Dawniej każdego ranka ćwiczyła jogę, a teraz woli poleżeć w łóżku, patrząc, jak on parzy jej poranną herbatę; chodzi nawet po croissanty, chociaż ma w kafejce świeże ciastka. Nadal

większość czasu spędzają u niego, w jego kawalerce, ale jej zdaniem powinni znaleźć większe lokum, żeby zamieszkać razem. Wspólnie mają wystarczająco dużo pieniędzy, mimo jej wydatków na nowy interes.

Bo Natalka prowadzi teraz Care4You. Przecież nie można było zostawić starszych ludzi samym sobie tylko dlatego, że szefowa agencji okazała się morderczynią. Natalka stwierdza, że praca administracyjna nawet sprawia jej przyjemność. Ma Marię, która bardzo jej pomaga, i zatrudniła kilka nowych opiekunek, najpierw sprawdzając, czy nie figurują w aktach policyjnych. Może powinna spłacić Patricię albo stać się jej cichą współniczką i przekazać stery Marii. Albo zająć się czymś zupełnie innym. Benedict wciąż jej mówi, że powinna odwiedzić Ukrainę. Ona odpowiada, że to nie ma sensu, bo przecież jej matka przyjeżdża do Anglii. Poznała rodziców Benedicta, spotkała się z nimi parę razy, ale dziwnie się czuła, bo wyraźnie odetchnęli z ulgą, gdy zobaczyli, że syn ma dziewczynę.

– Nigdy nie przypuszczaliśmy, że zdobędzie kogoś takiego ja ty – rzucił prostacki brat Benny’ego, Hugo.

Najwyraźniej zamierzał powiedzieć jej komplement, chociaż zabrzmiało to, jakby była jakimś trofeum.

– Benny ma ukryte zalety – odparła, co nie wzbudziło u niego zachwyty.

Dobiega do kawiarni. U Benedicta zrobiła się kolejka, pewnie dlatego, że z uporem parzy kawę z zachowaniem zasad uważności, jak to nazywa, czyli dwa razy dłużej niż każda normalna osoba. Ale Natalka, zbliżając się tam, mimo woli się uśmiecha. Mogłaby wiele powiedzieć, jak to jest sypiać z kimś, kto wszystko stara się robić jak najlepiej. Seks tantryczny niech się schowa.

– Patrz, Benedict, twoja śliczna dziewczyna – mówi jeden z jego stałych klientów.

Przed starszymi ludźmi niczego nie da się ukryć, przekonała się już o tym w pracy. Choćby taki Edwin – domyślił się, że ona i Benedict są dla siebie stworzeni.

– Nie wiem, co ona w tobie widzi – zauważa dziarski osiemdziesięciolatek w bejsbolówce.

– Ja też nie – odpowiada Benedict, rzucając jej swój piękny uśmiech.

Przygotował już dla niej cappuccino, takie jakie Natalka lubi najbardziej, na podwójnym espresso. I zawsze tak nalewa mleko, żeby na pianie powstało serduszko. Twierdzi, że robi to od dłuższego czasu, od kiedy się poznali, ale jeśli tak, zauważyła to dopiero niedawno.

– Nie mogę długo zostać – zastrzega się, pijąc kawę i jednocześnie wykonując ćwiczenia rozciągające nóg. – Mam kupę papierkowej roboty.

Wynajęła biuro, bo przecież nie może pracować w ciasnym pokoiku Patricii, który przyprawia ją o ciarki.

– Nie zapomnij, że o trzeciej spotykamy się u Peggy.

– Spokojna głowa. Wracamy do zwykłości.

Któregoś dnia powiedziała tak w rozmowie z Benedictem i od tej pory stało się to ich powiedzonkiem. Natalka bardzo się denerwuje, gdy zdarzy jej się przekręcić jakiś idiom, ale co dziwne, wcale się nie złości, gdy Benedict żartobliwie jej to wytyka. To musi być miłość. Chociaż nie jest pewna, czy w nią wierzy, nawet teraz.

Wraca do domu, żeby się przebrać, i kiedy przyjeżdża na spotkanie w dawnym mieszkaniu Peggy, wszyscy są już na miejscu. Wcześniej dała Benedictowi klucze, a on wstawił do pustego salonu fotele ogrodowe, rozłożył dywanik piknikowy i zapalił w oknie ozdobne światełka, tak że zrobiło się całkiem przytulnie. Wchodząc do środka, Natalka słyszy

strzelający korek od szampana i ten dźwięk przypomina jej, tylko przelotnie, bar w hotelu Majestic.

– Pomyślałem, że miło będzie wypić za Peggy – mówi Edwin. – Lubiła bąbelki. To jej wyrażenie, nie moje – dodaje pospiesznie.

Ostatnio wydaje się pogodniejszy. Natałka sądzi, że tak na niego działa perspektywa poznania nowej sąsiadki. No i uznanie tych wszystkich starszych pań, które spotyka na mszy. Benedict mówi, że Edwin stał się w kościele osobistością.

– Spotykamy się w tym samym gronie co w Cove Bay – dodaje.

– Szczęśliwy czas – rzuca sucho Harbinder.

Wygląda na zmęczoną, myśli Natałka, ale może to z powodu tych jej ciemnych, głęboko osadzonych oczu. Albo przez kontrast z czerwonym swetrem. Nigdy nie widziała, żeby Harbinder ubierała się inaczej niż na czarno.

Rozmawiają o Peggy, co chyba wszystkim wydaje się trochę dziwne w tym opuszczonym mieszkaniu, ze śladami po obrazach widocznymi na ścianach i zapachem jej ulubionej mielonej kawy, który wciąż jakimś cudem unosi się w powietrzu. Ale wkrótce staje się to całkiem naturalne, jakby dawna lokatorka wciąż tutaj była. Benedict pokazuje wydrukowane zdjęcie z internetu – z jakiegoś przyjęcia bożonarodzeniowego. Peggy jest w różowym papierowym kapeluszu i uśmiecha się do obiektywu.

– Obok niej stoi chyba Weronika Challoner – mówi Benedict. – Matka Lance’a też jest pewnie na tym zdjęciu.

– Żałuję, że nie poznałam Weroniki – wtrąca Natałka. – Chętnie posłuchałabym jej opowieści o wojnie.

– Peggy wiedziała o niej wszystko – oznajmia Edwin. – Znacznie więcej niż ja. No, oczywiście, była ode mnie dziesięć lat starsza – zaznacza

czym prędzej. – Miała też dużą wiedzę o Bliskim Wschodzie. I o Bałkanach. A one dla niemal każdego stanowią zagadkę.

– Nie mogę tylko zrozumieć, skąd ta jej wiedza – odzywa się Benedict. – O Rosji i, jak twierdzi Maria, o Polsce. Nie było takiego miejsca na świecie, o którym by nie słyszała. A przecież wcale nie podróżowała dużo. Myślę, że jeśli nie liczyć tamtej podróży do Rosji, nie wyjeżdżała z kraju.

– Jej mąż wyjeżdżał – wyjaśnia Edwin. – Służył w marynarce.

– Zdaje się, że zachowała jeden z guzików od jego munduru – mówi Natałka. – Znalazłam go, kiedy ostatnim razem byliśmy tu z Bennym. Wtedy, kiedy wpadł ten człowiek z bronią... czyli Julie. Schowałam ten guzik do kieszeni. Na szczęście.

– I przyniósł ci je – zauważa Edwin, uśmiechając się do niej.

– Peggy nie czerpała wiedzy od męża – rzuca Harbinder. – Pewnie raczej z książek.

– Masz rację – potwierdza Edwin. – Czytając, można zjeździć cały świat.

Zapewne wypowiadał takie zdania w programach BBC, przynajmniej tak to zabrzmiało, myśli Natałka.

– Skoro mowa o książkach, coś odkryłem – wyznaje Benedict.

Natałka powściąga uśmiech. Nic nie sprawia mu większej przyjemności niż praca detektywistyczna i podobnie jak jego ulubieni detektywi, lubi prezentować swoje odkrycia w jak najbardziej dramatyczny sposób.

– Co takiego? – pyta Edwin. – Bo przeżyłem już tyle wstrząsów, że wystarczy mi do końca życia.

– To nie będzie wstrząs – wyjaśnia Benedict. – To niespodzianka. Zdobyłem trochę informacji o Sheili Atkins. No wiecie, autorce *Poszcząc, podziękuj Bogu*.

– Nie musisz nam przypominać, Benny – rzuca Natałka.

– Z internetu trudno czegokolwiek się o niej dowiedzieć – ciągnie Benedict – ale znalazłem w bibliotece tę książkę.

Wziął ją ze sobą i teraz sięga po nią teatralnym gestem.

– Nosi tytuł *Bohaterki złotej ery* i jest poświęcona zapomnianym autorkom kryminałów. Należy do nich Sheila Atkins. Posłuchajcie tego: *Atkins napisała większość książek jeszcze przed trzydziestką. Przypuszcza się, że podczas drugiej wojny światowej służyła w tajnych służbach. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym roku wyszła za mąż za Davida Fostera, z którym miała jedno dziecko, syna Lancelota.*

Przerywa dla efektu. Edwin pierwszy się orientuje.

– A niech mnie! Lance Foster. Sheila Atkins była jego matką.

– Tak. A później jest napisane: *Lancelot został pisarzem i jego pierwszą powieść, Laokoon, nominowano do Nagrody Bookera.*

– Dlaczego nam nie powiedział? – pyta Natałka.

– Może by to zrobił – odpowiada Benedict – gdybyśmy wtedy spotkali się z nim w barze. Pamiętam, że się roześmiał, kiedy go spytałem, czy czytał Sheilę Atkins, i wyznał, że jest mu bardzo droga. Myślę, że Sheila tu mieszkała i przyjaźniła się z Peggy. Była oczywiście od niej starsza. Dożyła setki.

– To była jedna z pierwszych rzeczy, jakie usłyszałam o tym miejscu – oznajmia Harbinder. – Że ktoś z mieszkańców obchodził setne urodziny.

– Lance odziedziczył talent pisarski po matce – komentuje Edwin. – Chociaż napisał tylko jedną książkę.

– Dowiedziałam się od Pippy Sinclair-Lewis – odzywa się znowu Harbinder – że Seventh Seal zamierza wydać pośmiertnie drugą jego powieść. Jest zatytułowana *Towarzystwo przy oknie wykuszowym* i opowiada o grupie starszych pań w domu opieki, które rozwiązują zagadki

kryminalne. Zdaniem Pippy ma duże szanse na sukces. Łagodny kryminał, jak go nazwała.

– Peggy byłaby zadowolona – mówi Benedict. – Zawsze, gdy o niej myślę, wyobrażam ją sobie, jak siedzi przy tym oknie i prowadzi zapiski w swojej *Księdze dochodzeniowej*.

– Ta księga pomogła rozwiązać zagadkę jej śmierci – zauważa Natałka.

– Tak naprawdę to zasługa Harbinder – prostuje Benedict.

– Nie, to dzięki Peggy. – Harbinder wznosi plastikowy kieliszek z szampanem. – Za Peggy.

– Za Peggy – powtarzają wszyscy.

A przez okno wykuszowe wpadają promienie słońca.

Podziękowania

PS. Dzięki za zbrodnie to w pewnym sensie książka o podziękowaniach, a ja jestem winna wdzięczność wielu osobom. Przede wszystkim mojej wspaniałej wydawczynie, Jane Wood, i wszystkim innym z Quercus Books, którzy ciężko pracowali, żeby opublikować moją powieść podczas lockdownu. Jestem szczególnie zobowiązana Hannah Robinson, Elli Patel, Katie Sadler, Bethan Ferguson, Davidowi Murphy'emu i Florence Hare. Wspominam w książce, że redaktorom rzadko się dziękuje, dlatego ja chciałabym podziękować niezwykle skrupulatnej i wszystkowiedzącej Liz Hatherell. Podziękowania także dla Naomi Gibbs, mojej wydawczynie z HMH w Ameryce, za jej wkład i wsparcie. Dla mojej fantastycznej agentki Rebekki Carter i całej reszty z Janklow & Nesbit. I dla Kirby Kim z Janklow US.

Ta książka opowiada o całkowicie fikcyjnych wydarzeniach, rozgrywających się w prawdziwych miejscach. Shoreham istnieje naprawdę, tak jak Aberdeen i wszystkie miejscowości pomiędzy nimi. W Aberdeen odbywa się wspaniały festiwal powieści kryminalnej, Granite Noir, ale nie przypomina tego z książki. Hotel Majestic jest wytworem wyobraźni. Mam jednak cudowne wspomnienia ze „srebrnego miasta”; odwiedziłam je z Olivią Mead przy okazji spotkań z czytelnikami. Żadna

z nas nigdy nie zapomni Billy'ego Boba, taksówkarza, który opowiedział nam „o edukacji, zbawieniu i potępieniu”.

W Shoreham jest wprawdzie piękny kościół katolicki, ale ten, do którego chodzi Benedict, został wymyślony, podobnie jak jego proboszcz.

Staralam się przedstawić sylwetki bohaterów w sposób jak najbardziej wiarygodny. Pomogli mi w tym: Rhadhika Holstrum, Harpreet Kaur, Baldwin Kaur Grewal i wielu innych, za co serdecznie im dziękuję. Za wszelkie błędy i nieścisłości odpowiedzialność ponoszę sama. John Rickards i Ed James dostarczyli mi cennych informacji o bitcoinie – jestem im za to ogromnie wdzięczna. I znowu: jeśli są jakieś błędy, to moja wina.

Jest to także książka o świecie wydawniczym, więc powinnam podziękować za niesłychane wsparcie wszystkim przyjaciołom z branży. Wymienieni w powieści wydawcy i autorzy są fikcyjni. W związku z tym dedykuję *PS. Dzięki za zbrodnie* mojej wspaniałej agentce, wspomnianej już Rebecce Carter, która służy mi pomocą, zachętą i przyjaźnią.

Wyrazy miłości jak zawsze dla mojego męża Andrew i naszych dzieci, Alexa i Juliet. Alexowi dziękuję za wyjaśnienia na temat chorałów, a Juliet – za informacje o sadzawkach w nadmorskich skałach. To fantastyczne, kiedy twoje dzieci wiedzą więcej od ciebie.

PS. Dziękuję także Gusowi, który właśnie przeszedł po mojej klawiaturze.

EG 2020